

LAURELL K. HAMILTON

UŚMIECHNIĘTY NIEBOSZCZYK

(Przełożył: Robert P. Lipski)

Zysk i S-ka
2003

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze dla mego męża Gary'ego, który po blisko dziewięciu latach wciąż jest moją najśłodsza kruszyną. Dla Ginjer Buchanan, naszej redaktorki, która od początku uwierzyła w Anitę i we mnie. Dla Carol Caughey, naszej brytyjskiej redaktorki, która zabiera Anitę i mnie za ocean. Dla Marcii Woolsey, która przeczytała i pozytywnie zaopiniowała pierwsze opowiadanie o Anicie. (Marcia, proszę, skontaktuj się z moim wydawcą, tak bardzo chciałabym z tobą porozmawiać). Dla Richarda A. Knaaka, dobrego przyjaciela i honorowego członka grupy Alternate Historians. Nareszcie masz okazję sięść i przeczytać, co było dalej.

Dla Janni Lee Simner, Marelli Sands i Roberta K. Sheafa, którzy dopomogli mi przy pracy nad tą książką. Powodzenia w Arizonie, Janni. Będzie mi ciebie brakowało. Dla Deborah Millitello za wsparcie, kiedy go szczególnie potrzebowałam. Dla M.C. Sumner, nie ma to jak sąsiadzka przyjaźń. Członkom grupy Alternate Historians na zawsze. Dziękuję wszystkim, którzy byli obecni na moich spotkaniach literackich na Windyconie i Capriconie.

Dom Harolda Gaynora otaczał olbrzymi zadbany trawnik i szpaler smukłych, wysokich drzew. Budynek lśnił w blasku upalnego sierpniowego słońca. Bert Vaughn, mój szef, zaparkował wóz na żwirowym podejździe. Żwir był tak biały, że wyglądał jak bryłki soli. Gdzieś z oddali dobiegał szum włączonych spryskiwaczy. Trawa wyglądała wręcz idealnie, mimo iż tego lata panowała najgorętsza od dwóch dekad susza. No, dobra. Nie przyjechałam tu, aby rozmawiać z Gaynorem o gospodarowaniu zasobami wodnymi. Miałam pomówić z nim o ożywianiu zmarłych. Nie o wskrzeszaniu. Nie jestem aż tak dobra. Mam na myśli zombi. Żywe trupy. Gnijące, chodzące zwłoki. Noc żywych trupów. O takich zombi mowa. Choć z pewnością wyglądało to znacznie mniej dramatycznie, niż to przedstawiali hollywoodzcy scenarzyści. Jestem animatorką. To zwykły fach, jak sprzedawanie polis ubezpieczeniowych.

Animowanie istnieje na rynku pracy zaledwie od pięciu lat. Wcześniej owa zdolność była jedynie kłopotliwym przekleństwem, doznaniem religijnym lub atrakcją turystyczną. Wciąż nią jest w niektórych częściach Nowego Orleanu, ale tu, w St. Louis, to praca jak każda inna. Przyznam, że zyskowna, co w dużej mierze jest zasługą mojego szefa. Ten facet to pijawka, typ spod ciemnej gwiazdy, łądak jakich mało, ale na zarabianiu pieniędzy zna się jak mało kto. To pożądana cecha u każdego zwierzchnika.

Bert miał sto osiemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, szerokie bary jak zawodowy futbolista i pierwsze oznaki mięśnia piwnego. W ciemnogniatowym, dobrze skrojonym garniturze tego ostatniego nie było widać. Garnitur za osiemset dolarów powinien zatuszować nawet stado słoń. Jasnoblond włosy miał przycięte krótko, na jeża. Silna opalenizna stanowiła porażający kontrast z jego jasnymi włosami oraz oczami.

Bert poprawił krawat w niebiesko-czerwone pasy i starł kropelkę potu z opalonego czoła.

- W wiadomościach mówili, że pojawiła się frakcja pragnąca wykorzystywania zombi do prac na polach skażonych pestycydami. Dzięki temu ocalono by wiele istnień.

- Zombi gniją, Bert, nie sposób temu zapobiec, a poza tym nie zachowują bystrości umysłu dostatecznie długo, aby można je było wykorzystać w charakterze siły roboczej.

- Mówiłem tylko to, co słyszałem. A poza tym zmarli nie mają żadnych praw, Anito.

- Jeszcze nie - odparłam.

To nie w porządku, że zmarli mieliby być ożywiani, aby stać się naszymi niewolnikami. To nie było właściwe, ale nikt mnie nie słuchał. Rząd musiał w końcu podjąć decyzję w tej sprawie. Powołano międzynarodową komisję, złożoną z animatorów oraz innych ekspertów. Mieliśmy zbadać warunki pracy miejscowych zombi.

Warunki pracy. Oni nic nie rozumieli. Nie można zapewnić nieboszczykowi dobrych warunków pracy. Zresztą i tak ich nie doceniają. Zombi mogą chodzić, a nawet mówić, ale - tak czy owak - są martwi.

Bert uśmiechnął się do mnie z pobłażaniem. Miałam ochotę trzasnąć go w ten uśmiechnięty pysk, ale pohamowałam się.

- Wiem, że ty i Charles pracujecie w tej komisji - ciągnął Bert. - Odwiedzacie te miejsca i sprawdzacie warunki pracy zombi. To zapewnia naszej firmie doskonałą prasę.

- Nie chodzi mi o dobrą prasę - odparłam.

- Wiem. Wierzysz w to, co robisz.

- Protekcyjny łajdak - wycodziłam przez zęby, po czym uśmiechnęłam się do niego. Odpowiedział uśmiechem.

- No jasne.

Pokręciłam głową. Berta nie sposób obrazić. Było mu obojętne, co sędzę na jego temat dopóty, dopóki dla niego pracuję.

Mój granatowy kostium powinien być lekki i przewiewny, ale wcale taki nie był. Gdy tylko wysiadłam z auta, po moim krzyżu spłynęła strużka potu. Bert odwrócił się do mnie i zmierzył wzrokiem. Na jego twarzy pojawił się pytający grymas.

- Wciąż masz przy sobie pistolet - stwierdził.

- Żakiet doskonale go maskuje, Bert. Pan Gaynor nigdy się nie zorientuje. - Pot zaczął mi się zbierać pod paskami kabury podramiennej. Miałam wrażenie, że moja jedwabna bluzka zaczyna się roztopiać. Staram się nie nosić równocześnie jedwabiu i kabury podramiennej. W miejscu, gdzie przecinają się paski, jedwab się marszczy i fałduje. W kaburze tkwił browning hi-power kaliber dziewięć milimetrów, lubiłam mieć go pod ręką.

- Daj spokój, Anito, nie sędzę, abyś potrzebowała pistoletu w środku dnia, podczas wizyty u klienta. - W głosie Berta pobrzmiwał protekcyjny ton. Mówił do mnie jak do dziecka. Ależ, dziewczynko, zrozum, przecież to wszystko tylko dla twojego dobra. Bertowi nie chodziło o moje dobro. Było mu ono obojętne. Tyle tylko, że nie chciał wystraszyć Gaynora. Facet przekazał nam już czek na pięć tysięcy dolarów. Zapłacił tylko za to, abyśmy przyjechali i porozmawiali z nim. Sugerował, że jeśli zgodzimy się przyjąć jego zlecenie, otrzymamy znacznie hojniejszą zapłatę. Kupę kasy. Bert nie posiadał się z radości. Ja byłam nastawiona sceptycznie. Bądź co bądź, to nie Bert musiał ożywiać zmarłych, tylko ja. Kłopot w tym, że Bert najprawdopodobniej miał rację. W biały dzień pistolet raczej nie będzie mi potrzebny. Raczej.

- No dobra, otwórz bagażnik.

Bert otworzył kufer swego niemal fabrycznie nowego volvo. Zaczęłam zdejmować żakiet. Bert stanął przede mną, zasłaniając własnym ciałem. Uchowaj Boże, aby ktoś z tego domu zobaczył, że chowam spluwę do bagażnika. Co by się wtedy stało? Mieszkańcy domu pozamykaliby drzwi na cztery spusty i zaczęli wzywać pomocy? Oplotłam kaburę paskami uprząży i włożyłam do nowiutkiego bagażnika. Aż pachniał świeżością, plastikiem i lakierem. Wydawał się wręcz nierealny. Bert zatrzasnął kufer, a ja wlepiłam wzrok w klapę, jakbym mogła przez nią dojrzeć browninga.

- Idziesz? - zapytał.

- Taa - odparłam. Nie lubiłam rozstawać się z bronią, niezależnie od przyczyny. Czy to zły znak? Bert gestem nakazał mi, abym się pospieszyła.

Żwirowym podjazdem ruszyłam w czarnych botkach na obcasie. Szłam ostrożnie. Kobiety mają może barwniejsze stroje, ale to faceci noszą wygodniejsze buty. Bert spojrzał w stronę drzwi, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. To był jego najlepszy zawodowy uśmiech, szczery aż do bólu. Jasnoszare oczy emanowały radością i pogodą ducha. To była maska. Umiał nakładać ją i zdejmować w mgnieniu oka. Uśmiechałby się tak samo, gdybyś wyznał, że zabiłeś własną matkę. Rzecz jasna, o ile byłbyś gotów zapłacić za jej ożywienie. Drzwi otworzyły się, a ja zrozumiałam, że popełniłam błąd, słuchając zapewnień Berta, że broń nie będzie mi dziś potrzebna. Facet mierzył jakieś metr siedemdziesiąt, ale pomarańczowa koszulka polo z trudem opinała jego szeroki tors. Czarna wiatrówka wydawała się przyciasna i odnosiłam wrażenie, że przy gwałtowniejszym ruchu popękałaby w szwach jak owadzi kokon. Czarne, sprane džinsy podkreślały szczupłą talię. Można było pomyśleć, że ktoś ścisnął go w pasie, gdy glina, z której go ulepiono, jeszcze nie zastygła. Miał bardzo jasne włosy. Patrzył na nas w milczeniu. Oczy miał puste, martwe, jak u lalki. Dostrzegłam pod wiatrówką wypukłość kabury i z trudem powstrzymałam się przed kopnięciem Berta w kostkę.

Albo mój szef nie spostrzegł broni, albo całkiem to zignorował.

- Witam. Jestem Bert Vaughn, a to moja pracownica, Anita Blake. Pan Gaynor nas oczekuje.

- Bert posłał mu czarujący uśmiech.

Ochroniarz - bo kim innym mógł być ten osiłek - odsunął się od drzwi. Bert potraktował to jako zaproszenie i wszedł do środka. Postąpiłam za nim, choć bez większego entuzjazmu. Harold Gaynor był bardzo zamożny. Może potrzebował ochroniarza. Może ktoś mu groził. A może był jednym z tych facetów, którzy mają dość pieniędzy, by zatrudnić ochroniarza, niezależnie, czy jest im on potrzebny, czy nie. A może w grę wchodziło jeszcze coś innego. Coś, co wymagało broni palnej i obecności przerośniętego mięśniaka o pustych oczach porcelanowej lalki. Ta myśl nie dodała mi animuszu.

Klimatyzacja była włączona na full i w jednej chwili pot na moim ciele stężał. Podążyliśmy za ochroniarzem przez długi centralny korytarz wyłożony ciemną, sądząc po wyglądzie, drogą boazerią. Bieżnik w korytarzu wyglądał na orientalny i zapewne został wykonany ręcznie. W ścianie po prawej widniały ciężkie drewniane drzwi. Ochroniarz otworzył je i stanął z boku, a my weszliśmy śmiało do środka. Pomieszczenie okazało się biblioteką, ale wątpiłam, aby ktokolwiek przeczytał którąś ze znajdujących się tutaj książek. Pod każdą ze ścian ciągnęły się, sięgające od podłogi po sufit, regały z ciemnego drewna. Do tych, które znajdowały się na pięterku, dojść można było wąskimi, kręconymi schodami. Wszystkie książki były w twardej oprawie, jednakowej wielkości i podobnej grubości. Wśród mebli przeważała - rzecz jasna - czerwona skóra i mosiądź. Pod przeciwległą ścianą siedział mężczyzna.

Uśmiechnął się, gdy weszliśmy. Był potężny, o miłej okrągłej twarzy i dwóch podbródkach. Siedział na wózku elektrycznym, a nogi miał przykryte niedużym kraciatym pledem.

- Pan Vaughn i pani Blake, jak miło, że zechcieli się państwo do mnie pofatygować. - Głos miał, podobnie jak twarz, miły, wręcz przyjazny.

W jednym ze skórzanych foteli siedział szczupły Murzyn. Mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, choć ile ponad, trudno było określić. Rozsiadł się w fotelu, wyciągając przed siebie skrzyżowane w kostkach nogi. Jego nogi były dłuższe niż ja. Obserwował mnie brązowymi oczami, jakby oceniał moje zachowanie, które podsumuje już po zakończeniu spotkania.

Jasnowłosa ochroniarz podszedł, by oprzeć się o regał. Nie skrzyżował ramion, wiatrówka była obcisła, a jego mięśnie zbyt wydatne. Nie należy opierać się o ścianę i zgrywać twarziela, jeśli nie jest się w stanie spleść ramion na piersiach. To psuje cały efekt.

- Tommy'ego już znacie - rzekł pan Gaynor. Wskazał na siedzącego goryla. - To jest Bruno.

- Prawdziwe imię czy może ksywka? - spytałam, spoglądając Brunonowi prosto w oczy.

Poruszył się lekko w fotelu.

- Prawdziwe imię. - Uśmiechnęłam się. - Czemu pytasz? - rzucił.

- Nigdy nie spotkałam goryla, który naprawdę miałby na imię Bruno.

- To miało być zabawne? - zapytał.

Pokręciłam głową. Bruno. Był bez szans. To jak dać dziewczynie na imię Wenus. Wszyscy Brunonowie musieli być goryłami. To niezłomna zasada. A może był glina? Nie, to było imię dla bandziora. Uśmiechnęłam się.

Bruno wyprostował się w fotelu jednym płynnym, zdecydowanym ruchem. Nie widziałam, aby był uzbrojony, ale facet wydał mi się groźny. Sprawiał wrażenie niebezpiecznego, powinnam mieć się przed nim na baczności. Chyba nie powinnam była się uśmiechać.

Bert wtrącił:

- Anito, proszę. Przepraszam, panie Gaynor... panie Bruno. Panna Blake ma dość specyficzne poczucie humoru.

- Nie przepraszaj za mnie, Bert. Nie lubię tego. - Nie rozumiałam, co go ugryzło. Przecież nie byłam nadmiernie opryskliwa. Najbardziej dokuczliwe docinki zachowałam dla siebie.

- Nie ma sprawy - odparł pan Gaynor. - Nic się nie stało. Prawda, Bruno?

Bruno pokręcił głową i łypnął na mnie spode łba, nie tyle wściekły, co raczej skonsternowany.

Bert posłał mi gniewne spojrzenie, po czym uśmiechnął się do faceta na wózku.

- Do rzeczy, panie Gaynor. Na pewno jest pan bardzo zajęty. Ile lat konkretnie liczy sobie nieboszczyk, którego chce pan ożywić?

- Rzeczowy facet. Lubię takich, którzy od razu przechodzą do konkretów. - Gaynor zamilkł, zerkając na drzwi. Pojawiła się w nich kobieta. Wysoka, długonoga, jasnowłosa, o niebieskich oczach. Jej sukienka była różowa i jedwabista. Przywierała do ciała dokładnie tak, jak powinna, przysłaniając to, co nakazuje skromność, lecz nie pozostawiając wiele wyobraźni. Kobieta miała długie, jasne nogi, nie przyobleczone w pończochy. Nosila różowe szpilki. Przeszła po dywanie, śledzona wzrokiem wszystkich mężczyzn w pokoju. Co więcej, miała tego świadomość. Odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się bezgłośnie. Jej oblicze pojaśniało, oczy rozbłyły, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku, jakby ktoś wyłączył jej fonię. Oparła się jednym biodrem o Harolda Gaynora, dłoń położyła na jego ramieniu. On objął ją w pasie, przez co jej i tak już kusa sukienka podsunęła się o kolejne trzy centymetry

w górę. Czy mogłaby w niej usiąść, nie pokazując bielizny? Wątpliwe. - To Cicely - oznajmił Gaynor. Kobieta uśmiechnęła się promiennie do Berta, a w jej oczach pojawiły się pogodne skierki. Spojrzała na mnie, spuściła wzrok, uśmiech przygasł. Przez chwilę na jej twarzy zagościła niepewność. Gaynor poklepał ją po biodrze. Uśmiech powrócił. Ukłoniła się nisko nam obojgu. - Chcę, abyście ożywili dwustuosiemdziesięcioletniego nieboszczyka - rzekł Gaynor.

Spojrzałam na niego, zastanawiając się, czy wie, o czym mówi.

- Cóż - mruknął Bert - to prawie trzysta lat. Bardzo stary jak na zombi. Większość animatorów nie dałaby sobie z tym rady.

- Zdaję sobie z tego sprawę - rzekł Gaynor. - Dlatego poprosiłem o pannę Blake. Ona może tego dokonać.

- Anito? - Bert spojrzał na mnie. Nigdy dotąd nie ożywiłam tak starego trupa.

- Mogłabym tego dokonać - potwierdziłam. Bert uśmiechnął się do Gaynora zadowolony. - Ale tego nie zrobię.

Bert powoli odwrócił się do mnie, uśmiech znikł z jego twarzy. Gaynor wciąż się uśmiechał. Ochroniarze nawet nie drgnęli. Cicely spojrzała na mnie przyjaźnie, jej oczy były puste i beznamiętne.

- Million dolarów, panno Blake - rzekł Gaynor ciepłym, łagodnym tonem.

Zobaczyłam, jak Bert przełknął ślinę. Jego dłonie zacisnęły się na poręczach fotela. Bert miał obsesję na punkcie forsy. Wolał ją od seksu. Zapewne w tej chwili miał wzwód stulecia.

- Panie Gaynor, czy rozumie pan, o co proszę? - spytałam.

Skinął głową.

- Dostarczę białą kozę - powiedział to z uśmiechem, równie łagodnym tonem, jak dotychczas. Tylko jego wzrok spochmurniał, przepełniony żarliwością i wyczekiwaniem. Wstałam.

- Chodź, Bert, czas na nas.

Bert schwycił mnie za rękę.

- Anito, proszę cię, usiądź. - Spojrzałam na jego rękę, aż mnie puścił. Pogodna maska znikła, zastąpiona grymasem gniewu, ale zaraz znów zmienił się w życzliwego biznesmena.

- Anito. To ogromna suma. Na pewno wystarczająca jak na...

- Biała koza to eufemizm, Bert. Oznacza ludzką ofiarę.

Mój szef spojrzał na Gaynora, a potem na mnie. Znał mnie na tyle dobrze, by mi uwierzyć, ale nie chciał tego do siebie dopuścić.

- Nie rozumiem - mruknął.

- Im starszy zombi, tym większej potrzeba ofiary, aby go ożywić. Po kilku stuleciach nieboszczyka może przywołać już tylko ofiara z człowieka - wyjaśniłam. Gaynor już się nie uśmiechał. Obserwował mnie posepnie. Cicely wciąż sprawiała wrażenie pogodnej, niemal uśmiechniętej. Czy w głębi tych chabrowych oczu kryła się jakaś jaźń? - Czy naprawdę chce pan rozmawiać o morderstwie w obecności Cicely? - zapytałam.

Gaynor wyszczerzył się do mnie, to zawsze jest zły znak.

- Ona nie pojmuję ani słowa z tego, co mówimy. Cicely jest głucha. - Spojrzałam na niego, a on skinął głową. Patrzyła na mnie ciepłym wzrokiem. Rozmawialiśmy o ofierze z człowieka, a ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Jeśli umiała czytać z ruchów warg, starannie to ukrywała. Sądzę, że nawet niepełnosprawni mogą wpaść w złe towarzystwo, ale to zdecydowanie mi się nie podobało. - Nie cierpię kobiet, które mówią bez ustanku - ciągnął Gaynor.

Pokręciłam głową.

- Za żadne pieniądze świata nie skłoni mnie pan, abym dla pana pracowała.

- Czy zamiast jednej ludzkiej, nie można by złożyć kilku ofiar ze zwierząt? - spytał Bert. Mój szef ma zmysł praktyczny. Ale nie zna się na ożywianiu zmarłych. Niestety. Spojrzałam na niego.

- Nie.

Bert znieruchomiał na fotelu. Perspektywa utraty miliona dolarów musiała być dla niego prawdziwym ciosem, ale starannie to ukrywał. Był z niego doskonały negocjator.

- Musi być jakiś sposób, aby rozwikłać ten problem - rzucił.

Wydawał się spokojny. Uśmiechnął się pod nosem. Wciąż usiłował doprowadzić interes do końca. Zawodowiec w każdym calu. Mój szef nie miał pojęcia, co się działo.

- Czy zna pan innego animatora, który mógłby ożywić tak starego nieboszczyka? - spytał Gaynor.

Bert spojrzał na mnie, wlepił wzrok w podłogę, po czym przeniósł go na Gaynora. Zawodowy uśmiech przygasł. A więc jednak zrozumiał, że mówiono tu o morderstwie. Czy to cokolwiek zmieniało? Zawsze zastanawiało mnie, gdzie leży granica wytyczona przez Berta. Właśnie miałam się tego dowiedzieć. Fakt, że nie wiedziałam, czy mój szef odmówi przyjęcia kontraktu, powinien wam uświadomić, jaką stanowił dla mnie zagadkę.

- Nie - rzekł półgłosem Bert. - Ja chyba również nie jestem w stanie panu pomóc.

- Jeśli chodzi o pieniądze, panno Blake, mogę podwyższyć ofertę.

Barkami Berta wstrząsnął dreszcz. Biedny Bert. Ale dobrze to ukrył. Punkt dla niego.

- Nie jestem morderczynią, Gaynor - rzekłam.

- Słyszałem co innego - wtrącił jasnowłosy Tommy.

Spojrzałam na niego. Oczy wciąż miał puste jak u lalki.

- Nie zabijam ludzi za pieniądze.

- Zabijasz wampiry za pieniądze - ciągnął Tommy.

- Wykonuję prawnie usankcjonowane egzekucje i nie robię tego dla pieniędzy - odparłam.

Tommy pokręcił głową i odsunął się od ściany.

- Słyszałem, że lubisz kołkować wampiry. I że nie przejmujesz się zbytnio tym, kogo musisz sprzątnąć, aby móc dobrać się do krwiopijcy.

- Moi informatorzy mówią, że zabijała już pani ludzi, panno Blake - rzekł Gaynor.

- Jedynie w samoobronie. Nie morduję na zlecenie.

Bert wstał.

- Chyba powinniśmy już wyjść.

Bruno podniósł się jednym płynnym ruchem, jego wielkie, ciemne łapska opadły wzdłuż boków, palce zacisnęły się w pięści. Facet na pewno ćwiczył sztuki walki. Mogłam się o to założyć. Tommy odstał od ściany. Odgarnął połę wiatrówki, by odsłonić broń, jak rewolwerowiec z dawnych czasów. Miał magnum .357. Ta spluwa robiła w ciele naprawdę wielkie i paskudne dziury.

Stałam i patrzyłam na nich. Co innego mogłam zrobić? Z Brunonem może bym sobie poradziła, ale Tommy miał broń. Ja nie. I po sprawie. Traktowali mnie jak osobę wyjątkowo niebezpieczną. Jako że mierzę metr pięćdziesiąt siedem, nie imponuję wzrostem. Zabij parę wampirów, ożywiaj trupy i ludzie zaczną traktować cię na równi z potworami. Czasami to bolało. Teraz jednak... otwierało nowe możliwości.

- Czy naprawdę sądzicie, że przyszedłam tu nieuzbrojona? - spytałam. Mój głos brzmiał bardzo konkretnie.

Bruno spojrzął na Tommy'ego. Ten wzruszył ramionami.

- Nie obszukałem jej. - Bruno parsknął. - Ale ona nie ma przy sobie gnata - dodał Tommy.

- Chcesz postawić na to swoje życie? - spytałam. I uśmiechnęłam się słodko, wolno, bardzo wolno sięgając ręką za siebie. Niech myślą, że mam z tyłu olstro z pistoletem.

Tommy poruszył się, nerwowo przesuwając dłoń w stronę rewolweru. Gdyby po niego sięgnął, byłoby po nas. Ale po śmierci wróciłabym jako duch, aby straszyć Berta.

- Panno Blake, naprawdę nikt nie musi dziś umrzeć - odezwał się Gaynor.

- Rzeczywiście - przyznałam, zmuszając moje serce, aby zwolniło rytm i cofnęłam dłoń od nie istniejącej kabury z bronią. Tommy także opuścił rękę. To dobrze. Dla nas obojga.

Gaynor znów się uśmiechnął jak mały, gładko ogolony święty Mikołaj.

- Naturalnie, rozumie pani, że powiadamanie policji jest bezcelowe.

Skinęłam głową.

- Nie mamy dowodów. Nie wiemy nawet, kogo chciał pan ożywić i dlaczego.

- Pani słowo przeciwko mojemu - przyznał.

- A na pewno ma pan wielu przyjaciół w wyższych sferach - rzekłam z uśmiechem.

Odwzajemnił się tym samym, na tłustych policzkach pojawiły się dołeczki.

- Oczywiście.

Odróciłam się tyłem do Tommy'ego z jego spluwą. Ruszyłam do wyjścia. Bert szedł za mną. Wyszliśmy na sprażony skwarem podjazd. Bert wydawał się odrobinę wstrząśnięty. Prawie było mi go żal. Dobrze wiedzieć, że mój szef miał pewne granice, że były rzeczy, których nie zrobi nawet za milion dolarów.

- Czy oni naprawdę by nas kropnęli? - zapytał. Jego głos brzmiał rzeczowo i pewnie, choć wzrok miał nieco mętawy. Twardziel Bert. Bez pytania otworzył bagażnik.

- Przecież nazwisko Gaynora pojawiło się w naszej księdze, na liście umówionych spotkań i w komputerze. - Wyjęłam pistolet i założyłam szelki kabury podramiennej. - No i nie wiedzieli, komu powiedzieliśmy o dzisiejszym spotkaniu. - Pokręciłam głową. - Wątpię. To byłoby zbyt ryzykowne.

- Czemu więc udawałaś, że masz broń? - spytał, patrząc mi prosto w oczy; po raz pierwszy dostrzegłam na jego twarzy wyraz niepewności. Mój szef, stary spec od zarabiania pieniędzy, pragnął słowa otuchy, ale ja nie mogłam mu jej zapewnić.

- Bo mogłam się mylić, Bert.

Salon sukien ślubnych znajdował się w St. Peters przy Siedemdziesiątej Zachodniej. Nosił nazwę Podróż Przedślubna. Całkiem chwytliwa nazwa. Tuż obok była pizzeria, a po drugiej stronie salon piękności - Blask Księżyca. Szyby w salonie były zamalowane na czarno, neon świecił czerwono. Jeżeli chciałaś, aby manicure i koafiurę zrobiły ci wampiry, trafiłaś we właściwe miejsce.

Wampiryzm był legalny w Stanach Zjednoczonych Ameryki zaledwie od dwóch lat. Wciąż jesteśmy jedynym krajem na świecie, gdzie został zalegalizowany. Nie pytajcie mnie - ja nie głosowałam za. Pojawiła się nawet frakcja domagających się dla wampirów prawa do głosowania. Podatki bez przedstawicielstwa i takie tam. Dwa lata temu, gdy ktoś miał kłopot z jakimś wampirem, pojawiałam się ja i kołkowałam sukinsyna. Teraz, aby załatwić krwiopijcę, potrzebowałam sądowego nakazu egzekucji. Bez tego papierka, gdyby mnie złapano, mogłam zostać oskarżona o morderstwo. Tęskniłam za starymi, dobrymi czasami. W oknie wystawowym salonu stał blondwłosy manekin mający na sobie tyle białej koronki, że można by w niej utonąć. Nie przepadam za koronkami, perełkami ani cekinami. Zwłaszcza za cekinami. Już dwa razy towarzyszyłam Catherine, która sądziła, że okaże się pomocna przy wyborze sukni ślubnej. Bardzo szybko okazało się, że na pomoc z mojej strony raczej nie ma co liczyć. Żadna mi się nie podobała.

Catherine była moją dobrą przyjaciółką, w przeciwnym razie w ogóle bym tu z nią nie przyszła. Powiedziała, że jeżeli kiedyś zdecyduję się na ślub, na pewno zmienię zdanie. Z całą pewnością to, że jest się zakochanym, nie pozbawia cię gustu i dobrego smaku. Gdybym kiedyś kupiła suknię z cekinami, błagam, niech mnie ktoś zastrzeli. Nie wybrałabym też sukni dla druhnny, którą wypatrzyła dla mnie Catherine, ale cóż, moja wina, że nie było mnie, gdy się na nią zdecydowała. Zbyt wiele pracowałam i nie znosiłam robienia zakupów. Skończyło się na tym, że stałam się uboższa o sto dwadzieścia dolców i bogatsza o jedną suknię z różowej tafty. Wyglądałam w niej jak uciekinierka z balu maturalnego.

Weszłam do klimatyzowanego, wyciszzonego wnętrza salonu sukien ślubnych, a moje pantofle na obcasach zapadły się w miękkim dywanie o tak jasnoszarym odcieniu, że wydawał się prawie biały. Kierowniczka, pani Cassidy, zauważyła, jak weszłam. Jej uśmiech przygasł na moment, ale zaraz odzyskała rezon i zasadniczą, profesjonalną postawę. Uśmiechnęła się do mnie; dzielna była ta pani Cassidy. Odpowiedziałam uśmiechem, choć przez następną godzinę dobry humor raczej mi nie groził.

Pani Cassidy była szczupłą, miała między czterdziestką a pięćdziesiątką, a rude włosy tak ciemne, że prawie brązowe, związane w kok a la Grace Kelly. Poprawiła na nosie okulary w złotych oprawkach i powiedziała:

- Panna Blake. Przyszła pani na ostatnią przymiarkę, jakże mi miło.

- Mam nadzieję, że to już ostatnia - stwierdziłam.

- No cóż, pracowaliśmy właśnie nad pewnym... problemem. I chyba udało się nam jakoś go rozwiązać.

Z tyłu, za biurkiem znajdowała się nieduża garderoba. Wisały w niej opakowane w plastik eleganckie suknie. Pani Cassidy wybrała spośród dwóch identycznych różowych sukien tę, która była przeznaczona dla mnie. Z suknią przełożoną przez ręce poprowadziła mnie w kierunku przymierzalni. Szła sztywno, jakby połknęła kij. Szykowała się do kolejnej bitwy. Ja nie musiałam się szykować, zawsze byłam na nią gotowa. Tyle że kłótnie z panią Cassidy o zmiany w garderobie były na głowę użerania się z Tommym i Brunonem. Mogło być o wiele gorzej, ale nie było. Gaynor powiedział, że dał im dzisiaj wolne. Co to konkretnie oznaczało? Sprawa była oczywista sama przez się.

Zostawiłam Berta w biurze, wciąż jeszcze wstrząśniętego po niedawnych przeżyciach. Jak dotąd udawało mu się skutecznie unikać drastycznych wydarzeń. Przemocy, brutalności. To była nasza działka. Moja, Manny'ego, Jamisona i Charlesa. To my, animatorzy z firmy Animatorzy sp. z o.o., odwalaliśmy brudną robotę. Bert siedział w swoim miłym, schludnym biurze, a z potencjalnymi kłopotami borykaliśmy się my, prości szaraczkowie. Aż do dzisiaj. Pani Cassidy powiesiła suknię na haczyku w jednej z przymierzalni i oddaliła się. Zanim zdążyłam wejść do środka, jedna z kabin otworzyła się i wyszła z niej Kasey, która miała rzucać przed Catherine kwiaty. Ośmiolatka była cała w skowronkach. Za nią szła matka, wciąż mająca na sobie kostium z pracy. Elizabeth ("mów mi Elsie") Markowitz była wysoka, szczupła, czarnowłosa i śniadolica; pracowała jako adwokat w tej samej kancelarii co Catherine i stąd jej obecność na ślubie. Kasey wyglądała jak mniejsza, łagodniejsza kopia matki.

Dziewczynka zauważyła mnie pierwsza i powiedziała:

- Cześć, Anito, czy ta sukienka nie wygląda głupio?

- Ależ, Kasey - wtrąciła Elsie - to piękna sukienka. Tyle na niej ślicznych różowych falbanek. Mnie osobiście ta sukienka kojarzyła się z petunią na sterydach. Zdjęłam kurtkę i weszłam do kabiny, zanim zdążyłam wyrazić swoje zdanie na głos.

- Czy to prawdziwy pistolet? - spytała Kasey.

Zapomniałam, że wciąż miałam go przy sobie.

- Tak - odparłam.

- Jesteś policjantką?

- Nie.

- Kasey Markowitz, zadajesz zbyt wiele pytań. - Jej matka minęła mnie z wymuszonym uśmiechem na twarzy. - Wybacz, Anito.

- Nic nie szkodzi - zapewniłam. W jakiś czas później stałam na małym podwyższeniu przed wielkim, niemal idealnie okrągłym lustrem. Na długość sukienka była prawie dobra, ale musiałam włożyć różowe szpilki. Trochę mnie przerażały krótkie bufiaste rękawy i odkryte ramiona. Sukienka odsłaniała niemal wszystkie moje blizny.

Najświeższą, wciąż różową i gojącą się, miałam na prawym przedramieniu. Ale to była tylko rana po nożu. Takie rany są zgrabne, czyste i schludne w porównaniu z innymi moimi

bliznami. Miałam kiedyś złamany obojczyk i lewą rękę. Zrobił to wampir, wgryzając się w nie i szarpiąc, jak pies kawał mięsa. Poza tym mam jeszcze bliznę w kształcie krzyża na lewym przedramieniu. Śmiertelni słudzy pewnego wampira uznali napiętnowanie mnie w ten sposób za dobry żart. Byłam innego zdania. Wyglądałam jak narzeczona Frankensteina wybierająca się na bal maturalny. No dobra, może nie było aż tak źle, ale pani Cassidy uważała inaczej. Była przekonana, że blizny odwrócą uwagę ludzi od sukienki, uroczystości ślubnej i panny młodej. Tylko że Catherine; sama panna młoda, wstawiła się za mną. Stwierdziła, że jestem jej przyjaciółką i muszę być na ślubie. Zapłaciłam sporo grosza, by narazić się na publiczne upokorzenie. Chyba naprawdę musimy być dobrymi przyjaciółkami. Pani Cassidy przyniosła mi długie, satynowe, różowe rękawiczki. Nałożyłam je, gmerając palcami w poszukiwaniu małych, odległych otworów. Nigdy nie lubiłam rękawiczek. Zawsze czuję się wtedy, jakbym dotykała świata przez zasłonkę. Niemniej jednak, te różowe ohydztwa zakryły moje ramiona. I wszystkie blizny. Grzeczna ze mnie dziewczynka. Jeszcze jak.

Pani Cassidy poprawiła na mnie sukienkę i spojrzała w lustro.

- Chyba będzie dobrze. - Cofnęła się, stukając polakierowanym paznokciem w uszmińkowane usta. - Wydaje mi się, że wymyśliłam sposób, aby zamaskować tę... no... ee... - Wykonała kilka chaotycznych ruchów dłońmi.

- Bliznę na obojczyku? - spytałam.

- Tak - westchnęła z ulgą.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że pani Cassidy nigdy nie wypowiedziała słowa "blizna". Jakby było ono sprośne lub wulgarne. Uśmiechnęłam się, stojąc przed lustrem. Miałam ochotę zaśmiać się w głos.

Pani Cassidy uniosła w dłoni coś, co było wykonane z różowej wstążki i sztucznych pomarańczowych kwiatów. Śmiech uwiązał mi w gardle.

- Co to takiego? - spytałam.

- To - rzekła, podchodząc do mnie - rozwiązanie naszych problemów.

- W porządku, ale co to ma być?

- To opaska na szyję, taka ozdóbka.

- Na szyję?

- Tak.

- Może jednak nie... - Pokręciłam głową.

- Panno Blake, próbowałam wszystkiego, pragnąc ukryć ten... ten znak. Myślałam o kapeluszach, treskach, zwykłych wstążkach, kotylionach. - Uniosła obie ręce w górę w geście rezygnacji. - Naprawdę brakuje mi już pomysłów.

W to akurat mogłam uwierzyć. Wzięłam głęboki oddech.

- Szczerze pani współczuję, naprawdę. Zdaję sobie sprawę, że ma pani ze mną krzyż pański.

- Nic takiego nie powiedziałam.

- Wiem, dlatego ja mówię to za panią. Tyle tylko, że nigdy jeszcze nie widziałam równie paskudnej ozdóbki.

- Jeżeli ma pani jakieś inne, lepsze propozycje, chętnie ich wysłucham.

Skrzyżowała ramiona na piersiach. "Ozdóbka", którą mi proponowała, zwieszała się jej prawie do pasa.

- Jest taka wielka - zaprotestowałam.

- Ale skutecznie zakryje tę pani... - skrzywiła się - bliznę.

Miałam ochotę zaklaskać w dłonie. Jednak wymówiła to okropne słowo. Czy miałam jakieś inne propozycje? Niestety nie. Westchnęłam.

- Proszę mi to założyć. Mogę przynajmniej zobaczyć, jak w tym wyglądam.

Uśmiechnęła się.

- Proszę odgarnąć włosy. - Zrobiłam, co kazała. Zawiązała mi wstążkę na szyi. Koronka drapała, wstążka łaskotała i w gruncie rzeczy nie miałam nawet ochoty, aby przejrzeć się w lustrze. Uniosłam wzrok wolno, bardzo wolno i przyjrzałam się sobie. - Na szczęście ma pani długie włosy. Ułożę je osobiście w dniu ślubu, co powinno skutecznie dopełnić kamuflażu. To, co miałam na szyi, przypominało skrzyżowanie psiej obroży z największym na świecie kotylionem. Z mojej szyi spływała istna tęczą wstążek. Była okropna i nawet najwspanialsza fryzura nie zdoła zatuszować fatalnego wrażenia. Mimo to ozdóbka skutecznie maskowała bliznę na moim obojczyku. Trzask prask i po wszystkim. Pokręciłam głową. Cóż mogłam powiedzieć? Pani Cassidy przyjęła moje milczenie za oznakę aprobaty. Myślałam, że zna mnie trochę lepiej. Nagle zadzwonił telefon, ratując nas obie z opresji.

- Zaraz wracam, panno Blake. - Oddaliła się, jej obcasy nie wydawały żadnego dźwięku na grubym, miękkim dywanie.

Spojrzałam w lustro. Moje włosy i oczy są ciemne, włosy całkiem czarne, a oczy ciemnobrązowe. Po matce Latynosce. Cerę mam bardzo bladą, po ojcu Niemcu. Odrobina makijażu i wyglądam jak lalka z chińskiej porcelany. Ubierzcie mnie w różową sukienkę z falbankami i będę wyglądać delikatnie, krucho i bezbronne. Ja. Cholera.

Pozostałe kobiety zaproszone na ślub miały wszystkie powyżej metra sześćdziesięciu wzrostu. Może niektóre z nich naprawdę dobrze wyglądałyby w tej sukience. Choć szczerze w to wątpiłam. Jakby tego było mało, wszystkie musiałyśmy założyć pod spód krynolinę.

Wyglądałam dzięki niej jak statystka z Przemienięto z wiatrem.

- O, jak pięknie pani wygląda. - Wróciła pani Cassidy. Uśmiechała się do mnie promiennie.

- Wyglądam, jakby mnie unurzali w pepto-bismolu - odparłam.

Jej uśmiech trochę przygasł. Przełknęła ślinę.

- Nie podoba się pani mój ostatni pomysł - stwierdziła z wyrzutem.

Z przymierzalni wyłoniła się Elsie Markowitz. Tuż za nią dreptała Kasey z nosem na kwintę. Wiedziałam, co teraz czuła.

- Och, Anito - zawołała Elsie - wyglądasz uroczo.

Świetnie. Uroczo. Właśnie to chciałam usłyszeć.

- Dzięki.

- Zwłaszcza te wstążki przy szyi. Wiesz, każda z nas będzie je nosić.

- Przykro mi - mruknęłam.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Uważam, że doskonale pasują do sukienki. Podkreślają jej walory.

- Mówisz serio, prawda? - Tym razem to ja nie ukrywałam zdziwienia.

- Oczywiście. A co? Nie podoba ci się sukienka? - Elsie wyglądała na zdezorientowaną. Wolalam się nie wypowiadać, aby nikogo nie urazić. Ani nie zdenerwować. Ale czy można traktować serio kobietę noszącą przyzwoite imię Elizabeth, a mimo to pragnącą, by zwracano się do niej zdrobniale jak do dziecka?

- Czy to aby na pewno ostatni z dodatków, jaki pani dla mnie przewidziała, pani Cassidy? - Skinęła głową stanowczo i zdecydowanie. Westchnęłam, a ona się uśmiechnęła. Odniosła zwycięstwo i miała tego świadomość. Zostałam pokonana, z chwilą kiedy ujrzałam sukienkę, ale jeżeli miałam przegrać, dopilnuję, aby ktoś mi za to zapłacił. - W porządku. To niech już będzie. Zostawiamy wszystko, tak jak jest teraz.

Pani Cassidy wyszczerzyła się do mnie. Elsie uśmiechnęła się. Kasey tylko się skrzywiła półgębkiem. Podkasałam spódnicę i zesłam z podwyższenia. Krynolina zakolysała się jak czasza dzwonu, którego byłam sercem. Zadzwoił telefon. Pani Cassidy ruszyła w stronę aparatu żwawym krokiem. Jej serce przepełniała nieklamana radość, już wkrótce się mnie pozbędzie, ale ekstra! Zapowiadało się udane popołudnie. Z trudem precyzyjnie się w mojej szerokiej spódnicy przez wąskie, małe drzwiczki przebierałam, kiedy zawołała mnie.

- To do pani, panno Blake. Detektyw sierżant Storr.

- Widzisz, mam, mówiłam ci, że ta pani jest z policji - rzekła Kasey.

Nie zaoponowałam, gdyż Elsie już jakiś czas temu zabroniła mi wdawać się w dyskusje na ten temat. Uważała, że Kasey jest za mała, aby poznawać bliższe informacje na temat animatorów, zombi i gromienia wampirów. Jeżeli chodziło o mnie, szczerze wątpiłam, aby ośmioletnie dziecko nie wiedziało, czym są wampiry. To był temat dziesięciolecia, bardzo popularny we wszystkich mediach. Chciałam podnieść słuchawkę do lewego ucha, ale przeszkodziły mi w tym te cholerne kwiaty. Przytrzymując słuchawkę pomiędzy szyją a barkiem, sięgnęłam obiema rękami, aby zdjąć ozdobny kotylion.

- Cześć, Dolph. Co słychać?

- Jestem na miejscu zbrodni - odparł miłym dla ucha, spokojnym głosem.

- Coś więcej?

- Jest naprawdę paskudnie. - Udało mi się wreszcie zdjąć opaskę z szyi i przy okazji upuściłam telefon. - Anito, jesteś tam? - zaniepokoił się.

- Tak, mam tylko drobne kłopoty z garderobą.

- Co?

- To nic ważnego. Dlaczego chcesz, abym tam do ciebie przyjechała?

- Sprawcą nie mógł być człowiek.

- Wampir?

- To ty jesteś specjalistką od nieumarłych. I dlatego jesteś mi potrzebna.

- W porządku, podaj mi adres, zaraz tam będę. - Znalazłam bloczek do pisania, różowy, w małe serduszka. I długopis z plastikowym amorkiem. - St. Charles. Jestem niecałe piętnaście minut od ciebie.

- To dobrze. - Rozłączył się.

- No to na razie, Dolph. Też cię pozdrawiam - rzuciłam w słuchawkę, ot tak, aby dodać sobie rezonu. Wróciłam do przebieralni.

Zaoferowano mi dziś milion dolarów tylko za to, że kogoś zabiję i ożywię trupa. Potem musiałam wybrać się do salonu sukien ślubnych na ostatnią przymiarkę. Teraz czekała mnie wizyta na miejscu zbrodni. W dodatku to była jakaś paskudna sprawa. Tak to określił Dolph. Zapowiadało się wyjątkowo pracowite popołudnie.

Paskudna sprawa. Tak to ujął Dolph. Mistrz niedopowiedzeń. Krew była wszędzie, widniała na białych ścianach, jakby wylewano ją tam całymi kubłami. W pokoju stała jasna kanapa w złoto-brązowe kwiatowe wzory. Większość kanapy nakryto prześcieradłem. Prześcieradło było czerwone. Promienie popołudniowego słońca wpadały przez czyste, błyszczące okna. Światło sprawiało, że krew wydawała się szkarłatna, lśniąca.

Świeża krew jest w rzeczywistości jaśniejsza niż ta, którą pokazują na filmach. I jest jej mnóstwo. Prawdziwa krew ma krzykliwą barwę wozu strażackiego, ale na ekranie lepiej wygląda ciemniejsza. To tyle, jeżeli chodzi o realizm. Jedyne świeża krew jest czerwona, naprawdę czerwona. Ta była stara i powinna zblaknąć, lecz za sprawą jakiejś sztuczki letniego słońca wciąż wydawała się błyszcząca i świeża.

Przełknęłam mocno ślinę i wzięłam głęboki oddech.

- Zrobiłaś się zielona na twarzy, Blake. - Tuż obok mnie rozległ się czyjś głos.

Podskoczyłam, a Zerbrowski wybuchnął śmiechem. - Przestraszyłem cię?

- Nie - skłamałam.

Detektyw Zerbrowski miał jakieś metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, kręcone, czarne, z lekka siwiejące włosy i brązowe oczy skryte za szklami okularów w ciemnych oprawkach. Nosił brązowy, pomięty garnitur. Na żółto-brązowym krawacie dostrzegłam jakieś plamy, zapewne ślady po lunchu. Uśmiechał się do mnie. Jak zawsze zresztą.

- Zaskoczyłem cię, Blake, przyznaj to. Czyżby nasza bezlitosna zabójczyni wampirów była bliska puszczenia pawia na którąś z ofiar?

- Chyba trochę ostatnio przytyłeś, nie uważasz, Zerbrowski?

- Och, czuję się urażony - mruknął. Przyłożył dłonie do piersi i lekko się zakołysał. - Nie mów, że mnie nie pragniesz równie mocno jak ja ciebie.

- Opuść sobie, Zerbrowski. Gdzie Dolph?

- W głównej sypialni. - Zerbrowski spojrzał na sufit ze świetlikiem. - Chciałbym, żeby mnie i Katie było stać na coś takiego.

- Taa - mruknęłam. - Ładne. - Przeniosłam wzrok na kanapę nakrytą prześcieradłem.

Przywierało do czegoś, co było pod spodem, jak serwetka położona na zalany sokiem blat stołu. I wtedy zorientowałam się, że wypukłości były za małe, aby mogły tworzyć całe ludzkie ciało. Cokolwiek to było, musiało być zdekompletowane. Brakowało niektórych części.

Pokój jakby zawirował. Odwróciłam wzrok, przelękając ślinę. Upłynęło dobre parę miesięcy, odkąd porzygałam się na miejscu zbrodni. Przynajmniej klima działała. To dobrze. Upał zawsze sprawia, że woń trupa jest nie do wytrzymania.

- Hej, Blake, chcesz wyjść na zewnątrz? - Zerbrowski ujął moje ramię, jakby chciał podprowadzić mnie do drzwi.

- Dziękuję, dam sobie radę. - Spojrzałam w jego brązowe oczy i skłamałam.

Wiedział, że kłamię. Nie czułam się dobrze, ale wytrzymam. Puścił moją rękę, cofnął się i zasalutował żartobliwie.

- Lubię silne kobiety.

- Spadaj, Zerbrowski. - Uśmiechnęłam się mimowolnie.

- Na końcu korytarza, ostatnie drzwi po lewej. Tam znajdziesz Dolpha. - To rzekłszy, Zerbrowski rozpląnął się w tłumie mężczyzn. Na miejscu zbrodni zawsze roi się od ludzi, nie mówię tu o gapiach na zewnątrz, lecz o policjantach, zarówno mundurowych, jak i cywilach, ekipie śledczej i facecie z kamerą wideo. Na miejscu zbrodni było jak w ulu, rojno, gwarno i hałaśliwie. Zaczęłam przedzierać się przez tłum. Do kołnierza żakietu przypięłam plastikowy identyfikator. Aby stróża prawa wiedzieli, że jestem po ich stronie, a nie zakradłam się tu po cichu. Dzięki temu nie musiałam też martwić się, że któregoś z gliniarzy zaniepokoi pistolet, który miałam przy sobie. Przedarłam się przez tłum zgromadzony u wejścia w korytarz. Słyszałam urywane fragmenty zdań.

- Jezu, spójrz, ile krwi... Czy znaleźli już ciało?... To znaczy to, co z niego zostało?... Nie. Precisnęłam się między dwoma mundurowymi.

- Ejże! - powiedział jeden z nich.

Przed ostatnimi drzwiami po lewej było pusto. Nie wiem, jak Dolph tego dokonał, ale był w pokoju sam. Może ekipa już tutaj skończyła. Kłęczał na jasnobrązowym dywanie. Wielkie dłonie w rękawiczkach chirurgicznych oparł o uda. Czarne włosy miał krótko przystryżone i wygolone nad uszami, twarz szeroką, o ostrych, wyrazistych rysach. Zobaczył mnie i wstał. Miał dwa metry wzrostu i był zbudowany jak zapaśnik. Łoże z baldachimem za jego plecami wydało mi się dziwnie małe. Dolph był szefem nowego zespołu dochodzeniowo-śledczego, tak zwanego oddziału duchów. Oficjalnie była to okręgowa jednostka do spraw dochodzeń paranormalnych. Zajmowała się wszelkiego rodzaju niezwykle, nadnaturalnymi zdarzeniami. To właśnie tu trafiali "niewygodni" stróża prawa. Nigdy nie zastanawiałam się, co przeszkrobał Zerbrowski, że wcielono go do oddziału duchów. Miał zbyt osobliwe i zgoła bezlitosne poczucie humoru. Ale Dolph był policjantem doskonałym. Podejrzałam, że mógł narazić się komuś "na górze" tym, że był zbyt dobry w swoim fachu. Teraz coraz bardziej utwierdzałam się w tym przekonaniu. Obok niego na dywanie leżało kolejne zakrwawione, narzucone na coś prześcieradło.

- Anita. - Zawsze był małomówny.

- Dolph.

Ukląkł pomiędzy łóżem i okrwawionym prześcieradłem.

- Gotowa?

- Wiem, że jesteś milczkiem, Dolph, ale czy mógłbyś mi wyjaśnić, po co właściwie mnie tu sprowadziłeś?

- Chcę, żebyś spojrzała na to wszystko chłodnym okiem. Nie chcę ci nic sugerować. - W przypadku Dolpha to już była cała przemowa.

- W porządku - rzekłam - zrobmy to. - Odwinął prześcieradło, odsłaniając okrwawioną rzecz leżącą na dywanie. Podeszłam bliżej i przyjrzałam się temu. Ujrzałam bryłę okrwawionego

mięsa. Mogło pochodzić od jakiegoś zwierzęcia - krowy, konia, jelenia. Czy to fragment ciała ludzkiego? Z całą pewnością nie. Ujrzałam to, ale mój mózg nie chciał przyjąć do wiadomości zarejestrowanego obrazu. Przykucnęłam obok, podkasując spódnicę pod uda. Dywan był cały mokry, jakby przesiąknięty od deszczu, ale to co chlupotało mi pod butami, to nie była woda. - Możesz pożyczyć mi parę rękawiczek? Zostawiłam swój sprzęt w biurze. - W prawej kieszeni marynarki. - Uniósł ręce. Na rękawiczkach dostrzegłam ślady krwi. - Wyjmij je sama. Żona nie cierpi, gdy oddaję do czyszczenia ubrania zabrudzone krwią. Uśmiechnęłam się. Zdumiewające. Poczucie humoru bywa niekiedy bardzo przydatne. Musiałam sięgnąć ponad szczątkami. Wyjęłam parę rękawiczek chirurgicznych, rozmiar uniwersalny. Zawsze mam wrażenie, jakby wewnątrz nich był talk. Czuję się, jakbym na dłonie zakładała kondomy, a nie rękawiczki.

- Czy mogę dotknąć materiału dowodowego?

- Proszę.

Szturchnęłam mięso dwoma palcami. Zupełnie jakbym dźgała poleć wołowiny. Mięso było twarde. Przesunęłam palcami po wypukłościach kości, krzywiźnie żeber. Żebra. I nagle zrozumiałam, co mam przed sobą. Fragment ludzkiej klatki piersiowej. Ujrzałam obręcz barkową, białą kość sterczącą w miejscu, gdzie oderwane zostało ramię. To wszystko. Nie było nic więcej. Wstałam nieco zbyt szybko i potknęłam się. Dywan zachlupotał pod moimi stopami. W pokoju nagle zrobiło się bardzo gorąco. Odwróciłam się od ciała i wlepiłam wzrok w komodę. Lustro było całe zbryzgane krwią, wyglądało, jakby ktoś oblał je paroma warstwami czerwonego lakieru do paznokci. Zamknęłam oczy i powoli policzyłam do dziesięciu. Gdy znów je otworzyłam, w pokoju zrobiło się jakby chłodniej. Dopiero teraz zauważyłam, że wiatrak pod sufitem obraca się leniwie. Byłam w formie. Twarda zabójczyni wampirów wkracza do akcji. No jasne.

Dolph nie powiedział ani słowa, kiedy znów uklęknęłam przy ciele. Nawet na mnie nie spojrzał. Był w porządku. Staralam się zachować obiektywizm i dostrzec możliwie jak najwięcej. Było to piekielnie trudne. Wolałam szczątki, po których nie byłam w stanie rozpoznać, jaką część ciała stanowiły. Czas przeszedł. To podstawa.

- Nie dostrzegłam żadnych śladów użycia broni, ale to robota dla koronera. - Wyciągnęłam rękę, aby ponownie dotknąć ciała, po czym znieruchomiałam. - Pomożesz mi to podnieść, abym mogła zajrzeć w głąb klatki piersiowej? A raczej w głąb tego, co z niej pozostało. - Dolph upuścił prześcieradło i pomógł mi unieść szczątki. Były lżejsze, niż mogło się wydawać. Gdy ustawiliśmy je na boku, okazało się, że pod spodem nic nie ma. Brakowało wszystkich organów chronionych przez klatkę piersiową. Zupełnie jakbyśmy trzymali w dłoniach zwykle żeberko, tyle że wrażenie psuł fragment obręczy barkowej, od którego oderwano ludzkie ramię. - W porządku - rzekłam. Głos miałam zdyszany. Wstałam, opuszczając okrwawione ręce wzdłuż boków. - Zakryj to, bardzo proszę.

Zrobił to i podniósł się.

- I co?

- Brutalny, bardzo brutalny mord. Dokonany z nadludzką siłą. Ciało rozdarto gołymi rękami.

- Jak to? Skąd to wiesz?
- Nie ma śladów po nożu. - Chciałam wybuchnąć śmiechem, lecz ten uwiązał mi w gardle. - Cholera, z początku myślałam, że ktoś potraktował to ciało piłą, jakby opracował krowę, ale kości... - Pokręciłam głową. - Nie użyto do tego żadnych urządzeń mechanicznych.
- Coś jeszcze?
- Tak. Gdzie, u diabła, jest reszta ciała?
- W głębi korytarza, drugie drzwi po lewej.
- Reszta ciała? - W pokoju znów zrobiło się goręcej.
- Idź tam i zobacz. Powiedz mi, co o tym sądzisz.
- Cholera, Dolph, wiem, że nie lubisz niczego sugerować swoim ekspertom, ale nie znoszę pakować się w coś na ślepo. - Tylko na mnie spojrzał. - Odpowiedz przynajmniej na jedno pytanie.
- No dobra, pytaj.
- Czy tamto jest gorsze niż to tutaj?

Zamyślił się przez chwilę i odparł:

- I tak, i nie.
- Niech cię szlag.
- Zrozumiesz, gdy zobaczysz.

Nie chciałam zrozumieć. To Bert wrobił mnie we współpracę z glinami. Twierdził, że dzięki temu nabiorę niezbędnego doświadczenia. A jedyne, co dzięki temu zyskałam, to nowe, nękające mnie niemal co noc, koszmary. Ruszyłam za Dolphem do kolejnej komnaty grozy. Przystanął przed zamkniętymi drzwiami, czekając, aż do niego dołączę. Na drzwiach wisiał kartonowy zajaczek. Poniżej ujrzałam makatkę z wyhaftowanym napisem POKÓJ DZIECIĘCY.

- Dolph. - Mój głos zabrzmiał przeraźliwie cicho. Hałas z salonu prawie tu nie dochodził.
- Tak.
- Nic, nic. - Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze. Dam radę. Boże, nie chciałam tego robić. Zmówiłam krótką modlitwę i pchnęłam drzwi. Uchyliły się do wewnątrz. Są takie chwile w życiu, kiedy bez pomocy Tego z Góry ani rusz. Byłam pewna, że to właśnie jedna z takich chwil.

Przez nieduże okno wpadały promienie słońca. Na białych zasłonach dostrzegłam małe kaczuśki i zajaczkę. Jasnoniebieskie ściany zdobiły podobizny rozmaitych szablonowych zwierzątek. W pokoju stało dziecięce łóżeczko z opuszczoną z jednej strony ścianką. Nie było tu dużo krwi. Dzięki Ci, Panie Boże. Kto twierdzi, że nasze prośby zawsze pozostają bez odpowiedzi? I tylko w kręgu słonecznych promieni siedział pluszowy miś. Był cały utyłtany we krwi. Spod warstwy zakrzepłej posoki wyzierało, jakby ze zdziwieniem, jedno szklane oczko. Uklękałam przy nim. Dywan nie zachlupał mi pod butami, nie był przesiąknięty krwią. Dlaczego, u licha, ten pieprzony misiek był nią cały ubabrany? Przecież poza tym w całym pokoju nie było żadnych śladów krwi. Czy ktoś go tu zostawił? Uniósłam wzrok i ujrzałam niedużą białą komódkę z namalowanymi zajaczkami. Gdy już trafisz jeden

motyw, to się go trzymasz. Na białej ścianie dostrzegłam odcisk niedużej dłoni. Podpełzłam bliżej i porównałam odcisk dłoni ze swoją. Nawet jak na kobietę mam nieduże dłonie, ale ta rączka była malutka. Rączka dwu-, trzy-, najwyżej czteroletniego dziecka. Niebieskie ściany, to zapewne był chłopiec.

- Ile lat miało dziecko?

- W pokoju natrafiliśmy na zdjęcie niejakiego Benjamin Reynolds, lat trzy, jak było napisane na odwrocie.

- Benjamin - wyszeptalam i spojrzałam na krwawy odcisk dłoni. - W tym pokoju nie ma ciała. Nikt tu nie zginął.

- Nie.

- Czemu chciałeś, żebym się tu rozejrzała? - Spojrzałam na niego, nie podnosząc się z klęczek.

- Twoja opinia jest istotna dopiero wówczas, gdy zobaczysz naprawdę wszystko.

- Ten cholerny misiek będzie mnie nawiedzał w snach.

- Mnie też - przyznał.

Wstałam, opierając się pragnieniu wygładzenia spódnicy. To zdumiewające, ile razy bezwiednie dotykałam ubrania, pozostawiając na nim ślady krwi. Ale nie dziś.

- Czy w pokoju pod prześcieradłem znajduje się ciało chłopca? - spytałam, modląc się w duchu, aby odpowiedź okazała się przecząca.

- Nie - odparł.

Dziękuję Ci, Boże.

- Ciało matki?

- Tak.

- Gdzie jest ciało chłopca?

- Nie znaleźliśmy go. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Czy to coś mogło pożreć ciało chłopca w całości?

- To znaczy tak, by nie pozostał po nim żaden ślad?

- Tak. - Chyba trochę zbladł. Ja zapewne też.

- To możliwe, ale nawet nieumarli mają pewne granice, jeżeli chodzi o to, ile są w stanie zjeść. - Wzięłam głęboki oddech. - Czy znalazłeś jakieś ślady... regurgitacji?

- Regurgitacja - powtórzył. - Miłe słowo. Nie, ten stwór nie zwrócił niczego, co pożarł. A przynajmniej my tego nie znaleźliśmy.

- Wobec tego chłopiec wciąż musi gdzieś tam być.

- Czy to możliwe, że wciąż jeszcze żyje? - zapytał Dolph.

Spojrzałam na niego. Chciałam odpowiedzieć: "tak", ale wiedziałam, że odpowiedź zapewne brzmiała: "nie". Wybrałam rozwiązanie pośrednie.

- Nie wiem. - Dolph skinął głową. - Teraz do pokoju? - spytałam.

- Nie. - Bez słowa wyszedł z dziecięcej sypialni.

Poszłam za nim. Cóż mogłam począć? Ale nie spieszyłam się. Skoro chciał zgrywać twardego, małomównego glinę, mógł łaskawie na mnie zaczekać. Weszłam za nim do

kuchni. Rozsuwane szklane drzwi prowadziły na taras. Wszędzie wałało się szkło. Lśniące odłamki skrzyły się w świetle wpadającym przez kolejny świetlik. Kuchnia wyglądała nieskazitelnie, jak z kolorowego folderu reklamowego, niebieska glazura i jasne drewno.

- Ładna kuchnia - powiedziałam. Widziałam ekipę krzątającą się po podwórzu. Wszyscy przenieśli się na zewnątrz. Żywopłot chronił ich przed wzrokiem wścibskich sąsiadów, podobnie jak zeszłej nocy mordercę. Tylko jeden detektyw stał przy lśniącym zlewie. Zapisywał coś w notesie. Dolph przywołał mnie bliżej. - W porządku - zaczęłam. - Coś przebiło się przez te szklane, rozsuwane drzwi. Musiało narobić piekielnego rabanu. Brzęku tłuczonego szkła nie była w stanie zagłuszyć nawet włączona klima. Usłyszano by to.

- Tak sądzisz? - spytał.

- A sąsiedzi nic nie słyszeli?

- Nikt się do tego nie przyznaje - odparł.

Skinęłam głową.

- Rozlega się brzęk tłuczonego szkła, ktoś zjawia się, aby sprawdzić, co się stało, zapewne mężczyzna. Niektóre szowinistyczne stereotypy są nie do wyplenienia.

- Co masz na myśli? - wtrącił Dolph.

- Dzielnego myśliwego broniącego swojej rodziny - odparowałam.

- No dobra, powiedzmy, że to był facet, co dalej?

- Mężczyzna wchodzi tu, widzi coś, co sforsowało drzwi, woła żonę. Zapewne każe jej uciekać. Zabrać dziecko i wiać ile sił.

- Czemu nie dzwoni na policję? - spytał.

- Nie zauważyłam telefonu w sypialni. - Wskazałam aparat wiszący na ścianie w kuchni. - To prawdopodobnie jedyny telefon. Aby do niego dotrzeć, musiałbyś minąć czarnego luda.

- Mów dalej.

Odwróciłam się i zajrzałam w głąb pokoju. Widać stąd było kanapę nakrytą prześcieradłem.

- To coś, czymkolwiek było, zabiło mężczyznę. Rozprawilo się z nim szybko i sprawnie.

- Dlaczego?

- Nie sprawdzaj mnie, Dolph. W kuchni jest za mało krwi. Został pożarty w sypialni.

Czymkolwiek to było, nie zawlokło tam trupa. Zagoniło mężczyznę do pokoju i uśmierciło dopiero na miejscu.

- Nieźle, chcesz teraz zajrzeć do pokoju?

Nie chciałam, ale nie powiedziałam tego głośno. Z kobiety zostało trochę więcej. Jej górna część ciała pozostała prawie nietknięta. Na dłoniach miała papierowe torebki.

- Pobierzemy próbki czegoś, co miała pod paznokciami. - Miałam nadzieję, że to pomoże.

Rozszerzonymi brązowymi oczami wpatrywała się w sufit. Góra od pizamy przylepiła się do jej brzucha. Przełknęłam ślinę i palcem wskazującym oraz kciukiem uniosłam brzeg bluzy. Kręgosłup kobiety zabłysnął w promieniach słońca, wilgotny, biały i zwisający jak przewód wyrwany z gniazdka. W porządku.

- Coś rozdarło ją na sztuki, jak jej... męża w sypialni.

- Skąd wiesz, że to jej mąż?

- Zakładam, że to był jej facet, no, chyba że mieli gości. Ale chyba raczej nikt u nich nie gościł, prawda?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Dolph pokręcił głową.

- A zatem to musi być jej facet. Ona nadal ma klatkę piersiową i oba ramiona. - Próbowałam zatuszować gniew w moim głosie. To nie była wina Dolpha. - Nie jestem jedną z twoich policjantek. Życzyłabym sobie, abyś przestał zadawać mi pytania, na które znasz już odpowiedzi.

Skinął głową.

- No dobrze. Czasami zapominam, że tak naprawdę nie jesteś jedną z nas.

- Dzięki.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem i nawet zdaję sobie sprawę, że powinnam to potraktować jako komplement, ale może dokończymy tę rozmowę na zewnątrz, bardzo proszę.

- Jasne. - Zdjął rękawiczki i wrzucił do otwartego kubła na śmieci stojącego w kuchni. Zrobiłam to samo. Gorąco otoczyło mnie ze wszystkich stron jak roztopiony plastik, ale wydało mi się dobre i jakby czyste. Zaczepnęłam tego gorącego, parnego powietrza, napełniając nim płuca. Ach, lato. - Miałem rację, prawda, to nie był człowiek? - zapytał. Dwóch mundurowych nie dopuszczało gapiów w pobliże domu. Opodał zebrał się całkiem spory tłumek. Dzieci, rodzice, dzieciaki na rowerach. Jak w cyrku.

- Nie, to nie był człowiek. Na szklanych drzwiach, przez które się przebił, nie było krwi.

- Zauważyłem. O czym to świadczy?

Większość umarłych nie krwawi, z wyjątkiem wampirów.

- Większość?

- Świeże zombi mogą krwawić, ale wampiry krwawią nieomal jak ludzie.

- A zatem twoim zdaniem to nie wampir?

- To co tu zabijało, pożywiało się ludzkim mięsem. Wampiry nie są w stanie przetrwać innego pożywienia niż ludzka krew.

- Ghule?

- Za daleko od cmentarza, a poza tym dom byłby o wiele bardziej zniszczony. Ghule poniszczyłyby meble jak stado dzikich zwierząt.

- Zombi?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. - Pokręciłam głową. - Istnieje coś takiego jak zombi żywiące się ludzkim mięsem. To rzadkie przypadki, ale się zdarzają.

- Mówiłaś mi, że słyszałaś o trzech tego rodzaju przypadkach. Za każdym razem zombi pozostają dłużej ludzkie i nie podlegają procesowi rozkładu.

- Dobra pamięć. - Uśmiechnęłam się. - Zgadza się. Zombi żywiące się mięsem nie gniją, dopóki się je nim karmi. A w każdym razie nie rozkładają się tak szybko.

- Czy mają skłonność do przemocy? - spytał Dolph.

- O ile wiem, to nie.

- Czy zombi mają skłonność do przemocy? - ciągnął Dolph.

- Tylko jeśli im się rozkaże.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Jeśli dysponujesz odpowiednio dużą mocą, możesz rozkazać zombi, aby kogoś zabił.
- Zombi jako zabójcza broń?
- Mniej więcej. - Pokiwałam głową.
- Kto mógłby dokonać czegoś takiego?
- Nie mam pewności, że właśnie z takim przypadkiem mamy tu do czynienia.
- Wiem. Ale kto mógłby zrobić coś takiego?
- No, na przykład ja, ale nie posunęłabym się do czegoś podobnego. To nie w moim stylu. Przeczy wyznawanym przeze mnie zasadom. I o ile wiem, żadna z osób, które znam, nie popełniłaby takiego czynu.
- Pozwól, że my o tym zadecydujemy - stwierdził. Wyjął swój notesik.
- Naprawdę chcesz, abym podała ci nazwiska moich przyjaciół, abyś mógł ich zapytać, czy nie ożyli czasem zabójczego zombi i nie wysłali go, aby wymordował tych ludzi?
- Proszę.
- Nie wierzę w to. - Westchnęłam. - No dobra, ja, Manny, Rodriguez, Peter Burke i... - Przerwałam.
- Co się stało?
- Nic. Właśnie sobie przypomniałam, że w tym tygodniu wybieram się na pogrzeb Burke'a. Peter nie żyje, więc chyba możesz go skreślić z listy podejrzanych.
- Dolph przeszył mnie przenikliwym, podejrzliwym spojrzeniem.
- To na pewno wszystkie nazwiska, które możesz mi podać?
- Jeśli jeszcze jakiegokolwiek przyjdzie mi do głowy, powiem ci - odparłam z rozbrajającą szczerością. - Widzisz, nic nie mam w rękawie.
- Zrób to, Anito.
- Jasne.
- Kogo starasz się chronić? - Uśmiechnął się i pokręcił głową.
- Siebie - odparłam. Wyglądał na zbitego z tropu. - Powiedzmy, że nie chcę, aby ktoś się na mnie wkurzył.
- Kto taki?
- Spojrzałam w czyste, sierpniowe niebo.
- Myślisz, że będzie padać?
- Do licha, Anito, potrzebuję twojej pomocy.
- Pomogłam, na ile byłam w stanie.
- Podaj to nazwisko.
- Jeszcze nie teraz. Sprawdzę tę osobę i jeśli wyda mi się podejrzana, obiecuję, że podam ci jej nazwisko.
- Wiesz, jesteś naprawdę szczodra, Anito. - Zaczerwienił się z wściekłości. Nigdy dotąd nie widziałam Dolpha zagniewanego. Ten widok mnie zaniepokoił. - Najpierw był ten bezdomny. Sądziliśmy, że spił się jak świnia i dopadły go ghule. Znaleźliśmy go blisko cmentarza.

Trzask prask, sprawa zamknięta, no nie? - Jego głos z każdym słowem przybierał na sile. - Potem znaleźliśmy tych dwoje nastolatków, zabito ich, gdy pieścili się w samochodzie chłopaka. Zginęli w niezbyt dużej odległości od cmentarza. Wezwaliśmy tępicieła i księdza. Sprawa zamknięta. - Zniżył głos, ale wydawało się, jakby tłumił w sobie krzyk. Głos miał przepełniony gniewem i innymi emocjami. - A teraz to. To ta sama bestia, czymkolwiek jest. Tyle że od najbliższego cmentarza dzieli nas dobre parę kilometrów. To nie jest ghul i może gdybyśmy wezwali cię do pierwszego lub drugiego zabójstwa, ta rodzina nadal by żyła. Sądziłem, że wiem już co nieco na temat tych paranormalnych bzdur. Że nabrałem doświadczenia. Okazało się, że się pomyliłem. I to bardzo. - Zaczął gnieść notes w swych wielkich łapskach.

- To najdłuższy monolog, jaki od ciebie usłyszałam - oświadczyłam.

Nieomal się zaśmiał.

- Muszę znać to nazwisko, Anito.

- Dominga Salvador. To kapłanka voodoo na cały Środkowy Zachód. Ale jeśli poślesz do niej gliny, nie zechce z nimi mówić. Nikt z tych ludzi nie piśnie nawet słówka.

- Ale z tobą będą rozmawiać?

- Tak - odparłam.

- W porządku, tylko chciałbym, abyś jutro powiedziała mi coś konkretnego.

- Nie wiem, czy zdołam umówić się tak szybko na spotkanie.

- Zrób to albo ja to zrobię - zagroził.

- Dobra, dobra, postaram się, choć jeszcze nie wiem jak.

- Dzięki, Anito. Przynajmniej od czegoś zaczniemy.

- To może wcale nie być zombi, Dolph. Mówię szczerze, że to tylko moje przypuszczenia.

- Jeśli nie zombi, to co?

- Gdyby na szybie pozostała krew, stawiałabym na lykantropa.

- Pięknie, tylko tego nam trzeba, rozjuszonego, polującego na ludzi zmiennokształtnego.

- Ale na szkle nie było krwi.

- W takim razie musi to być jakiś rodzaj nieumarłego - skonstatował.

- Otóż to.

- Pogadaj z tą Dominga Salvador i złóż mi raport, możliwie jak najszybciej.

- Tak jest, sierżancie.

Łypnął na mnie spode łba i wrócił do domu.

Lepiej żeby on niż ja. Jedyne czego chciałam, to wrócić do siebie, przebrać się i przygotować do ożywiania zmarłych. Dzisiejszej nocy miałam już trzech umówionych klientów.

Terapeutka Ellen Grisholm uznała, że dobrą terapią będzie dla niej konfrontacja z ojcem, który ją molestował. Sęk w tym, że ojciec od paru miesięcy spoczywał w grobie. W tej sytuacji miałam ożywić pana Grisholma, aby córka mogła powiedzieć mu, jakim był sukinsynem. Zdaniem terapeutki takie doświadczenie powinno być dla niej oczyszczające. Skoro masz doktorat, możesz sobie pozwolić na podobne stwierdzenia.

Dwa pozostałe ożywienia były bardziej pospolite - sprawa o ustalenie treści ostatniej woli oraz zeznanie świadka, który nie zdążył stanąć przed sądem, gdyż zmarł na atak serca. Co prawda, wciąż istniały pewne zastrzeżenia co do wiarygodności zeznań zombi i uznania ich przez sąd, ale skoro ktoś był na tyle zdesperowany, że zadał sobie taki trud i chciał za to zapłacić...

Stałam na zbrązowiałej od słońca trawie. Miło wiedzieć, że rodzina nie miała fiksacji na punkcie spryskiwaczy. To strata wody. Może nawet oddawała puszki i gazety do ponownego wykorzystania. Może to byli przyzwoici, miłujący ziemię ludzie. A może nie. Jeden z mundurowych podniósł pasek żółtej taśmy, którą otoczono miejsce zbrodni i wypuścił mnie. Zignorowałam gapiących się ludzi i wsiadłam do samochodu. To był najnowszy model chevroleta. Stać mnie było na coś lepszego niż nova, ale po co? Grunt, żeby wóz się turlał. Kierownica była nagrzana od słońca. Włączyłam klimę, aby w aucie trochę się ochłodziło. To, co powiedziałam Dolphowi o Domindze Salvador, było zgodne z prawdą. Nie zechciałaby rozmawiać z policją, ale nie dlatego nie chciałam zdradzić Dolphowi jej nazwiska. Gdyby gliny zapukały do drzwi jej domu, Dominga zaczęłaby zastanawiać się, kto ich przysłał. I dowiedziałaby się tego. Senora była najpotężniejszą kapłanką voodoo, jaką w życiu spotkałam.

Przywołanie zabójczego zombi było jedną z wielu rzeczy, których mogłaby dokonać, gdyby tylko zechciała.

Istniały o wiele gorsze rzeczy, które mogły wypełznąć pewnej nocy przez okno twego mieszkania. Wiedziałam o voodoo tylko tyle, ile uznałam za konieczne. Nie chciałam się w to bardziej zagłębiać. Obecny rozwój voodoo był w dużej mierze zasługą Senory. Nie chciałam, aby Dominga Salvador zezłościła się na mnie. A wszystko wskazywało na to, że jutro będę musiała z nią pomówić. Czekano mnie spotkanie z ojcem, a raczej w tym przypadku z matką chrzestną voodoo. Musiałam to jakoś załatwić. Umówić się na wizytę. Kłopot w tym, że Dominga mogła mieć do mnie żal. Przysłała mi zaproszenie do swojego domu. Chciała, abym uczestniczyła w jednym z jej rytuałów. Uprzejmie odmówiłam. Chyba rozczarowała ją moja postawa gorliwej chrześcijanki. Jak na razie udawało mi się unikać spotkania z nią. Aż do teraz.

Miałam już wkrótce zapytać najpotężniejszą kapłanką voodoo w Stanach Zjednoczonych, a może nawet w całej Północnej Ameryce, czy nie ożywiła ostatnio jakiegoś zombi. I czy ów zombi nie krąży aby w okolicy, mordując ludzi na jej wyraźne polecenie? Czy ja oszalałam? Być może. Wyglądało na to, że czeka mnie kolejny pracowity i piekielnie ciężki dzień.

4

Zawył alarm budzika. Przewróciłam się na drugi bok i walnęłam otwartą dłonią w przyciski na moim elektronicznym zegarku. Bóg da, że w miarę szybko trafię we właściwy przycisk. Wreszcie musiałam podnieść się na łokciu i otworzyć oczy. Wyłączyłam budzik i spojrzałam na świecące cyfry. Szósta rano. Cholera. Wróciłam do domu o trzeciej. Dlaczego nastawiłam budzenie na szóstą? Nie mogłam sobie przypomnieć. Nie funkcjonuję najlepiej po niespełna trzech godzinach snu. Ułożyłam się w miękkiej, ciepłej pościeli. Właśnie zaczęły mi się zamykać oczy, gdy sobie przypominałam. Dominga Salvador. Zgodziła się ze mną spotkać dziś rano o siódmej. Spotkanie typu kawa czy herbata. Zwlokłam się z łóżka. Musiałam przysiąść na chwilę. W mieszkaniu panowała niemal idealna cisza. Słysząc było tylko nikły szmer klimy. Cicho jak w grobie.

Poderałam się z miejsca, przed oczami znów miałam okrwawione pluszowe misie.

Kwadrans później byłam już ubrana. Po powrocie z pracy zawsze biorę prysznic, niezależnie, która jest godzina. Nie mogłabym położyć się do łóżka upaprana zaschniętą kurzą krwią. Czasami jest to krew kozy, ale mimo wszystko najczęściej kurza.

Zastanawiałam się, jak mam się ubrać, aby wyglądać szacownie i równocześnie nie roztopić się w upale. Sprawa byłaby prosta, gdybym nie zamierzała zabrać z sobą broni. Możecie mówić, że jestem paranoiczką, ale bez pistoletu nie ruszam się z domu.

Sprane dzinsy, skarpety frotte i adidas, to akurat było łatwe. Do tego mała, zgrabna, wpinana do spodni kabura z firestarem kalibru dziewięć milimetrów. Firestar był moim drugim, zapasowym pistoletem po browningu hi-powerze. Browning był za duży i pękaty, aby można go było włożyć do wewnętrznej kabury, ale firestar pasował wręcz idealnie. Teraz potrzebowałam jedynie koszulki, która zamaskowałaby pistolet i równocześnie nie blokowała do niego dostępu, gdybym musiała zeń skorzystać. To było trudniejsze, niż mogło się wydawać. Ostatecznie zdecydowałam się na krótki, luźny podkoszulek sięgający mi nieco poniżej pępka. Przejrzałam się w lustrze. Pistolet był niewidoczny, o ile nie zapomnę się i nie podniosę wysoko obu rąk. Koszulka była blad różowa. Fatalny odcień. Co mnie podkusiło, aby ją kupić? Może dostałam ją w prezencie. Mam nadzieję, że tak właśnie było. Sama myśl, że mogłam wydać choć parę centów na okropny różowy ciuch, wydawała mi się nie do zniesienia.

Nie rozsunęłam jeszcze zasłon. W całym mieszkaniu panował półmrok. Zamówiłam specjalne, bardzo grube i ciężkie zasłony. Rzadko widywałam słońce i szczerze mówiąc, nie tęskniłam za nim zbytnio. Włączyłam lampkę przy akwarium. Skalary podpłynęły ku powierzchni, poruszając błagalnie pyszczkami. Uwielbiam rybki. Nie trzeba ich wyprowadzać, sprzątać po nich ani przyuczać do odpowiedniego zachowania w domu. Wymarzone zwierzaki. Od czasu do czasu wystarczy wyczyścić im akwarium i zapewnić zapas karmy, a będzie im obojętne, o której wracasz do domu.

Od strony ekspresu na całe mieszkanie rozszedł się aromat silnej, świeżo parzonej kawy. Usiadłam przy moim małym kawowym stoliku, sącząc gorącą, czarną, wonną kolumbijkę. Świeże ziarna, prosto z lodówki, mielone tuż przed zaparzeniem. Nie pijam innej kawy. Choć - gdy się nad tym zastanowić - jeżeli chodzi o kawę, pijam praktycznie każdą.

Zadzwoił dzwonek. Poderwałam się gwałtownie, rozlewając kawę na stolik.

Zdenerwowana? Kto? Ja? Zostawiłam firestara na stole w kuchni, zamiast podejść z nim do drzwi. Widzicie, wcale nie jestem paranoiczką. Po prostu jestem bardzo, ale to bardzo ostrożna. Wyrzałam przez judasza i otworzyłam drzwi. W progu stał Manny Rodriguez.

Manny jest jakieś pięć centymetrów wyższy ode mnie. Jego czarne jak smoła włosy przyprószone są lekko siwizną. Gęsta czupryna wyostrza pociągłą twarz ozdobioną czarnym wąsikiem. Ma pięćdziesiąt dwa lata i z jednym wyjątkiem wolałabym, aby to on ubezpieczał mnie przy trudnych misjach niż którykolwiek spośród reszty moich znajomych.

Podaliśmy sobie dłonie, jak zawsze. Miał silny uścisk i suchą skórę. Uśmiechnął się do mnie, błyskając śnieżnobiałymi zębami, ostro kontrastującymi z jego brązową cerą.

- Czuję kawę.

Odpowiedziałam uśmiechem.

- Wiesz, że to całe moje śniadanie.

Wszedł do środka, a ja natychmiast z przyzwyczajenia zatrzasnęłam za nim drzwi i przekręciłam zasuwkę.

- Rosita uważa, że nie umiesz o siebie zadbać - rzekł, po czym naśladowując sarkastyczny ton głosu żony, z charakterystycznym meksykańskim akcentem, dodał: - Nie dojada i dlatego jest taka chuda. Biedna Anita, nie ma męża ani nawet chłopaka. - Uśmiechnął się.

- Rosita mówi jak moja macocha. Judith zadręcza się myślami, że zostanie starą panną.

- Ile masz lat? Dwadzieścia cztery?

- Uhm.

- Czasami nie rozumiem kobiet. - Pokręcił głową.

- A ja to co, babochłop? - Tym razem to ja się uśmiechnęłam.

- Anito, wiesz, że nie chodziło mi o to, że...

- Wiem, wiem, jestem facetem w spódnicy, kapuję.

- Jesteś lepsza niż większość chłopaków w tym fachu.

- Usiądź. Napij się kawy, zanim wyjdziemy.

- Bywasz dość trudna. Wiesz, o co mi chodzi. - Spojrzał na mnie z powagą, w jego brązowych oczach malowała się niezłomna powaga. Uśmiechnęłam się.

- Tak, wiem, o co ci chodzi.

Wzięłam jeden z mniej więcej tuzina kubków stojących w szafce kuchennej. Moje ulubione wisiały na suszarce. Manny usiadł i zaczął sączyć kawę, przyglądając się swemu kubkowi. Był czerwony z czarnym napisem "Jestem bezwzględna suką, ale akurat to wychodzi mi najlepiej".

Zaśmiał się tak, że aż parsknął kawą. Upiłam łyk z mojego kubka z małymi pingwinkami. Nigdy nikomu nie mówiłam, ale to był mój ulubiony.

- Czemu nie przyniosłaś tego kubka z pingwinami do pracy? - zapytał.

Ostatni pomysł Berta polegał na tym, że każdy z nas miał używać w pracy swego ulubionego kubka. No wiecie, personalizacja i te sprawy. Bert uważał, że dzięki temu będziemy czuć się w biurze jak w domu. Przyniosłam szary kubek z szarym napisem "To brudna robota i to właśnie ja muszę ją odwalać".

Bert kazał mi odnieść go do domu.

- Lubię grać Bertowi na nerwach.

- I dlatego przynosisz do pracy kubki, których on nie akceptuje.

- No. - Uśmiechnęłam się. Pokręcił głową. - Naprawdę cieszę się, że zechciałeś pójść ze mną do Domingi.

Wzruszył ramionami.

- Przecież nie mogłem pozwolić, abyś wybrała się do tej diablicy w pojedynkę, nieprawdaż? Na dźwięk tej ksywki wyraźnie się skrzywiłam, a może to miała być obelga?

- Tak ją nazywa twoja żona, nie ja.

Spojrzał na leżący na stoliku pistolet.

- Ale mimo wszystko weź ze sobą spluwę, tak na wszelki wypadek.

- Na wszelki wypadek. - Zerknęłam na niego znad kubka z kawą.

- Gdybyśmy musieli, opuszczając jej dom, utworować sobie drogę ogniem. W gruncie rzeczy czarno to widzę. Ona ma całą masę goryli.

- Nie zamierzam do nikogo strzelać. Zadamy jej tylko kilka pytań. To wszystko.

- Senora Salvador, czy ostatnio nie ożywiła pani przypadkiem morderczego zombi? -

Skrzywił się drwiąco.

- Odpuść sobie, Manny. Wiem, że to niezręczny temat.

- Niezręczny? - Pokręcił głową. - Ona mówi: niezręczny. Jeżeli wkurzysz Domingę Salvador, poznasz prawdziwe znaczenie tego słowa.

- Nie musisz iść ze mną.

- Poprosiłaś, abym ci towarzyszył. Jako wsparcie. - Błysnął śnieżnobiałym uśmiechem. - Nie zwróciłaś się do Charlesa czy Jamisona. Poprosiłaś mnie, a to najwspanialszy komplement, jaki mogłem od ciebie otrzymać, Anito. Bądź co bądź, jestem już stary...

- Wcale nie - zaoponowałam z przekonaniem.

- Moja żona twierdzi inaczej. I wciąż mi to powtarza. Rosita zabroniła mi udziału w polowaniach na wampiry, ale przynajmniej na razie nie może ukrócić innych zajęć związanych z żywymi trupami. - Na mojej twarzy musiało odmalować się zdumienie, bo natychmiast dodał: - Wiem, że rozmawiała z tobą dwa lata temu, kiedy byłem w szpitalu.

- Omal nie umarłeś - wtrąciłam.

- A ty ile miałaś połamanych kości?

- Rosita wiedziała, co mówi. Miała po temu ważne powody. Nie możesz zapominać, że masz czworo dzieci, Manny.

- I jestem za stary, aby zabijać wampiry. - W jego głosie zabrzmiała nuta ironii, a może nawet rozgoryczenia.

- Nigdy nie będziesz za stary - zaproponowałam.
- Miło to słyszeć. - Dopił kawę. - Lepiej już chodźmy. Nie każmy Senorze czekać.
- Uchowaj Boże - mruknęłam.
- Amen - dorzucił.

Patrzyłam, jak oplukiwał swój kubek pod zlewem.

- Wiesz coś, o czym mi nie mówisz?
- Nie - odparł.

Oplukałam swój kubek, wciąż na niego spoglądałam. Przyglądałam mu się badawczo.

- Manny?
- Słowo uczciwego Meksykanina, ja naprawdę nic nie wiem.
- Wobec tego, co się dzieje?
- Wiesz, że byłem wyznawcą voodoo, zanim Rosita nawróciła mnie na czyste chrześcijaństwo.
- Wiem, i co z tego?
- Dominga Salvador była nie tylko moją kapłanką. Była także moją kochanką.

Patrzyłam na niego przez kilka uderzeń serca.

- Żartujesz, prawda?
- W takich sprawach nigdy nie żartuję - odparł ze śmiertelną powagą.

Wzruszyłam ramionami. Sposób, w jaki ludzie dobierają sobie partnerów, chyba nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

- To dlatego tak szybko zdołałeś umówić mnie na spotkanie. - Skinął głową. - Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś?
- Bo mogłabyś spróbować odwiedzić ją beze mnie.
- Czy to byłoby aż tak ryzykowne?

Tylko przyglądał mi się tymi brązowymi, poważnymi oczami.

- Może.

Zabrałam pistolet ze stolika i włożyłam do wewnętrznej kabury. Osiem naboí. W browningu mieściło się czternaście. Ale postawmy sprawę jasno, gdybym potrzebowała więcej niż ośmiu naboí, mogłam równie dobrze pożegnać się z życiem. Podobnie jak Manny.

- Cholera - wyszeptalam.
- Co?

- Mam wrażenie, jakbym wybierała się z wizytą do baby-jagi.

- W sumie to całkiem niezłe porównanie. - Manny pokręcił głową z boku na bok.

Pięknie, po prostu pięknie. Nie ma co. Po co ja to robię? I wtedy znów ujrzałam przed oczami okrwawionego misia Benjamina Reynoldsa. W porządku, wiedziałam po co to robię. Gdyby istniał choć cień szansy, że chłopiec jeszcze żyje, poszłabym nawet do samego piekła, wierząc święcie, iż zdołam jakoś stamtąd powrócić. Nie powiedziałam tego głośno. Nie chciałam wiedzieć, czy porównanie z piekłem było równie trafne jak poprzednia analogia.

5

W okolicy dominowały starsze domy, z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Trawniki zbrązowiły wskutek niedostatku wody. Nie było tu spryskiwaczy. Na klombach przy domach walczyły o przetrwanie wątłe kwiaty. Głównie petunie, geranium, tu i ówdzie róże. Ulice były czyste, wysprzątane, a zaledwie przecznicę dalej można było zarobić kulkę tylko za to, że miało się kurtkę w niewłaściwym kolorze. Działalność gangów kończyła się na terytorium Domingi Salvador. Nawet nastolatki z bronią automatyczną obawiają się tego, czego nie sposób zabić, niezależnie jak dobrym jest się strzelcem. Posrebrzane kule mogą zranić wampira, ale go nie uśmiercą. Zabijają lykantropa, ale nie unicestwią zombi. Te cholerstwa można porąbać na kawałki, a rozczłonkowane fragmenty ciała popelzną w ślad za tobą. Widziałam to. I nie był to przyjemny widok. Gangi nie zapuszczają się na terytorium Senory. Żadnej przemocy. To miejsce, gdzie trwa nieustanne zawieszenie broni. Słyszałam opowieści o pewnym gangu Latynosów, którzy sądzili, że posiadają zabezpieczenie przeciwko gris-gris. Niektórzy mówią, że były szef gangu wciąż przebywa w piwnicy domu Senory, oczekując na jej kolejne rozkazy. Miał być przestrogą dla innych nastoletnich twardzieli przekonanych, że są nietykalni.

Jeżeli chodzi o mnie, nigdy nie widziałam jej ożywiającej zombi. Ale nie byłam także świadkiem, jak przywoływała węże. I niech tak zostanie.

Piętrowy dom Senory Salvador stoi na jej półakrowej posesji. Podwórze jest duże i zadbane. Pod bielonymi ścianami domu czerwieni się geranium. Czerwień i biel, krew i kości. Byłam pewna, że nawet zwykły przechodzień właściwie odczytywał tę symbolikę. Mnie od razu rzuciło się to w oczy. Skojarzenie było natychmiastowe.

Manny zaparkował samochód na podjeździe za kremową impalą. Garaż na dwa auta był taki jak dom, pomalowany na biało. Po chodniku w tę i z powrotem śmigła na trzykołowym rowerku mniej więcej pięcioletnia dziewczynka. Dwóch nieco starszych chłopców siedziało na stopniach ganku. Przerwali zabawę i spojrzeli na nas. Z tyłu, za nimi, na ganku stał mężczyzna. Nosił niebieski podkoszulek bez rękawów z nałożonymi nań szelkami kabury podramiennej. Szpaner. Brakowało mu tylko odblaskowego napisu "Bandzior Pierwsza Klasa". Na chodniku widniały nakreślone kredą znaki. Pastelowe krzyże i niezrozumiałe diagramy. Przypominało to trochę dziecięce bohomyzy, ale nimi nie było. Niektórzy oddani wielbiciel Senory kreślili w ten sposób przed jej domem symbole swego oddania. Wokół znaków dostrzec można było ogarki wypalonych świec. Po symbolach w tę i w tamtą jeździła na rowerku mała dziewczynka. Normalka, nie?

Poszłam za Mannyem przez sprążony słońcem trawnik. Dziewczynka na rowerku przyglądała się nam z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Manny zdjął okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnął się do mężczyzny.

- Buenos dias, Antonio. Kopę lat.

- Si - odparł Antonio. Głos miał cichy i smętny. Mocno opalone ramiona splótnęły luźno na piersi. Dzięki temu jego prawa dłoń zbliżyła się do kolby broni.

Stałam za Mannym, aby się nim zasłonić i powoli, jakby od niechcienia, opuściłam dłonie, przesuwając je w stronę mego pistoletu. "Zawsze gotowi" - motto skautów. A może piechoty morskiej?

- Wyrosłeś na silnego, przystojnego mężczyznę - rzekł Manny.

- Babcia mówi, że mam cię wpuścić - oznajmił Antonio.

- To mądra kobieta - powiedział Manny.

- To Senora. - Antonio wzruszył ramionami. Spojrzał na mnie. - A ona kim jest?

- Seniorita Anita Blake. - Manny odsunął się, abym mogła podejść bliżej. Zrobiłam to, opierając luźno prawą dłoń na biodrze, niby od niechcienia, ale mimo to możliwie jak najbliżej pistoletu.

Antonio spojrział na mnie. W jego ciemnych oczach malował się gniew, ale na tym się skończyło. Nie miał tak przeszywającego spojrzenia jak goryle Harolda Gaynora.

Uśmiechnęłam się.

- Miło mi cię poznać.

Przez chwilę przyglądał mi się podejrzliwie, po czym skinął głową. Wciąż się do niego uśmiechałam i wkrótce odpowiedział tym samym. Uznał, że z nim flirtuję. Nie wyprowadziłam go z błędu. Powiedział coś po hiszpańsku. Ja mogłam tylko kręcić głową i uśmiechać się. Mówił półgłosem, jego ciemne oczy złagodniały, a kąciki ust wykrzywiły się w uśmiechu. Nie musiałam go rozumieć, aby wiedzieć, że składał mi niedwuznaczną propozycję. Albo mi ubliżał. Manny zeszywniał i zaczerwienił się. Wycedził coś przez zęby. Teraz z kolei Antonio się splonił. Zaczął sięgać po broń. Postąpiłam dwa kroki i dotknęłam jego nadgarstka, jakbym nie wiedziała, co się dzieje. Jego mięśnie były napięte jak struny. Uśmiechnęłam się do niego, trzymając jego rękę. Przeniósł wzrok z Manny'ego na mnie, po czym ucisk zelżał, ale nie puściłam go, dopóki nie opuścił ręki do boku. Uniósł moją dłoń do ust, pocałował. Jego wargi przywarły na chwilę do mojej skóry, ale ani na chwilę nie spuścił Manny'ego z oczu. Był wściekły, przepełniony gniewem.

Antonio nosił broń, ale był amatorem. Amatorzy ze spluwami prędzej czy później dają się zabić. Zastanawiałam się, czy wiedziała o tym Dominga Salvador. Mogła być specjalistką od voodoo, ale założyłabym się, że nie miała pojęcia o broni ani nie umiała jej używać.

Podobnie jak Antonio. Nie miał tego czegoś. Zabiłby cię, to fakt. Bez mrugnienia okiem. Ale z niewłaściwych powodów. Jak amator. Tyle że tobie i tak byłoby to obojętne.

Poprowadził mnie na ganek, trzymając za rękę. Za lewą rękę. Mógł trzymać mnie za nią cały dzień.

- Muszę sprawdzić, czy nie masz przy sobie broni, Manuelu.

- Rozumiem - rzekł Manny. Wszedł na ganek, a Antonio cofnął się na wypadek, gdyby Manny chciał się na niego rzucić. Odwrócił się do mnie tyłem i gdybym chciała, mogłabym mu strzelić w plecy. Był nieostrożny i któregoś dnia mógł zapłacić za to życiem.

Nakazał Manny'emu, aby stanął przy barierce i wprawnie go obszukał. Robił to starannie, ale w gniewie, szybko i gwałtownie, jakby drażnił go fakt, że musi dotykać Manny'ego. Nawet przez myśl mu nie przeszło, aby sprawdzić także mnie. Coś podobnego. Do siatkowych drzwi podszedł drugi mężczyzna. Miał jakieś czterdzieści lat. Nosił flanelową, rozpiętą koszulę z podwiniętymi rękawami i biały podkoszulek. I był spocony. Mogłam się założyć, że pod koszulą z tyłu skrywał pistolet. Czarne włosy tuż nad czołem przecięte były pasemkiem siwizny.

- Co tak długo, Antonio? - spytał szorstko ochryłym głosem.

- Musiałem go obszukać.

Starszy mężczyzna pokiwał głową.

- Jest gotowa, by się z wami spotkać.

Antonio odstepił na bok, powracając na swoje miejsce na ganku. Cmoknął głośno, gdy go mijalam. Poczulałam, że Manny sztywnieje, ale weszliśmy do salonu bez oddania choćby jednego strzału. Punkt dla nas.

Pokój był przestronny, po lewej stronie mieliśmy jadalnię. Pod ścianą stało pianino. Kto na nim grał? Antonio? Nie. Przez krótki korytarz dotarliśmy za mężczyzną do sporej kuchni. Promienie światła kładły się ciężko na wyłożonej czarno-białymi płytkami podłodze. Podłoga i kuchnia były stare, ale sprzęty nowe. Luksusowa lodówka z kostkarką do lodu i podajnikiem wody zajmowała sporo miejsca pod ścianą. Sprzęty były jasnożółte. Dobrane kolorystycznie. Przy kuchennym stole siedziała sześćdziesięcioletnia kobieta. Jej pociągłe brązowe oblicze zdawało się być poprzecinane zmarszczkami od częstych uśmiechów. Śnieżnobiałe włosy upięła w kok. Siedziała sztywno na krześle, opierając dłonie o drobnych kościach na blacie stołu. Wyglądała niegroźnie. Ot, miła starsza pani. Jeśli choć jedna czwarta z tego, co o niej słyszałam, stanowiła prawdę, był to najlepszy kamuflaż, z jakim miałam okazję się zetknąć.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Manny postąpił naprzód i ucałował jej kłykcie.

- Miło cię widzieć, Manuelu - rzekła ciepłym, aksamitnym kontraltem.

- Ciebie również, Domingo. - Puścił jej dłonie i usiadł naprzeciw niej.

Zerknęła na mnie; wciąż stałam w drzwiach.

- A. więc jednak się do mnie pofatygowalaś, Anito Blake.

Dziwnie to zabrzmiało. Spojrzałam na Manny'ego. Uniósł lekko brwi. On także nie wiedział, co chciała przez to powiedzieć. Pięknie.

- Nie wiedziałam, że oczekujesz mnie z taką niecierpliwością, Senora.

- Wiele o tobie słyszałam, chica. Mówią o tobie niesamowite rzeczy. - Coś w tych czarnych oczach i uśmiechniętej twarzy zdradzało, że wcale nie była niegroźna.

- Manny? - spytałam.

- To nie ja.

- Nie. Manuel już ze mną nie rozmawia. Zabrania mu tego jego malutka żoneczka. - W ostatnim zdaniu zawarła mnóstwo goryczy i gniewu.

Boże. Najpotężniejsza kapłanka voodoo na Środkowym Zachodzie zachowywała się jak wzgardzona kochanka. Cholera.

Spojrzała na mnie gniewnym wzrokiem.

- Wszyscy parający się voodoo prędzej czy później przychodzą do Senory Salvador.

- Ja nie param się voodoo.

Skwitowała moją odpowiedź śmiechem. Jej twarz przepełniło rozbawienie.

- Ożywiasz zmarłych, zombi i nie parasz się voodoo. Tak, chica, to doprawdy zabawne. - Jej oczy rozbliły radosnymi iskierkami.

Cieszyłam się, że mogłam poprawić jej humor.

- Domingo, powiedziałem ci, dlaczego chcieliśmy się z tobą spotkać. Wyraziłem się jasno... - rzekł Manny.

Uciszyła go ruchem ręki.

- Och, Manuelu, przez telefon byłeś bardzo powściągliwy. - Nachyliła się do mnie. - Bardzo jasno dał mi jednak do zrozumienia, że nie zamierzasz uczestniczyć w żadnym z moich pogańskich rytuałów. - Gorycz w jej głosie była wręcz namacalna. - Podejź tu, chica. -

Wyciągnęła do mnie rękę. Miałam ją ucałować, tak jak Manny. Nie sądziłam, że mam spotkać się z papieżem.

I nagle zrozumiałam, że nie mam ochoty jej dotknąć. Nie zrobiła nic złego. A jednak mięśnie moich ramion były tak napięte, że aż zawyły z wysiłku. Bałam się i nie wiedziałam dlaczego. Postąpiłam naprzód i ujęłam jej dłoń, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Miała ciepłą, suchą skórę. Nie puszczając mojej dłoni, przyciągnęła mnie do siebie i posadziła na sąsiednim krześle. Powiedziała coś głębokim, łagodnym głosem.

- Przykro mi, nie znam hiszpańskiego. - Pokręciłam głową.

Dotknęła moich włosów drugą ręką.

- Czarne włosy, czarne jak skrzydła kruka. Nie pasują do jasnej skóry.

- Moja matka była Meksykanką.

- A mimo to nie mówisz w jej języku. - Wciąż trzymała mnie za rękę, chciałam się od niej uwolnić.

- Umarła, kiedy byłam mała. Wychowywała mnie rodzina ze strony ojca.

- Rozumiem.

Uwolniłam dłoń i od razu poczułam się lepiej. Nic mi nie zrobiła. Zupełnie nic. Czemu byłam taka zdenerwowana? Facet z pasemkiem siwizny we włosach stanął za Senorą. Widziałam go wyraźnie. Widziałam jego dłonie. Podobnie jak tylne drzwi i wejście do kuchni. Nikt nie mógłby się do mnie podkraść. A jednak włoski na moim karku zjeżyły się.

Spojrzałam na Manny'ego, on jednak gapił się na Senorę. Złożył dłonie na blacie i zacisnął tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. Czulałam się jak na festiwalu filmów zagranicznych bez napisów. Mniej więcej rozumiałam, co się działo, ale nie miałam pewności, czy pojmowałam to właściwie. Świerzbienie skóry zdradzało mi, że działała tu jakaś magia. Zachowanie Manny'ego sugerowało, że czary były wymierzone w niego. Barki Manny'ego obwisły. Dłonie rozluźniły się. Westchnął jakby z ulgą. Dominga uśmiechnęła się, błyskając zębami.

- Mógłbyś być tak potężny, mi corazón.

- Nie pragnę tego, Domingo - odparł. Przyjrzałam się im z uwagą, nie mając pewności, co tu zaszło. Nie byłam pewna, czy chcę to wiedzieć. Chciałam uwierzyć, że niewiedza przynosi ukojenie. Często tak bywa.

Skierowała na mnie wzrok.

- A ty, chica, czy pragniesz mocy i potęgi? - Świerzbienie objęło całe moje ciało od stóp do głów. Miałam wrażenie, jakby łaziły po mnie mrówki. Cholera.

- Nie. - Odparłam krótko i rzeczowo. Może powinnam tak robić częściej.

- Może nie chcesz, ale zechcesz.

Nie spodobało mi się, w jaki sposób to powiedziała. To absurd siedzieć o siódmej dwadzieścia osiem w skapaniej słońcem kuchni i trząść się ze strachu. Ale tak właśnie było.

Dygotałam z przerażenia. Spojrzała na mnie. Jej oczy wyglądały zwyczajnie. Nie miały w sobie hipnotycznej mocy jak oczy wampira. Były zwyczajne, a jednak... włosy zaczęły mi stawać dęba. Na rękach pojawiła się gęsia skórka, w żołądku zaległa lodowata gula.

Oblizalam wargi i spojrzałam na Domingę Salvador. To był magiczny test. Sprawdzała mnie. Już to przerabiałam. Ludzie są zafascynowani tym, co robię. Są pewni, że znam magię. Ale to nieprawda. Łączy mnie natomiast pewna więź ze zmarłymi. To nie to samo. Wejrzałam w jej czarne oczy i zaczęłam wychylać się do przodu. Zupełnie jakbym runęła w otchłań, nie wykonując żadnego ruchu. Świat zakolysał się przez chwilę, po czym znieruchomiał. Ciepło wypłynęło z mego ciała gorącymi nitkami. Przepłynęło do starej kobiety. Uderzyło w nią, a ja odebrałam to jak porażenie prądem. Wstałam ciężko, chwytając powietrze.

- Cholera!

- Anito, nic ci nie jest? - Manny także się podniósł. Delikatnie dotknął mego ramienia.

- Nie jestem pewna. Co ona mi zrobiła, u licha?

- Raczej co ty zrobiłaś mnie, chica - odparła Dominga. Jakby trochę pobladła. Na jej ciele perlił się pot. Mężczyzna odstąpił od ściany, opuszczając ręce luźno wzdłuż boków. - Nie - rzekła Dominga. - Nic mi nie jest, Enzo. - Głos miała zdyszany jak po długim biegu.

Nie usiadłam. Chciałam jak najszybciej stąd odejść, wrócić do domu.

- Nie przyszliśmy tu, aby pogrywać w jakieś gierki, Domingo - rzekł Manny. W jego głosie pojawił się gniew - i chyba także strach. Z tym ostatnim jak najbardziej się zgadzałam.

- To nie żadna gra, Manuelu. Czyżbyś zapomniał wszystko, czego cię nauczyłam?

Wszystko, czym byliśmy?

- Nie zapomniałem niczego, ale nie pozwolę jej skrzywdzić. Nie po to ją tu sprowadziłem.

- Czy coś jej się stanie, czy nie, zależy tylko od niej, mi corazón.

To wcale mi się nie spodobało.

- Nie pomożesz nam. Chcesz tylko bawić się w kotka i myszkę. Ale ta mysz właśnie wychodzi. - Odwróciłam się na pięcie, bacznie obserwując Enza. Nie był amatorem.

- Nie chcesz znaleźć tego porwanego chłopca, o którym wspominał mi Manny? Trzylatek, niewinne dziecko w rękach bokora.

Znieruchomiałam. Wiedziała, że tak będzie. Niech ją diabli.

- Kim jest bokor?

- Naprawdę nie wiesz, prawda? - Uśmiechnęła się. Pokręciłam głową. Uśmiech poszerzył się. Zdumienie i radość. - Połóż prawą rękę na stole, por favor.

- Jeśli wiesz coś o tym chłopcu, proszę, powiedz mi.

- Pomogę ci, jeśli przejdziesz jedną z moich prób.

- O czym ty mówisz? Jaka znowu próba? - spytałam z podejrzliwością w głosie.

Dominga wybuchnęła śmiechem, radosnym, szczerym i niepohamowanym. Jej oblicze rozpromieniło się. W oczach malowało się rozbawienie. Czemu miałam wrażenie, że śmiała się ze mnie?

- Chodź, chica, nic ci nie zrobię - rzekła.

- Manny?

- Jeżeli zrobi coś, aby cię skrzywdzić, ostrzegę cię.

Dominga spojrzała na mnie z zakłopotaniem i zdziwieniem.

- Słyszałam, że potrafisz ożywić trzech nieboszczyków jednej nocy i to noc w noc. A mimo to jesteś wciąż nowicjuską.

- Niewiedza bywa błogosławieństwem - odparłam.

- Usiądź, chica. Obiecuję, że to nie będzie bolało.

To nie będzie bolało. Takie słowa zapowiadały ból w niedalekiej przyszłości. Cały bezmiar bólu. Usiadłam.

- Każda chwila zwłoki może kosztować tego chłopca życie. - Próbowałam przemówić do jej serca.

Nachyliła się do mnie.

- Naprawdę uważasz, że mały jeszcze żyje? - Chyba była bez serca.

Odsunęłam się od niej. I odparłam zgodnie z prawdą:

- Nie.

- A zatem mamy czas, prawda?

- Czas na co?

- Daj mi rękę, chica, por favor, a odpowiem na twoje pytania.

Wzięłam głęboki oddech i położyłam prawą rękę na stole, wnętrzem do góry. Dominga była tajemnicza. Nie lubię takich ludzi. Wyjęła spod stołu mały, czarny woreczek; pewnie przez cały czas trzymała go w podolku. Być może to sobie zaplanowała. Manny wpatrywał się w woreczek, jakby miało wypełznąć zeń coś przerażającego. Niewiele się pomyliłam. Dominga Salvador wyjęła z woreczka jakiś grzechoczący przedmiot.

Był to amulet, gris-gris, wykonany z czarnych piór, kawałków kości i zmumifikowanej ptasiej łapki. Z początku sądziłam, że była to nóżka kurczaka, dopóki nie ujrzałam grubych, czarnych szponów. Gdzieś tam musiał teraz krążyć jastrząb lub orzeł z drewnianą nogą jak stary pirat. Wyobraziłam sobie Domingę, jak wbija we mnie te szpony i omal nie odskoczyłam z krzykiem od stołu. Ona jednak tylko położyła gris-gris na mojej otwartej dłoni. Pióra, kawałki kości i wyschnięta jastrzębia łapka. Przedmiot nie był oślizgły. Nie sprawił mi

bólu. Zrobiło mi się głupio. I nagle poczułam ciepło. Ta rzecz na mojej dłoni była ciepła. Jeszcze przed chwilą wydawała się chłodna.

- Co ty z tym robisz?

Dominga nie odpowiedziała. Spojrzałam na nią, ona jednak z przejściem wlepiła wzrok w moją dłoń. Jak kot szykujący się do skoku.

Spuściłam wzrok. Szpony rozwarły się i zwały kilkakrotnie. Amulet poruszył się w mojej dłoni.

- O cholera! - Miałam ochotę wstać. Cisnąć tę ohydłą rzecz na podłogę. Ale nie zrobiłam tego. Siedziałam tam, podczas gdy na moim ciele pojawiła się gęsia skórka, serce podeszło do gardła, a mały przedmiot wił się na dłoni. - W porządku - wychrypiałam - przeszłam twój mały sprawdzian. A teraz zabierz ode mnie to cholerstwo. - Dominga ostrożnie zdjęła amulet z dłoni. Starła się nie dotknąć mojej skóry. Nie wiem czemu, ale stanowiło to dla niej spory wysiłek. - Niech to szlag, cholera - wyszeptalam pod nosem. Otarłam dłoń o brzuch, dotykając ukrytego tam pistoletu. Pocieszało mnie, że gdyby sprawy przybrały naprawdę kiepski obrót, mogłam ją po prostu zastrzelić. Zanim na śmierć mnie przerazi. - Czy moglibyśmy wreszcie przejść do rzeczy? - spytałam niemal całkiem spokojnym głosem. Punkt dla mnie. Dominga ujęła amulet w dłonie.

- Sprawiałaś, że szpony się poruszyły. Byłaś wystraszona, ale nie zdziwiona. Jak to? - Co mogłam odpowiedzieć? Nic, czym chciałabym się z nią podzielić. Nie chciałam, by o tym wiedziała.

- Jest pewna więź, która łączy mnie ze zmarłymi. Niektórzy umieją czytać w myślach, ja potrafię to.

- Czy naprawdę uważasz - uśmiechnęła się - że twoja zdolność ożywiania zmarłych to jedynie salonowe sztuczki, jak telepatia?

Najwyraźniej Dominga nigdy nie spotkała dobrego telepaty. W przeciwnym razie nie drwiłaby z ich zdolności. Na swój sposób telepaci byli równie przerażający jak ona.

- Ożywiam zmarłych, Senora. To tylko moja praca.

- Nie wierzysz w to, podobnie jak ja.

- Ale bardzo się staram - odparłam.

- Już kiedyś ktoś cię sprawdzał - oznajmiła.

- Moja babcia ze strony matki, ale nie w taki sposób. - Wskazałam na wciąż poruszającą się łapkę. Wyglądała jak jedna z tych koszmarnych ruchomych zabawek. Teraz gdy nie trzymałam jej w dłoni, mogłam próbować przekonać samą siebie, że to tylko taki drobiazg na baterie. No jasne.

- Była kapłanką voodoo? - Skinęłam głową. - Czemu się u niej nie uczyłaś? - spytała.

- Mam wrodzony dar ożywiania zmarłych. To w żaden sposób nie dyktuje moich przekonań religijnych.

- Jesteś chrześcijanką. - W jej ustach to słowo zabrzmiało jak obelga.

- Zgadza się. - Wstałam. - Chciałabym powiedzieć, że było mi miło, ale musiałabym skłamać.

- Zadaj mi pytania, chica. Przecież po to tu przyszedłaś.
- Że co? - zmiana tematu nastąpiła jak dla mnie zbyt szybko.
- Zapytaj o to, o co miałaś mnie zapytać - odparła.

Spojrzałam na Manny'ego.

- Skoro mówi, że na nie odpowie, to znaczy, że tak będzie. - Nie wydawał się z tego powodu zbytnio zachwycony.

Ponownie usiadłam. Jeszcze jedna obelga i spadam stąd. Jeśli jednak naprawdę mogła mi pomóc, niech to szlag, wciąż łudziłam się nadzieją. I po tym, co ujrzałam w domu Reynoldsów, postanowiłam się tego trzymać. Zamierzałam formułować pytania możliwie jak najdelikatniej, ale teraz było mi to obojętne.

- Czy w ciągu ostatnich paru tygodni ożywiłaś jakiegoś zombi?
- Kilka - odparła.

W porządku. Zastanawiałam się przez chwilę, zanim zadałam kolejne pytanie. Znów poczułam tę poruszającą się rzecz w mojej dłoni. Otarłam rękę o nogawkę spodni, jakby ten gest mógł zatrzeć nieprzyjemne wrażenie. Co mogłaby mi zrobić, gdybym ją obraziła? Nie pytaj.

- Czy wysłałaś zombi w celu... ee... dokonania na kimś zemsty? - Otóż to, uprzejme pytanie, coś podobnego.

- Nie.

- Na pewno? - spytałam.

- Pamiętałabym, gdybym powołała z grobu jakichś morderców. - Uśmiechnęła się.

- Zabójcze zombi nie muszą być mordercami - odparłam.

- Och. - Uniosła jasne brwi. - Tak dobrze znasz się na zabójczych zombi?

Poczułam się jak uczeń przyłapany na kłamstwie.

- Spotkałam dotąd tylko jednego.

- Opowiedz mi o tym.

- Nie - stwierdziłam stanowczo. - To sprawa osobista. - Mój prywatny koszmar, którym nie zamierzałam dzielić się z królową voodoo. Postanowiłam nieznacznie zmienić temat. -

Ożywiłam już w swojej karierze morderców. Nie byli bardziej brutalni i skorzy do przemocy niż zwyczajni nieumarli.

- Ilu zmarłych, ożywiłaś? - spytała.

- Nie wiem. - Wzruszyłam ramionami.

- Podaj liczbę... rzecz jasna w przybliżeniu. Zastanów się dobrze.

- Nie potrafię powiedzieć. Ale były ich setki.

- Tysiąc?

- Może, straciłam rachubę.

- Czy twój szef w firmie Animatorzy sp. z o.o. prowadzi dokładny rejestr?

- Zakładając, że zapisuje wszystkich moich klientów, domyślam się, że tak - odparłam.

- Chciałabym bardzo poznać dokładną liczbę - powiedziała z uśmiechem. Co mi szkodzi?

- Dowiem się, o ile to będzie możliwe.

- Grzeczna dziewczynka. - Wstała. - Nie ożywiłam tego twojego zabójczego zombi, jeśli to właśnie zombi atakuje i pożera ludzi. - Uśmiechnęła się, prawie się zaśmiała, jakby uznała, że to zabawne. - Ale znam ludzi, którzy nigdy nie zgodziliby się z tobą mówić. Ludzi zdolnych do popełnienia tak koszmarnego czynu. Zapytam ich, a oni mi odpowiedzą. Wyciągnę od nich prawdę i przekażę ci ją, Anito. - Wymówiła moje imię prawidłowo Ahniito. Zabrzmiało to dość egzotycznie.

- Bardzo dziękuję, Senora Salvador.

- Ale w zamian za tę informację poproszę cię o coś. Mogłam się założyć, że to nie będzie nic przyjemnego.

- O co konkretnie, Senora?

- Chcę, abyś poddała się dla mnie jeszcze jednemu sprawdzianowi.

Spojrzałam na nią, oczekując na konkrety; bez rezultatu.

- O jaki sprawdzian chodzi?

- Zejdź na dół, pokażę ci - odparła miłodźwięcznym tonem.

- Nie, Domingo - rzucił Manny. Podniósł się z miejsca. - Anito - zwrócił się do mnie - nic, co Senora może ci wyjawić, nie jest tego warte. Wiem, czego ona od ciebie chce.

- Mogę rozmawiać z ludźmi i istotami, które nie zechcą mówić z żadnym z was. Z prawymi chrześcijanami jak wy - odezwała się Dominga

- Daj spokój, Anito, nie potrzebujemy jej pomocy. - Ruszył w kierunku drzwi. Nie podążyłam za nim. Manny nie widział tej zmasakrowanej rodziny. Nie dręczyły go, jak mnie ubiegłej nocy, koszmary o utyłanych we krwi pluszowych misiach. Nie odejdę stąd, o ile ta kobieta mogła mi pomóc. Czy Benjamin Reynolds żył jeszcze, czy już nie, przestało mieć znaczenie. To coś, czymkolwiek było, niebawem znowu zabije. A ja mogłam się założyć, że ów stwór miał coś wspólnego z voodoo. To nie była moja działka. Potrzebowałam pomocy, i to jak najszybciej. - Chodź, Anito - Manny pociągnął mnie leciutko za rękę w kierunku drzwi.

- Opowiedz mi o tym sprawdzianie - powiedziałam.

Dominga uśmiechnęła się triumfalnie. Wiedziała, że złapałam przynętę. Wiedziała, że nie odejdę, dopóki nie uzyskam od niej obiecanej pomocy. Cholera.

- Zejdźmy do piwnicy. Tam wyjaśnię ci szczegóły.

Uścisk dłoni Manny'ego na moim ramieniu wzmógł się.

- Anito, nie wiesz, co robisz.

Miał rację, ale...

- Po prostu bądź przy mnie, Manny, wspieraj mnie. Nie pozwól, abym zrobiła coś, co mogłoby mi zaszkodzić. W porządku?

- Anito, cokolwiek ona chce, abyś zrobiła tam na dole, na pewno przyniesie ci wiele bólu, szkody i cierpienie. Może nie fizycznych, ale psychicznych na pewno.

- Muszę to zrobić, Manny. - Poklepałam go po rękę i uśmiechnęłam się. - Nic mi nie będzie.

- Nieprawda - mruknął. - I dobrze o tym wiesz. Nie wiedziałam, co powinnam mu powiedzieć, ale zapewne miał rację. Tylko że to nie miało znaczenia. I tak to zrobię. Już postanowiłam. O cokolwiek mnie poprosi, naturalnie w granicach rozsądku, o ile tylko dzięki

temu zapobiegnie się kolejnym zabójstwom, zrobię to. Obym tylko nie musiała już nigdy oglądać na wpół pożartych zwłok.

Dominga uśmiechnęła się.

- Zejdźmy na dół.

- Senora, czy mogę pomówić z Anitą na osobności, por fauor? - spytał Manny. Wciąż trzymał mnie za rękę. Czułam, jak sztywnieją mu palce.

- Będziesz miał resztę tego cudownego dnia, aby z nią porozmawiać, Manuelu. Ja zabiorę jej tylko parę chwil. Jeśli przejdzie mój test, obiecuję, że pomogę jej w schwytaniu tego zabójcy.

To była nader kusząca oferta. Sporo osób zgodziłoby się, ot tak, zwyczajnie, ze strachu.

Gliny nie mają równie silnej mocy przekonywania. Jedyne, co mogą zrobić, to aresztować i wsadzić do pudła. Ale to za mało, aby wzbudzić w kimś twogę. Co innego, gdy ma on świadomość, że któreś nocy przez okno do jego mieszkania może wpełznąć pałający żądzą mordy nieboszczyk. Zginęły już co najmniej cztery, a może nawet pięć osób. Ci ludzie umarli okropną śmiercią.

- Już powiedziałam, że się zgadzam. Chodźmy.

Obeszła stół i ujęła Manny'ego za rękę. Podskoczył, jakby go uderzyła. Odciała go ode mnie.

- Nic się jej nie stanie, Manuelu, obiecuję.

- Nie ufam ci, Domingo.

Zaśmiała się.

- Ale decyzja należy do niej, Manuelu. Ja do niczego jej nie zmuszałam.

- Użyłaś wobec niej szantażu, Domingo. Wykorzystałaś do tego kwestię bezpieczeństwa niewinnych osób.

- Czy zaszantażowałam cię, chica? - Obejrzała się przez ramię.

- Tak - odparłam.

- Och, ona jest twoją uczennicą, corazón. Jest równie szczerą i uczciwą jak ty. I równie odważną.

- Jest odważna, ale nie widziała tego, co kryje się w piwnicy.

Chciałam zapytać, co właściwie się tam znajdowało, ale nie zrobiłam tego. W gruncie rzeczy, wcale nie chciałam wiedzieć. Ludzie ostrzegali mnie już nieraz przed nadnaturalnym szajsem. Nie wchodzić do tego pokoju, bo dopadnie cię potwór. Zazwyczaj faktycznie jest tam potwór i przeważnie stara się mnie dopaść. Ale przynajmniej do teraz okazywałam się szybsza od potworów. A może miałam więcej szczęścia. Na razie szczęście mi dopisywało. Chciałam usłuchać ostrzeżenia Manny'ego. Niczego bardziej nie pragnęłam, jak wrócić do domu, ale miałam pewne obowiązki, które musiałam wypełnić. W przeciwnym razie znów będą mnie dręczyć koszmary. Nie chciałam oglądać kolejnej zmasakrowanej rodziny. Dominga wyprowadziła Manny'ego z pokoju. Podążyłam za nimi. Enzo zamykał tyły. Niezły dzień na paradę, nie ma co.

Schody wiodące do piwnicy były wąskie i drewniane. Gdy schodziliśmy, czułam wibracje przeszywające każdy stopień. To nie było pocieszające. Słoneczne światło wpływające przez drzwi nie rozpraszało panującego w głębi mroku. Nie docierało daleko, jakby nie miało władzy w tym posępnym, ciemnym pomieszczeniu. Przystanęłam na szarej granicy światła i mroku, kierując wzrok ku tonącej w egipskich ciemnościach piwnicy. Nie widziałam już nawet Domingi ani Manny'ego. Przecież powinni być gdzieś tam, przede mną, nieprawdaż? Enzo ochroniarz czekał za moimi plecami niczym cierpliwa góra. Nie ponaglał mnie. Czy decyzja faktycznie zależała ode mnie? Czy mogłam pozbierać swoje zabawki i wrócić do domu?

- Manny - zawołałam.

Jego głos rozległ się natychmiast. Dochodził jakby z daleka. Może to akustyczna sztuczka tego pomieszczenia. A może nie.

- Jestem tutaj, Anito.

Wyteżyłam wzrok i spojrzałam w miejsce, skąd dobiegł głos, ale niczego nie dostrzegłam. Postąpiłam kolejne dwa kroki w atramentową ciemność i przystanęłam, jakbym wyrnęła w mur. Ściana była wilgotna, w powietrzu, jak w większości piwnic, unosił się silny fetor, ale pod tą kwaśną, zatechłą wonią czuć było inną, mdlącą, słodkawą. Taką właśnie woń mają zmarli. Poczulałam ją już u szczytu schodów. Mogłam się założyć, że im dalej w głąb, tym smród stanie się silniejszy. Moja babka była kapłanką voodoo. Jej Humfo nie śmierdziały jak trupy. Granica między dobrem a złem nie była w voodoo wytyczona tak wyraźnie jak w religii wicca, w chrześcijaństwie czy w satanizmie, ale na pewno istniała. Dominga Salvador stała po przeciwnej stronie barykady. Wiedziałam o tym, odkąd tu przyszłam. A mimo to wciąż się denerwowałam. Babcia Flores powiedziała, że jestem nekromantką. To coś więcej, niż być kapłanką voodoo i zarazem coś mniej. Odczuwałam więź ze zmarłymi, wszystkimi bez wyjątku. Trudno być kapłanką voodoo, nekromantką i nie być równocześnie złą. "To nazbyt kuszące" - rzekła babcia. Namawiała mnie do zagłębienia się w religię chrześcijańską. Zachęcała mego ojca, aby odciął mnie od rodziny z jej strony. Czyniła to, bo mnie kochała i obawiała się o moją duszę.

I oto byłam tu, schodząc w otchłań pokuszenia. Co by na to powiedziała babcia Flores? Zapewne - "Idź do domu". To byłaby dobra rada. Ucisk w żołądku podpowiadał mi to samo. Zapaliło się światło. Zamrugałam powiekami. Jedna goła żarówka wisząca nad schodami wydawała się jasna jak gwiazda. Dominga i Manny stali pod żarówką, spoglądając na mnie. Światło. Dlaczego od razu poczułam się lepiej? Głupie, ale prawdziwe. Enzo zamknął za nami drzwi. Cienie były gęste, ale w głębi wąskiego korytarza z sufitu zwieszały się kolejne żarówki. Dotarłam nieomal do podnóża schodów. Ta słodko-kwaśna woń przybrała na sile. Staralam się oddychać ustami, ale bez powodzenia. Fetor gnijącego ciała zdawał się przywierać do mego języka i zatykać gardło.

Dominga poprowadziła nas w głąb wąskiego korytarza. Na ścianach widniały ciemne, rozległe plamy. Wyglądało tak, jakby coś tu zamurowano - zapewne drzwi. Cement zamalowano farbą, ale drzwi i tak były widoczne. Znajdowały się w regularnych odstępach po obu stronach korytarza. Dlaczego je zamurowano? Dlaczego zostały zamalowane? Co się za nimi znajdowało?

Poskrobałam palcami po szorstkim cemencie. Powierzchnia była chropowata i chłodna. Farba nie mogła być stara. Powinna odpadać płatami w tej wilgoci. Ale tak nie było. Co ukryto za tymi zamurowanymi drzwiami? Zaczęła mnie swędzieć skóra między łopatkami. Zwalczyłam w sobie chęć, aby spojrzeć na Enza. Mogłam się założyć, że świetnie się bawił. I mogłam się założyć, że zarobienie kulki było obecnie najmniejszym z moich problemów. Powietrze było wilgotne i chłodne. Jak to w piwnicy. Było tu troje drzwi, dwoje po prawej i jedno po lewej. Wyglądały całkiem zwyczajnie. Na jednych wisiała lśniąca, nowa kłódka. Gdy je mijaliśmy, usłyszałam, że drzwi zaskrzypiały, jakby oparło się o nie coś wielkiego. Przystanęłam. Co tam jest?

Enzo zatrzymał się równocześnie ze mną. Dominga i Manny zniknęli za załomem korytarza. Zostaliśmy sami. Dotknęłam drzwi. Drewno zaskrzypiało, zgrzytnęły zawiasy. Jakby o drzwi zaczął ocierać się ogromny kot. Spod drzwi wypłynął silny fetor. Poczawszy go, zakasłałam i cofnęłam się o dwa kroki. Smród zdawał się przywierać do języka i dławić w gardle. Przelknęłam gwałtownie ślinę, starając się usunąć nieprzyjemny smak z ust. Coś, co było za drzwiami, zaskomlało żałośnie. Nie potrafiłam stwierdzić, czy był to ludzki, czy zwierzęcy głos. To coś, czymkolwiek było, wydawało się większe od człowieka. I było martwe. Co do tego nie miałam wątpliwości. Zakryłam lewą dłonią usta i nos. Prawą miałam wolną, tak na wszelki wypadek. Na wypadek, gdyby stwór sforsował drzwi i wydostał się na korytarz. Kule przeciwko żywemu trupowi. Wiedziałam co nieco na ten temat, ale mimo wszystko broń dodawała mi otuchy. Bądź co bądź, zawsze mogłam zastrzelić Enza. Ale coś mi mówiło, że w razie gdyby ten stwór wydostał się na wolność, Enzo znalazłby się w takim samym niebezpieczeństwie jak ja.

- Musimy już iść - powiedział.

Nie potrafiłam odgadnąć wyrazu jego twarzy. Równie dobrze mogliśmy iść teraz na zakupy. Wydawał się pozbawiony wszelkich uczuć i nienawidziłam go za to. Skoro ja jestem przerażona, to chciałabym, żeby wszyscy inni odczuwali to samo. Zerknęłam na rzekomo otwarte drzwi po mojej lewej stronie. Musiałam wiedzieć. Otworzyłam je. Pokój miał rozmiary więziennej celi, dwa czterdzieści na metr dwadzieścia. Betonowa podłoga i bielone ściany. Pomieszczenie było całkiem puste. Zupełnie jakby czekało na kolejnego mieszkańca. Enzo zatrzasnął drzwi. Nie próbowałam go powstrzymać. Nie warto. Gdybym musiała podjąć walkę z kimś, kto ważył o dobre pięćdziesiąt kilo więcej ode mnie, wybrałabym inne miejsce i bardziej sprzyjające okoliczności. Poza tym pusty pokój to nie powód, aby wchodzić z kimś w zwadę. Enzo oparł się o drzwi. W silnym świetle dostrzegłam, że jego twarz była zlana potem.

- Nie próbuj otwierać innych drzwi, seniorita. To mogłoby być niebezpieczne.

Skinęłam głową.

- Jasne. Nie ma sprawy. - Pusty pokój, a ten facet był spocony. Miło wiedzieć, że coś było go w stanie przerazić. Ale dlaczego ten pokój, a nie drugi, w którym kryła się kwiląca istota? Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie.

- Musimy dogonić Senorę. - Wykonał zamaszysty gest, jak szef sali polecający mi miejsce. Ruszyłam we wskazanym kierunku. No bo w sumie dokąd miałabym pójść?

Korytarz przechodził w duże, czworokątne pomieszczenie. Było pomalowane na biało, jak spenetrowana przeze mnie cela. Bieloną podłogę pokrywały jasnoczerwone i czarne symbole. Nazywana je veuve. To symbole rysowane w sanktuarium voodoo w celu przywołania loa, bóstw voodoo. Symbole były jak ściany wyznaczające ścieżkę. Wiodły do ołtarza. Schodząc ze ścieżki, zniszczyłabym te starannie nakreślone znaki. Nie wiedziałabym, czy byłoby to dobrze, czy źle. Reguła numer 369 - jeśli masz do czynienia z nieznaną magią, w przypadku jakichkolwiek wątpliwości daj temu spokój.

Tak też zrobiłam.

Na drugim końcu pomieszczenia płonęły świece. Silne, ciepłe światło migotało i wypełniało białe ściany żarem i jasnością. Dominga stała pośród tej światłości, tej bieli i cała pałała złem. Nie potrafiłam inaczej tego nazwać. Była zła do szpiku kości. Zła aura otaczała ją niczym płynny, namacalny mrok. Uśmiechnięta staruszka znikła. Pojawiła się istota mocy. Manny stanął nieco z boku. Patrzył na nią. Zerknął na mnie. Oczy nieomal wychodziły mu z orbit. Ołtarz znajdował się niemal dokładnie za plecami Domingi. Martwe zwierzęta, które z niego spadły, walały się po podłodze. Kurczaki, psy, prosię, dwie kozy. Strzępy sierści i kałuże zaschniętej krwi. Ołtarz wyglądał jak fontanna, z której gęstą, leniwą strugą wypływały martwe zwierzęta. Ofiary były świeże. Nie czułam woni rozkładu. Koza gapiała się na mnie szklistymi, niewidzącymi oczami. Nie lubiłam zabijać kóz. Zawsze wydawały mi się bystrzejsze od kurcząt. A może to była tylko moja opinia.

Po prawej stronie ołtarza stała wysoka kobieta. Jej skóra wydawała się lśnić czernią w blasku świec, jakby wyrzeźbiono ją z ciężkiego, lśniącego drewna. Starannie ułożone, niezbyt długie włosy opadały jej na ramiona. Szerokie kości policzkowe, pełne usta, wprawny makijaż. Nosila długą, jedwabistą suknię, szkarłatną, w barwie świeżej krwi. Pasowała do jej szminki.

Po prawej stronie ołtarza stał zombi. Był niegdyś kobietą. Długie brązowe włosy sięgały jej nieomal do pasa. Ktoś wyczesał je aż do połysku. U trupa zawsze żywe wydają się tylko włosy. Skóra nabrała szarego odcienia. Ciało na kościach wyschło i zwiotczało. Mięśnie poruszające się pod cienką, gnijącą skórą, przypominały wychudzone robaki. Nosa prawie nie było, przez co oblicze wydawało się niedokończone. Purpurowa suknia zwieszała się luźno na wychudzonym, kościstym ciele. Twarz nosila nawet ślady nałożonego makijażu. Ze szminki zrezygnowano, jako że wargi skurczyły się i pomarszczyły, ale wybałuszone oczy podkreślono tuszem i cieniami. Przełknęłam mocno ślinę i odwróciłam się, by spojrzeć na pierwszą kobietę.

Była żywym trupem. Jednym z najlepiej zachowanych i sprawiających wrażenie żywych, jakie kiedykolwiek widziałam, ale niezależnie od tego, jak dobrze się prezentowała, była martwa. Ta kobieta zombi spojrzała na mnie. Miała coś w tych doskonałych brązowych oczach, czego nie posiadają starsze zombi. Wspomnienie tego, kim i czym były, zacierało się w przeciągu kilku dni, a niekiedy nawet godzin. Ale ta zombi bała się. W jej oczach malował się niepohamowany strach. Zombi nie mają takich oczu.

Odwróciłam się ku bardziej podniszczonej kobiecie zombi i stwierdziłam, że ona także na mnie patrzy. Gapiła się na mnie wybałuszonymi oczami. Choć nie miała już prawie tkanek na policzkach i trudniej było jej wyrażać emocje, dokonała tego. Widziałam, że była przerażona.

Cholera.

Dominga skinęła głową, a Enzo zaprosił mnie gestem w głąb kręgu. Nie chciałam tam wejść.

- Co się tu dzieje, Domingo?

- Nie przywykłam do takiej arogancji. - Uśmiechnęła się, prawie się zaśmiała.

- To lepiej przywyknij - odparowałam. Czułam na plecach oddech Enzo. Starłam się go zignorować. Prawą rękę przesunęłam jakby od niechcenia w stronę broni, ale zrobiłam to tak, by nikt nie zorientował się, że sięgam po spluwę. To nie było proste. Zwykle, gdy sięgasz po broń, wygląda to jednoznacznie. Ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Punkt dla mnie.

- Co zrobiłaś tym dwóm zombi?

- Przyjrzyj się im, chica. Jeśli jesteś tak potężna, jak mówią, sama odpowiesz sobie na to pytanie.

- A jeśli mi się nie uda? - spytałam.

Uśmiechnęła się, ale jej oczy były płaskie i czarne jak u rekina.

- W takim przypadku przekonam się, że nie jesteś tak silna, jak o tobie mówią.

- Czy to już ten sprawdzian?

- Być może.

Westchnęłam. Królowa voodoo chciała sprawdzić, jak bardzo jestem twarda. Po co? Może nie miała żadnego konkretnego powodu. Może była jedynie sadystyczną, spragnioną władzy suką. Tak, w to akurat byłabym w stanie uwierzyć. A może cała ta szopka miała jakiś głębszy sens. Jeśli tak, to na razie nie zdołałam go rozgryźć. Spojrzałam na Manny'ego. Prawie niedostrzegalnie wzruszył ramionami. On także nie wiedział, co się dzieje. Pięknie.

Nie miałam ochoty brać udziału w grze Domingi, zwłaszcza że nie znałam reguł. Zombi wciąż na mnie patrzyły. Było coś w ich oczach. Strach - i jeszcze coś gorszego - nadzieja.

Cholera. Zombi nie znają nadziei. Nie mają żadnych emocji. Są martwe. Te nie były.

Musiałam wiedzieć. Miejmy nadzieję, że przez swoją ciekawość nie trafię do piekła.

Ominęłam ostrożnie Domingę, obserwując ją kątem oka. Enzo z tyłu za mną blokował przejście pomiędzy veuve. Wydawał się niewzruszony jak góra, ale gdybym bardzo się postarała, zmiotłabym go z drogi. W najgorszym razie zabiłabym go. Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Trawiona rozkładem kobieta zombi patrzyła na mnie. Była wysoka, miała z metr osiemdziesiąt wzrostu. Spod czerwonej sukni wyzierały chude, kościste nogi. Wysoka, szczupła kobieta, zapewne niegdyś bardzo piękna. Oczy nieomal wylewające się z pozbawionych skóry orbit. Każdemu ruchowi towarzyszył wilgotny, chlupoczący dźwięk. Gdy usłyszałam go po raz pierwszy, myślałam, że zwymiotuję. Ten dźwięk to odgłos gałek ocznych poruszających się w gnijących oczodołach. Ale to było cztery lata temu, gdy dopiero zaczynałam pracować w tym fachu. Gnijące ciało już mnie nie wzrusza ani nie wywołuje torsji. Okrzełam. Oczy były jasnobrązowe, z domieszką zieleni. Martwą kobietę otaczała woń jakichś drogich perfum. Słodki kwiatowy zapach, skrywający pod nim woń gnijącego ciała. Zakręciło mnie w nosie i zaczęło drapać w gardle. Gdy następnym razem poczuję ten delikatny aromat drogich perfum, skojarzy mi się on z gnijącym ciałem. Ale na szczęście te perfumy były za drogie, abym mogła je sobie kupić.

Wgapiła się we mnie. Nie: "to". Ona wgapiła się we mnie. W jej oczach kryła się osobowość. Zwykle traktuję zombi bezosobowo, bo tak jest łatwiej. Może i wylaniają się z grobów, sprawiając wrażenie żywych, ale nie trwa to długo. Zombi gniją. Najpierw tracą osobowość i inteligencję, potem ciało. Taka jest kolej rzeczy. Bóg nie jest na tyle okrutny, by pozostawić komuś świadomość w ciele trawionym zgnilizną. W przypadku tego trupa coś było nie tak.

Ominęłam Domingę Salvador. Z jakiegoś bliżej niesprecyzowanego powodu starałam się trzymać poza jej zasięgiem. Nie miała broni, byłam o tym przekonana. Ale była groźna, choć inaczej niż osoba uzbrojona w nóż czy pistolet. Po prostu nie chciałam, aby mnie dotknęła, choćby przez przypadek.

Kobieta zombi po lewej była doskonała. Ani śladu rozkładu. Oczy wydawały się żywe i bystre. Boże, dopomóż nam. Mogłyby nawet uchodzić za człowieka. Skąd wiedziałam, że była martwa? Nie wychwycałam typowych oznak, ale na pierwszy rzut oka potrafię rozpoznać nieboszczyka. Tyle tylko, że... Spojrzałam na drugą kobietę. Odnalazła moje spojrzenie. Miała piękne, ciemne oblicze. I oczy przepełnione trwogą. Moc, która pozwalała mi ożywiać zmarłych, czymkolwiek była, podpowiadała mi, że to zombi, ale sądząc po wyglądzie, nie potrafiłam tego stwierdzić. Jeśli Dominga umiała ożywiać takie zombi, załatwiłaby mnie jedną ręką.

Ja musiałam odczekać trzy dni, aż ożywiałam jakiegoś trupa. W ten sposób dawałam duszy czas, aby opuściła cielesną powłokę. Zwykle dusza pozostaje w niej trochę dłużej.

Przeciętnie trzy dni. Gdy dusza wciąż tkwi w ciele, nie jestem go w stanie przywołać. Teorie głoszą, że gdyby jakiś animator zdołał utrzymać duszę w przywoływanym z grobu ciele, mielibyśmy do czynienia ze zmartwychwstaniem. Wiecie, o czym mówię. Choćby o wskrzeszeniu Łazarza przez Jezusa. Nie wierzyłam w tę teorię. A może po prostu znałam granice moich możliwości.

Spojrzałam na zombi i zrozumiałam, na czym polegała różnica. W ciele wciąż tkwiła dusza. Dusze były w obu tych ciałach. Jak? Jak, na Boga, zdołała tego dokonać?

- Dusze. W tych ciałach nadal są dusze - odparłam z odrazą. Po co miałam to ukrywać?

- Doskonale, chica.

Podeszłam, by stanąć na lewo od niej, mając Enzo w zasięgu wzroku.

- Jak to zrobiłaś?

- Dusza została pochwycona w chwili, gdy opuściła ciało.

- To niczego nie wyjaśnia. - Pokręciłam głową.

- Nie wiesz, jak się łapie dusze do butelki?

Dusze w butelce? Chyba żartowała. Nie, jednak nie.

- Nie mam pojęcia. - Mówiąc to, starałam się zachować obojętny ton.

- Tak wiele mogłabym cię nauczyć, Anito. Tak wiele.

- Dzięki, ale nie - odparłam. - Pochwyciłaś ich dusze, po czym ożywiłaś ciała i na powrót umieściłaś w nich dusze. - To były tylko przypuszczenia, ale podejrzewałam, że słuszne.

- Doskonale. Tak właśnie było. - Spojrzała na mnie nieprzyjemnym, świdrującym wzrokiem. Jej puste, czarne oczy taksowały runie bezlitośnie.

- Ale dlaczego drugi zombi gnije? Zgodnie z teorią, jeśli dusza tkwi w ciele, zombi nie powinien podlegać procesowi rozkładu?

- To już nie jest teoria. Potwierdziłam ją w praktyce - odparła..

Spojrzałam na gnijącego trupa i on także odpowiedział spojrzeniem.

- Wobec tego czemu ten trup gnije, a tamten nie?

Ot, luźna rozmowa dwóch nekromantek. Powiedz, czy ożywisz trupy tylko podczas nowiu?

- Dusza może zostać umieszczona w ciele i ponownie z niego wyjęta tak często, jak tylko zechcę.

Spojrzałam na Domingę Salvador. Starałam się zachować pokerowe oblicze, co wcale nie było proste. Byłam przerażona. Dominga cieszyła się, przyprawiając mnie o trwogę. Nie chciałam dać jej tej przyjemności, niezależnie od przyczyny.

- Poczekaj, bo nie wiem, czy dobrze zrozumiałam - rzekłam spokojnym, rzeczowym tonem. - Umieszczasz duszę w ciele i ono nie gnije. Następnie wyjmujesz duszę z ciała, czyniąc je zwykłym, trawionym przez rozkład zombi.

- Otóż to - przyznała.

- Potem na powrót umieszczasz duszę w gnijącym ciele, a zombi znów jest żywy i wszystko czuje. Czy proces rozkładu zostaje powstrzymany, gdy dusza trafia do ciała?

- Tak.

Cholera.

- Dzięki temu możesz utrzymać gnijącego zombi w nieskończoność?

- Tak. Cholera jasna.

- A co z tym? - Wskazałam na drugą kobietę.

- Wielu ludzi zapłaciłoby za nią krocie.

- Chwileczkę, masz na myśli "niewolnicę seksualną"?

- Może.

- Ale... - Ta myśl była nazbyt potworna. Przecież to był trup, czyli nie musiał jeść, spać, nie potrzebował niczego. Można było trzymać ją w szafie albo w składziku jak zabawkę.
Doskonale posłuszna niewolnica.
- Czy są posłuszne jak zwykle zombi, czy może dusza przydaje im wolnej woli?
- Wydają się posłuszne.
- Może dlatego, że się ciebie boją - zasugerowałam.
- Być może. - Uśmiechnęła się.
- Nie możesz więzić dusz w powłoce cielesnej w nieskończoność.
- Nie mogę - przyznała.
- Dusza musi odejść.
- Do twego chrześcijańskiego nieba albo piekła?
- Tak - odparłam.
- To były złe, plugawe kobiety, chica. Oddały mi je ich własne rodziny. Zapłacono mi, abym je ukarała.
- Przyjąłś za to pieniądze?
- Nie wolno manipulować martwymi ciałami bez zezwolenia ich rodzin - stwierdziła.
Nie wiem, czy chciała mnie przestraszyć. Możliwe, że nie. Ale tym jednym stwierdzeniem uświadomiła mi, że to, co robiła, było w stu procentach legalne. Umarli nie mieli żadnych praw. To dlatego musieliśmy ustanowić prawa, aby chronić zombi. Cholera.
- Nikt nie zasługuje, aby wegetować po wsze czasy w martwym ciele - rzekłam.
- Mogłybyśmy potraktować w ten sposób przestępców oczekujących w celi śmierci, chica. Mogliby służyć społeczeństwu po śmierci.
- Nie. To nie w porządku. - Pokręciłam głową.
- Stworzyłam zombi, które nie gniją, chica. Animatorzy, tak siebie nazywają, o ile mnie pamięć nie myli, od lat usiłowali zgłębić tę tajemnicę. Ja ją posiadałam, a ludzie są gotowi za nią zapłacić.
- To nie w porządku. Może nie znam się za bardzo na voodoo, ale nawet wśród twoich współwyznawców to jest złe. Jak możesz więzić ludzkie dusze, nie pozwalając im pójść dalej i połączyć się z loa?
- Wzruszyła ramionami i westchnęła. Nagle wydała mi się zmęczona.
- Miałam nadzieję, chica, że mi pomożesz. Gdybyśmy współpracowały, mogłybyśmy pracować dwa razy szybciej. Stworzyłybyśmy więcej zombi. I zdobyłybyśmy niewiarygodną fortunę.
- Trafiłaś pod niewłaściwy adres.
- Tak, teraz już to zrozumiałam. Miałam nadzieję, że nie będąc wyznawczynią voodoo, nie postrzegasz tego jako zła.
- Chrześcijanin., buddysta, muzułmanin czy wyznawca jakiegokolwiek innej religii uzna to, co robisz, Domingo, za złe.
- Może tak, może nie. Nie zaszkodziło zapytać.
- Spojrzałam na gnijącego trupa.

- Przynajmniej uwolnij obiekt swych wczesnych eksperymentów od dalszych mąk.
- Robi piorunujące wrażenie, prawda? - Dominga spojrziała na zombi.
- Stworzyłaś zombi, które nie podlegają rozkładowi. Doskonale. Ale nie bądź sadystką.
- Uważasz, że jestem okrutna?
- Taa - mruknęłam.

- Manuelu, czy jestem okrutna?

Manny odpowiedział, patrząc na mnie. Jego wzrok starał się coś mi powiedzieć. Nie potrafiłam tego rozpoznać.

- Tak, Senora, jesteś okrutna.

Spojrziała na niego, odwracając się płynnym, kocim ruchem.

- Naprawdę uważasz, że jestem okrutna, Manuelu? Twoja ukochana amantę?

- Tak. - Powoli pokiwał głową.

- Kilka lat temu nie podejmowałaś tak pochopnych osądów, Manuelu. Zabiłaś dla mnie białą kozę i zrobiłaś to niejedną raz.

Odwróciłam się do Manny'ego.

Wyglądało to trochę jak w filmie, w którym główny bohater dowiaduje się czegoś znaczącego o bliskiej mu osobie. Stwierdzeniu, że jeden z twoich przyjaciół zabił człowieka, by złożyć go w ofierze, powinna towarzyszyć nastrojowa muzyka i ostre ujęcia kamery. Zabił człowieka. I zrobił to niejedną raz, tak powiedziała. Niejedną raz.

- Manny? - Mój głos zabrzmiał jak ochryply szept. W moim mniemaniu to było gorsze niż te zombi. Do diabła z nieznanymi. To przecież Manny. To nie mogła być prawda. - Manny? - powtórzyłam. Nie spojrział na mnie. Zły znak.

- Nie wiedziałaś, chica? Manny nie opowiadał ci o swej przeszłości? - spytała Dominga.

- Zamknij się - warknęłam.

- Był moim najcenniejszym pomocnikiem. Zrobiłby dla mnie wszystko.

- Zamknij się! - wrzasnęłam na nią. Zamilkła, jej oblicze przepełniło się wściekłością. Enzo postąpił dwa kroki w stronę ołtarza.

- Nie. - Nie byłam pewna, do kogo to mówię. - Muszę usłyszeć to od niego, nie od ciebie.

Gniew wciąż malował się na jej twarzy. Enzo sprężył się do skoku jak lampart, który dostrzegł bezbronną ofiarę. Dominga skinęła głową.

- Wobec tego zapytaj go, chica.

- Manny, czy to, co ona powiedziała, jest prawdą? Czy składałaś ofiary z ludzi? - mój głos brzmiał dziwnie normalnie. A nie powinien. Poczułam nieprzyjemny, bolesny wręcz ucisk w żołądku. Już się nie bałam, w każdym razie nie Domingi. Prawdy, lękałam się prawdy. Uniósł wzrok. Włosy opadły mu na oczy. W tych oczach dostrzegłam ból. I zgrozę. - To prawda, zgadza się? - Moja skóra wydawała się lodowata. - Odpowiedz, do cholery. - Głos wciąż miałam spokojny i rzeczowy.

- Tak - odparł.

- Tak, składałaś ofiary z ludzi?

Spojrział: na mnie, gniew pozwolił mu wytrzymać siłę mojego wzroku.

- Tak! Tak!

- Boże, Manny, jak mogłeś? - Tym razem to ja spuściłam wzrok.

Mój głos wydawał się cichy, ale nie zwyczajny. Gdybym siebie nie znała, powiedziałabym, że byłam bliska łez.

- To było prawie dwadzieścia lat temu, Anito. Byłem wyznawcą voodoo i nekromantą. Uwierzyłem. Kochałem Senorę. Tak mi się zdawało.

Spojrzałam na niego. Wyraz jego twarzy sprawił, że coś ścisnęło mnie w gardle.

- Manny, niech cię szlag. - Nie odpowiedział. Stał tam, żalony i zdruzgotany. Nie potrafiłam wyobrazić sobie tych dwóch wizerunków. Manny Rodriguez i ktoś, kto składał ofiary z ludzi.

To przecież on nauczył mnie odróżniać w tym fachu dobro od zła. Odmówił wykonywania wielu rzeczy. I nie były one nawet w połowie tak straszne jak zabicie białej kozy. To bez

sensu. Pokręciłam głową. - Nie potrafię teraz o tym rozmawiać. - Powiedziałam to na głos, choć wcale tego nie chciałam. Nie umiem się z tym pogodzić. - Świetnie, wyjęłaś swego asa z rękawa, Senora - ciągnęłam. - Powiedziałas, że pomożesz nam, jeśli przejdę twój mały

test. Zdałam? - Gdy masz wątpliwości, skup się na jednym konkretnym problemie na raz.

- Zamierzałam zaproponować ci współdziałanie w moim nowym, rozkręcanym właśnie interesie.

- Obie wiemy, że na to nie pójdę - stwierdziłam.

- Szkoda, Anito. Po przeszkoleniu mogłabyś dysponować mocą niemal dorównującą mojej. Dorosnąć, by stać się kimś takim jak ona. Nie, dziękuję.

- Wielkie dzięki, ale pozostanę przy tym, na czym się znam. Jest dobrze tak, jak jest.

- Jest dobrze? - Zerknęła na Manny'ego i na mnie.

- Manny i ja jakoś się dogadamy. Ale wróćmy do rzeczy, Senora, pomożesz nam czy nie?

- Jeśli pomogę ci, a ty nie zechcesz wspomóc mojej małej inwestycji, będziesz mi winna przysługę.

Nie chciałam mieć wobec niej długów.

- Wolałabym raczej wymianę informacji.

- Co mogłabyś mi zaoferować w zamian za trud włożony przeze mnie w polowanie na twojego zabójczego zombi?

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę.

- Wiem, że prowadzone są obecnie prace nad ustawą regulującą prawa zombi. Żywe trupy otrzymają niebawem należne im prawa. To kwestia niedalekiej przyszłości. - Miałam nadzieję, że stanie się to już niebawem. Nie musiałam mówić jej, że prace legislacyjne rozpoczęły się całkiem niedawno.

- W takim razie muszę sprzedać parę nie gnijących zombi możliwie jak najszybciej, zanim staną się one nielegalne.

- Nie sądziłam, że przejmujesz się, czy coś jest, czy nie jest legalne. Składanie ofiar z ludzi także jest nielegalne.

- Już się tym nie param, Anito. Zeszłam z drogi zła i występku.. - Uśmiechnęła się pod nosem. Nie uwierzyłam jej, i ona to wyczuła. Uśmiech poszerzył się. - Kiedy Manuel

odszedł, zaprzestałam praktykowania czarnej magii. Bez jego podszeptów stałam się szanowanym bokorem. - Kłamała, ale nie byłam w stanie tego udowodnić.

- Przekazałam ci istotną informację. Czy teraz mi pomożesz?

- Popytam wśród moich wyznawców i dowiem się, czy ktoś z nich wie coś na temat zabójczego zombi. - Skinęła mocno głową

Miałam, wrażenie, że w ciszy śmiała się ze mnie.

- Manny, czy ona nam pomoże?

- Skoro Senora tak powiedziała, to znaczy, że tak będzie. Pod tym względem można jej zaufać.

- Odnajdę twojego zabójcę, jeśli ma on cokolwiek wspólnego z voodoo - rzekła.

- Doskonale. - Nie powiedziałam dziękuję, bo jakoś mi to nie pasowało. Miałam ochotę wyzwąć ją od najgorszych i wpakować kulkę między oczy, ale wówczas musiałabym też kropnąć Enzo. A jak wytłumaczyłabym to glinom? Przecież nie złamała prawa. Cholera. - Przypuszczam, że nawet gdybym próbowała przemówić do lepszej strony twojej natury i tak nie zrezygnujesz ze swoich planów stworzenia, nowych, usprawnionych zombi w celu wykorzystania ich jako niewolników?

- Chica, chica, dzięki temu będę niewyobrażalnie bogata. Możesz odmówić współpracy ze mną, ale nie zdołasz mnie powstrzymać. - Uśmiechnęła się.

- Z tym bym się spierała - zaproponowałam.

- Co zrobisz, pójdziesz na policję? Nie łamię prawa. Aby mnie powstrzymać, musiałabyś mnie zabić. - Mówiąc to, spojrzała mi prosto w oczy.

- Nie kuś mnie.

- Nie rób tego, Anito. Nie rzucaj jej wyzwania. - Manny odszedł i stanął obok mnie.

Na niego też byłam wściekła, więc było mi wszystko jedno.

- Powstrzymam cię, Senora. Za wszelką cenę. Niezależnie, ile miałoby mnie to kosztować.

- Przywołujesz przeciwko mnie zabójczą magię, Anito, ale to ty umrzesz.

Nie miałam pojęcia o zabójczej magii. Wzruszyłam ramionami.

- Myślałam o czymś bardziej pospolitym w rodzaju kuli dziewiątki.

Enzo w mgnieniu oka znalazł się przy ołtarzu, zasłaniając szefową własnym ciałem.

Dominga powstrzymała go.

- Nie, Enzo, ona jest dziś zdenerwowana i wstrząśnięta. - Jej oczy wciąż śmiały się do mnie.

- Ona nie ma bladego pojęcia o wyższej magii. Nie może mnie skrzywdzić, a wiara i przekonania nie pozwolą jej zabić mnie z zimną krwią.

Najgorsze było to, że miała rację. Nie mogłam, ot tak, wpakować jej kulki między oczy, dopóki nie spróbuje mi zagrozić. Spojrzałam na czekające zombi, cierpliwe jak trupy, ale pod tą niekończącą się cierpliwością kryły się strach, nadzieja i... Boże, granica między życiem i śmiercią z każdym dniem stawała się coraz cieńsza.

- Złóż przynajmniej na spoczynek ofiarę twego pierwszego eksperymentu. Udowodniłaś, że wielokrotnie możesz wyjmować duszę z ciała i na powrót ją w nim umieszczać. Oszczędź jej dalszych cierpień.

- Ale, Anito, mam już na nią kupca.
 - Jezu... ty chyba nie chcesz... Boże, to jakiś nekrofil.
 - Ci, co kochają zmarłych bardziej niż ty czy ja, są gotowi zapłacić krocie za kogoś takiego jak ona.
 - Jesteś amoralną suką bez serca. - Może jednak mogłam ją zastrzelić.
 - A ty, chica, powinnaś nauczyć się szacunku dla starszych.
 - Na szacunek: trzeba sobie zasłużyć - odparłam.
 - Sądzę, Anito Blake, że przydałoby się przypomnieć ci, dlaczego ludzie lękają się ciemności. Już wkrótce za moją sprawą do twego okna zawita pewien gość. Którejś ciemnej nocy, gdy będziesz smacznie spać w swoim łóżku, do twego pokoju zakradnie się coś naprawdę złego. Zasłużę sobie na twój szacunek, skoro tak musi być. Powinnaś się bać, ale nie czułam strachu. Byłam wściekła i chciałam, pójść do domu.
 - Możesz zmusić ludzi, aby się ciebie bali, Senora, ale nie zmusisz ich, aby cię szanowali.
 - To się okaże, Anito. Skontaktuj się ze mną, gdy otrzymasz mój podarunek. To się stanie niebawem.
 - Czy nadal pomożesz mi odnaleźć zabójczego zombi?
 - Obiecałam, że tak będzie i słowa dotrzymam.
 - Świetnie - mruknęłam. - Czy możemy już iść?
- Przywołała do siebie Enza.
- Ależ oczywiście, biegnijcie na zewnątrz, ku słonecznemu światłu, gdzie będziesz mogła nadal szpanować odwagą.
- Ruszyłam w stronę ścieżki. Manny był tuż przy mnie. Unikaliśmy nawzajem swego wzroku. Byliśmy zbyt zajęci obserwowaniem Senory i jej pupilek. Przystanęłam, dotarłszy do ścieżki. Manny lekko dotknął mego ramienia, jakby wiedział, co zaraz powiem. Zignorowałam go.
- Może i nie jestem w stanie zabić cię z zimną krwią, ale jeśli skrzywdzisz mnie pierwsza, obiecuję, że pewnego słonecznego dnia poczęstuję cię kulką.
 - Groźby cię nie ochronią, chica - wycodziła.
 - Ciebie również, suko! - Uśmiechnęłam się słodko.
- Jej oblicze spochmurniało z wściekłości. Uśmiechnęłam się szerzej.
- Ona wcale tak nie myśli, Senora - wtrącił Manny. - Nie zabije cię.
 - Czy to prawda, chica? - warknęła groźnie, ten dźwięk był przyjemny i przerażający zarazem.
- Łypnęłam na Manny'ego spode łba. To była dobra groźba. Nie lubię osłabiać jej zdroworozsądkowym rozumowaniem czy też prawdą.
- Nie mówiłam, że cię zabiję, a jedynie że poczęstuję cię kulką. I wciąż tego nie powiedziałaś, prawda?
 - Jak najbardziej.
- Manny złapał mnie za ramię i zaczął ciągnąć w kierunku schodów. Szarpał za lewą rękę, pozostawiając mi prawą wolną, abym w razie potrzeby mogła sięgnąć po broń. Tak na wszelki wypadek.

Dominga nawet nie drgnęła. Odprowadzała mnie wzrokiem, dopóki nie zniknęliśmy za załomem. Manny zawłókł mnie do korytarza z zamurowanymi drzwiami. Wyrwałam mu się. Patrzyliśmy na siebie nawzajem przez krótką chwilę.

- Co jest za tymi drzwiami? - spytałam.

- Nie wiem - odparł. Na mojej twarzy musiało odmalować się powątpiewanie, bo powiedział: - Bóg mi świadkiem, Anito, że nie wiem. Dwadzieścia lat temu tego tu nie było. - Spojrzałam na niego, jakby mogło to cokolwiek zmienić. Wołałam, aby Dominga Salvador zatrzymała tajemnicę Manny'ego dla siebie. Nie chciałam wiedzieć. - Anito, musimy się stąd wynieść, i to szybko. - Żarówka nad naszymi głowami zgasła jak zdmuchnięta świeca. Oboje spojrzeliśmy w górę. Nic nie zobaczyliśmy. Na moich rękach pojawiła się gęsia skórka. Żarówka przed nami pociemniała i też zgasła.

Manny miał rację. Trzeba było wiać, i to natychmiast. Pognałam w stronę schodów. Manny dzielnie dotrzymywał mi kroku. Drzwi z nową, lśniąca kłódką zatrzęsły się i załomotały, jakby coś, co kryło się za nimi, próbowało się wydostać. Zgasła kolejna żarówka.

Ciemność deptała nam po piętach. Zanim dotarliśmy do schodów, biegliliśmy już co sił w nogach. Zostały jeszcze dwie żarówki. Byliśmy w połowie schodów, kiedy zgasła ostatnia.

Cały świat pograżył się w czerni. Zamarłam w bezruchu, nie chciałam iść dalej w kompletnych ciemnościach. Dłoń Manny'ego musnęła moją, ale nie zobaczyłam go.

Ciemność była nieprzenikniona. Nawet gdybym przyłożyła palec do oczu, nie zdołałabym go dostrzec. Złapaliśmy się za ręce. Jego dłoń nie była większa od mojej. Ciepła i znajoma, dała mi sporo ukojenia. Trzask drewna, który rozległ się w ciemności, był głośny jak wystrzał z dubeltówki. W powietrzu rozeszła się woń gnijącego mięsa.

- Cholera!

To słowo odbiło się gromkim echem wśród ciemności. Żałowałam, że to powiedziałam. Do korytarza wtoczyło się coś wielkiego. To nie mogło być tak olbrzymie, jak można by sądzić po dźwiękach. W stronę schodów zbliżały się dziwnie wilgotne, młazszczące odgłosy i podejrzanе szuranie. Tak mi się przynajmniej wydawało. Pokonałam kolejne dwa stopnie. Manny'ego nie trzeba było ponaglać. Brnęliśmy poprzez ciemność, a dźwięki z dołu rozlegały się coraz donośniej i gwałtowniej. Światło pod drzwiami było tak jasne, że prawie raziło oczy. Manny silnym pchnięciem otworzył drzwi na oścież. Słońce oślepiło mnie. Zresztą nie tylko mnie. Manny'ego także.

Coś z tyłu za nami wrzasnęło, pochwycone na granicy światła i ciemności. Krzyk brzmiał prawie jak ludzki. Zaczęłam się odwracać, aby spojrzeć. Manny zatrzasnął drzwi. Pokręcił: głową.

- Nie chcesz tego zobaczyć. Ani ja nie chcę tego oglądać.

Miał rację. Czemu więc miałam tak wielką ochotę otworzyć szarpnięciem drzwi i zajrzeć w tę ciemność, aby ujrzeć coś bladego i bezkształtnego? Sylwetkę jak z najgorszego nocnego koszmaru. Spojrzałam na zamknięte drzwi i dałam sobie spokój.

- Sądzisz, że to wyjdzie za nami? - spytałam.

- Na zewnątrz? W biały dzień? - rzucił Manny.

- Tak.

- Nie sędzę. Wolę nie wiedzieć. Zmywajmy się stąd.

Byłam tego samego zdania. Promienie sierpniowego słońca wpadały do pokoju. Były takie ciepłe i realne. Ten wrzask, mrok, zombi i cała reszta nie pasowały do tego słonecznego tła. Wydawały się nierzeczywiste. Kto widział potwora szwendającego się za dnia? Nie. To mi jakoś nie pasowało.

Powoli, spokojnie otworzyłam siatkowe drzwi. Panika? Nie ze mną te numery. Ale wciąż słyszałam szum krwi w uszach. Wytężałam słuch. Nasłuchiwałam wilgotnych, osobliwych odgłosów oznaczających nadchodzący pościg. Nic. Cisza.

Antonio wciąż pełnił wartę na ganku. Czy powinnam go ostrzec, że lada moment z piwnicy może wyłonić się depczące nam po piętach monstrum, jakby żywcem wyjęte z któregoś z opowiadań H.P. Lovecrafta?

- I co, pieprzyliście się tam na dole z truposzami? - spytał Antonio.

To tyle, jeśli chodzi o ostrzeżenie starego, dobrego Tony'ego. Manny zignorował go.

- Sam się pierdol - warknęłam.

Zeszłam po stopniach ganku. Manny szedł za mną krok w krok. Antonio nie wyciągnął spluwy i nie poczęstował nas ołowiem. Dzień zapowiadał się udanie. Dziewczynka na trójkołowym rowerku zatrzymała się przy aucie Manny'ego. Spojrzała na mnie, gdy zajęłam miejsce na fotelu pasażera. Wejrzałam w jej wielkie, brązowe oczy. Miała mocno opaloną buzię. Nie mogła mieć więcej niż pięć lat. Manny wślizgnął się za kierownicę. Uruchoił wóz i wrzucił bieg. Ruszyliśmy. Dziewczynka i ja wciąż patrzyłyśmy na siebie nawzajem. Gdy nasz wóz miał zniknąć za rogiem, ponownie zaczęła pedałować, krążąc w tę i z powrotem po chodniku.

7

Urządzenie klimatyzacyjne wypełniło wnętrze auta zimnym powietrzem. Manny jechał przez dzielnicę willową. Większość podjazdów świeciła pustkami. Ludzie pojechali do pracy. Na podwórkach bawiły się dzieci. Przed kilkoma domami krzątały się matki. Ojców nigdzie nie zauważyłam. Może wiele rzeczy się zmienia, ale nie aż do tego stopnia. W aucie panowała nieprzyjemna cisza. Ta cisza przedłużała się. Manny zerknął na mnie ukradkiem.

Rozsiadłam się na fotelu pasażera, pas bezpieczeństwa ukośnie blokował mi dostęp do pistoletu.

- A więc - odezwałam się - zdarzało ci się dokonywać ofiar z ludzi.

- Chcesz, abym skłamał? - Chyba się wzdrygnął.

- Nie. Wolę nie wiedzieć. Nie ma to, jak błoga ignorancja.

- To nie tak, Anito - powiedział.

- Domyślam się, że nie - mruknęłam. Poprawiłam pas, aby nie blokował mi dostępu do broni. Ech, wygoda. Gdyby wszystko można było załatwić w równie prosty sposób. - I co z tym zrobimy?

- Chodzi ci o to, czego się dowiedziałas? - Spojrzał na mnie. Skinęłam głową. - Nie zamierzasz mnie skrytykować i złać? Nie powiesz, jaki ze mnie bezlitosny drań i morderca?

- To mija się z celem - odparłam.

- Dzięki. - Przyglądał mi się nieco dłużej.

- Nie mówię, że wszystko w porządku, Manny. Tyle tylko, że nie mam zamiaru na ciebie krzyczeć. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

Minał nas duży, biały wóz, w którym siedziała gromadka śniadoskórych nastolatków. Mieli stereo włączone tak głośno, że od tego hałasu rozboleły mnie zęby. Kierowca, młodzieniec o płaskim obliczu z wydatnymi kośćmi policzkowymi, przypominał postać z azteckich płaskorzeźb. Gdy ich mijaliśmy, nasze spojrzenia spotkały się. Cmoknął wargami, bezgłośnie posyłając mi całusa. Pozostali wybuchnęli gromkim śmiechem. Pohamowałam się przed pokazaniem im wyprostowanego środkowego palca. Takich palantów lepiej nie zachęcać.

Skręcili w prawo. My pojechaliśmy prosto. Ulżyło mi.

Manny zatrzymał samochód przed światłami. Staliśmy jako trzeci. Tuż za skrzyżowaniem był zjazd na Czterdziestą Zachodnią. Pojechaliśmy wzdłuż Dwieście Siedemdziesiątej do Olive, a stamtąd do mnie było już bardzo blisko. W sumie jakieś czterdzieści pięć minut jazdy.

Maksimum godzina. Zwykle to żaden problem. Dziś chciałam już uwolnić się od Manny'ego. Potrzebowałam czasu, aby to wszystko przetrwać. Aby zastanowić się nad tym, co czuję.

- Porozmawiaj ze mną, Anito, proszę - rzekł.

- Szczerze mówiąc, Manny, nie bardzo wiem, co mam powiedzieć. - To była prawda, przyjaciół nie należy okłamywać. No jasne. - Znamy się od czterech lat, Manny. Dobry z ciebie facet, kochasz żonę i dzieci. Ocaliłeś mi życie. I nawzajem. Sądziłam, że cię znam.

- Nie zmieniłem się.

- Owszem, zmieniłeś się - zaproponowałam. - Manny Rodriguez, którego znałam, nigdy, w żadnym wypadku nie posunąłby się do złożenia ludzkiej ofiary.

- To było dwadzieścia lat temu.

- Morderstwa nie ulegają przedawnieniu.

- Wydasz mnie glinom? - zapytał bardzo cichutko.

Światła zmieniły się. Zaczekaliśmy na naszą kolej i włączyliśmy się w ruch uliczny. Jak zawsze rano ulice w St. Louis były zakorkowane. Co prawda tutejszych korków nie można porównać z tymi w Los Angeles, ale jazda w ślimaczym tempie bywa piekielnie denerwująca. Zwłaszcza w taki dzień jak dzisiaj.

- Nie mam dowodów. Jedynie słowa Domingi Salvador. A szczerze mówiąc, nie uznałabym jej za wiarygodnego świadka.

- A gdybyś miała dowód?

- Nie naciskaj mnie, Manny. - Wyrzesałam przez okno. Obok jechała srebrna miada z opuszczonym dachem. Za kierownicą siedział siwowłosy mężczyzna w baseballówce i rajdowych rękawiczkach. Kryzys wieku średniego. - Czy Rosita wie? - zapytałam.

- Podejrzewa, ale nie ma pewności.

- Nie chce wiedzieć - zasugerowałam.

- Chyba nie. - Odwrócił się i spojrzał na mnie.

Tuż przed nami sunęła czerwona półciężarówka ford. Wrzasnęłam.

- Manny! - Dał po hamulcach i tylko pas bezpieczeństwa powstrzymał mnie przed pocałowaniem deski rozdzielczej. - Manny, na miłość Boską, skup się na prowadzeniu auta! Przez kilka sekund patrzył posłusznie przed siebie, aż w końcu, nie odwracając się do mnie, zapytał:

- Powiesz Rosicie?

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Pokręciłam głową, a gdy zorientowałam się, że nie mógł zobaczyć mojego gestu, odparłam:

- Raczej nie. W tym przypadku naprawdę niewiedza jest prawdziwym błogosławieństwem, Manny. Wątpię, czy twoja żona mogłaby żyć ze świadomością tego, co robięś.

- Odeszłyby i zabrała dzieci. - Chyba faktycznie tak by postąpiła. Rosita była osobą bardzo religijną. Przestrzegała wszystkich przykazań z jednakową żarliwością. - I tak już uważa, że ożywiający zmarłych, ryzykuję utratę mojej nieśmiertelnej duszy - rzekł Manny. - Nie była temu przeciwna, dopóki papież nie zagroził ekskomuniką wszystkim animatorom, o ile nie zaprzestaną przywoływać umarłych do życia. - Kościół bardzo wiele znaczy dla Rosity - powiedział.

- Dla mnie również, ale przeszedłam na wyznanie episkopalne. Przynależę teraz do innego Kościoła. Z wiadomych względów.

- To nie takie proste - mruknął.

I nie było. Zdawałam sobie z tego sprawę. Ale cóż, robisz to, co możesz albo to, co musisz.

- Czy mógłbyś mi wyjaśnić, po co składałeś ofiary z ludzi? Mam na myśli wytłumaczenie, które naprawdę byłabym w stanie zrozumieć.

- Nie - odparł. Zjechał na drugi pas. Sunące nim auta posuwały się jakby trochę szybciej. Gdy wjechaliśmy w ten pas, ruch automatycznie zwolnił. Prawo Murphy'ego. Sprawdza się nawet w przypadku korków.

- Nawet nie spróbujesz mi tego wyjaśnić?

- Nie potrafię, Anito. Nie da rady. Żyję ze świadomością tego, co zrobiłem. To wszystko. I to chyba wystarczy.

Miał racje.

- Tak czy owak, to zmienia mój stosunek wobec ciebie, Manny.

- W jakim sensie?

- Jeszcze nie wiem. - Szczerść. Przy zachowaniu niezbędnej ostrożności wciąż mogliśmy być nawzajem wobec siebie szczerzy. - Czy jest coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć? Jakiś as z rękawa, którego Dominga mogłaby kiedyś użyć?

- To było najgorsze. Nic więcej na mnie nie ma. - Pokręcił głową.

- W porządku - mruknęłam.

- W porządku? - Zdziwił się. - Tylko tyle? Nie będzie dalszych pytań? Szczerze mówiąc, spodziewałem się ostrego przesłuchania.

- Nie będzie. Ani teraz, ani być może nigdy. - Nagle poczułam się piekielnie zmęczona. Była dziewiąta dwadzieścia trzy rano i potrzebowałam choćby odrobiny snu. Krótkiej drzemki. Czulałam się wypluta emocjonalnie. - Sama nie wiem, co mam o tym myśleć, Manny. Nie wiem, w jaki sposób wpłynie to na naszą przyjaźń czy dalszą współpracę ani czy w ogóle wywoła to jakiegokolwiek reperkusje. Myślę, że tak. Cholera, jestem kompletnie rozbita. Nic już nie wiem.

- Dzięki za szczerść - stwierdził. - A teraz zajmijmy się czymś znacznie mniej kontrowersyjnym dla nas obojga.

- To znaczy? - zapytałam.

- Senora przyśle do twego okna coś złego, tak jak zapowiedziała.

- Domyślam się.

- Dlaczego jej groziłaś?

- Bo jej nie lubię.

- Świetnie, po prostu świetnie - mruknął. - Czemu o tym nie pomyślałem?

- Zamierzam ją powstrzymać, Manny. Uznałam, że powinna o tym wiedzieć.

- Nigdy nie zdradzaj łotrom swoich planów, Anito. W ten sposób zyskują nad tobą przewagę. Przecież cię tego uczyłem. Czyżbyś już wszystko zapomniała?

- Uczyłeś mnie też, że ofiara z człowieka to nic innego, jak zwykłe morderstwo.

- Umiesz trafić w czuły punkt - stwierdził.

- Nie tylko ja - odparłam.

- Musisz być przygotowana, Anito. Ona wyśle coś po ciebie. Będzie cię chciała nastraszyć. Wątpię, aby zamierzała naprawdę cię skrzywdzić.

- Dlatego że zmusiłeś mnie, abym przyznała, iż tak naprawdę wcale nie zamierzałam jej zabić? - spytałam.

- Nie. Dlatego że ona nie wierzy, abyś była w stanie ją zabić. Intrygują ją twoje moce. Podejrzewam, że zamiast zabić, wołałaby przeciągnąć cię na swoją stronę.

- Chce, abym przyłączyła się do jej małej spółki i wraz z nią ożywiła umarłych.

- Tak.

- Po moim trupie.

- Senora nie lubi, gdy się jej odmawia.

- To jej problem, a nie mój.

Spojrzał na mnie, ale zaraz znów skierował wzrok na szosę.

- Może sprawić, że stanie się także twoim.

- Jakoś się z nim uporam.

- Nie bądź zbyt pewna siebie.

- Nie jestem, a co według ciebie powinnam zrobić - załamać się i wybuchnąć płaczem?

Wszystko w swoim czasie. Kiedy i jeśli coś faktycznie zjawi się pod moim oknem, zacznę się zastanawiać, jak się z tym uporać.

- Nie zadzieraj z Senorą, Anito. Nie dorastasz jej do pięt. Ona jest naprawdę potężna, potężniejsza, niż możesz sobie wyobrazić.

- Przeraziła mnie, Manny. Wywarła na mnie naprawdę piorunujące wrażenie. Jeżeli przyśle do mnie coś, z czym nie będę mogła sobie poradzić, po prostu wezmę nogi za pas. W porządku?

- Nie, nie w porządku. Nic nie wiesz, po prostu nic nie wiesz.

- Słyszałam to coś w korytarzu. Czułam jego smród. Wystraszyłam się nie na żarty, ale spójrzmy prawdzie w oczy, Manny. Senora jest tylko człowiekiem. Istotą z krwi i kości. Żadne czary nie uchronią jej przed kulą.

- Kula może ją powalić, ale jej nie unicestwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Gdyby została postrzelona, dajmy na to w głowę lub w serce i wyglądałaby jak nieżywa, potraktowałbym ją jak wampirzycę. Odrąbałbym jej głowę i wyjął z piersi serce. A potem spaliłbym ciało. - Spojrzał na mnie z ukosa.

Nie odezwałam się ani słowem. Rozmawialiśmy o zamordowaniu Domingi Salvador.

Kobiety, która więziła dusze i umieszczała je na powrót w martwych ciałach. To było naprawdę plugawie.

Dominga zapewne zaatakuje mnie pierwsza. Jakaś nadnaturalna istota już wkrótce złoży mi wizytę. Ta kobieta była zła i to ona wykona pierwszy ruch. To ona mnie zaatakuje. Czy usunięcie jej byłoby równoznaczne z morderstwem? Taa. Czy mimo wszystko mogłabym się do tego posunąć? Czy byłam gotowa popełnić morderstwo? Zastanawiałam się nad tym przez dłuższą chwilę. Rozkoszowałam się tą myślą jak wyjątkowo dobrym cukierkiem. Tak,

mogłam to zrobić. Powinnam mieć wyrzuty sumienia, że bez żadnego konkretnego powodu, bez mrugnięcia okiem, całkiem na zimno byłam w stanie zaplanować morderstwo. Sęk w tym, że nie czułam się z tym źle. Wręcz przeciwnie, pocieszałam się na myśl, że w razie potencjalnego ataku byłam gotowa na natychmiastowy kontratak. Kimże byłam, aby potępiać Manny'ego za zbrodnię sprzed dwudziestu lat? Kim byłam? No właśnie. Oto jest pytanie.

Było wczesne popołudnie. Manny wysadził mnie bez słowa. Nie próbował się wpraszać, a i ja nie zachęcałam go do tego. Wciąż nie wiedziałam, co mam myśleć o nim, o Domindze Salvador i nie rozkładających się zombi z duszami. Postanowiłam o tym nie myśleć. Potrzebowałam solidnego wycisku. Szczęściem tego popołudnia miałam trening judo. Posiadam czarny pas, co może się wydawać znacznie bardziej imponujące, aniżeli jest w istocie. W dojo, gdzie są sędziowie i odpowiednie reguły, radzę sobie niegorzej, a w realnym świecie, gdzie większość bandziorów jest ode mnie o sto funtów cięższa, wolę zaufać broni palnej.

Sięgałam właśnie dłonią do klamki, kiedy rozległ się dzwonek. Odsunęłam pękaty worek bokserski wiszący przy drzwiach i spojrzałam przez judasza. Aby tego dokonać, zawsze muszę stawać na palcach.

Ujrzałam lekko zniekształcone znajome oblicze. Jasne włosy, jasne oczy, gęsta czupryna. To był Tommy, muskularny ochroniarz Harolda Gaynora. No proszę, ten dzień stawał się coraz ciekawszy.

Zwykle na trening nie biorę ze sobą pistoletu. Trening odbywa się wczesnym popołudniem. Latem jest wtedy jeszcze jasno. To co naprawdę niebezpieczne, wypelza ze swych kryjówek dopiero po zmroku. Wyjęłam ze spodni czerwoną koszulkę polo i wpięłam z tyłu kaburę. Mała dziewiątka była pod koszulką prawie niewidoczna. Zresztą gdybym wiedziała, że będę jej potrzebować, założyłabym luźne džinsy.

Znów zabrzmiał dzwonek. Nie zawołałam, aby dać Tommy'emu znać, że jestem w domu. Mimo to facet nie zniechęcił się. Zadzwoił po raz trzeci, tym razem nie zdejmując palca z przycisku dzwonka. Wzięłam głęboki oddech i otworzyłam drzwi. Spojrzałam w jasnoniebieskie oczy Tommy'ego. Były nadal puste i martwe. Pustka doskonała. Czy człowiek już rodził się z takim spojrzeniem, czy może musiał w tym celu specjalnie ćwiczyć?

- Czego? - spytałam grzecznie.

- Nie zaprosisz mnie do środka? - Drgnęła mu górna warga.

- Raczej nie.

Wzruszył masywnymi ramionami. Dostrzegłam ślady odciskających się pod jego marynarką szelek kabury. Przydałby mu się lepszy krawiec. Drzwi po lewej otworzyły się. Wyszła z nich kobieta z dzieckiem na ręku. Zamknęła drzwi na klucz i dopiero wtedy odwróciła się, by nas ujrzeć.

- O, witam - uśmiechnęła się promiennie.

- Dzień dobry - powiedziałam.

Tommy skinął głową.

Kobieta odwróciła się i ruszyła w stronę schodów. Mamrotała coś bez ładu i składu i przymilała się do maleństwa.

Tommy znów na mnie spojrzał.

- Naprawdę chcesz, abyśmy tak stali w korytarzu? Mamy to zrobić tutaj? - spytał.

- A co konkretnie?

- Ubić interes. Załatwić sprawę z kasą. - Jego oblicze okazało się dla mnie nieodgadnione. Pocięczałam się tym, że gdyby Tommy miał zrobić mi krzywdę, raczej nie fatygowałby się w tym celu do mego mieszkania. Raczej. Nie miałam pewności. Cofnęłam się, przytrzymując drzwi otwarte na oścież. Gdy wszedł do mieszkania, stanęłam poza zasięgiem jego ramion. Rozejrzał się dokoła. - Ładnie tu. Czysto.

- Mam sprzątaczkę - odparłam. - A teraz pogadajmy o interesach, Tommy. Tylko szybko. Jestem umówiona.

Spojrzał na worek wiszący przy drzwiach.

- Praca czy przyjemność? - spytał.

- Nie twoja sprawa - ucięłam.

Znow ten dziwny grymas. Uświadomiłam sobie, że mógł to być uśmiech.

- Na dole w samochodzie mam walizkę forsy. Półtora miliona, połowa teraz, druga po ożywieniu zombi.

- Gaynor już zna moją odpowiedź. - Pokręciłam głową.

- Wtedy to było w obecności twojego szefa. Teraz jesteśmy tu tylko ty i ja. Nikt się nie dowie, jeśli przyjmiesz tę ofertę. Nikt.

- Nie odmówiłam dlatego, że działa się to przy świadkach. Powiedziałam nie, bo nie składam ofiar z ludzi. - Uśmiechnęłam się. To było absurdalne. I wtedy pomyślałam o Mannym. No, może nie całkiem absurdalne. Ale nie zamierzałam tego zrobić.

- Każdy ma swoją cenę, Anito. Podaj ją. Zapłacimy, ile zechcesz.

Ani razu nie wymienił nazwiska Gaynora.

- Ja nie mam swojej ceny, Tommy. Wróć do pana Harolda Gaynora i powiedz, że nie można mnie kupić.

Jego oblicze spochmurniało. Pomiedzy oczami pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Nie znam nikogo o tym nazwisku - powiedział.

- Och, dajże spokój. Nie mam założonego podsłuchu.

- Podaj swoją cenę. Zapłacimy, ile zażadasz - powiedział.

- Nie ma takiej ceny.

- Dwa miliony. Bez podatku - oznajmił.

- Jaki zombi może być wart dwa miliony, Tommy? - Spojrzałam w jego posepniejące oczy. - Co Gaynor chce osiągnąć w ten sposób? Na co liczy? Co pragnie zyskać?

Tommy patrzył na mnie bez słowa.

- Nie musisz tego wiedzieć - odparł w końcu.

- Spodziewałam się, że to powiesz. Idź już, Tommy. Nie jestem na sprzedaż. - Cofnęłam się w stronę drzwi, zamierzając odprowadzić go do wyjścia. Nagle rzucił się naprzód, szybciej, niż mogłam się spodziewać. Muskularne ramiona wysunęły się do przodu, by mnie pochwycić. Wyjęłam firestara i wymierzyłam w jego pierś. Zamarł. Martwe mrugające oczy

wpatrywały się we mnie. Wielkie łapska zacisnęły się w pięści. Jego twarz i szyja poczerwieniały z wściekłości. Był bliski wybuchu. - Nie rób tego - rzekłam łagodnym tonem.

- Suka - wychrypiał.

- Daj spokój, Tommy, spuść z tonu. Wyluzuj i oboje w dobrym zdrowiu dociągniemy jakoś do jutra. A jutro będzie nowy, lepszy dzień.

Powiódł wzrokiem od pistoletu do mojej twarzy i z powrotem.

- Bez tego gnata nie byłabyś taka twarda.

Jeżeli sądził, że zaproponuję mu siłowanie się, to się przeliczył.

- Cofnij się, Tommy, albo rozwalę cię tu i teraz. I nawet te przerośnięte mięśnie nic ci nie pomogą.

Zauważyłam, że za jego martwymi oczami coś się poruszyło, a potem całe jego ciało rozluźniło się. Wziął głęboki oddech przez nos.

- W porządku. Dziś wygrałaś. Ale jeśli w dalszym ciągu będziesz rozczarowywać mojego szefa, odnajdę cię, gdy nie będziesz mieć przy sobie tej zabaweczki. - Jego wargi zadrżały. - A wtedy przekonamy się, kto z nas jest twardszy.

Cichy głosik w mojej głowie rzucił: "Zastrzel go od razu". Wiedziałam, że konfrontacja z Tommym była nieuchronna. Nie chciałam, aby do niej doszło, ale... nie mogłam, ot tak, zastrzelić go z uwagi na to, co może wydarzyć się w przyszłości. To nie był wystarczający powód. A poza tym, jak miałabym wyjaśnić to glinom?

- Wyjdź, Tommy. - Otworzyłam drzwi, nie spuszczając wzroku z osiłka. Przez cały czas trzymałam go na muszce. - Wynoś się i powiedz Gaynorowi, że jeśli wciąż będzie mnie wkurzał, zacznę odsyłać jego goryli do domu w dębowych jesionkach.

Nozdrza Tommy'ego rozdęły się leciutko, na jego szyi pojawiły się żyły. Minał mnie sztywnym krokiem i wyszedł na korytarz. Trzymałam pistolet przy boku i odprowadziłam Tommy'ego wzrokiem, a gdy zniknął mi z oczu, przez dłuższą chwilę wsłuchiwałam się w odgłos jego kroków na schodach. Gdy upewniłam się, że odszedł na dobre, wsunęłam pistolet do kabury, sięgnęłam po worek i ruszyłam na trening. Nie mogłam dopuścić, aby takie drobne przeszkody zakłóciły mój cykl ćwiczeń. Jutro na pewno będę musiała opuścić trening. Wybierałam się na pogrzeb. Poza tym, jeśli Tommy faktycznie zamierzał wyzwąć mnie do pojedynku na rękę, powinnam solidniej przyłożyć się do ćwiczeń.

Nie cierpię pogrzebów. Na szczęście tym razem przyszło mi żegnać kogoś, za kim zbytnio nie przepadałam. Brutalne, ale prawdziwe. Peter Burke był za życia zimnym, bezwzględny sukinsynem. Nie pojmuję, dlaczego to, że umarł, miałoby automatycznie uczynić go świętym. Zwykle bywa tak, że śmierć, zwłaszcza ta krwawa i okrutna, przemienia największego łajdaka w samarytanina o gołębicim sercu. Czemu tak się dzieje?

Stałam w promieniach sierpniowego słońca, ubrana w małą czarną i przez szkła ciemnych okularów obserwowałam żałobników. Trumna stała pod baldachimem, obłożona kwiatami, wokoło na krzesłach siedzieli najbliżsi z rodziny zmarłego. Możecie spytać, po co tam przyszłam, skoro nie należałam do przyjaciół drogiego nieobecnego? Otóż Peter Burke był animatorem. Niezbyt dobrym, ale my wszyscy tworzymy mały, elitarny klub. Jeśli ktoś spośród nas umrze, pozostali przychodzą na pogrzeb. Taka jest zasada. Nie ma wyjątków. Chyba że chodzi o twoją własną śmierć, ale skoro zajmujemy się ożywianiem zmarłych, nawet to może okazać się wątpliwe. Są pewne rzeczy, które można zrobić z ciałem, aby nie powróciło jako wampir, ale w przypadku zombi sprawa jest diametralnie różna. Animator może cię ożywić prawie zawsze, chyba że zwłoki poddano kremacji. Ogień to, o ile mi wiadomo, jedyna rzecz, której boją się i którą szanują żywe trupy.

Mogliśmy ożywić Petera i zapytać go, kto przyłożył mu spluwę do głowy. Sęk w tym, że do skroni przyłożono mu magnum .357 z nabojem grzybkującym. To, co zostało z jego czaszki, zmieściło się do niedużej plastikowej torebki. Można było go ożywić, ale nic by nam nie powiedział. Nawet umarli potrzebują do tego ust.

Manny stał obok mnie w ciemnym garniturze i grobowym, nastroju. Rosita, jego żona, wyprężyła się sztywno, jakby kij połknęła. W dużych brązowych dłoniach miętoszyła czarną skózaną torebkę. Ta kobieta jest, jakby powiedziała moja macocha, grubokoścista. Czarne włosy miała, przycięte krótko, poniżej uszu i lekko podwinięte. Powinny być dłuższe. W ten sposób podkreślały tylko owal jej twarzy.

Charles Montgomery stał tuż za mną jak czarna góra. Ten facet ma wygląd zawodowego piłkarza. Wystarczy, żeby spojrzął na kogoś krzywo, aby ludzie natychmiast schodzili mu z drogi. Innymi słowy, gość wygląda na twardziela. Prawda jest taka, że Charles mdleje na widok krwi innej niż zwierzęca. Ma szczęście, że wygląda jak bezwzględny czarnoskóry zakapior. Jest prawie w ogóle niewytrzymały na ból. Płacze na filmach Disneya, na przykład podczas sceny, kiedy ginie matka Bambięgo. To doprawdy rozkoszne.

Jego żona, Caroline, była w pracy. Nie zdołała zamienić się z nikim. Zastanawiałam się, czy i jak bardzo się starała. Caroline jest w porządku, ale niezbyt akceptuje to, co robimy. Uważa nasze zajęcia za zwykłe czary-mary. Jest pielęgniarką. Cóż, po użeraniu się przez cały dzień z lekarzami, chyba musi czasem spojrzeć na kogoś z góry.

Blisko trumny stał Jamison Clarke, wysoki, szczupły, jedyny zielonooki czarnoskóry rudzielec, jakiego znałam. Skinął do mnie na przywitanie. Odpowiedziałam tym samym.

Byliśmy tu wszyscy - animatorzy z naszej firmy, Bert i Mary, nasza dzienna sekretarka, strzegli fortu. Miałam nadzieję, że Bert nie załatwi dla nas zleceń, którym nie zdołalibyśmy podołać. Albo których nie chcielibyśmy przyjąć. Był do tego zdolny, przez cały czas trzeba go było mieć na oku.

Słońce grzało mnie w plecy jak gorąca metalowa dłoń. Mężczyźni zaczęli rozpinąć guziki pod szyją i poluzowywać krawaty. Zapach chryzantem dławiał w gardle jak roztopiony wosk. Pogrzebowe kwiaty. Goździki, róże, lwie paszcze daje się lub dostaje przy różnych okazjach, ale chryzantemy i mieczyki to kwiaty cmentarne. Dobrze przynajmniej, że mieczyki prawie w ogóle nie pachniały.

W pierwszym rzędzie pod baldachimem siedziała ubrana na czarno kobieta. Była zgięta wpół, opierała się łokciami o kolana jak popsuta lalka. Szlochała tak głośno, że swym zawodzeniem zagłuszała słowa księdza. Do mnie, stojącej z tyłu, dochodził tylko melodyjny zaśpiew jego głosu. Dwoje małych dzieci trzymało za ręce starszego mężczyznę. Dziadka? Dzieci miały blade twarzyczki i smutne oczy. Strach i ból, oto co malowało się na ich zapłakanych buziach. Widziały, jak ich matka całkiem się załamała, potrzebowały jej wsparcia, jej pomocy, ale ona nie mogła im tego zapewnić. Rozpacz matki była znacznie ważniejsza aniżeli smutek dzieci. Jej strata była większa. Wcale nie.

Straciłam matkę, gdy miałam osiem lat. Powstała wówczas rana nigdy się nie zabiłiła. Miałam wrażenie, jakbym straciła część siebie. Ból, jaki mnie wtedy przepęłnił, nigdy nie przestał mi doskwierać. Nauczyłam się z tym żyć. I żyję, a on wciąż we mnie tkwi. Siedzący obok wdowy mężczyzna bez końca gładził ją po plecach. Włosy miał prawie czarne, krótko przycięte i starannie ułożone. Był barczysty. Z tyłu wyglądał trochę jak Peter Burke. Upiorne złudzenie. Duchy w środku dnia.

Na cmentarzu roso sporo drzew. Szare cienie poruszały się majestatycznie w rytm podmuchów wiatru. Po drugiej stronie żwirowego podjazdu, ciągnącego się przez cały cmentarz, stało dwóch mężczyzn. Stali w milczeniu, czekając. Grabarze. Czekali, aby dokończyć swoją robotę.

Spojrzałam na trumnę obsypaną różowymi goździkami. Z tyłu za nią znajdował się pagórek nakryty jasnozieloną sztuczną trawą. Usypano go ze świeżej ziemi, która już wkrótce trafi na powrót do grobu.

Pograżeni w smutku żałobnicy nie powinni myśleć o czerwonej gliniastej ziemi sypanej na błyszczącą trumnę. O grudach ziemi uderzającej w drewno, pod którym spoczywało ciało ojca i męża. Zmarli mieli pozostać uwięzieni na zawsze w obitej ołowiem skrzyni. Dobra trumna uchroni ciało przed robactwem i wilgocią, ale nie przed rozkładem.

Wiedziałam, co się stanie ze zwłokami Petera Burke'a. Nawet pośród atlasów, z krawatem na szyi i urozówionymi policzkami, zamkniętymi oczyma, trup to zawsze trup.

Podczas gdy ja błędziłam gdzieś myślami, ceremonia dobiegła końca. Żałobnicy niemal równocześnie wstali z miejsc. Ciemnowłosy mężczyzna pomógł się podnieść zapłakanej wdowie. Omal nie upadła. Inny mężczyzna podbiegł natychmiast, by podtrzymać ją z drugiej strony. Zwiotczała w ich ramionach, sunąc ciężko stopami po ziemi. Obejrzała się przez

ramię, pochyliła głowę. Nagle krzyknęła głośno i ochryple, po czym rzuciła się na trumnę. Upadła na kobierzec z kwiatów, orząc paznokciami lakierowane drewno. Jej palce szukały zamków na wieku trumny.

Wszyscy na krótką chwilę zamarli w bezruchu, zapatrzeni. Ujrzałam dwójkę dzieci, wciąż stojącą wśród tłumu i patrzącą bezradnie, z przerażeniem w oczach. Cholera.

- Niech ją ktoś powstrzyma - rzuciłam nieco zbyt głośno. Ludzie spojrzeli w moją stronę. Nie zwracałam na nich uwagi. Zaczęłam przedzierać się przez tłum pomiędzy rzędami krzesel. Ciemnowłosa mężczyzna trzymał wdowę za ręce, ta jednak wciąż szamotała się zaciekle i przeraźliwie krzyczała. Osunęła się na ziemię, a jej czarna sukienka zadarła się prawie do połowy ud. Nosila białą halkę. Tusz jak czarna krew spływał strużkami po twarzy.

Stałam przed mężczyzną z dwójką dzieci. Patrzył na kobietę jak zahipnotyzowany. Mogło się wydawać, że już się nigdy nie poruszy.

- Proszę pana - powiedziałam. Nie zareagował. - Proszę pana? - Zamrugał, gapiąc się na mnie, jakbym dopiero co się przed nim pojawiła. - Czy naprawdę chce pan, aby dzieci oglądały to wszystko?

- To moja córka - powiedział. Głos miał głęboki, ochryply. Smutek czy prochy?

- Wyrazy współczucia, ale uważam, że dzieci powinny zostać natychmiast odprowadzone do samochodu. - Wdowa zaczęła wyć, to był głośny, pozbawiony słów jęk nieopisanego bólu. Dziewczynka zadygotała. - Jest pan jej ojcem, ale także ich dziadkiem. Niech pan zachowa się godnie. Proszę je stąd zabrać.

- Jak pani śmie? - W jego oczach pojawiły się iskielki gniewu. Nie zamierzał mnie usłuchać. Byłam intruzem zakłócającym żałobę. Najstarszy z dzieci, może pięcioletni chłopiec utkwiał we mnie wzrok. Miał duże brązowe oczy i upiornie bladą buzię. - Sądzę, że to pani powinna już stąd odejść - rzekł dziadek.

- Ma pan rację. I tak też uczynię - ominęłam ich szerokim łukiem, wychodząc na skąpany w promieniach słońca, starannie przystrzyżony trawnik. Nie mogłam im pomóc, tak jak kiedyś nikt nie był w stanie pomóc mnie. Ale przeżyłam. Może im także się uda. Manny i Rosita już na mnie czekali. Rosita mnie uściskała.

- Musisz wpaść do nas po mszy w niedzielę na obiad.

- Wątpię, aby to mi się udało, ale dzięki za zaproszenie. - Uśmiechnęłam się.

- Przyjdzie do nas kuzyn Albert - dodała. - Jest mechanikiem. To dobra partia.

- Nie potrzebuję dobrej partii, Rosito.

- Za dużo zarabiasz jak na kobietę. Dlatego nie potrzebujesz faceta. - Westchnęła.

Wzruszyłam ramionami. Gdybym kiedyś, co wątpliwe, wyszła za męża, na pewno nie zrobię tego dla pieniędzy. Miłość. Cholera, czyżbym czekała na miłość? Nie. Skąd. Ja?

- Musimy odebrać Thomasa z przedszkola - rzekł Manny.

Uśmiechnął się do mnie przepaszająco zza ramienia Rosity. Była prawie trzydzieści centymetrów wyższa od niego. Nade mną też górowała.

- Jasne. Pozdrówcie ode mnie małego.

- Powinnaś wpaść do nas na obiad - ciągnęła Rosita. - Albert jest bardzo przystojny.

- Dzięki, że o mnie pamiętasz, Rosito, ale daruj sobie.

- Chodź, żono - rzucił Manny. - Syn na nas czeka.

Pozwoliła, by poprowadził ją do samochodu, ale na jej brązowym obliczu malowała się głęboka dezaprobata. Uraziłam Rositę do żywego, miałam już bowiem dwadzieścia cztery lata i nic nie zapowiadało, abym w najbliższym czasie zamierzała zmienić stan cywilny. Była taka sama jak moja macocha.

Charlesa nigdzie nie było widać. Zapewne w te pędy wrócił do biura na spotkanie z klientami. Sądziłam, że Jamison zrobił to samo, ale nie, stał nieopodal, czekając na mnie. Miał na sobie nienagannie skrojony garnitur z cienkim czerwonym krawatem w ciemne kropki. Onyksowo-srebrna spinka do krawata błyszczała w słońcu. Uśmiechnął się do mnie, to zawsze był zły znak. Jego zielonkawe oczy wydawały się puste, jakby ktoś startł gumką fragmenty skóry. Jeżeli długo płaczesz, skóra pod oczami przestaje być czerwona i podpuchnięta i staje się sino-biała.

- Cieszę się, że tyłu z nas przyszło tu dzisiaj - powiedział.

- Wiem, że był twoim przyjacielem, Jamison. Bardzo mi przykro.

Skinął głową i spojrzał na swoje dłonie. Trzymał w nich okulary przeciwsłoneczne. A potem spojrzał mi prosto w oczy. Z przejęciem i niezłomną powagą.

- Policja nie chce nic powiedzieć rodzinie - stwierdził. - Peter zarobił kulkę w łeb, a oni nie mają pojęcia, kto mógł to zrobić.

Chciałam powiedzieć mu, że policja robi co w ich mocy, bo tak właśnie było. Ale w ciągu ubiegłych dwunastu miesięcy w St. Louis miało miejsce wiele zabójstw. Powoli stawaliśmy się stolicą zbrodni, spychając inne słynące dotąd z przestępczości miasta w Stanach na dalsze pozycje.

- Oni naprawdę robią, co mogą, Jamison.

- Czemu więc nic nam nie mówią? - Zacisnął gwałtownie dłonie. Rozległ się głośny trzask pękającego plastiku. Ale Jamison nie zwrócił na to uwagi.

- Nie wiem - odparłam.

- Anito, ty masz dobre układy z policją. Może mogłabyś zapytać?

W jego oczach malował się cały bezmiar bólu. Zwykle ignorowałam Jamisona i w gruncie rzeczy wcale go nie lubiłam. Był naciągaczem, chwiejnym jak chorągiewka wazelinierzem uważającym, że wampiry to tylko ludzie ze spiczastymi zębami. Ale dziś... dziś mówił szczerze.

- O co miałabym zapytać?

- Czy są jakieś postępy w śledztwie? Czy mają już podejrzanych? Takie tam.

Pytania były ogólne, ale istotne.

- Zobaczą, co da się zrobić.

- Dziękuję, Anito, naprawdę bardzo dziękuję. - Uśmiechnął się przez łzy. Wyciągnął do mnie rękę. Ujęłam ją. Uścisnęliśmy sobie wzajemnie prawice. Dopiero teraz zauważył, że zgniótl okulary. - Cholera, dziewięćdziesiąt pięć dolców diabli wzięli.

Dziewięćdziesiąt pięć dolarów za okulary? Chyba raczył żartować. Grupka żalobników odprowadziła wreszcie rodzinę od grobu. Wdowa szła w otoczeniu kilku starających się podtrzymać ją na duchu mężczyzn. Musieli niemal siłą odciągać ją od grobu. Dziadek z dziećmi szli na szarym końcu. Nikt nie lubi wysłuchiwać dobrych rad. Ani się do nich stosować.

Od tłumu odłączył się jakiś mężczyzna i podszedł do nas. To ten, który z tyłu przypominał mi Petera Burke'a. Miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemną karnację, czarny wąsik, muszkieterską bródkę i ogólnie przystojne, pociągłe oblicze. Był atrakcyjny, wyglądał jak latynoski amant, ale w jego ruchach kryło się coś jeszcze. Coś mrocznego. Może to przez ten kosmyk białych włosów w czarnej czuprynie tuż nad czołem. Tak czy siak, już na pierwszy rzut oka widać było, że ten facet nadawał się raczej do roli przestępcy niż bohatera pozytywnego.

- Pomoże nam? - zapytał bez ogródek, bez żadnego przywitania.

- Tak - odparł Jamison. - Anito, poznaj Johna Burke'a, brata Petera.

Chciałam zapytać - Johna Burke'a, tego Johna Burke? Największego animatora i zabójcę wampirów w całym Nowym Orleanie? Pokrewna dusza.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Miał silny, niemal bolesny uścisk, jakby chciał sprawdzić, czy się skrzywię. Nawet nie drgnęłam. Puścił mnie. Może nie zdawał sobie sprawy z własnej siły? Wątpię.

- Przykro mi z powodu śmierci twego brata - powiedziałam szczerze. Cieszyłam się, że mówię szczerze.

- Dziękuję, że zechcesz wypytać policję o postępy w śledztwie. - Skinął głową.

- Dziwię się, że nie udało ci się nakłonić glin z Nowego Orleanu, aby dowiedzieli się co i jak od tutejszych stróżów prawa.

- Gliny z Nowego Orleanu i ja trochę się poprzytykaliśmy. - Skrzywił się. Miał niewyraźną minę.

- Naprawdę? - spytałam ze zdumieniem. Doszły mnie pewne plotki, ale chciałam usłyszeć prawdę. Zwykle jest ona dziwniejsza od najbardziej wymyślnej fikcji.

- John został oskarżony o uczestnictwo w pewnych rytualnych morderstwach - wtrącił Jamison. - Tylko dlatego, że jest praktykującym kapłanem voodoo.

- Och - mruknęłam. Plotki jednak się potwierdziły. - Od jak dawna jesteś w mieście, John?

- Prawie od tygodnia.

- Naprawdę?

- Peter zniknął na dwa dni, zanim odnaleziono jego... ciało. - Obliznął wargi. Ciemne oczy zlustrowały to, co działo się w tej chwili za moimi plecami. Czy grabarze wzięli się już do roboty? Obejrzałam się przez ramię, ale grób wyglądał tak samo jak przedtem. - Każda uzyskana przez ciebie informacja będzie dla nas bardzo cenna - zapewnił.

- Zrobię co w mojej mocy.

- Muszę już wracać do domu. - Wzruszył ramionami, jakby chciał rozluźnić mięśnie. - Moja szwagierka fatalnie to wszystko znosi.

Puściłam to mimo uszu. Punkt dla mnie. Jednego nie mogłam odpuścić.

- Czy mógłbyś zająć się dziećmi twojej szwagierki? - Spojrzał na mnie, a pomiędzy jego czarnymi brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka znamionująca zakłopotanie i zaskoczenie. - Chodzi mi o to, czy mógłbyś, o ile to możliwe, oszczędzić im oglądania co bardziej drastycznych scen.

- Nawet dla mnie to był szok, kiedy zobaczyłem, jak rzuca się na trumnę. Boże, co też musiały sobie wtedy myśleć jej dzieci? - Pokiwał głową, a w jego oczach zakręciły się łzy. Nie zamrugał powiekami, więc łzy nie wypłynęły.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Nie chciałam oglądać go płaczącego.

- Pomówię z policją, dowiem się tyle, ile zdołam. Gdyby udało mi się coś od nich wyciągnąć, dam znać Jamisonowi.

John Burke powoli pokiwał głową. Jego oczy były jak szklanki pełne wody do tego stopnia, że tylko napięcie powierzchniowe nie pozwala jej wypłynąć.

Skinęłam głową do Jamisona i oddaliłam się. W samochodzie włączyłam klimatyzację na pełną moc. Gdy wrzuciłam bieg i ruszyłam, dwaj mężczyźni wciąż jeszcze stali na sprażonym słońcem trawniku. Porozmawiam z glinami i wyciągnę od nich, ile tylko się da. Poza tym, miałam dla Dolpha kolejne nazwisko. John Burke, największy animator w Nowym Orleanie, kapłan voodoo. Wydawał mi się niemal idealnym kandydatem na podejrzanego.

Telefon zadzwonił, gdy wkładałam klucz do otworu zamka.

- Już lecę! - zawołałam. Dlaczego ludzie tak robią? Krzyczą do aparatu, jakby dzwoniący mógł ich usłyszeć i zaczekać. Pchnęłam drzwi i odebrałam telefon przy czwartym sygnale. - Halo.

- Anita?

- Dolph - rzekłam. Poczułam ucisk w żołądku - Co jest?

- Chyba znaleźliśmy chłopca. - Głos miał cichy, beznamiętny.

- Chyba powtórzyłam. - Co ma znaczyć to "chyba"?

- Wiesz, o co mi chodzi, Anita - odparł jakby ze znużeniem.

- Tak jak jego rodzice? - To nie było pytanie.

- Taa.

- Boże, Dolph, dużo z niego zostało?

- Przyjedź i sama zobacz. Jesteśmy na cmentarzu Burrella. Wiesz, gdzie to jest?

- Jasne. Pracowałam tam.

- Przyjedź jak najszybciej. Chcę wracać do domu i uściskać żonę.

- Jasne, Dolph, rozumiem. - mówiłam do siebie. Po drugiej stronie łącza nie było już nikogo. Przez chwilę gapiłam się na słuchawkę. Zrobiło mi się zimno. Nie chciałam tam jechać i oglądać szczątków Benjamina Reynoldsa. Nie chciałam wiedzieć. Zaczepnęłam powietrze nosem i wypuściłam ustami.

Spojrzałam na siebie - czarne rajstopy, szpilki, sukienka. Zwykle nie tak jestem ubrana, gdy odwiedzam miejsce zbrodni, ale przebranie się zajęłoby mi sporo czasu. Jestem ostatnim ekspertem wzywany na miejsce zabójstwa. Gdy skończę oględziny, gliny mogą wreszcie zakryć zwłoki. I wszyscy rozjeżdżają się do domów. Wzięłam parę czarnych adidasów do chodzenia po trawie i brodenia we krwi. Gdy raz upaprzesz krwią szpilki, nigdy ich nie doczyścisz. Na małej, czarnej torebce położyłam browninga w kaburze podramiennej. Na czas pogrzebu zostawiłam pistolet w aucie. Nie wiedziałam, w jaki sposób mogłabym założyć uprząż z kaburą do sukienki. Wiem, że gliny w serialach stale noszą szelki z bronią, ale czy scenarzyści wiedzą, że taka uprząż piekielnie ociera i podrażnia skórę?

Zastanawiałam się, czy nie zabrać do torebki mego drugiego, niniejszego pistoletu, ale w końcu z tego zrezygnowałam. Moja torebka, jak wszystkie damskie torebki, zdawała się skrywać w sobie czarną dziurę. Gdybym go potrzebowała, nigdy nie zdołałabym wydobyć z niej pistoletu na czas.

Pod czarną sukienką miałam srebrny nóż przytroczony do pochewki na udzie. Czułam się jak Kit Carson w przebraniu, ale po wizycie Tommy'ego wołałam nie wychodzić z domu nieuzbrojona. Nie miałam złudzeń, co zrobiłby ze mną Tommy, gdyby przyłapał mnie bez spluwy. Noże były mniej skuteczne, ale lepsze to niż tupanie nogami i przeraźliwe wrzaski. Nigdy nie próbowałam szybkiego dobywania noża z pochewki na udzie. Zapewne

wyglądałoby to trochę obscenicznie, ale jeśli miałam pozostać dzięki temu przy życiu... odrobina zażenowania jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

* * *

Cmentarz Burrella znajduje się na szczycie wzgórza. Niektóre z tamtejszych nagrobków liczą sobie sto i więcej lat. Miękkie, nadgryzione zębem czasu płyty z piaskowca pokrywają niemal całkiem nieczytelne napisy i wyglądają jak wygładzone od ssania landrynki. Trawa sięga do pasa, a pośród niej wznoszą się nagrobki przechylone to w jedną, to w drugą stronę niczym zmęczeni wartownicy. Na skraju cmentarza stoi domek, w którym mieszka dozorca, jednak nie ma on tu wiele do roboty. Na tym cmentarzu od lat nie pochowano żadnej nowej osoby. Ostatni człowiek, którego tu złożono, pamiętał Targi Światowe, które odbyły się w 1904 roku.

Droga dojazdowa do cmentarza praktycznie już nie istnieje. Pozostało po niej zaledwie wspomnienie, zapomniany szlak, na którym trawa nie rosła tak wysoko, jak gdzie indziej. Wokół domku dozorca stały radiowozy i furgon koronera. Mój nova wyglądał tu nie na miejscu, jakby czegoś mu brakowało. Może powinnam zamontować w nim długą antenę albo przylepić plaketkę - "Zombi twoją drugą szansą". Bert pewnie by się wściekł. Wyjęłam z bagażnika kombinezon i przyoblekłam się weń. Byłam teraz osłonięta, od szyi po kostki. Jak w przypadku większości kombinezonów, krocze miałam - nie wiedzieć czemu - na wysokości kolan, ale to oznaczało, że sukienka mi się nie podwinęła. Kupiłam ten kombinezon, aby zakładać go do kołkowania wampirów, ale krew to krew. Poza tym pozaciągałam sobie rajstopy w tych chaszczach. Z niedużego pudełka w bagażniku wyłuskałam parę chirurgicznych rękawiczek. Jeszcze tylko zamiana szpilek na adidasy i byłam gotowa obejrzeć szczątki.

Szczałki. Miłe słowo.

Dolph stał niczym jakiś pradawny wartownik górujący nad wszystkim w okolicy. Podeszłam do niego, starając się nie zahaczyć o kawałki pokruszonych nagrobków. Pałacy wiatr kołysał wysoką trawą. Zaczęło mi się robić gorąco. To przez ten kombinezon. Detektyw Clive Perry podszedł do mnie, jakbym potrzebowała eskorty. Detektyw Perry był jedne z najbardziej uprzejmych osób, jakie znałam. Zdawał się pochodzić nie z tej epoki. Był rycerski i szarmancki. Dżentelmen w każdym calu. Zawsze korciło mnie, by zapytać, co przeszkrobał, że wylądował w oddziale "duchów". Na jego pociągłym, czarnym obliczu perlił się pot. Choć musiało być ze 38°C, wciąż miał na sobie garnitur.

- Panno Blake.

- Witam, detektywie Perry - powiedziałam. Spojrzałam na szczyt wzgórza. Dolph i garstka jego ludzi stali tam, jakby nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić. Żaden z nich nie patrzył na ziemię. - Czy jest bardzo źle, detektywie Perry? - zapytałam.

- To zależy, z czym chce to pani porównać. - Skrzywił się.

- Widział pan taśmy i zdjęcia z domu Reynoldsów?

- Widziałem.

- Czy to jest jeszcze gorsze? - To był nowy punkt na mojej skali - najgorszych rzeczy, jakie miałam okazję oglądać. Wcześniej pozycję tę zajmował pewien gang wampirów, który próbował przenieść się tu z Los Angeles. Miejscowi krwiopijcy zrobili z przyjezdnymi porządek za pomocą siekier i toporów. Gdy ich znaleźliśmy, kawałki ciała wciąż jeszcze pęzały po podłodze. Może to nie było aż tak straszne. Może czas przyćmił wspomnienia.

- Nie tak krwawe - odparł i dodał z wahaniem: - Ale to było dziecko. Mały chłopczyk. Pokiwałam głową. Nie musiał mówić nic więcej. To zawsze było gorsze, gdy w grę wchodziło dziecko. Nie wiedziałam, czemu tak się działo. Może za sprawą jakiegoś pierwotnego instynktu, który nakazywał bronić dzieci. Jakiś głęboko ukryty hormonalny instynkt. Tak czy owak, to zawsze było straszne, gdy chodziło o dzieci. Spojrzałam na biały nagrobek. Wyglądał jak wykuty z brudnego, nadtopionego lodu. Nie chciałam wchodzić na wzgórze. Nie chciałam tego oglądać. Ale weszłam tam. Detektyw Perry podążył za mną. Dzielny detektyw. I ja też byłam piekielnie odważna. Na trawie rozłożono prześcieradło. Stał przy nim Dolph.

- Witaj, Dolph - rzekłam.

- Cześć, Anito.

Nikt nie pokwapił się, aby podnieść prześcieradło.

- To jest to?

- Taa. - Dolph jakby się wzdrygnął, a może przeszedł go dreszcz. Schylił się i ujął za róg prześcieradła. - Gotowa? - zapytał.

Nie. Nie byłam gotowa. Nie każcie mi patrzeć. Nie zmuszajcie mnie do tego. Miałam sucho w ustach. Serce podeszło mi do gardła. Skinęłam głową. Prześcieradło uniosło się, a podmuch wiatru wydał je jak latawiec. Trawa była zdeptana. Ślady walki? Czy Benjamin Reynolds żył, gdy rzucono go w tę wysoką trawę? Nie, z pewnością nie. Boże, miałam nadzieję, że nie.

Piżamka, ozdobiona małymi wizerunkami znanych postaci z kreskówek, została zdarta jak skórka z banana. Jedna rączka dziecka była uniesiona. Zakrywało nią twarz. Chłopiec wyglądał, jakby spał. Długie rzęsy jeszcze bardziej urzeczywistniały to złudzenie. Skórę miał bladą i nieskazitelną, małe usteczka lekko rozchylone. Powinien wyglądać gorzej, znacznie gorzej. Na piżamce, w dolnej części ciała widniała wielka brudnobrązowa plama. Nie chciałam zobaczyć, co go zabiło. Ale po to tu przyjechałam. Zawahałam się, nieomal dotykając palcami rozdartego materiału. Wzięłam głęboki oddech. To był błąd. Podmuch wiatru przywiał do mnie silną woń świeżego trupa. Ten fetor przypomina coś pomiędzy odorem wygodki i rzeźni, zwłaszcza jeśli uszkodzeniu uległ żołądek lub jelita. Wiedziałam, co zobaczę, odgarniając okrwawiony materiał. Woń mi to powiedziała.

Uklękałam, przez kilka chwil przesłaniając nos i usta rękawem, oddychałam płytko przez usta, ale nie na wiele się to zdało. Gdy raz to poczujesz, twój nos pamięta. Woń wdarła się do mego gardła i postanowiła pozostać tam.

Szybko czy wolno? Powinam szarpnąć czy powoli odgarnąć materiał? Szybko. Pociągnęłam, ale materiał, pozlepiany krwią, stawiał opór. Odchodził powoli, przy wtórce nieprzyjemnego wilgotnego młasnicy.

Wyglądało, jakby ktoś wielką łyżką do lodów wyżarł temu dziecku trzewia. Brakowało żołądka, jelit, ogólnie wnętrzości. Światło dokoła mnie zafalowało i musiałam oprzeć się ręką o ziemię, aby nie upaść. Spojrzałam na twarzyczkę malca. Włosy miał po matce, jasnobrązowe. Wilgotne kędziory przylepiały się do policzków. Powróciłam wzrokiem do ziejącego, pustego otworu jamy brzusznej. Z końca niedużego fragmentu jelita cienkiego wypływał jakiś gęsty, ciemny płyn.

Odeszłam od miejsca zbrodni, przytrzymując się nagrobków. Gdybym wiedziała, że nie upadnę, pobiegłabym co sił w nogach. Niebo zawirowało i wyruszyło na spotkanie ziemi. Osunęłam się na trawę i zwymiotowałam. Rzygałam, dopóki nie wyrzuciłam z siebie wszystkiego, a wówczas świat przestał wirować. Otarłam usta rękawem i wstałam, podpierając się o przekrzywiony nagrobek.

Nikt nie odezwał się słowem, gdy podeszłam do reszty grupy. Ciało znowu nakryto prześcieradłem. Ciało. Musiałam traktować je właśnie w tej kategorii. Nie mogłam myśleć o nim jak o małym dziecku. Nie mogłam. Bo w przeciwnym razie oszalałabym.

- No i? - spytał Dolph.

- Zabito go niedawno. Cholera, Dolph, to się stało przed świtem lub nawet wczesnym rankiem. On żył jeszcze, kiedy ten stwór go porwał!

Spojrzałam na Dolpha i oczy zapiekły mnie od łez. Ale nie mogłam się rozplakać. Już i tak dość się zblamowałam jak na jeden dzień. Wzięłam głęboki wdech i powoli wypuściłam powietrze. Nie rozbeczę się.

- Dałam ci dwadzieścia cztery godziny, abys pomówiła z tą Domingą Salvador. Dowiedziałaś się czegoś?

- Twierdzi, że nic o tym nie wie. Wierzę jej.

- Na jakiej podstawie?

- Gdyby chciała kogoś zabić, nie posunęłaby się do tak drastycznych metod.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał.

- Wystarczyłoby, żeby życzyła komuś śmierci - odparłam.

- Wierzysz w to? - Rozszerzył oczy.

- Może. - Wruszyłam ramionami. - Tak. Kurczę, sama nie wiem. Boję się jej.

- Zapamiętam to. - Uniósł brew.

- Powinieneś dodać do swojej listy jeszcze jedno nazwisko - rzekłam.

- Czyje?

- Johna Burke'a. Przyjechał z Nowego Orleanu na pogrzeb brata.

Zapisał jego nazwisko w notesie.

- Skoro jest tu tylko przejazdem, czy miałby dość czasu...?

- Nie przychodzi mi do głowy żaden motyw, ale gdyby tylko zechciał, mógłby tego dokonać. Sprawdź go u nowoorleańskich glin. Chyba jest tam podejrzanym w sprawie o jakieś morderstwo.
- Jakim cudem udało mu się wyjechać poza granicę stanu?
- Chyba nie mają przeciw niemu żadnych dowodów - odparłam. - Dominga Salvador stwierdziła, że mi nie pomoże. Ale obiecała popytać i poinformować mnie, gdyby się czegoś dowiedziała.
- Ja też zasięgnąłem języka na jej temat. Ona pomaga wyłącznie swoim. Jak ci się udało nakłonić ją do współpracy?
- Mam ujmującą osobowość. - Wzruszyłam ramionami. Dolph pokręcił głową. - Nie zrobiłam nic niezgodnego z prawem, Dolph. I w ogóle nie chcę o tym mówić. Opuścił. Cwaniak.
- Powiadom mnie, jeśli się czegoś dowiesz, Anito. Musimy to powstrzymać, zanim znowu zabije.
- Oczywiście. - Odwróciłam się i rozejrzałam wokoło. - Czy ten cmentarz nie znajduje się niedaleko miejsc, gdzie odnaleźliśmy pierwsze trzy trupy?
- Owszem.
- Może więc odpowiedź po części znajduje się tutaj - zasugerowałam.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Większość wampirów musi przed świtem powrócić do swoich trumien. Ghule kryją się w podziemnych tunelach jak wielkie krety. Gdyby sprawcą był wampir lub ghul, powiedziałabym, że ta istota musi być gdzieś w pobliżu, oczekując na zmierzch.
- Ale... - rzekł Dolph.
- Ale skoro to zombi, światło słoneczne mu nie szkodzi i nie musi spędzać dnia w trumnie. Może być gdziekolwiek, choć, jak sądzę, ta istota powstała i pochodzi z tego właśnie cmentarza. Jeśli w grę wchodzi obrzęd voodoo, powinniśmy odkryć tu ślady rytuału.
- To znaczy?
- Kredowe veuve, symbole rysowane wokół grobu, zaschniętą krew albo pozostałości po rozpalonym ogniu. - Powiodłam wzrokiem dokoła. - Choć w miejscu tak zarośniętym jak to wolałabym raczej nie rozniecać ognia.
- A jeśli to nie voodoo? - zapytał.
- Wobec tego w grę wchodzi animator. I znów należy szukać zaschniętej krwi albo może martwego zwierzęcia. Śladów będzie mniej i powinny być one łatwiejsze do usunięcia.
- Jesteś pewna, że to jakiś zombi? - zapytał.
- Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Chyba więc powinniśmy przyjąć, że tego właśnie szukamy. Dzięki temu powinniśmy wiedzieć, czego i gdzie mamy szukać.
- Bo jeśli to nie zombi, to utknęliśmy w martwym punkcie - wtrącił.
- Otóż to.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Anito. - Uśmiechnął się ze smutkiem.
- Ja również - przyznałam.

- Jeśli ten stwór pochodzi stąd, czy potrafiłabyś odnaleźć jego grób?
- Może.
- Może? - Zdziwił się.
- Może. Ożywianie zmarłych to nie nauka, Dolph. Bywa, że wyczuwam umarłych spoczywających pod ziemią. Czuję ich niepokój. Znam ich wiek, nie patrząc na napisy na nagrobkach. A czasem nie czuję zupełnie nic. - Wzruszyłam ramionami.
- Udzielimy ci wszelkiej niezbędnej pomocy.
- Muszę zaczekać, aż całkiem się ściemni. Po zmroku moje moce... rosną w siłę.
- Do wieczora jeszcze daleko. Nie mogłabyś spróbować już teraz?
- Niestety. - Zastanowiłam się nad tym przez chwilę. - Nie. Przykro mi.
- W porządku, ale wrócisz tu po zmroku?
- Taa - przyznałam.
- O której? Przyślę paru ludzi.
- Nie wiem, o której konkretnie. I nie mam pojęcia, ile to potrwa. Może się okazać, że będę błąkać się tu przez parę godzin zupełnie na darmo.
- Albo?
- Albo odnajdę naszą bestię w try miga.
- W takim przypadku będzie ci potrzebne wsparcie.
- Zgadza się. - Skinęłam głową. - Tyle że broń palna, nawet srebrne naboje, nie zdadzą się na wiele.
- To jakiej broni mamy w razie czego użyć?
- Miotaczy płomieni, napalmu, tego, czego używają tępiciele podczas oczyszczania kryjówek ghuli.
- To nie jest standardowe wyposażenie jednostek policji.
- Ściągnij zespół tępicieli - podpowiedziałam.
- Dobra myśl. - Ucieszył się.
- I wyświadcz mi przysługę - dokończyłam.
- Jaką? - Uniósł wzrok.
- Petera Burke'a zamordowano. Strzałem w głowę. Jego brat prosił mnie, abym dowiedziała się, czy zaszły jakieś postępy w prowadzonym śledztwie.
- Wiesz, że nie mogę udzielać takich informacji.
- Wiem, ale potrzebuję choć kilku drobiazgów, aby podzielić się tym z Johnem Burkiem i w ten sposób zapewnić sobie jego życzliwość.
- Wygląda na to, że dobrze ci się układa współpraca ze wszystkimi naszymi podejrzanymi - podsumował.
- Taa.
- Popytam, ile tylko się da, w wydziale zabójstw. Czy wiesz może, gdzie go znaleziono? Pokręciłam głową.
- Sprawdzę to. Będę mieć pretekst, aby ponownie porozmawiać z Johnem Burkiem.
- Mówiłaś, że w Nowym Orleanie jest podejrzewany o morderstwo.

- Uhm-hm - mruknęłam.
- I być może to jego sprawka. - Wskazał ręką na leżące na trawie prześcieradło zakrywające szczątki dziecka.
- Tja.
- Uważaj na siebie, Anito.
- Jak zawsze - zapewniłam.
- Zadzwoń do mnie dziś wieczorem, możliwie jak najwcześniej. Nie chcę, aby moi ludzie zbijali bąki w nadgodzinach.
- Zadzwonię najszybciej, jak zdołam. - I tak będę musiała z tego powodu odwołać trzech klientów. Bert nie będzie zadowolony. Perspektywy wyglądały obiecująco.
- Dlaczego ten stwór nie pożarł całego dziecka? - spytał Dolph.
- Nie wiem - odparłam.
- W porządku. - Skinął głową. - To do zobaczenia wieczorem.
- Pozdrów ode mnie Lucille. Jak tam jej magisterium?
- Praca prawie gotowa. Zrobi magisterium, zanim nasz najmłodszy zdobędzie dyplom na politechnice.
- Świetnie. - Prześcieradło załopotало na wietrze. Po moim czole ściekła strużka potu. Miałam dość pogawędek. - Na razie - rzekłam i ruszyłam w dół zbocza. Przystanąłam i odwróciłam się. - Dolph?
- Tak? - spytał.
- Nigdy nie słyszałam o zombi, który zachowywałby się w taki sposób. Może on powstaje z grobu jak wampir. Jeżeli przed zmrokiem zdołasz ściągnąć tu ekipę tępicielei ze wsparciem, może uda im się dopaść go wypełzającego z grobu i załatwić drania na miejscu.
- Sądzisz, że to możliwe?
- Sama nie wiem. Ale warto zaryzykować.
- Nie wiem, jak wytłumaczę tę pracę w nadgodzinach, ale postaram się coś z tym zrobić.
- Wrócę tu najszybciej, jak się da.
- Czy może być coś ważniejszego niż to? - zapytał.
- Nic, co mogłoby cię zainteresować. - Uśmiechnęłam się.
- Mimo wszystko spróbuj - rzucił zachęcająco. Pokręciłam głową. - W porządku - mruknął. - To do wieczora. Postaraj się być możliwie jak najwcześniej.
- Masz to u mnie jak w banku - zapewniłam.
- Detektyw Perry odprowadził mnie do samochodu. Może z uprzejmości, a może chciał znaleźć się jak najdalej od corpus delicti. Nie miałam mu tego za złe.
- Co słychać u pańskiej żony, detektywie?
- Za miesiąc spodziewa się rozwiązania.
- Nie wiedziałam. Gratulacje. - Uśmiechnęłam się.
- Dziękuję. - Jego oblicze spochmurniało, pomiędzy ciemnymi oczami pojawiła się głęboka zmarszczka. - Sądzi pani, że odnajdziemy tę istotę, zanim znowu zabije?
- Mam taką nadzieję - odparłam.

- Jakie mamy szansę?

Czy chciał, abym go uspokoiła, czy powiedziała prawdę? Chyba jednak to drugie.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Miałem nadzieję, że pani jednak tego nie powie - mruknął.

- Ja także, detektywie. Ja także.

Co było ważniejsze niż dopadnięcie potwora, który rozdarł na sztuki całą rodzinę? Nic, absolutnie nic. Ale do zmierzchu zostało jeszcze sporo czasu, a ja miałam inne problemy. Czy Tommy wróci do Gaynora i przekaze mu moje słowa? Tak. Czy Gaynor odpuści? Raczej nie. Potrzebowałam informacji. Musiałam wiedzieć, jak daleko może się posunąć. Reporter, potrzebowałam reportera. Tylko Irving Griswold mógł mi teraz pomóc.

Irving zajmował jeden z tych pastelowych boksów, które uchodzą za gabinet. Zero sufitu, zero drzwi, tylko same ściany. Irving ma metr pięćdziesiąt siedem. Lubię go choćby tylko z tego powodu. Niewielu jest mężczyzn mojego wzrostu. Zwichrzone kasztanowe włosy okalały jego łysinę jak płatki kwiatu. Nosił śnieżnobiałą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci, krawat miał mocno poluzowany. Twarz okrągła, rumiana, policzki poczerwieniałe. Wyglądał jak łysy cherubin. Choć z wyglądu nie przypominał wilkołaka, był nim. Nawet wilkołaki nie są w stanie zaradzić łysieniu.

Nikt w redakcji Post-Dispatch w St. Louis nie wiedział, że Irving jest zmiennokształtnym. To choroba i likantropów nie wolno dyskryminować, podobnie jak chorych na AIDS, lecz mimo to takie przypadki się zdarzały. Może redakcja gazety zatrudniała osoby o szerszych horyzontach, bardziej liberalne, a jednak trzymałam stronę Irvinga. Ostrożności nigdy za wiele.

Irving siedział za swoim biurkiem. Oparłam się o framugę przy wejściu do jego boks.

- Jak tam twoje sztuczki? - zagadnął Irving.

- Naprawdę uważasz, że to zabawne czy masz po prostu taki drażniący zwyczaj? - odparłam.

- Zabawny ze mnie facet. - Uśmiechnął się. - Spytaj moją dziewczynę.

- Nie wątpię - odparłam.

- Co jest grane, Blake? I proszę, nie mów mi, że to się nie nadaje do prasy.

- Co byś powiedział na artykuł dotyczący nowych praw zombich, które się właśnie kroją?

- Może być. - Przymrużył powieki, jakby wietrzył trop, stał się podejrzliwy. - Czego chcesz w zamian?

- To na razie musi pozostać między nami, Irving. Sprawa jest zbyt delikatna.

- Tak myślałem. - Zmarszczył brwi i spojrzał na mnie. - Mów.

- Potrzebuję wszelkich informacji, jakie posiadasz na temat Harolda Gaynora.

- To nazwisko nic mi nie mówi - mruknął. - A powinno?

Jego spojrzenie przestało być radosne i stało się spokojne, zrównoważone. Gdy wietrzył artykuł, jego koncentracja była niemal perfekcyjna.

- Niekoniecznie - odparłam. Ostrożnie. - Czy zdobędziesz dla mnie te informacje?

- W zamian za temat o zombi?

- Zabiorę cię do wszystkich miejsc, gdzie wykorzystuje się zombi. Będiesz mógł przyprowadzić fotografa i zrobić zdjęcia trupów.

- Cykl artykułów z mnóstwem mrocznych zdjęć. - Jego oczy rozpromieniły się. - Ty na pierwszym planie, w kostiumie. Piękna i bestia. Mój naczelny na pewno na to pójdzie.
- Nie wątpię, choć nie jestem pewna, czy powinnam pokazywać się na tych zdjęciach.
- Ejże, twój szef będzie wniebowzięty. Dobra prasa oznacza ruch w interesie.
- I lepszą sprzedaż gazet - dodałam.
- Jasne - przytaknął Irving. Patrzył na mnie prawie przez minutę. W pokoju panowała niemal kompletna cisza. Większość pracowników rozeszła się już do domów. Boks Irvinga był jednym z niewielu, w których jeszcze paliło się światło. Czekał na mnie. To tyle, jeżeli chodzi o powiedzenie, że prasa nigdy nie śpi. Cichy szept klimatyzatora wypełniał wieczorną ciszę.
- Zobaczę, czy mam tego Harolda Gaynora w komputerze - odezwał się w końcu Irving.
- Zapamiętałeś imię i nazwisko, choć powiedziałam je tylko raz. - Uśmiechnęłam się do niego. - Całkiem nieźle.
- Bądź co bądź, jestem wytrawnym reporterem - mruknął. Z nadmierną, przesadną gwałtownością odwrócił swój fotel w stronę biurka. Nałożył nieistniejące rękawiczki i poprawił połę fraka.
- Och, dajże spokój.
- Nie popędzaj maestra. - Uśmiechnął się nieco szerzej i wpisał kilka słów, ekran ożył. - Mam go w komputerze - rzekł Irving. - To spory plik. Wydrukowanie go zajmie całą wieczność. - Znów odwrócił fotel, aby na mnie spojrzeć. To był zły znak. - Powiem ci coś - mruknął. - Ściągnę cały plik, ze zdjęciami, jeśli jakieś mamy, wydrukuję to wszystko, a potem, oddam wprost do twoich ślicznych rączek.
- Gdzie tkwi haczyk?
- Jaki haczyk? - Dotknął palcami piersi. - Gdzieżbym śmiał. Robię to wszystko z dobroci serca.
- W porządku, przynieś to wszystko do mnie, do mieszkania.
- A może spotkajmy się raczej u Truposza Dave'a? - zaproponował.
- To w dystrykcie wampirów. Czego ty tam szukasz? Po co miałbyś się tam zapuszczać? Bystre oczka w twarzy cherubina obserwowały mnie z powagą.
- Krążą plotki, że pojawił się nowy Mistrz Miasta. Chcę napisać o nim artykuł.
- I aby zdobyć informacje, kręcisz się wokół knajpy Truposza Dave'a? - Pokręciłam głową.
- Właśnie.
- Wampiry nie zechcą z tobą gadać. Wyglądasz na człowieka.
- Dzięki za komplement - powiedział. - Ale z tobą wampiry na pewno zechcą mówić, Anito. Czy wiesz, kto jest nowym Mistrzem? Czy mogę spotkać się z nim lub z nią? Czy mogę przeprowadzić wywiad?
- Jezu, Irving, nie masz dość kłopotów, musisz jeszcze szukać króla wampirów?
- A więc to jednak on - mruknął Irving.
- To tylko takie określenie - zaoponowałam.
- Ty coś wiesz. Czuję to.

- A ja czuję, że lepiej dla ciebie byłoby, gdybyś nie próbował nawiązać kontaktu, z mistrzem wampirów. W ogóle powinieneś ich unikać. Wampiry są podłe i podstępne.
- Starają się wtopić w środowisko. Są głównonurtowcami. Chcą zrobić dobre wrażenie na innych. Chciałbym przeprowadzić wywiad, aby Mistrz mógł wypowiedzieć się w nim o swych pragnieniach związanych ze wspólnotą wampirów. Wyjawić swoją wizję przyszłości. Prosto i jasno. Żadnych dowcipów o nieboszczykach. Zero taniej sensacji. Tylko solidna dziennikarska robota.
- Taa, jasne. I do tego odpowiedni nagłówek - "Tako rzecze mistrz wampirów z St. Louis".
- Tak, to będzie wspaniałe.
- Znów nawąchałeś się farby drukarskiej, Irving. Pamiętaj, temat na pierwszą stronę to nie najważniejsza rzecz.
- Dam ci wszystko, co mamy na temat Gaynora. Zdjęcia.
- Skąd wiesz, że macie zdjęcia? - spytałam. Spojrzał na mnie tępo, bez wyrazu. - To nazwisko nie jest ci obce, ty mały sukin...
- Spokojnie, Anito. Pomóż mi załatwić wywiad u Mistrza Miasta, a dam ci wszystko, czego chcesz.
- Dostaniesz cykl artykułów o zombi. Barwne zdjęcia gnijących ciał. To podwyższy sprzedaż gazet.
- Żadnych wywiadów z Mistrzem? - spytał.
- Jeśli dopisze ci szczęście, to nie - odparłam.
- Wal.
- A dostanę akta Gaynora?
- Poskładam je.- Pokiwał głową i spojrzał na mnie. - Ale upieram się, żebyśmy spotkali się u Truposza Dave'a. Może, gdy będziesz w pobliżu, jakiś wampir zechce jednak ze mną pogadać.
- Irving, czy wydaje ci się, że towarzystwo legalnej egzekutorki wampirów zbliży cię do nich?
- Wciąż nazywają cię Egzekutorką?
- Między innymi.
- W porządku, akta Gaynora za uczestnictwo przy egzekucji następnego wampira?
- Nie - ucięłam..
- Ależ, Anito...
- Nie.
- W porządku, tak tylko zapytałem. - Rozłożył szeroko ręce. - To byłby doskonały artykuł.
- Nie potrzebuję popularności, Irving, a już na pewno nie takiej.
- Tak, tak. - Skinął głową. - Spotkajmy się u Truposza Dave'a za dwie godziny.
- Lepiej za godzinę. Wolałabym opuścić dystrykt, zanim się ściemni.
- Czy ktoś tam na ciebie poluje? Nie chcę cię niepotrzebnie narażać. - Uśmiechnął się. - Dzięki tobie zyskałem wiele artykułów na pierwszą stronę. Nie chciałbym cię stracić.
- Dzięki za troskę. Nie, nikt na mnie nie poluje. O ile mi wiadomo.
- Nie powiedziałaś tego z wielkim przekonaniem.

Spojrzałam na niego. Zastanawiałam się, czy powiedzieć mu, że nowy Mistrz Miasta przysłał mi tuzin białych róż i zaproszenie na tańce. Odmówiłam. Na automatycznej sekretarce miałam nagraną wiadomość i zaproszenie na elegancki raut. Zignorowałam je. Jak dotąd Mistrz zachowywał się jak rasowy dżentelmen, którym był parę stuleci temu. To nie mogło trwać wiecznie. Jean-Claude nie tolerował porażek. Nie powiedziałam Irvingowi. Nie musiał wiedzieć.

- Do zobaczenia u Truposza Dave'a, za godzinę. Teraz muszę pędzić do domu i przebrać się.

- Kiedy o tym wspomniałaś, uświadomiłem sobie, że nigdy dotąd nie widziałem cię w sukience.

- Miałam dziś pogrzeb.

- Sprawa służbowa czy prywatna?

- Prywatna - odparłam.

- Wobec tego wyrazi współczucia.

Wzruszyłam ramionami.

- Jeżeli mam się przebrać i zdążyć na spotkanie, muszę już zmykać. Dzięki, Irving.

- To nie przysługa, Blake. Zapłacisz mi za to artykułami o zombi.

Westchnęłam. Wyobraziłam sobie, jak zmusza mnie do objęcia jednego z tych umarlaków. Cóż, mimo wszystko nowe przepisy prawne wymagały, aby ktoś się nimi zainteresował. Im więcej ludzi zrozumie koszmar, jaki nam szykowano, tym większa była szansa jego powstrzymania. W gruncie rzeczy Irving mimo wszystko wyświadczał mi przysługę. Tyle tylko, że nikt mu tego nie powie. I niech tak zostanie.

Weszłam w półmrok panujący w głębi niemal całkiem opustoszałej redakcji. Pomachałam przez ramię, nie oglądając się wstecz. Chciałam zrzucić sukienkę i wbić się w coś, pod czym łatwiej byłoby mi ukryć pistolet. Jeżeli wybierałam się do Krwawego Kwartалу, mogłam potrzebować broni.

Bar U Truposza Dave'a mieści się w tej części St. Louis, która znana jest pod dwiema nazwami: kulturalną - Nabrzeże i mniej kulturalną - Krwawy Kwartał. To najbardziej popularna dzielnica rozrywkowa wampirów w naszym mieście. Ogromna atrakcja turystyczna. Dzięki wampirom St. Louis znalazło się na mapach wakacyjnych kurortów. Można by przypuszczać, że góry Ozark z najlepszymi łowiskami w kraju, orkiestrą symfoniczną i broadwayowskimi musicalami oraz ogrodami botanicznymi wystarczą w zupełności, ale nie. Chyba nie sposób rywalizować z nieumarłymi.

W knajpie Dave'a królują zaciemnione szyby i reklamy piwa. Nawet w południe wewnątrz panuje półmrok. Wampiry zjawiają się tu dopiero po zmierzchu. Zostały mi niecałe dwie godziny. Wejść do środka, przejrzeć akta, wyjść. Proste. No jasne.

Przebrałam się w czarne szorty, niebieską koszulkę polo, czarne adidas z niebieskimi paskami, czarno-białe skarpety frotte, założyłam też czarny pasek. Był mi potrzebny do podpięcia kabury. W kaburze pod lewą pachą tkwił browning hi-power. Aby ukryć broń, nałożyłam jeszcze bluzkę z krótkim rękawem. Była niebieska, z czarnymi wstawkami. Wyglądałam całkiem niezłe. Pot ściekał mi po plecach. Za gorąco na dwie bluzki, ale browning zapewniał mi aż trzynaście naboí. Czternaście, jeśli ma się dość ikry, by oprócz pełnego magazynka mieć dodatkowy nabój w komorze.

Nie sądziłam, aby sprawy przybrały aż tak dramatyczny obrót, jeszcze nie. W kieszonce szortów miałam jednak zapasowy magazynek. Wiem, że mogło napchać się do niego wiele rozmaitych świństw, ale gdzie miałam go włożyć? Kiedyś kupię sobie nowe szelki z dodatkowymi kieszeniami na zapasowe magazynki. Tyle że wszystkie modele, które widziałam, trzeba by specjalnie dopasować do moich gabarytów, a i tak w rezultacie wyglądałabym jak statystka z Desperado.

Gdy mam przy sobie browninga, zwykle nie zabieram ze sobą zapasowego magazynka. Spójrzmy prawdzie w oczy, gdybym musiała zużyć więcej niż trzynaście kul, i tak byłoby po mnie. Najsmutniejsze było to, że mogłam zużyć tę amunicję nie na Tommy'ego czy na Gaynora, lecz na Jean-Claude'a, Mistrza Miasta. Co prawda, posrebrzane naboje nie zabiłyby go, ale na pewno spowolniły i uczyniły proces gojenia ran dłuższym niż u człowieka. Chciałam wydostać się z dzielnicy przed zmierzchem. Nie miałam ochoty wpaść na Jean-Claude'a. Nie zaatakowałby mnie. Prawdę mówiąc, miał dobre, żeby nie powiedzieć szlachetne, intencje. Oferował mi nieśmiertelność bez kłopotliwej konieczności przeistoczenia mnie w wampirzycę. Liczył, że mając w perspektywie wieczność, kiedyś go polubię. Był wysoki, blade i przystojny. Seksowniejszy niż jedwabna bielizna. Chciał, abym została jego ludzką służebnicą. Nie byłam niczyją służką. Nawet za obietnicę życia wiecznego, wiecznej miłości i utraty duszy. Cena była zbyt wysoka, Jean-Claude w to nie wierzył. Broń wzięłam na wypadek, gdybym musiała go jakoś przekonać.

Weszłam do baru i na moment oślepałam; odczekałam chwilę, by moje oczy przywykły do półmroku. Jak w tych starych westernach, kiedy pozytywny bohater przepatruje od wejścia wnętrze saloonu. Byłam przekonana, że wcale nie wypatrywał bandziorów. Po prostu wchodził do ciemnego wnętrza i przez chwilę zupełnie nic nie widział. Nikt nigdy nie strzela do człowieka, który czeka, by jego oczy przyzwyczyły się do zmiany oświetlenia. Ciekawe, dlaczego?

Było po siedemnastej. Czwartek. Większość stołków barowych i stolików była pozajmowana. Wokół mnie roilo się od mężczyzn i kobiet w garniturach i kostiumach. Tu i ówdzie dostrzegłam paru robotników o opalonych muskularnych ramionach, ale przeważali biznesmeni. Bar stał się modny pomimo usilnych starań, by było inaczej. Wyglądało na to, że trafiłam w sam środek happy hour. Cholera. Zlecieli się tu wszyscy yuppie pragnący ujrzeć na własne oczy wampira. Gdy to się stanie, będą bardziej niż odrobinę podpicci. Ale to, jak sądzę, tylko wzmoże ich doznania.

Irving siedział przy zaokrąglonym załomie kontuaru. Dostrzegł mnie i pomachał.

Odmachałam mu i zaczęłam przebijać się w jego stronę. Przecisnęłam się pomiędzy dwoma dżentelmenami w garniturach. Wymagało to trochę wysiłku, ale w końcu bez cienia finezji klapnęłam na wysoki barowy stółek.

Irving uśmiechnął się szeroko. W barze panował spory gwar. Słowa zlewały się w głośny dźwięk przypominający szum oceanu. Musiał nachylić się do mnie, abym go mogła usłyszeć.

- Mam nadzieję, że docenisz trud, jaki sobie zadałem, aby zdobyć dla ciebie to miejsce - powiedział. - Musiałem zabić parę smoków. - Jego oddech był z lekka przesiąknięty wonią whisky.

- Smoki to betka, spróbuj kiedyś załatwić wampira - odparłam. Jego oczy rozszerzyły się.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, dorzuciłam: - Tylko żartowałam, Irving. - Kurczę, niektórzy nie mają za grosz poczucia humoru. - Poza tym smoki nie są rdzennymi istotami zamieszkującymi Amerykę Północną - dodałam.

- Wiedziałem.

- No jasne - mruknęłam.

Upił łyk whisky z kanciastej szklaneczki. Bursztynowy płyn skrzył się w słabym świetle.

Luther, kierownik dziennej zmiany i barman, stał przy końcu kontuaru obok grupki rozbawionych klientów. Gdyby byli rozbawieni nieco bardziej, leżeliby chyba na podłodze.

Luther jest potężny, nie tyle wysoki, co gruby. Otłuszczony, ale ten tłuszcz wydaje się być nieomal tkanką mięśniową. Skórę ma tak czarną, że w tym świetle sprawia wrażenie fioletowej. Koniuszek papierosa, którego trzymał w ustach, rozjarzył się pomarańczowo, gdy zaczerpnął tchu. Nikt tak jak on nie potrafił równocześnie ćmić papierosa i rozmawiać.

Irving podniósł z podłogi starą skórzaną aktówkę. Wyłuskał z niej teczkę grubości ponad siedmiu centymetrów. Była spięta szeroka gumką.

- Rany, Irving, mogę ją wziąć do domu?

Pokręcił głową.

- Koleżanka po fachu pisze artykuł o grupie dobrze prosperujących biznesmenów, którzy mają na sumieniu wiele ciemnych sprawek. Obiecałem, że pożyczę to od niej tylko na jedną noc.

Spojrzałam na stertę kartek papieru. Westchnęłam. Facet po prawej omal nie przyrznął mi łokciem w twarz. Odwrócił się.

- Pani wybaczy. Nic się nie stało - wybełkotał.

- Nic nie szkodzi - mruknęłam.

Uśmiechnął się i odwrócił do kumpla. Jeszcze jeden biznesmen, który śmiał się na całe gardło, nie wiadomo dlaczego. Wystarczy, że wypijesz za dużo i wszystko wydaje ci się zabawne.

- Nie dam rady tu tego przeczytać - powiedziałam.

- Potowarzyszę ci, dokądkolwiek zechcesz. - Irving uśmiechnął się.

Luther stanął przede mną. Z paczki, którą stale miał przy sobie, wyjął kolejnego papierosa. Odpalił go od niedopałka. Koniuszek papierosa rozjarzył się jak węgielek. Luther wypuścił dym ustami i nosem. Jak smok. Zgniół niedopałek w czystej szklanej popielniczce, którą nosił ze sobą wszędzie jak pluszowego misia. Luther pali jak lokomotywa, ma potężną nadwagę, a z siwymi włosami wygląda na pięćdziesiąt parę lat. Powinien być modelem na plakaty Towarzystwa Przeciwników Palenia Tytoniu.

- Jeszcze raz to samo? - zagadnął Irvinga.

- Tak. Poproszę.

Luther wziął szklaneczkę, napełnił z butelki pod kontuarem i postawił na nowej serwetce.

- A co dla ciebie, Anito? - zapytał.

- To co zwykle, Luther.

Nalał mi szklankę soku pomarańczowego. Udajemy, że to Screwdriver. Jestem abstynentką, ale w takim razie, po co miałabym przychodzić do pubu?

Wytarł kontuar czystą białą ściereczką.

- Mam dla ciebie wiadomość od Mistrza.

- Od Mistrza Miasta? - spytał Irving. W jego głosie pojawiło się nagle ożywienie. Wyczuł dla siebie temat.

- Jaka? - spytałam beznamiętnym tonem.

- Chce się z tobą spotkać, i to pilnie. - Spojrzałam na Irvinga, po czym przeniosłam wzrok na Luthera. Staralam się przekazać mu telepatycznie - nie teraz, nie przy reporterze. Bez powodzenia. - Mistrz dał jasno do zrozumienia: każdy, kto cię zobaczy, ma przekazać ci wiadomość.

Irving wodził wzrokiem pomiędzy nami jak radosny szczeniak.

- Czego chce od ciebie Mistrz, Anito?

- Umówmy się, że wiadomość otrzymałam - rzuciłam bez cienia emocji.

- Nie spotkasz się z nim, prawda? - Luther pokręcił głową.

- Nie - odparłam.

- Dlaczego nie? - spytał Irving.

- Nie twoja sprawa.
- Tak między nami - nalegał.
- Nie.
- Posłuchaj, dziewczyno. - Luther spojrział na mnie. - Spotkaj się z Mistrzem. Właśnie teraz wszystkie wampiry i dziwolągi w całej okolicy mają ci donieść, że Mistrz chce się z tobą widzieć. Następne polecenie, jakie wyda, to pojmać cię i doprowadzić przed jego oblicze. Pojmać i doprowadzić - niezły eufemizm porwania.
- Nie mam Mistrzowi nic do powiedzenia.
- Nie pozwól, aby to wyrwało się spod kontroli, Anito - rzekł Luther. - Pomów z nim, co ci szkodzi?
- On pojmował to inaczej.
- Może się zdecyduję.
- Luther miał rację. Musiałam z nim pogadać, prędzej czy później. Choć w tej drugiej sytuacji rozmowa miałyby zapewne mniej przyjazny przebieg.
- Czemu Mistrz chce z tobą mówić? - zapytał Irving. Był jak wygłodniały ptak, który właśnie spostrzegł robaka.
- Zignorowałam pytanie i przyszło mi do głowy inne.
- Czy twoja koleżanka po fachu zreferowała ci po trosze treść tych akt? - spytałam. - Nie mam teraz czasu na lekturę Wojny i pokoju. Do rana raczej z tym nie zdążę.
- Powiedz, co wiesz o Mistrzu, a ja podzielę się z tobą moją wiedzą na temat tych akt.
- Wielkie dzięki, Luther.
- Nie chciałem, aby wykorzystał to przeciw tobie - mruknął.
- Jego papieros zakołysał się w górę i w dół. Nie pojmowałam, jak on to robił. Zręczne wargi, lata praktyki.
- Naprawdę chciałbym, aby wszyscy przestali traktować mnie jak zadżumionego - rzekł Irving. - Ja tylko wykonuję swoją pracę.
- Wypiłam łyk soku i spojrzałam na reportera.
- Zrozum, Irving, mieszasz się w coś, czego nie rozumiesz. Nie mogę przekazać ci informacji na temat Mistrza. Po prostu nie mogę.
- Nie chcesz - poprawił.
- Nie chcę. - Wzruszyłam ramionami. - Ale tylko dlatego, że nie mogę.
- Taka rozmowa prowadzi donikąd - poskarżył się.
- Nie chcesz rozmawiać, to nie mów. - Dopiłam sok. Miałam go dość. - Posłuchaj, Irving, mieliśmy umowę. Akta za artykuły o zombi. Jeśli zamierzasz złamać dane słowo, nici z naszej umowy. Wystarczy, że to potwierdzisz. Nie mam czasu siedzieć tu i grać w pieprzone dwadzieścia pytań.
- Nie wycofuję się z umowy. Moje słowo jest wiążące - rzucił teatralnym szeptem.
- Wobec tego gadaj, co wiesz o treści tych akt, abym mogła zmyć się z dzielnicy, zanim Mistrz mnie dopadnie.
- Masz kłopoty, prawda? - Jego oblicze nagle sposępniało.

- Niewykluczone. Pomóż mi, Irving. Chcę to skończyć jak najszybciej. Proszę.
- Pomóż jej - rzekł Luther.
- Może dlatego, że poprosiłam. A może za sprawą dysponującego sporą siłą perswazji Luthera. Tak czy owak, Irving skinął głową.
- Moja koleżanka po fachu mówi, że to kaleka, jeździ na wózku. - Skinęłam głową. Zero współpracy, cała ja. - Lubi niepełnosprawne kobiety.
- To znaczy? - Przypomniałam sobie puste oczy Cicely.
- Niewidome, na wózkach, bez kończyn, każda ułomna ma u Henry'ego spore szansę.
- Głuche - podsunęłam.
- Jak najbardziej.
- Dlaczego? - spytałam. Jestem specjalistką od bystrych pytań.
- Może czuje się przez to lepszy. - Irving wzruszył ramionami. - Bo przecież sam też jest przykuty do wózka. Moja koleżanka po fachu nie wie, dlaczego stał się dewiantem, ale jest nim bez wątpienia.
- Co ci jeszcze powiedziała?
- Nigdy o nic go nie oskarżono, ale na jego temat krążą naprawdę paskudne plotki. Rzekome mafijne powiązania, ale żadnych konkretnych dowodów. Jedynie plotki.
- Mów dalej - ponagliłam.
- Pewna kobieta chciała wnieść przeciw niemu oskarżenie do sądu. Zniknęła bez śladu.
- Zniknęła i najprawdopodobniej nie żyje - rzekłam.
- Otóż to.
- Uwierzyłam w to. A więc Bruno i Tommy już wcześniej wykonywali dla niego mokrą robotę. Może zlecenie po raz drugi zabójstwa jest łatwiejsze. A może Gaynor wielokrotnie zlecał swoim oprychom mordowanie ludzi, tyle że nigdy nie został na tym przyłapany.
- Co miałby robić dla mafii, że ma przy sobie aż dwóch ochroniarzy?
- Och, widzę, że poznałaś już jego straż przyboczną. - Skinęłam głową. - Moja koleżanka po fachu z przyjemnością by z tobą porozmawiała.
- Nie mówiłaś jej o mnie, prawda?
- Czy ja wyglądam na żółtodzioba albo durnia? - Uśmiechnął się do mnie.
- Nie skomentowałam jego słów.
- To jak, czym się zajmuje dla mafii? - spytałam.
- Pomaga im prac pieniądze, a przynajmniej tak właśnie podejrzewamy.
- Żadnych dowodów? - spytałam.
- Zero. - Nie wyglądał na zadowolonego. Luther pokręcił głową, strzepując popiół z papierosa do popielniczki. Kilka szarych drobin wylądowało na kontuarze. Stał je białą ścierką.
- Ten gość to nic dobrego, Anito. Chcesz mojej rady? Dam ci ją, trzymaj się od tego faceta z daleka.
- Dobra rada. Niestety.
- Wątpię, aby on zechciał odwdziaczyć mi się tym samym.

- O nic nie pytam. Nic nie chcę wiedzieć. - Jakiś klient rozpaczliwie domagał się kolejnego drinka. Luther podreptał w tamtą stronę. Mogłam obserwować cały bar w długim lustrze wiszącym na ścianie za kontuarem. Nie musiałam się nawet odwracać, by zobaczyć drzwi. To było wygodne i pocieszające.
- A ja zapytam - rzekł Irving. - I chcę wiedzieć. - Pokręciłam głową. - Wiem coś, czego ty nie wiesz - mruknął.
- A czy chcę to wiedzieć? - Przytaknął energicznie głową. Westchnęłam przeciągle. - No to mów.
- Ty pierwsza.
- Miałam już dość.
- Powiedziałam ci dziś wszystko, co miałam do powiedzenia. Mam akta. Przejrzę je. Tylko zabierasz mi czas, a nie mam go wiele. Tej nocy każda chwila jest dla mnie droga.
- Och, daj spokój, pozbawiasz mnie całej przyjemności z wykonywanego zawodu. - Sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar zacząć się na mnie dąsać.
- Powiedz mi, co chcę wiedzieć albo zrobię coś strasznego.
- Omali nie wybuchnął śmiechom. Chyba mi nie uwierzył. A powinien.
- No, już dobrze. Dobrze. - Zamaszystym gestem, jak iluzjonista, wyjął skądś fotografię. Było to czarno-białe zdjęcie kobiety. Miała dwadzieścia kilka lat, długie ciemne włosy i modną fryzurę. Była ładna. Nie rozpoznałam jej. Zdjęcie chyba nie było upozowane. Wydawało się zbyt naturalne, a kobieta sprawiała wrażenie osoby, która nie zdaje sobie sprawy, że jest fotografowana.
- Kim ona jest? - spytałam.
- Jeszcze pięć miesięcy temu była jego dziewczyną - rzekł Irving.
- A więc jest... niepełnosprawna? - Spojrzałam na to piękne, radosne oblicze. Patrząc na zdjęcie, nie sposób się domyślić.
- Wanda Wózek.
- Chyba żartujesz. - Spojrzałam na niego ze zdumieniem.
- Wanda Wózek krąży po ulicach na swoim wózku inwalidzkim. - Uśmiechnął się. - Jest bardzo popularna w pewnych kręgach.
- Prostytutka na wózku. Nie, to zbyt dziwne. Pokręciłam głową.
- W porządku, gdzie mogę ją znaleźć?
- Ja i moja koleżanka po fachu chcemy mieć ten materiał.
- To dlatego nie włożyłaś jej zdjęcia do akt.
- Wanda nie zechce z tobą mówić, Anito. - Nawet się nie zawstydził.
- A z twoją koleżanką rozmawiała? - Zmarszczył brwi, jego wzrok sposepniał. Wiedziałam, co to oznacza. - Ona nie chce rozmawiać z dziennikarzami, prawda, Irving?
- Boi się Gaynora.
- Powinna.
- Dlaczego miałyby pomówić z tobą, skoro z nami nie chce?
- Bo mam ujmującą osobowość - odparłam.

- Daj spokój, Blake.

- Gdzie ją można znaleźć, Irving?

- Niech to szlag. - Dopił drinka jednym łapczywym, gniewnym łykiem. - Pracuje w pobliżu klubu Szary Kot.

Szary Kot, tak jak w tym powiedzeniu, że po zmierzchu wszystkie koty są szare. Niezłe.

- Gdzie jest ten klub?

- Przy głównej ulicy Tenderloin, na rogu Dwudziestej i Grand - odezwał się Luther. Nie widziałam go, jak do nas wracał. - Ale lepiej, żebyś nie szła tam sama, Anito.

- Umiem o siebie zadbać.

- Owszem, ale nie sprawiasz takiego wrażenia. Lepiej, żebyś nie musiała posłać kulki jakiemuś szmondakowi, któremu wydawało się, że jesteś dobrym materiałem na ofiarę lub coś znacznie gorszego. Weź ze sobą kogoś, kto wygląda na wrednego typu, oszczędzisz sobie kłopotów.

- Sam bym się tam nie wybrał. - Irving wzruszył ramionami.

Nie chciałam się do tego przyznać, ale mieli rację. Może i jestem twardą, bezlitosną zabójczynią wampirów, ale mój wygląd o tym nie świadczy.

- W porządku, zabiorę Charlesa. Co prawda, wygląda jak niezły zakapior, ale serce ma łagodne.

- Nie pozwól staremu Charliemu zbyt długo się tam rozglądać. Jego serce mogłoby tego nie wytrzymać. - Luther zaśmiał się, wydmuchując kłęb dymu. - Wystarczy, że ktoś raz zemdleje przy ludziach i reputację twardziela diabli wzięli.

- Zadbam o niego. - Położyłam na barze więcej forsy, niż wynosiła należność za sok. Nie otrzymałam dziś istotnych informacji od Luthera, ale zwykle są one dla mnie bardzo ważne. I pomocne. Nigdy nie płaciłam za nie tyle, ile powinny kosztować. Miałam zniżkę, ponieważ współpracowałam z policją. Truposz Dave służył jako glina, zanim wyrzucono go ze służby, ponieważ był nieumarły. To nie było rozsądne posunięcie. Bardzo krótkowzroczne. Dave wciąż im tego nie wybaczył, ale był zawsze skory do pomocy. Dlatego też przekazywał mi informacje, a ja z kolei, po odpowiednim zredagowaniu i okrojeniu, częstowałam nimi gliny. Truposz Dave wyłonił się z drzwi za barem. Spojrzałam w stronę przyciemnionych okien. Niby wszystko wyglądało tak samo, ale skoro Dave się pojawił, to znaczy, że zapadł już zmierzch. Cholera. Miałam w perspektywie spacer do samochodu po terenie, na którym roiło się od wampirów. Przynajmniej miałam swoją spluwę. To pocieszające.

Dave jest wysoki, barczysty i ma krótkie kasztanowe włosy; tuż przed śmiercią zacząłłysieć. Od tamtej pory włosy przestały mu wypadać, ale też nie wyrastały już nowe. Uśmiechnął się do mnie szeroko, błyskając kłami. Tłum zareagował nagłym ożywieniem, jakby silny impuls poruszył ten sam nerw u każdego z obecnych w barze klientów. Ludzie zaczęli szeptać. Wampir. Przedstawienie właśnie się zaczęło.

Dave i ja przywitaliśmy się. Dłoń miał ciepłą, silną i suchą. Czy już się dziś pożywiałeś, Dave? Kim się pożywiłeś? Czy ten ktoś pozwolił ci nasycić się swoją krwią dobrowolnie? Zapewne tak. Dave jak na truposza był porządnym facetem.

- Luther mówił mi, że tu zagładasz, ale zawsze pojawiałaś się za dnia. Miło, że dla odmiany zawitałaś tu po zmierzchu - powiedział Dave.

- Szczerze mówiąc, zamierzałam zniknąć z Dzielnicy, zanim zrobi się ciemno.

- Masz spluwę? - Zmarszczył brwi.

Dyskretnie pokazałam mu broń.

- Nosisz przy sobie pistolet. - Oczy Irvinga rozszerzyły się. Mówił cicho, ale ja miałam wrażenie, że jego słowa zabrzmiały jak krzyk.

Hałas przycichł. Do tego stopnia, że ktoś mógł usłyszeć, o czym rozmawialiśmy. Choć w gruncie rzeczy ci ludzie właśnie po to tu przyszli, aby posłuchać wampira. Aby zwierzyć się nieumarłemu ze swych kłopotów.

- Ogłoś to całemu światu, Irving - powiedziałam półgłosem.

- Przepraszam. - Wzruszył ramionami.

- Skąd znasz tego pismaka? - spytał Dave.

- Pomaga mi czasem przy pewnych sprawach.

- Pomaga, no, no. - Uśmiechnął się, nie pokazując kłów. To sztuczka, której wampiry uczą się po kilku latach egzystencji. - Luther przekazał ci wiadomość?

- Taa.

- I co, postąpisz mądrze czy głupio?

Dave bywa nieokrzesany, ale i tak go lubię.

- Przypuszczam, że raczej głupio - odparłam.

- Tylko dlatego, że z nowym Mistrzem łączy cię szczególna więź, nie pozwól sobie zamydlić oczu. Bądź rozsądna. To mimo wszystko wciąż mistrz wampirów. A tacy jak on to nic dobrego. Nie zadzieraj z nim. Nie warto.

- Staram się tego unikać.

Dave uśmiechnął się na tyle szeroko, że pokazał mi jeden kiel.

- Cholera, chcesz powiedzieć... Nie, jeżeli chodzi o ciebie, zależy mu na czymś więcej niż na dobrej panience do łóżka.

Miło wiedzieć, że jego zdaniem byłabym dobrą panienką do łóżka. Każdego dnia dowiaduję się o sobie czegoś nowego.

- Tja - mruknęłam.

- Anito, co się dzieje, u licha? - Irving wiercił się na stołku.

Dobre pytanie.

- To moja sprawa, a nie twoja.

- Anito...

- Nie dręcz mnie, Irving. Ja nie żartuję. Daj mi spokój.

- Czy ja cię dręcę? Tego jeszcze nie było. Co jeszcze mi powiesz?

- Zostaw mnie, kurwa, w spokoju - wycodziłam, spojrzawszy mu prosto w oczy. - Czy wyraziłam się jasno?

- No co, ja tylko staram się wykonywać swoją robotę. - Uniósł dłonie, jakby się poddawał.

- Rób to gdzie indziej.

Zsunęłam się ze stołka.

- Wydano polecenie, aby cię odnaleźć, Anito - rzekł Dave. - Niektóre wampiry mogą okazać się nadgorliwe.

- Chcesz powiedzieć, że mogą próbować użyć wobec mnie siły? - Skinął głową. - Jestem uzbrojona, mam krzyżyk i w ogóle. Poradzę sobie.

- Chcesz, żebym odprowadził cię do samochodu? - zapytał Dave.

Spojrzałam w jego brązowe oczy i uśmiechnęłam się.

- Dzięki, Dave, zapamiętam twoją propozycję, ale jestem już dużą dziewczynką.

Prawda była taka, że wielu wampirom nie podobało się, iż Dave przekazuje informacje wrogowi. Byłam przecież egzekutorką. Jeśli jakiś wampir przekroczył granicę, posyłano po mnie. Dla wampira nie było dożywocia. Śmierć albo nic. Żadne więzienie nie było w stanie utrzymać wampira.

Próbowano tego w Kalifornii, ale jeden z mistrzów wampirów wydostał się na wolność. W jedną noc urządził tam prawdziwą krwawą łaźnię, zamordował dwadzieścia pięć osób. Nie pożywał się, po prostu zabijał. Chyba wkurzył się, że trzymano go w zamknięciu. Przed jego celą ustawiono strażę, drzwi zapieczętowano krzyżami. Tyle że krzyże nie skutkują, jeśli nie wierzysz w ich moc. I z całą pewnością są nieskuteczne, gdy mistrz wampirów nakłoni cię do ich usunięcia.

Byłam wampirzym odpowiednikiem krzesła elektrycznego. Nie cieszyłam się wśród nich wielką sympatią. Coś takiego, kto by pomyślał?

- Pójdę z nią - rzekł Irving. Położył pieniądze na kontuarze i wstał.

Wcisnęłam opasłą teczkę pod pachę. Chyba nie chciał stracić jej z oczu. Pięknie.

- Gdyby przyszło co do czego, zapewne musiałaby chronić także ciebie - rzekł Dave. Irving chciał coś powiedzieć, ale zmitygował się. Mógł powiedzieć - jestem lykantropem, nie chciał jednak, by ktokolwiek się o tym dowiedział. Bardzo się starał, by uchodzić za człowieka. - Na pewno dasz sobie radę? - zapytał Dave. Raz jeszcze proponował mi wampirzą eskortę.

Chciał ochronić mnie przed Mistrzem. A przecież Dave był nieumarłym niecałe dziesięć lat. Nie był dość dobry.

- Miło wiedzieć, że komuś na mnie zależy, Dave.

- Spadaj - rzucił z przekąsem.

- Uważaj na siebie, dziewczyno - powiedział Luther.

Uśmiechnęłam się do obu promiennie, po czym odwróciłam się i wyszłam z baru, w którym nagle zrobiło się dziwnie cicho. Klienci zdołali raczej niewiele usłyszeć z naszej rozmowy, ale wciąż czułam na sobie ich świdrujący wzrok. Miałam ochotę obrócić się na pięcie i zawołać - Uuuu! Mogłam się założyć, że przestraszyłabym niejednego z siedzących przy stolikach klientów.

To przez bliznę w kształcie krzyża na ręku. Mają je tylko wampiry, nieprawdaż? Znak krzyża wypalony w nieczystym ciele. Mój był dziełem specjalnie spreparowanego żelaza do piętnowania. Zamówił je pewien nieżyjący już dziś mistrz wampirów. Sądził, że to będzie zabawne. Zabawne, jak cholera. A może to ze względu na Dave'a. Może nikt nie zauważył

mojej blizny. Może byłam najzwyczajniej w świecie przewrażliwiona. Wystarczy, że zaprzyjaźnisz się z miłym, spokojnym, przestrzegającym prawa wampirem i ludzie zaczną być wobec ciebie podejrzliwi. Zarób parę niezwykłych blizn, a ludzie zaczną wątpić, czy wciąż jesteś jeszcze człowiekiem. Ale to nic strasznego. Mogę z tym żyć. Podejrzliwość to zdrowa cecha. Pozwala mi utrzymać się przy życiu.

Duszny mrok zamknął się wokół mnie jak gorąca, lepka pięść. Krąg światła z latarni ulicznej wyglądał jak kałuża, jakby blask roztopiał się na chodniku. Wszystkie latarnie są kopiami lamp gazowych z przełomu wieków. Choć wznoszą się czarne i dumne, nie są do końca autentyczne. Jak halloweenowy kostium. Dobrze wygląda, ale jest za wygodny, aby był prawdziwy.

Nocne niebo czaiło się jak mroczna obecność nad wysokimi ceglanyymi budynkami, ale latarnie dzielnie powstrzymywały ciemność. Niczym czarny namiot podtrzymywany na świetlistym stelażu. Wrażenie mroku pozbawione uczucia realności.

Ruszyłam w stronę garażu parkingowego przy Pierwszej. Parkowanie przy Nabrzeżu graniczy z niemożliwością. Turyści tylko pogorszyli tę sytuację.

Twarde podeszwy butów Irvinga stuknęły ostro o bruk. Ulica wyłożona była prawdziwą kostką. Autentyczne kocie łby. Takie ulice są dobre dla koni, nie dla aut. Parkowanie stanowiło prawdziwe utrapienie, ale miejsce to miało swój urok.

Moje adidasy prawie nie wydawały żadnych odgłosów. Irving stąpał obok mnie jak słoń. Większość lykantropów, jakie miałam okazję poznać, porusza się miękko i bezszelestnie. Irving, choć był wilkołakiem, bardziej przypominał psa. Wielkiego, uwielbiającego zabawę psa.

Minęło nas kilka rozbawionych grup, głośny śmiech, rozmowy, piski. Ci ludzie przyszli tu, aby zobaczyć wampiry. Prawdziwe, żywe wampiry - a może powinnam raczej powiedzieć - prawdziwych nieumarłych? Turyści. Miłośnicy sensacji. Widziałam więcej nieumarłych niż oni wszyscy razem wzięci. Mogłabym się nawet założyć. I jakoś wcale nie podzielałam ich fascynacji.

Było już całkiem ciemno. Dolph i reszta będą na mnie czekać na cmentarzu Burrella. Musiałam tam dotrzeć. A co z teczką Gaynora? I co miałam zrobić z Irvingiem? Bywają takie dni, że nie wiem, za co mam się zabrać. Za dużo roboty. Jakaś postać oderwała się od jednego z tonących w mroku budynków. Nie potrafiłam stwierdzić, czy ten ktoś czekał tu na mnie, czy pojawił się ni stąd, ni zowąd. Czary. Zamarłam jak królik w snopach świateł reflektorów samochodu, patrząc przed siebie.

- Co się stało, Blake? - spytał Irving.

Podaliśmy mu teczkę, a on przyjął ją z zakłopotaniem. Chciałam mieć wolne ręce, na wypadek gdybym musiała sięgnąć po pistolet. Choć zapewne to nie będzie konieczne. Zapewne.

Podszedł do nas Jean-Claude, Mistrz Miasta. Jak tancerz poruszał się kocim, miękkim krokiem. Wydawało się, że nieomal płynął w powietrzu. Uosobienie ukrytej energii i gracji, tylko czekającej na brutalne wyzwolenie. Nie był zbyt wysoki, mógł mieć jakieś metr siedemdziesiąt osiem. Biel jego koszuli zdawała się błyszczeć w ciemnościach. Koszula była luźna, rękawy spięte zaopatrzonymi w trzy guziki mankietami; z przodu nie zapinana, lecz

związywana sięgającym aż pod szyję cienkim szpagatem. Pozostawił ją rozchełstaną, dzięki czemu widać było gładką biel jego torsu. Poły koszuli zatknął w obcisłe czarne dżinsy, gdyby nie to, unosiłyby się na wietrze niczym peleryna. Włosy, idealnie czarne, zawijały się delikatnie wokół jego twarzy. Oczy, gdyby ktoś miał dość odwagi, by w nie wejrzeć, były tak granatowe, że wydawały się prawie czarne. I lśniły niczym klejnoty.

Stanął o niecałe dwa metry od nas. Na tyle blisko, że mogłam spostrzec ciemną bliznę w kształcie krzyża na jego piersi. To jedyny znak, który mącił doskonałość jego ciała. A w każdym razie tych fragmentów jego ciała, które widziałam.

Moja blizna była wynikiem paskudnego żartu. Jego stanowiła ostatnią pamiątkę jakiegoś nieszczęśnika rozpaczliwie walczącego o życie. Zastanawiałam się, czy ten nieszczęśnik zdołał się ocalić? Czy Jean-Claude powiedziałby mi, gdybym go zapytała. Być może. Ale gdyby odpowiedź miała brzmieć "nie", wołałabym jej nie usłyszeć.

- Witaj, Jean-Claude - powiedziałam.

- Witaj, ma petite - rzekł. Jego głos był ciepły, miękki, odrobinę obsceniczny, jakbym powiedziała coś wulgarnego. Może faktycznie tak było.

- Nie nazywaj mnie ma petite - rzuciłam.

- Jak sobie życzysz. - Uśmiechnął się lekko, nie pokazując kłów. Spojrzał na Irvinga. Ten odwrócił wzrok, unikając spojrzenia Jean-Claude'a. Nie wolno nigdy patrzeć wampirovi prosto w oczy. Czemu więc ja robiłam to bezkarnie? Właśnie, dlaczego? - Kim jest twój przyjaciel? - Ostatnie słowo, choć wypowiedziane łagodnie, zabrzmiało odrobinę groźnie.

- To Irving Griswold. Pracuje jako reporter dla Post-Dispatch. Pomaga mi przy pewnej sprawie.

- Aha - mruknął. Obszedł Irvinga jak eksponat na aukcji, który był wart dokładniejszego obejrzenia.

Irving zerkał nerwowo, chcąc przez cały czas mieć wampira w zasięgu wzroku. Spojrzał na mnie, jego oczy rozszerzyły się.

- Co się dzieje?

- No właśnie, Irving - odezwał się Jean-Claude.

- Daj mu spokój, Jean-Claude - powiedziałam.

- Dlaczego nie przyszłaś zobaczyć się ze mną, moja mała animatorko?

Moja "mała animatorko" brzmiało niewiele lepiej niż ma petite, ale puściłam to mimo uszu.

- Byłam zajęta. - Na jego twarzy pojawił się niemal gniewny wyraz. Nie chciałam, aby się na mnie rozzłościł. - Zamierzałam spotkać się z tobą.

- Kiedy?

- Jutrzejszej nocy.

- Dzisiejszej nocy - odpowiedział.

- Dziś nie mogę.

- Ależ możesz, ma petite, możesz. - Jego głos zahulał w mojej głowie jak ciepły wiatr.

- Zbyt wiele ode mnie wymagasz - poskarżyłam się.

Zaśmiał się. Jego śmiech był miły i trwały jak zapach perfum, który unosi się w pokoju jeszcze długo po tym, gdy spryskana nimi osoba opuści pomieszczenie. Taki właśnie był jego śmiech, rozbrzmiewał w moich uszach niczym odległa muzyka. Nigdy dotąd nie spotkałam mistrza wampirów obdarzonego lepszym głosem. Każdy ma swoje talenty.

- Drażnisz mnie - rzucił, a rozbawienie z wolna zniknęło z jego głosu. - I co ja mam z tobą zrobić?

- Daj mi spokój - odparłam. Mówiłam całkiem serio. To było jedno z moich sekretnych pragnień.

Sposępniał. To stało się w jednej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Labilność doznań. W jednej chwili radość, w następnej posępna powaga. Był taki nieodgadniony.

- Zbyt wielu moich popleczników wie, że jesteś moją służebnicą, ma petite. Przejęcie nad tobą kontroli stanowi element konsolidacji posiadanej przeze mnie władzy - dodał niemal ze smutkiem. Niewiele mi to dało.

- Co masz na myśli, mówiąc o przejęciu nade mną kontroli?

W moim żołądku zagnieździła się lodowata gula strachu. Jeśli Jean-Claude nie przyprawi mnie o śmierć z przerażenia, to na pewno nabawię się przez niego wrzodów.

- Jesteś moją ludzką służebnicą. I musisz zachowywać się tak, jak na nią przystało.

- Nie jestem twoją służebnicą.

- Ależ jesteś, ma petite.

- Do cholery, Jean-Claude, zostaw mnie w spokoju.

Nagle stanął tuż obok mnie. Nie zauważyłam, kiedy się poruszył. Zaćmił mój umysł, a ja nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Serce podeszło mi do gardła. Chciałam się cofnąć, ale schwycił mnie za prawe ramię tuż nad łokciem. Był za silny. Nie mogłam mu się wyrwać. Nie powinnam była się cofać. Trzeba było sięgnąć po broń. Mam nadzieję, że ten błąd nie będzie kosztował mnie życia. Zachowałam spokojny, niewzruszony ton głosu.

Przynajmniej umrę odważnie.

- Sądziłam, że posiadanie dwóch twoich znaków oznacza, iż nie jesteś w stanie mentalnie mną manipulować.

- Nie mogę zahipnotyzować cię wzrokiem i choć trudniej mi zmać twój umysł, jest to możliwe.

Jego blade palce opasały moje ramię. Nie ścisnął mi ręki tak, żeby zabolalo. Nie próbowałam mu się wyrwać. To nie byłoby wskazane. Mógłby zgruchotać mi kość, nawet się nie wysilając, albo wyrwać mi ramię ze stawu. Równie dobrze mógłby dźwignąć zamiast sztangi toyotę. Skoro nie miałam szans w pojedynku na rękę z Tommym, nie mogłam nawet marzyć, aby równać się z Jean-Claudem.

- To nowy Mistrz Miasta, prawda? - spytał Irving. Chyba oboje o nim zapomnieliśmy. Tak bez wątpienia byłoby lepiej dla Irvinga.

Uścisk dłoni Jean-Claude'a wzmógł się nieznacznie. Wampir odwrócił się, aby spojrzeć na reportera.

- To ty prosiłeś o możliwość przeprowadzenia ze mną wywiadu.

- Tak. To ja. - W głosie Irvinga dało się wyczuć lekkie zdenerwowanie. Poza tym zachowywał kamienny spokój i opanowanie. Wyglądał na odważnego i zdecydowanego. Punkt dla Irvinga.

- Może po tym, jak zamienię parę słów z tą oto cudowną młodą kobietą, udzielę ci wywiadu.

- Naprawdę? - W głosie Irvinga słyhać było nieskrywane zdumienie. Uśmiechnął się do mnie szeroko. - To byłoby wspaniale. Pójdę na wszelkie ustępstwa. Byle...

- Cisza. - To słowo zabrzmiało jak syk węża. Irving zamilkł, jakby ktoś włożył mu do ust knebel.

- Irving, nic ci nie jest? - I kto to mówi? Ja, która zadawałam się z wampirem. Ale mimo wszystko zapytałam.

- Nie, nic - odparł Irving. Powiedział to niemal zduszonym, przerażonym szeptem. - Nigdy dotąd nie odczuwałam mocy równie silnej jak w jego przypadku.

- Tak, on jest dość wyjątkowy. - Popatrzyłam na Jean-Claude'a, a on skupił na mnie swą uwagę. A niech to.

- Wciąż dowcipkujesz, ma petite.

Spojrzałam w jego piękne oczy, ale te wyglądały całkiem zwyczajnie. Obdarzył mnie mocą, która niwelowała wpływ hipnotycznego spojrzenia.

- To pozwala zabić czas. Czego chcesz, Jean-Claude?

- Jaka odważna, nawet teraz.

- Nie załatwisz mnie na ulicy, przy świadkach. Możesz być nowym Mistrzem, ale jesteś także biznesmenem. Wampirem głównonurtowym. To ogranicza twoje pole działania.

- Tylko na forum publicznym - przyznał tak cicho, że tylko ja go usłyszałam.

- Doskonale, lecz oboje zgadzamy się, że nie zdecydujesz się urządzić krwawej łaźni na środku ulicy. - Spojrzałam na niego. - Tak więc skończ z tymi gierkami i gadaj, o co ci konkretnie chodzi.

Uśmiechnął się, lekko wykrzywając wargi, ale puścił moją rękę i cofnął się.

- Ty również nie sprowokowana nie zastrzelibyś mnie tu, na ulicy, na oczach niewinnych przechodniów.

Pomyślałam sobie, że bardzo łatwo mógłby mnie sprowokować, ale miałabym potem nieliczne problemy, tłumacząc się z tego przed glinami.

- To fakt, nie chcę, aby oskarżono mnie o morderstwo.

Uśmiechnął się szerzej, wciąż nie pokazując kłów. Robił to lepiej niż jakikolwiek inny znany mi żyjący wampir. Czy żyjący wampir to oksymoron? Nie byłam już pewna.

- Zatem nie skrzywdzimy się nawzajem w miejscu publicznym - powiedział.

- Przypuszczam, że nie - przytaknęłam. - Czego chcesz? Mam umówione spotkanie i już jestem spóźniona.

- Ożywiasz dziś zmarłych czy zabijasz wampiry? - zapytał.

- Ani jedno, ani drugie - odparłam.

Spojrzał na mnie, oczekując, że powiem coś więcej. Nie zrobiłam tego. Wzruszył ramionami. To był elegancki gest.

- Jesteś moją ludzką służebnicą, Anito. - Zwrócił się do mnie po imieniu. Zwykle to oznaczało kłopoty.
- Nie - zaproponowałam.
- Nosisz dwa moje znaki. - Westchnął przeciągle.
- Nie z własnego wyboru - przypomniałam.
- Zginęłabyś, gdybym nie podzielił się z tobą moją siłą.
- Nie wciskaj mi kitu, że uratowałeś mi życie. Nałożyłeś na mnie oba znaki siłą, bez mego przyzwolenia. Nie pytałeś mnie o zgodę ani nic nie wyjaśniłeś. Pierwszy znak być może faktycznie mnie uratował. Świetnie. Drugi ocalił ciebie. W żadnym z tych przypadków nie miałam nic do gadania.
- Jeszcze dwa znaki i staniesz się nieśmiertelna. Nie będziesz się starzeć, ponieważ ja się nie starzeję. Pozostaniesz człowiekiem, żywą osobą zdolną do noszenia poświęconego krzyżyka. Będziesz mogła nadal chodzić do kościoła. Nie utracisz swej nieśmiertelnej duszy. Czemu ze mną walczysz?
- Skąd wiesz, czy mogę przez to stracić duszę, czy nie? Ty swojej już nie masz. Przehandlowałeś ją za ziemską wieczność. Tylko że ja wiem, iż wampiry mogą umrzeć, Jean-Claude. Co się stanie, gdy umrzesz? Dokąd się udasz? Czy tak po prostu znikniesz i już? Nie, trafisz do piekła, gdzie twoje miejsce.
- I uważasz, że ty, jako moja służebnica, trafisz tam razem ze mną?
- Nie wiem i nie chcę się tego dowiedzieć.
- Stawiając mi opór, sprawiaasz, że wydaję się słaby. Nie mogę sobie na to pozwolić, ma petite. Musimy rozwiązać nasz mały problem w ten czy inny sposób.
- Po prostu daj mi spokój.
- Nie mogę. Jesteś moją ludzką służebnicą i musisz zacząć zachowywać się, jak na nią przystało.
- Nie naciskaj, Jean-Claude.
- Bo co, zabijesz mnie? Mogłabyś mnie zabić?
- Tak - odparłam, patrząc na jego piękne oblicze.
- Czuję twoje pożądanie, ma petite. I ja również pożądam ciebie. Wzruszyłam ramionami. Cóż mogłam powiedzieć?
- To tylko pożądanie, Jean-Claude, nic wielkiego. - Skłamałam. I doskonale zdawałam sobie z tego sprawę.
- Nie, ma petite. Znaczą dla ciebie coś więcej.
- Wokół nas, w bezpiecznej odległości, zaczęli gromadzić się ludzie.
- Naprawdę chcesz rozmawiać o tym na ulicy?
- Wzjął głęboki oddech i powoli, z westchnieniem wypuścił powietrze.
- Co racja, to racja. Zapominam się przez ciebie, ma petite.
- Pięknie.
- Naprawdę jestem spóźniona, Jean-Claude. Czeka na mnie policja.
- Musimy dokończyć tę rozmowę, ma petite - powiedział.

Skinęłam głową. Miał rację. Staralam się zignorować jego i cały problem. Niełatwo jednak pominąć Mistrza Wampirów.

- Jutrzejszej nocy - zaproponowałam.

- Gdzie? - zapytał.

To uprzejme z jego strony, że nie rozkazał mi przybyć do swej kryjówki. Zastanawiałam się, które miejsce byłoby najodpowiedniejsze na nasze spotkanie. Chciałam, aby Charles wybrał się ze mną do Tenderloin. Zadaniem Charlesa było sprawdzenie warunków pracy zombi w nowym rozrywkowym klubie. To było równie dobre miejsce jak każde inne.

- Znasz Uśmiechniętego Nieboszczyka? - spytałam.

- Tak. - Uśmiechnął się, dostrzegłam błysk kłów. Kobieta w tłumie jęknęła.

- Spotkajmy się tam, powiedzmy, o dwudziestej trzeciej.

- Z przyjemnością. - Jego słowa pieściły moją skórę niczym obietnica. Cholera. - Będę czekać na ciebie jutro wieczorem. W moim biurze.

- Chwileczkę. Co to znaczy w twoim biurze? - Miałam złe przeczucia.

- Przecież Uśmiechnięty Nieboszczyk należy do mnie. Myślałem, że wiesz. - Znów posłał mi drapieżny uśmiech.

- Akurat.

- Będę na ciebie czekał.

To ja wybrałam miejsce. Nie zmienię swojej decyzji. Cholera.

- Chodź, Irving - powiedziałam.

- Nie, reporter niech jeszcze zostanie. Nie przeprowadził ze mną wywiadu.

- Daj mu spokój, Jean-Claude, proszę.

- Dam mu to, czego pragnie, nic więcej.

Nie spodobało mi się, w jaki sposób powiedział słowo "pragnie".

- Co ty kombinujesz?

- Ja miałbym coś kombinować? Ależ, ma petite, doprawdy masz o mnie paskudne zdanie. - Uśmiechnął się.

- Anito, chcę zostać - odezwał się Irving.

- Nie wiesz, co mówisz. - Odwróciłam się do niego.

- Jestem reporterem. Wykonuję swoją pracę.

- Przysięgnij, daj mi słowo, że go nie skrzywdzisz - zwróciłam się do Jean-Claude'a.

- Masz moje słowo - zapewnił.

- Że nie skrzywdzisz go w żaden sposób.

- Nie skrzywdzę go w żaden sposób. - Jego twarz była pozbawiona wyrazu, jakby te wszystkie uśmiechy były jedynie iluzjami. Miał nieruchome oblicze, martwe jak u trupa. Miło było na nie patrzeć, ale wydawało się puste, odarte z życia jak martwa natura na płótnie.

Spojrzałam w jego puste oczy i zadrżałam. Cholera.

- Na pewno chcesz zostać? - spytałam Irvinga.

- Chcę zdobyć ten wywiad - przytaknął.

- Jesteś głupcem. - Pokręciłam głową.

- Jestem dobrym reporterem - odparł.

- Ale i tak jesteś głupcem.

- Potrafię o siebie zadbać, Anito.

Patrzyliśmy na siebie nawzajem przez kilka uderzeń serca.

- Dobrze. No to miłej zabawy. Mogę odzyskać teczkę?

Spojrzał na nią, jakby zupełnie zapomniał, że trzyma ją w rękach.

- Podrzucić ją jutro rano, bo Madeline się wścieknie.

- Jasne. Nie ma sprawy. - Wcisnęłam opasłą teczkę pod pachę nonszalanckim z założenia gestem. Utrudni mi to sięgnięcie po broń, ale cóż, w tym życiu niewiele jest ideałów.

Miałam informacje na temat Gaynora. Poznałam imię jego ostatniej eks-dziewczyny. Ta kobieta została odrzucona. Może zechce ze mną pomówić. Może podsunie mi jakiś trop. A może zwyczajnie każe mi iść do diabła. To nie byłby pierwszy raz, gdy ktoś potraktował mnie w ten sposób.

Jean-Claude przyglądał mi się beznamiętnym wzrokiem. Wzięłam głęboki wdech przez nos i wypuściłam powietrze ustami. Dość jak na jedną noc.

- Do zobaczenia jutro. - Odwróciłam się i odeszłam. Opodal stała grupka turystów z aparatami fotograficznymi. Jeden z nich nieśmiało skierował obiektyw w moją stronę. - Jeśli zrobisz mi zdjęcie, odbiorę ci ten aparat i rozwalę w drobny mak - oświadczyłam z uśmiechem.

- Jejku, tyle hałasu o jedno zdjęcie. - Mężczyzna niepewnie opuścił aparat.

- Już dość się napatrzyliście - warknęłam. - Jazda stąd, widowisko skończone.

Turyści rozplynęli się jak dym rozwiany wiatrem. Ruszyłam w głąb ulicy w stronę garażu parkingowego. Gdy obejrzałam się przez ramię, stwierdziłam, że turyści wrócili, by otoczyć zwartym kręgiem Jean-Claude'a i Irvinga. Mieli rację. Widowisko trwało. Irving miał swoje lata. Chciał zdobyć ten wywiad. Czy mogłam grać rolę opiekunki dorosłego wilkołaka? Czy Jean-Claude pozna sekret Irvinga? A jeśli tak, czy to coś zmieni? Nie moja sprawa. Obecnie zgryzem dla mnie byli Harold Gaynor, Dominga Salvador i potwór pożerający bogu ducha winnych obywateli St. Louis w stanie Missouri. Niech Irving martwi się o siebie. Miałam dość własnych problemów.

Nocne niebo było bezmiarem płynnej czerni. Gwiazdy, jak rozsypane okruchy diamentów, emanowały surowe światło. Księżyc wyglądał niczym połyskujący patchwork szaro-złocistych skrawków srebra. Miasto sprawia, że zapominasz, jak ciemna jest noc, jak jasny bywa księżyc i jak wiele jest na niebie gwiazd.

Na cmentarzu Burrella nie było latarni. Dostrzec można było jedynie odległy żółty blask płynący z okien domu. Stałam na szczycie wzgórza w kombinezonie i adidasach, pocąc się jak szczur.

Ciała chłopca już nie było. Przewieziono je do kostnicy, gdzie miał się nim zająć koroner. Ja już z nim skończyłam. Nie musiałam go więcej oglądać. Jedynie w snach.

Dolph stanął obok mnie. Nie odezwał się słowem, patrzył tylko ponad trawą i pokruszonymi nagrobkami, wyczekując. Czekał, aż zacznę uprawiać moją magię. Aż wyjmę królika z kapelusza. Najlepiej byłoby, gdyby królik siedział w kapeluszu i gdybyśmy zdołali go unicestwić. Albo gdybyśmy odnaleźli jego norę. Dzięki temu moglibyśmy się czegoś o nim dowiedzieć. To było lepsze niż nic. Na razie błędziliśmy po omacku.

Tępiciele stanęli kilka kroków za nami. Mężczyzna był niski, krępy, o przystrzyżonych na zapalkę siwych włosach. Wyglądał jak emerytowany trener futbolu, ale dzierżył w dłoniach przewód miotacza płomieni w taki sposób, jakby dźwigał na plecach żywą istotę. Grube palce pieściły dyszę wylotową.

Kobieta była młoda, miała dwadzieścia lat, nie więcej. Cienkie jasne włosy związała w koński ogon. Była trochę wyższa ode mnie, ale w sumie niska. Kosmyki włosów spadały jej na twarz. Czujnym wzrokiem bacznie rozglądała się we wszystkie strony. Wyglądała jak wojskowy zwiadowca.

Miałam nadzieję, że nie była nerwowa i nie świerzbił jej palec na spuście. Nie chciałam, aby pożarł mnie morderczy zombi, ale nie miałam też ochoty na potraktowanie napalmem.

Splonięcie żywcem czy pożarcie żywcem? Czy w karcie są jeszcze inne propozycje?

Trawa szeleściła jak suche jesienne liście. Gdybyśmy użyli tu napalmu, mielibyśmy nieliczny pożar traw. Ale ogień to jedyne, co może powstrzymać zombi. Jeżeli to był zombi, a nie coś całkiem innego.

Pokręciłam głową i ruszyłam przed siebie. Wątpliwości donikąd nas nie doprowadzą. Trzeba zachowywać się pewnie, niech innym wydaje się, że wiesz, co robisz. Zawsze trzymam się tej zasady.

Jestem pewna, że Dominga Salvador znała rytuał albo czar, aby odnaleźć grób konkretnego zombi. Wyznawała więcej zasad ode mnie. Tyle tylko, że jej zasady nie zabraniały więzić dusz w gnijących ciałach. Ja nigdy nie pałam taką nienawiścią, by potraktować kogoś w tak okrutny sposób. Zabić, owszem, ale uwięzić duszę danej osoby w gnijącym ciele, skazując ją na niewysłowione katusze postępującego rozkładu... Nie, to nie było nawet

okrutne. To było złe. Należało ją powstrzymać. A mogła tego dokonać jedynie śmierć. Westchnęłam. To był problem na później.

Trochę się zdekoncentrowałam, słysząc zlewający się z moim odgłos kroków Dolpha. Spojrzałam na dwójkę eksterminatorów. Tępiciele zabijali wszystko, od termitów po ghule, ale te ostatnie są z natury tchórzliwe, żywią się głównie padliną. To, czego szukaliśmy, nie było padlinożercą.

Czułam za sobą obecność tej trójki. Ich kroki wydawały się głośniejsze od moich. Spróbowałam oczyścić umysł i rozpocząć poszukiwanie, ale słyszałam jedynie ich kroki. Czułam tylko strach idącej za mną dziewczyny. To wybijało mnie z rytmu.

- Dolph, potrzebuję więcej przestrzeni - powiedziałam, przystając.

- To znaczy?

- Cofnijcie się trochę. Dekoncentrujecie mnie.

- Nie powinniśmy zbytnio się oddalać. Gdybyś potrzebowała pomocy...

- Jeśli zombi wypełnie z ziemi i rzuci się na mnie - wzruszyłam ramionami - co zrobicie, potraktujecie go napalmem, a przy okazji spalicie i mnie na skwarkę?

- Mówiłaś, że ogień to jedyny sposób, aby go zniszczyć - rzekł Dolph.

- To prawda, ale jeśli zombi rzuci się i pochwyti kogoś, powiedz tępicielom, aby łaskawie oszczędzili ofiarę i nie spalili jej razem z nieboszczykiem.

- Jeśli zombi pochwyti kogoś z nas, mamy nie używać napalmu?

- Otóż to.

- Mogłaś powiedzieć wcześniej.

- Dopiero teraz o tym pomyślałam.

- Świetnie - mruknął.

- Pójdę pierwsza. - Wzruszyłam ramionami. - Zobaczą, co da się zrobić. Wy zostańcie z tyłu i pozwólcie mi działać. - Podeszłam jak najbliżej niego i wyszeptalam: - Miej oko na tę kobietę. Wydaje się tak przerażona, że z byle powodu może zacząć strzelać na lewo i prawo.

- To tępiciele, Anito, nie policjanci ani zabójcy wampirów.

- Tej nocy od nich zależy nasze życie, więc proszę, miej na nią oko, dobra?

Skinął głową i zerknął na parę tępicieli. Mężczyzna uśmiechnął się i kiwnął głową.

Dziewczyna tylko patrzyła. Nieomal czułam jej strach.

Każdy z nas się boi. Czemu więc tak mnie to martwiło? Bo ona i ja byłyśmy tu jedynymi kobietami i musiałyśmy okazać się lepsze od mężczyzn. Odważniejsze, szybsze i w ogóle. To reguła, gdy masz do czynienia z facetami.

Ruszyłam przed siebie. Sama. Odczekałam, aż jedynym słyszalnym odgłosem będzie szelest trawy, suchy, wyrazisty, przejmujący. Miałam wrażenie, że trawa szepcze do mnie, że rozpaczliwie stara się coś mi powiedzieć. Desperacko, z przejęciem. Z trwogą. Tak jakby się bała. To idiotyczne. Trawa nic przecież nie czuje. Ale ja czułam i całe moje ciało zlał zimny pot. Czy to coś tu było? Czy istota, która robiła z ludzi krwawą miazgę, była gdzieś wśród tych traw, przyczajona, wyczekująca?

Nie. Zombi nie były na tyle inteligentne, choć - rzecz jasna - ta bestia okazała się dostatecznie bystra, aby wymknąć się policji. Zbyt bystra. Może to wcale nie był zombi. Nareszcie napotkałam coś, co przeraziło mnie bardziej niż wampiry. Śmierć nie robiła na mnie większego wrażenia. Byłam wierzącą chrześcijanką i w ogóle. Gorzej ze sposobami zadawania śmierci. Pożarcie żywcem. To jeden ze sposobów, w jaki nie chciałabym zejść z tego świata. Kto by pomyślał, że mogę obawiać się zombi, jakiegokolwiek zombi? Cóż za ironia. Pośmieję się z tego później, kiedy przestanie mi się robić sucho w ustach. Jak na każdym cmentarzu, tak i tutaj panowała grobowa cisza. Jakby wszyscy zmarli wstrzymali oddech, czekając... na co? Na zmartwychwstanie? Być może. Zbyt długo zajmowałam się umarłymi, by wierzyć, że istnieje tylko jedna odpowiedź. Z trupami jest tak jak z żywymi. Robią różne rzeczy. Większość ludzi po śmierci trafia do nieba lub do piekła i to wszystko. Jednak z różnych powodów niektórych, skądinąd nielicznych, spotyka inny los. Zostają uwięzieni na ziemi. Stąd się biorą tak zwane duchy, zjawy, upiory, wynik przemocy, zła lub zwyczajnego zakłopotania. Jażnie te zostają tu, wśród nas. Nie mówię "dusze". Nie wierzę, że to dusze, raczej ich wspomnienia, ludzkie jażnie pozostają tu na dłużej. Czy spodziewałam się ujrzeć zjawę wylaniającą się spośród traw i rzucającą się na mnie z piekielnym wyciem? Nie. Nigdy dotąd nie widziałam ducha, który mógłby zrobić człowiekowi fizyczną krzywdę. Jeśli do czegoś takiego dojdzie, nie będziemy mieli do czynienia z duchem, a raczej z demonem lub zjawą jakiegoś czarownika, czarną magią. Duchy same w sobie są nieszkodliwe.

Ta myśl nieomal dodała mi otuchy.

Ziemia usunęła mi się spod nóg. Potknęłam się i chwyciłam jeden z przekrzywionych nagrobków. Zapadająca się ziemia, nieoznakowany grób. Poczułam "mrówki" w nogach i przeszedł mnie zimny prąd. Drgnęłam gwałtownie i ciężko klapnęłam na ziemię.

- Nic ci nie jest, Anito? - zawołał Dolph.

Spojrzałam na niego i stwierdziłam, że spoza gęstej trawy prawie w ogóle nie było mnie widać.

- Wszystko w porządku - odkrzyknęłam. Podniosłam się ostrożnie, starając się omijać stary grób. Ktokolwiek znajdował się w tej ziemi, nie spoczywał w spokoju. To nie był duch ani to miejsce nie było nawiedzone, ale miało coś w sobie. Coś niepokojącego. Kiedyś może nawet szwendał się tu duch, ale z upływem czasu jego obecność zanikła. Duchy zużywają się jak rzeczy, tyle że energetycznie, a wreszcie odchodzą do miejsc, które są im przeznaczone.

Zapewne emanacja tego miejsca ustanie jeszcze za mojego życia. O ile uda mi się przez kilka najbliższych lat unikać bliższych spotkań z morderczymi zombi. I z wampirami. Oraz śmiertelnikami uzbrojonymi po zęby. Cóż, spójrzmy prawdzie w oczy, były spore szansę, że to "gorące miejsce" jednak mnie przetrzyma.

Obejrzałam się za siebie, by ujrzeć Dolpha i tępicielei stojących jakieś dwadzieścia metrów dalej. Dwadzieścia metrów to niezbyt daleko, prawda? Kazałam im trzymać się na dystans, ale nie oznaczało to, że mają zostawić mnie samą. Ciężko mi dogodzić. Czy wściekną się,

gdy każe im podejść bliżej? Pewnie tak. Znowu ruszyłam przed siebie, starając się nie nastąpić na kolejny grób. Było to wszakże trudne, gdyż większość nagrobków nikła wśród gęstej trawy. Tyle nieoznakowanych mogił, zaniedbanych kwater. Mogłam błąkać się tu przez całą noc. Czy naprawdę liczyłam, że przez przypadek natknę się na właściwy grób? Tak. Miałam taką nadzieję. Nadzieja matką głupich. Zwłaszcza gdy ma się do czynienia z istotą nieludzką.

Wampiry były kiedyś ludźmi, zombi także. Podobnie większość lykantropów, choć w ich przypadku zdarzają się też osoby dotknięte rodową klątwą. Wszystkie potwory były zrazu zwyczajnymi ludźmi, z wyjątkiem mnie. Ożywianie zmarłych nie było karierą, którą się wybierało. Nie poszłam któregoś dnia do gabinetu doradcy do spraw pracy i nie powiedziałam: - Chciałabym ożywiać zmarłych. Nie, to nie było takie proste ani tak przyjemne.

Zawsze czułam pewną więź ze zmarłymi. Zawsze. I nie tylko z tymi, którzy niedawno odeszli z naszego świata. Nie igram z duszami, ale gdy dusza odchodzi, po prostu to wiem. Czuję to. Możecie się śmiać. Taka jest prawda.

Gdy byłam mała, miałam pieska. Jak większość dzieciaków. I ten psiak kiedyś zdechł. Miałam wtedy trzynaście lat. Pochowaliśmy Jenny na podwórku za domem. W tydzień po śmierci Jenny obudziłam się i ujrzałam ją leżącą obok mnie. Gęsta czarna sierść była pozlepiana ziemią z grobu. Martwe brązowe oczy śledziły każdy mój ruch, jak za życia. Przez krótką chwilę miałam wrażenie, że zwierzak żyje. Pomyliłam się, ale odtąd już na pierwszy rzut oka umiem rozpoznawać trupy. Wyczuwam je. I przywołuję z grobów. Ciekawe, co o mojej historii powiedziałaby Dominga Salvador. Przywołanie zwierzęcego zombi. Cóż za wstrząs. Przypadkowe ożywienie zmarłych. To przerażające. I chore. Moja macocha Judith nigdy się z tego nie otrząsnęła. Rzadko mówi ludziom, czym się zajmuję. A tato? Cóż, on to raczej ignoruje. Ja też próbowałam to ignorować - bez powodzenia. Nie chcę wdawać się w szczegóły, ale wiecie, jak wyglądają ofiary wypadków drogowych? No to dośpiewajcie sobie resztę. Judith to wystarczyło. Byłam niczym upiorna wersja Szczurołapa z Hamelin.

W końcu ojciec zabrał mnie do babci ze strony matki. Nie jest tak przerażająca jak Dominga Salvador, ale... interesująca. Babcia Flores zgodziła się z tatą. Nie powinno uczyć się mnie voodoo, a jedynie sztuki samokontroli, dzięki czemu mogłabym przezwyciężyć moje... problemy.

- Naucz ją nad tym panować - rzekł tato.

Zrobiła to. Nauczyła mnie. Tato odwiózł mnie do domu. Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy. W każdym razie nikt nie rozmawiał o tym ze mną. Zawsze zastanawiałam się, co mówiła o mnie macocha za moimi plecami. Tato na pewno nie był ze mnie zadowolony. Ja z siebie zresztą też nie.

Bert wyczał mnie prosto z college'u. Nie wiem, skąd się o mnie dowiedział. Z początku się wahałam, ale gdy zaproponował korzystne warunki finansowe, zgodziłam się. Może buntowałam się w ten sposób przeciwko oczekiwaniom rodziców? Albo zrozumiałam, że nie

ma dużego popytu na absolwentkę z dyplomem biologii nadnaturalnej. Pisałam pracę z mitycznych istot. To musiałoby świetnie wyglądać w moim CV.

Równie dobrze mogłam zrobić magisterium ze starożytnej greki albo poetów romantycznych. Wyglądałoby to ciekawie i mogło być interesujące, ale jakie miałabym potem perspektywy? Zamierzałam kontynuować edukację i na koniec wyklądać w college'u. Ale pojawił się Bert, pokazując mi, jak powinnam wykorzystać mój wrodzony talent i obrócić go w żyłę złota. Przynajmniej mogę powiedzieć, że robię właściwy użytek z mego wykształcenia. I to na co dzień.

Nigdy nie zastanawiałam się, jak doszło do tego, że robię to, co robię. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. To tkwi we krwi.

Przystanęłam i wzięłam głęboki oddech. Strużka potu spłynęła po mojej twarzy. Otarłam ją wierzchem dłoni. Pociłam się jak mysz kościelna, a wciąż było mi zimno. Strach. Ale nie bałam się czarnego luda, tylko tego, co muszę zrobić. Gdyby chodziło o mięsień, poruszyłabym go. Gdyby w grę wchodziła myśl, pomyślałabym ją. Gdyby to było czarodziejskie słowo, wymówiłabym je. Ale to nie było takie proste. Miałam wrażenie, że nawet przez ubranie przenikał mnie lodowaty chłód. Jakby zimny wiatr smagał obnażone zakończenia nerwowe. Albo jakby ów chłodny wiatr wypływał wprost z mojej skóry. Tyle że to nie wiatr i nie czuje go nikt inny prócz mnie. Nie szaleje jak wichura z hollywoodzkiego horroru. Nie wywołuje widowiskowych efektów. To doznanie jest ciche. Osobiste. Moje. Chłodne palce wiatru zaczęły wysuwać się na zewnątrz. Byłam teraz w stanie przeszukiwać groby w promieniu od trzech do pięciu metrów ode mnie. W miarę jak się poruszałam, krąg ruszał wraz ze mną, przepatrując dalsze terytorium.

Jakie to uczucie, przetrząsać ubitą ziemię w tropieniu martwych ciał? Nieludzkie. Jakby widmowe palce wnikały w glebę w poszukiwaniu nieboszczyków. To najbliższe porównanie, jakie przychodzi mi na myśl. Ale rzecz jasna nie oddaje ono złożoności całego procesu. Trumnę najbliżej mnie wiele lat temu podmyła i zniszczyła woda. Fragmenty zbutwiałego drewna, kawałki kości, nic w całości.

Stare kości, drewno, gleba, wszystko czyste i martwe. Gorące miejsce zapłonęło nagle i niespodziewanie żywym ogniem. Tej trumny nie mogłam spenetrować. Gorące miejsce umie chronić swe tajemnice. Nie warto było wydobywać ich stamtąd siłą. To była jakaś siła życiowa przykuta do grobu, dopóki nie osłabnie i nie przeminie. Takie przywiązanie może wprawić każdego w paskudny nastrój.

Powoli ruszyłam naprzód. Krąg przesunął się wraz ze mną. Dotykałam kości, nietkniętych trumien, fragmentów odzieży w nowszych mogiłach. To był stary cmentarz. Nie było tu rozkładających się trupów. Śmierć osiągnęła znacznie przyjemniejsze, przynajmniej jak dla mnie, stadium.

Coś schwyciło mnie za kostkę. Podskoczyłam i pomaszerowałam naprzód, nie spoglądając w dół. Nie należy patrzeć w dół. To reguła. Przez mgnienie oka dostrzegłam coś bladego i ulotnego, jak mgielna postać o wielkich, gorejących oczach.

Duch, jak żywy. Przeszłam po jego grobie i dał mi do zrozumienia, że nie przypadło mu to do gustu. Duch złapał mnie za kostki. Wielka mi rzecz. Jeśli je zignorujesz, widmowe ręce znikną. Jeśli zwrócisz na nie uwagę, nabiorą cielesności i możesz wpaść w niezłe kłopoty. Gdy masz do czynienia ze światem duchów, musisz pamiętać o jednym - jeśli zignorujesz zjawę, utraci swoją moc. To dobra i ważna rada. Niestety, nie sprawdza się w przypadku demonów i na wpół mitycznych istot. Jak również wobec wampirów, zombi, ghuli, lykantropów, czarowników, wiedźm... No dobra, ignorowanie sprawdza się tylko wobec duchów. Ale to działa.

Widmowe ręce zaczęły szarpać nogawki moich spodni. Czułam kościste palce pnące się w górę, jakby wykorzystywały mnie, by wydostać się z grobu. Cholera! Serce podeszło mi do gardła. Idź dalej. Ignoruj to. Nie zwracaj uwagi, a zniknie. Pójdzie do diabła. Palce powoli, jakby z wahaniem, zaczęły ześlizgiwać się z mego ciała. Niektóre duchy zdają się pałać do żyjących głęboką nienawiścią. Może to zazdrość. Nie mogą zrobić ci krzywdy, ale próbują wystraszyć i niezłe się przy tym bawią.

Odnalazłam pusty grób. Fragmenty drewna rozkładające się w glebie, ale żadnych szczątków kości. Żadnego ciała. Pusty dół. Ziemia na grobie była porośnięta trawą i chwastami. Gleba była ubita i twarda. Efekt suszy. Trawa i chwasty wyglądały na wygniecione. Widać było obnażone korzenie, jakby ktoś próbował wypłenić roślinność. Albo jakby coś wygrzebało się z ziemi, pozostawiając po sobie ślady.

Uklękałam przy pustym grobie. Dotknęłam dłońmi stwardniałej czerwonej ziemi, ale wglądanie do wnętrza mogiły nic nie dało. Wyczuwałam pustkę i nic więcej. Trup zniknął. Trumna była nienaruszona. Przywołano stąd zombi. Czy był to ten zombi, którego szukaliśmy? Nie sposób tego stwierdzić. Ale tylko w tym miejscu wyczułam pustkę i przywołanie żywego trupa.

Rozejrzałam się dokoła. Trudno mi było przeszukiwać wzrokiem trawę. Niemal widziałam to, co kryło się w ziemi. Ale postrzegałam wszystko oczyma duszy. To, co widziałam fizycznie, kończyło się odległym o pięć metrów parkanem. Czy doszłam aż tak daleko? Czy to jedyny pusty grób?

Wstałam i powiodłam wzrokiem ponad grobami. Dolph i dwójka tępicielei wciąż stała o trzydzieści metrów za mną. Trzydzieści metrów? To ci dopiero wsparcie.

Przeszłam szmat drogi. To przez tego złośliwego ducha. I gorące miejsce. A także ten najświeższy grób. Teraz to było moje miejsce. Znałam cały ten cmentarz. I wszystko, co było na nim niespokojne. Wszystko, co nie było całkiem martwe, kręciło się nad grobami. Białe widmowe zjawy. Migoczące gniewne światła. Ożywienie. Istniało wiele sposobów na ożywienie umarłych.

Ale wreszcie uspokoją się i pogrążą we śnie, o ile można to tak nazwać. Ponownie spojrzałam na pusty grób. Żadnych trwałych uszkodzeń.

Przywołałam Dolpha i pozostałych. Wyjęłam z kieszeni kombinezonu plastikową torebkę i wrzuciłam do środka kilka grudek ziemi.

Blask księżyca zaczął nagle blednąć. Dolph stanął nade mną. Wydawał się niespokojny.

- No i? - zapytał.
 - Zombi wyszedł z tego grobu - stwierdziłam.
 - Czy to zombi morderca?
 - Nie wiem na pewno.
 - Nie wiesz?
 - Jeszcze nie.
 - A kiedy będziesz wiedzieć?
 - Zaniosę to Evansowi, aby przetestował tę ziemię dotykem.
 - Evans jasnowidz - mruknął Dolph.
 - Taa.
 - To szajbus.
 - Racja, ale jest dobry.
 - Wydział nie korzysta już z jego usług.
 - Punkt dla wydziału - rzekłam. - Ale Animatorzy sp. z o.o. niekiedy go wynajmuje.
 - Nie ufam Evansowi. - Dolph pokręcił głową.
 - Ja nie ufam nikomu - odparłam. - I co z tego?
 - Rozumiem. - Uśmiechnął się. Zerwałam kilka źdźbeł trawy i włożyłam do drugiej plastikowej torebki. Podpełzłam do szczytu grobu i rozgarnęłam chwasty. Nagrobka nie było. Niech to szlag! Jasny piaskowiec został odbity u podstawy. Odlupano go. I zabrano. Cholera. - Kto miałby niszczyć nagrobek i po co? - zapytał Dolph.
 - Nazwisko i data mogłyby okazać się dla nas istotnymi informacjami, dzięki nim być może dowiedzielibyśmy się, dlaczego zombi został przywołany i co poszło nie tak.
 - Co poszło nie tak? Jak to?
 - Możesz ożywić zombi, aby zabić tę czy inną osobę, ale nie po to, by dokonywać wielokrotnych, przypadkowych masakr. Nikt by się tego nie podjął.
 - Chyba że ten ktoś jest obłąkany - wtrącił.
 - To nie jest zabawne. - Spojrzałam na niego.
 - Jasne, że nie.
- Także szalenie mógł ożywić tego trupa. Morderczy zombi przywołany przez psychopatę. Ale czad. A jeśli ten ktoś zrobił coś takiego raz...
- Dolph, jeśli mamy do czynienia z szaleńcem, możemy przypuszczać, że jest więcej niż jeden zabójczy zombi.
 - Poza tym jeśli ten ktoś jest wariatem, może okazać się, że nie istnieje żaden wzorzec jego poczynań - dokończył Dolph.
 - Cholera.
 - Otóż to.
- Brak wzorca oznaczał brak motywu. Brak motywu oznaczał, że być może nie zdołamy rozwikłać tej sprawy.
- Nie. Nie wierzę w to - powiedziałam.
 - Dlaczego nie? - zapytał.

- Bo gdybym w to uwierzyła, okazałoby się, że zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. - Wyjęłam scyzoryk, który zwykle noszę przy sobie i zaczęłam odłupywać okruchy ze zniszczonego nagrobka.

- Niszczenie nagrobków to poważne wykroczenie - rzekł Dolph.

- Też prawda - przyznałam, wrzuciłam kilka drobnych kawałków piaskowca do trzeciego woreczka, po czym odłupałam jeden większy okruch marmuru wielkości mojego kciuka. Włożyłam scyzoryk i wszystkie plastikowe torebki do kieszeni kombinezону.

- Naprawdę sądzisz, że Evans będzie w stanie wyczytać coś z tych kawałków i drobin?

- Nie wiem. - Wstałam i spojrzałam na grób. Dwójka tępiciele stała nieopodal. Dawali mi odrobinę prywatności. To uprzemie z ich strony. - Wiesz, Dolph, może ktoś zniszczył ten kamień, ale grób nadal tu jest.

- Tylko że nie ma trupa - odparł Dolph.

- Racja, ale trumna mogłaby nam coś powiedzieć. Przyda się każdy trop.

- W porządku, załatwię nakaz ekshumacji. - Skinął głową.

- Czy nie moglibyśmy wykopać trumny już teraz, dzisiaj?

- Nie - odparł. - Muszę postępować zgodnie z przepisami. - Spojrzał na mnie z powagą. - I nie chciałbym po powrocie tutaj stwierdzić, że grób został rozkopany. Materiał dowodowy na nic się nie przyda, jeśli ktoś będzie nim manipulował.

- Materiał dowodowy? Naprawdę sądzisz, że ta sprawa trafi do sądu?

- Tak.

- Dolph, musimy po prostu unicestwić tego zombi.

- Anito, chcę dopaść łajdaków, którzy go ożywili. Chcę postawić ich przed sądem pod zarzutem morderstwa.

Pokiwałam głową. Przyznawałam mu rację, choć wątpiłam, aby pragnienia Dolpha się ziściły. Dolph był policjantem, musiał przestrzegać prawa. Ja martwiłam się o prostsze sprawy, na przykład o przetrwanie i własną skórę.

- Dam ci znać, jeśli Evans powie mi coś istotnego - oświadczyłam.

- Mam nadzieję.

- Gdziekolwiek jest teraz ta bestia, na pewno nie ma jej tutaj.

- Krąży gdzieś, prawda?

- Taa.

- I może zabija kolejne ofiary, podczas gdy my marnujemy tutaj czas, goniąc za własnym ogonem.

Miałam ochotę go dotknąć. Powiedzieć mu, że będzie dobrze, ale sama w to nie wierzyłam.

Wiedziałam, co teraz czuje. Kręciliśmy się w kółko. Nawet jeśli był to grób zabójczego zombi, nie przybliżył nas do odnalezienia tego żywego trupa. A musieliśmy go odnaleźć.

Znaleźć, pochwycić i unicestwić. Pytanie brzmiało, czy zdołamy go dopaść, zanim zabije ponownie. Nie znałam na nie odpowiedzi. Nie. Skłamałam. Znałam odpowiedź. Tyle tylko, że

ani trochę nie przypadła mi ona do gustu. Gdzieś tam krążył zabójczy zombi. Był głodny i na pewno już wkrótce znów zechce się pożywić.

Parking przyczep, gdzie mieszka Evans, znajduje się w St. Charles, przy zjeździe z autostrady nr 94. Rzędy przyczep ciągną się w każdym kierunku jak okiem sięgnąć. Oczywiście nie przypominają już one dawnych domów na kółkach. Gdy byłam mała, przyczepy można było podczepiać do samochodu i przewozić z miejsca na miejsce. Proste. To była jedna z ich zalet. Niektóre z tych domów na kołach miały trzy lub cztery sypialnie oraz kilka łazienek z prysznicami. Jedyne, co mogłoby je uciągnąć, to półciężarówka albo tornado.

Przyczepa Evansa to starszy model. Myślę, że gdyby musiał, mógłby podpiąć ją łańcuchem do półciężarówki i ruszyć w drogę. To byłoby chyba łatwiejsze niż wynajem firmy przewozowej. Mimo to wątpię, aby Evans kiedykolwiek się stąd ruszył. W gruncie rzeczy nie opuścił swojej przyczepy od prawie roku.

Okna rozjaśniał złocisty blask. Przy wejściu znajdował się prowizoryczny ganek z równie prowizorycznym dachem. Wiedziałam, że Evans nie śpi. Nigdy nie sypiał. Bezsenna to z pozoru coś niegroźnego. W przypadku Evansa to choroba.

Znow miałam na sobie czarne szorty. Trzy woreczki z przedmiotami wcisnęłam do kieszonek przy pasku. Gdybym weszła do środka, wymachując tymi rzeczami, Evans chyba by oszalał. Musiałam go zrobić, działać subtelnie. Niech wierzy, że wpadłam tu tylko po to, by spotkać się ze starym kumplem. Żadnych podtekstów, zero ukrytych motywów. Jasne.

Otworzyłam siatkowe drzwi i zapukałam. Cisza. Żadnego ruchu. Nic. Uniosłam dłoń, aby zapukać raz jeszcze i nagle się zawahałam. Czyżby Evans w końcu zasnął? To byłby pierwszy raz, odkąd go znam, kiedy w nocy choć na krótko zdołał się zdrzemnąć jak zwyczajny, normalny człowiek.

Wciąż jeszcze stałam z uniesioną dłonią, gdy poczułam na sobie jego wzrok.

Spojrzałam w górę na małe przeszklone okienko w drzwiach. Spomiędzy rozchylnych zasłon wyzierał fragment bladego oblicza. Niebieskie oko Evansa zamrugało na mnie.

Pomachałam do niego. Twarz zniknęła. Szczęknął zamek. Nie zobaczyłam nikogo w prześwicie. Wszłam do środka. Evans stał w cieniu za drzwiami.

Zamknął je, opierając się o nie całym ciałem. Oddech miał płytki i przyspieszony, jak po długim biegu. Pozlepiane w strąki jasne włosy opadały na kołnierz jego ciemnoniebieskiego szlafroka. Miał gęsty rudawy zarost.

- Co słysząc, Evans? - Oparł się plecami o drzwi, oczy miał rozszerzone. Wciąż oddychał zbyt szybko. Czyżby coś wyczuwał? - Wszystko w porządku, Evans? - Gdy masz wątpliwości, nadaj pytaniu odpowiedni ton.

Pokiwał głową.

- Czego chcesz? - spytał zdyszonym tonem. Chyba nie uwierzył, że zjawiłam się tu przypadkiem. Nazwijcie to instynktownym przecuciem.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Nic z tego. - Pokręcił głową.

- Nawet nie wiesz, o co mi chodzi.

- To bez znaczenia.

- Mogę usiąść? - spytałam. Jeśli nie uda ci się wprost, spróbuj uprzejmością. Może zadziała.

- Jasne. - Lekki ruch głową.

Rozejrzałam się po niewielkim pomieszczeniu. Byłam pewna, że gdzieś pod tą stertą gazet, tekturowych talerzyków, na wpół pełnych kubków i brudnych ubrań kryło się łóżko. Na stoliku do kawy leżało nawet pudełko ze stwardniałą na kamień pizzą. W pokoju panował zaduch.

Czy Evans zacznie świrować, jeśli odgarnę stąd to i owo? Czy mogłam, usiąść na tej stercie śmieci w przekonaniu, że w głębi pod nimi znajdowało się łóżko? A jeśli to wszystko runie?

Postanowiłam spróbować. Gdyby Evans zgodził się pomóc mi, usiadłabym nawet na tej zapleśniałej pizzy.

Przycupnęłam na stercie gazet. Pod nimi było coś dużego i twardego. Może łóżko.

- Mogę poprosić o kawę?

- Nie mam czystych kubków. - Pokręcił głową.

W to akurat byłam w stanie uwierzyć. Wciąż opierał się o drzwi, jakby bał się podejść bliżej.

Dłonie wcisnął w kieszenie szlafroka.

- Czy możemy po prostu porozmawiać? - spytałam.

Znów pokręcił głową. Ja również. Zmarszczył brwi, widząc mój gest. Może w domu był ktoś jeszcze.

- Czego chcesz? - spytał.

- Mówiłam, potrzebuję twojej pomocy.

- Już tego nie robię.

- Czego? - zapytałam.

- Przecież wiesz - mruknął.

- Nie, Evans, nie wiem. Ty mi powiedz.

- Już nie dotykam żadnych rzeczy.

Zamrugalam. Użył, delikatnie mówiąc, dziwnego zwrotu. Powiodłam wzrokiem po stertach brudnych naczyń i ubrań. Wyglądały na nietknięte.

- Evans, pokaż mi ręce. - Odmówił ruchem głowy. Tym razem nie próbowałam go naśladować. - Evans, pokaż mi ręce.

- Nie - odparł głośno i wyraźnie.

Wstałam i zaczęłam iść w jego stronę. To nie trwało długo. Wycofał się w kąt przy drzwiach i wejściu do sypialni.

- Pokaż mi ręce.

W jego oczach pojawiły się łzy. Zamrugał i łzy spłynęły po jego policzkach.

- Zostaw mnie. Chcę być sam - wykrztusił.

Poczułam nieprzyjemny ucisk w piersiach. Co on zrobił? Boże, co on mógł sobie zrobić?

- Evans, albo natychmiast sam pokażesz mi ręce, albo cię do tego zmuszę. - Miałam nieprzepartą chęć, aby dotknąć jego ramienia, ale zdołałam się powstrzymać.

Evans już nie próbował powstrzymywać łez, łkał jak dziecko, a jego ciałem wstrząsały gwałtowne spazmy, jak podczas ataku czkawki. Powoli wyjął lewą rękę z kieszeni szlafroka. Była biała, koścista i cała. Odetchnęłam z ulgą. Bogu dzięki.

- Myślałaś, że coś sobie zrobiłem? - zapytał. - Co takiego?

- Nie pytaj.

Patrzył teraz na mnie, przyglądał mi się z uwagą. Zainteresowała go. Naprawdę.

- Nie jestem aż tak szalony - odparł.

Już miałam powiedzieć: - Nigdy tak o tobie nie myślałam - ale najwyraźniej podświadomie miałam już na jego temat ugruntowane zdanie. Myślałam, że amputował sobie rękę, aby już nigdy niczego nie dotknąć, choćby nawet przez przypadek. Boże, to było szalone.

Naprawdę szalone. A teraz byłam tu, przyszłam do niego, aby pomógł mi rozwikłać zagadkę morderstwa. Które z nas było bardziej szalone? Nie, lepiej nic nie mówcie.

- Co tutaj robisz, Anito? - Łzy jeszcze nie wyschły na jego twarzy, ale głos miał spokojny, zwyczajny.

- Potrzebuję twojej pomocy w związku z pewnym morderstwem.

- Już tego nie robię. Przecież ci mówiłem.

- Kiedyś powiedziałaś mi również, że nie możesz pozbyć się tych wizji. Twój dar jasnowidzenia nie jest czymś, co mógłbyś, ot tak, z własnej woli wyłączyć.

- I dlatego jestem tu, gdzie jestem. Dopóki nie opuszczam tej przyczepy, nikogo nie widuję i z nikim się nie spotykam. Już nie miewam wizji.

- Nie wierzę ci - odparłam.

- Wyjdź. - Wyjął z kieszeni czystą, białą chustkę i owinął nią kłamek.

- Widziałam dziś trzyletniego chłopca. Został pożarty żywcem.

- Proszę, nie rób mi tego. - Oparł się czołem o drzwi.

- Znam innych jasnowidzów, Evans, ale ty masz najwyższy współczynnik powodzenia.

Potrzebuję najlepszego. Potrzebuję ciebie.

- Błagam, nie... - Potarł czołem drzwi.

Powinłam była wtedy wyjść, usłuchać go, spełnić jego prośbę, ale nie zrobiłam tego.

Stanęłam za nim i cierpliwie czekałam. No dalej, stary, bądź dobrym kumplem, zaryzykuj dla mnie utratę zmysłów. To może przyprawić cię o obłąd, ale cóż z tego? Byłam bezwzględna animatorką, ozywicielką trupów. Nie mam wyrzutów sumienia. Liczy się tylko wynik. Cel uświęca środki. No jasne. No cóż, poniekąd faktycznie tak było, cel uświęcał środki.

- Jeżeli tego nie powstrzymamy, zginą inni ludzie - powiedziałam.

- Nie obchodzi mnie to.

- Nie wierzę ci.

- Ten chłopiec... to, co o nim powiedziałaś, było prawdą, zgadza się? - Włożył chustkę na powrót do kieszeni i odwrócił się.

- Nie mogłabym cię okłamać.

- Tak, jasne, że tak. - Pokiwał głową i oblizwał wargi. - Daj mi to, co przyniosłaś.

Wyjęłam woreczki z kieszonek przy pasie i otworzyłam tę z fragmentami nagrobka.

Musiałam od czegoś zacząć. Nie zapytał, co to takiego, to byłoby oszustwo. Nawet nie wspomniałabym o tym chłopcu, gdyby nie to, że potrzebowałam naprawdę silnych argumentów, aby go przekonać. Poczucie winy to wspaniałe narzędzie.

Ręka Evansa zdrząła, gdy upuściłam największy kawałek kamienia na jego dłoń. Starłam się, aby nawet przypadkiem nie dotknąć go koniuszkami palców. Nie chciałam, aby Evans poznał moje sekrety. To mogłoby nielecho go przerazić. Zacisnął palce na kawałku kamienia. Jego ciało przeszył silny wstrząs. Zadygotał, zamknął oczy. I wszedł w trans.

- Cmentarz, grób. - Przechylił głowę w bok, jakby czegoś nasłuchiwał. - Wysoka trawa.

Gorąco. Krew, on wciera krew w nagrobek. - Rozejrzał się po pokoju, nie otwierając oczu.

Czy widziałby, gdzie się znajduje, nawet gdyby nie miał przymrużonych powiek? - Skąd

pochodzi ta krew? - zapytał. Czy powinnam odpowiedzieć? - Nie, nie! - Cofnął się

gwałtownie, uderzając plecami o drzwi. - Kobieta krzyczy, krzyczy, nie, nie! - Otworzył

szeroko oczy. Cisnął kamień na drugi koniec pokoju. - Oni ją zabili, zabili ją! - Przesłonił oczy

dłońmi zaciśniętymi w pięści. - O Boże, poderżnęli jej gardło!

- Oni, to znaczy kto?

- Nie wiem. - Pokręcił głową, wciąż wciskając sobie pięści do oczu.

- Co widzisz, Evans?

- Krew. - Spojrzał na mnie spomiędzy uniesionych rąk przesłaniających twarz. - Wszędzie

krew. Poderżnęli jej gardło. Rozsmarowali krew po nagrobku.

Miałam dla niego jeszcze dwa przedmioty. Czy odważę się zapytać? Zapytać nie zaszkodzi.

To nie boli. Ale czy na pewno?

- Mam jeszcze dwie rzeczy, których chciałabym, abyś dotknął.

- Mowy nie ma - warknął. Cofnął się ode mnie w stronę krótkiego korytarzyka prowadzącego do sypialni. - Wynoś się, precz stąd, wypieprzaj z mojego domu, ale już!

- Co jeszcze zobaczylesz, Evans?

- Zjeżdżaj!

- Opisz mi tę dziewczynę, Evans, powiedz coś, choćby jeden szczegół. Pomóż mi, proszę!

Oparł się o framugę i zjechał po niej w dół, by usiąść na podłodze.

- Bransoletka. Nosila na lewym nadgarstku bransoletkę. Małe, zwisające amuleciki, serca, łuk i strzały, nutki. - Pokręcił głową i zwiesił ją na piersi. - A teraz idź już.

Chciałam mu podziękować, ale w tej sytuacji żadne słowa nie wydawały mi się odpowiednie.

Zaczęłam rozglądać się po podłodze w poszukiwaniu ciśniętego przez Evansa kawałka kamienia. Znalazłam go w filiżance po kawie. Na jej dnie zagnieździło się i rosło w najlepsze

coś zielonego. Wyjęłam kamień i wytarłam w leżące na podłodze dzinsy. Następnie

schowałam odłamek do woreczka i włożyłam go do kieszonki przy pasku. Rozejrzałam się

wokoło i stwierdziłam, że nie chcę zostawiać Evansa wśród całego tego brudu i bałaganu.

Może miałam wyrzuty sumienia, że tak cynicznie go wykorzystałam. Może.

- Dzięki, Evans. - Nie uniósł wzroku. - Gdybym miała kogoś do sprzątnięcia i przysłała tutaj tę osobę, wpuścisz ją?

- Nie chcę, żeby ktokolwiek tu przychodził.

- Nasza firma, Animatorzy sp. z o.o., może pokryć rachunek. Jesteśmy ci to winni. - Dopiero wtedy uniósł wzrok. Na jego obliczu malował się czysty, niepohamowany gniew. - Evans, ty potrzebujesz pomocy. Sypiesz się. Rozpadasz się na kawałki.

- Won z mego domu. - Każde słowo paliło jak rozżarzone do czerwoności żelazo Nigdy jeszcze nie widziałam Evansa tak wściekłego. Przerażonego owszem, ale nigdy w takim stanie. Cóż mogłam powiedzieć? To był jego dom.

Wyszłam. Stałam na rozchwieżytym ganku, dopóki nie usłyszałam za sobą szczęku przekręcanej zasuwki w drzwiach. Chciałam informacji i zdobyłam ją. Czemu więc tak fatalnie się czułam? Bo wycisnęłam ją na siłę z mężczyzny cierpiącego na poważne zaburzenia psychiczne. Tak, to było to. Poczucie winy. Wyrzuty sumienia. Nagle ujrzałam przed oczami porażające obrazy, przesiąknięte krwią prześcieradło na kanapie w brązowe wzorki. Kręgosłup pani Reynolds zwisający sztywno i połyskujący czerwoną wilgocią w blasku słońca.

Podeszłam do samochodu i wsiałam. Jeżeli wyciśnięcie informacji z Evansa mogło ocalić choćby jedną rodzinę, to znaczy, że było warto. Gdybym dzięki temu nie musiała oglądać kolejnego trzylatka z wyprutymi wnętrznościami, stłukłabym Evansa na kwaśne jabłko gumowym młotkiem. Albo dałabym się jemu stłuc.

Choć w gruncie rzeczy czy tak się właśnie nie stało?

We śnie byłam mała. Byłam dzieckiem. Przód auta został skasowany, zgnieciony przez inny samochód. Wyglądał, jak błyszczący papier zmięty wielką dłonią. Drzwiczki były otwarte. Kuliliśmy się na znajomym siedzeniu, tak jasnym, że niemal białym. Widniała na nim ciemna plama. Nie była wcale duża. Dotknęłam jej nieśmiało. Koniuszki moich palców stały się szkarłatne. Wtedy po raz pierwszy widziałam krew. Wyjrzałam przez przednią szybę. Pokrywała ją pajęczyna pęknięć, pośrodku której, w miejscu gdzie moja matka uderzyła w nią głową, widniał otwór, którego brzegi były wygięte na zewnątrz. Moja matka wypadła przez boczne drzwiczki na pobocze, gdzie umarła. Dlatego na siedzeniu było tak mało krwi. Spojrzałam na świeżą krew na koniuszkach palców. W realnym życiu krew zakrzepła, tworząc zaschnięte ślady. Gdy o niej śniłam, zawsze była wilgotna i lepka. Tym razem poczułam też zapach. Woń gnijącego mięsa. To nie w porządku. Wejrzałam w sen i uświadomiłam sobie, że śnię. Woń nie stanowiła elementu snu. Była prawdziwa. Obudziłam się natychmiast, wlepiając wzrok w ciemność. Serce podeszło mi do gardła. Sięgnęłam po browninga tkwiącego w specjalnym olstrze u wezglowia łóżka. Gdy twardy, chłodny pistolet znalazł się w mojej dłoni, poczułam się nieco pewniej. Pozostałam na łóżku, opierając się plecami o wezglowie, trzymając pistolet w jednej dłoni, a drugą podtrzymując ją od tyłu. Przez niewielką szparę między zasłonami przebijało światło księżyca. W srebrzystym blasku dostrzegłam sylwetkę mężczyzny. Postać nie zareagowała na broń ani na moje ruchy. Ruszyła naprzód, powłócząc nogami po miękkim, mechatym dywanie. Zahaczyła o zbiór pluszowych pingwinków, które posypały się białą-czarną delikatną falą pod parapet okienny. Postać przewróciła kilka z nich, ale nie była w stanie podnieść nóg, aby je przestąpić. Przeszła po nich, jakby brnęła przez płytką wodę. Wciąż mierząc w intruza, sięgnęłam jedną ręką, by zapalić nocną lampkę stojącą tuż obok na stoliku. Światło wydało mi się zbyt silne po panującym w pokoju mroku. Zamrugałam gwałtownie, zmuszając oczy, aby przyzwyczyły się do blasku. Gdy to się stało, przyjrzałam się intruzowi. Był to zombi. Za życia musiał być z niego kawał chłopca. Bary miał szerokie jak drwał, pod skórą kryły się potężne węzły mięśni. Olbrzymie łapska wydawały się bardzo silne. Jedno oko wyschło i pomarszczyło się jak śliwka. Drugie łypało na mnie. W tym spojrzeniu nie było nic, żadnego wyczekiwania, ożywienia, okrucieństwa, jedynie pustka. Dominga Salvador wypełniła ją celowością. Zabij - powiedziała. Mogłam się o to założyć. To był jej zombi. Nie mogłam nad nim zapanować. Nie mogłam mu niczego nakazać, dopóki nie wypełni rozkazów Domingi. Gdy tylko mnie uśmierci, będzie potulny jak zdechły szczeniak. Kiedy tylko mnie zabije. Nie zamierzałam czekać tak długo. Magazynek browninga był załadowany posrebrzanymi nabojami typu glazer. Pociski tego rodzaju mogą zabić człowieka, jeśli trafisz go mniej więcej w środek torsu. Powstały otwór

będzie zbyt duży, aby postrzelonego dało się uratować. Zombi nie przejmie się taką błażostką jak dziura w piersi. Będzie parł naprzód, z sercem czy bez niego.

Jeśli trafisz człowieka w nogę lub rękę, glazer oderwie mu kończynę. Natychmiastowa amputacja. Trzeba tylko dobrze trafić.

Zombi nie spieszył się. Przedzierał się przez stertę zwalonych pluszaków z determinacją typową dla żywych trupów. Zombi nie są nadludzko silne. Potrafią jednak wykorzystać każdą odrobinę siły, nie oszczędzają się. Prawie każdy człowiek jest zdolny do nadludzkiego wysiłku. Przynajmniej raz. Zwykły człowiek jest w stanie dźwignąć samochód - kosztem zerwanych ścięgien, uszkodzonych więzadeł i nadwerężonego kręgosłupa. Jedynie inhibitory w mózgu chronią nas przed samounicestwieniem. Zombi nie mają inhibitorów. Żywy trup mógłby dosłownie rozerwać mnie na strzępy, rozlatując się przy tym na kawałki. Gdyby jednak Dominga naprawdę chciała mnie zabić, wysłałaby mniej rozłożonego zombi. Ten był w takim stanie, że mogłabym go wyminąć i pobiec do drzwi. Może by mi się udało. Aczkolwiek...

Zacisnęłam lewą dłoń na kolbie pistoletu, palec prawej spoczął na spuście. Ściągnęłam spust, a huk wystrzału rozbrzmiał niezwykle głośno wewnątrz niedużego pomieszczenia. Zombi drgnął, potknął się. Jego prawa ręka odpadła w rozbryzgu tkanek i kości. Nie było krwi. Zbyt długo był nieboszczykiem.

Zombi wciąż się zbliżał.

Wycelowałam w drugą rękę. Wstrzymać oddech, ściągnąć spust. Mierzyłam w łokieć. I trafiłam. Dwie ręce wylądowały na podłodze i zaczęły pełznąć w stronę łóżka. Mogłabym porąbać tę istotę na kawałki, a nawet najmniejszy z nich i tak wciąż próbowałby mnie załatwić.

Prawa noga. Staw kolanowy. Noga nie odpadła zupełnie, ale zombi zachwiał się i przechylił na bok. Po chwili runął, przekręcił się na brzuch i zaczął pełznąć, odpychając się nie uszkodzoną nogą. Z tej zranionej zaczęła wypływać jakaś ciemna ciecz. Woń była okropna. Przełknęłam ślinę. Smród był potworny. Boże. Wstałam z łóżka, tak by odgrodzić się nim od stwora. Obeszłam łóżko i znalazłam się z tyłu, za żywym trupem. Zombi natychmiast zorientował się, że coś kombinuję. Spróbował odwrócić się do mnie, odpychając się jedyną sprawną nogą. Pełznące ręce wykonały zwrot szybciej, palce śmigały po dywanie. Stałam nad zombi i odstrzeliłam mu drugą nogę z odległości niespełna pół metra. Strzępy tkanek i kości posypały się na moje pingwinki. Cholera.

Jego ręce niemal dosięgły moich bosych stóp. Oddałam dwa szybkie strzały i dłonie rozprysły się w drobny mak, rozbryzgując się po białym dywanie. Pozbawione dłoni ramiona wily się i podrygiwały konwulsyjnie. Wciąż usiłowały mnie dopaść.

Rozległ się szelest materiału i coś się za mną poruszyło w tonącym w ciemnościach pokoju. Stałam odwrócona plecami do otwartych drzwi. Odwróciłam się, ale wiedziałam, że już było za późno.

Silne ramiona pochwyciły mnie, przyciskając do szerokiej, mocnej piersi. Palce wpiły się w moje prawe ramię, przyszpilając pistolet do mego ciała. Odwróciłam głowę, osłaniając twarz i szyję włosami. Zęby wgrzyły się w mój bark. Krzyknęłam.

Moja twarz była wciśnięta w ramię stwora. Palce wpijały się coraz głębiej. Stwór zamierzał zmiażdżyć mi rękę. Lufa broni wcisnęła się w ramię istoty. Zęby wgrzyzały się w mój bark, ale nie były to spiczaste, wampirze kły. Miałam do czynienia ze zwykłymi, ludzkimi zębami. Bolało jak jasna cholera, ale jeśli tylko zdołam się jakoś wyrwać, do wesela się zagoi. Odsunęłam głowę od ramienia stwora i pociągnęłam za spust. Całe ciało targnęło się do tyłu. Lewa ręka się rozluźniła. Uwolniłam się z jej uścisku. Lewe ramię stwora zwisało z mego przedramienia, wczepione w nie palcami.

Stanęłam w drzwiach sypialni, wlepiając wzrok w istotę, która omal mnie nie dopadła. To był biały mężczyzna, jakieś metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, zbudowany jak futbolista. Świeży nieboszczyk. Z kikuta oderwanego ramienia sączyła się krew. Palce zacisnęły się na moim przedramieniu. Kończyna nie mogła zmiażdżyć mojej ręki, ale nie zamierzała jej też puścić. Nie miałam czasu.

Zombi zaatakował, zamachnąwszy się szeroko jedną ręką, aby mnie pochwycić. Wydawało mi się, że mam całą wieczność, aby unieść broń oburącz. Ramię wciąż poruszało się i walczyło ze mną, jakby nadal było połączone z mózgiem zombi. Oddałam pospiesznie dwa strzały. Zombi zachwiał się, lewa noga załamała się pod nim, ale zbyt późno. Był za blisko. Upadł, pociągając mnie za sobą.

Wylądowaliśmy na podłodze. On na mnie. Udało mi się utrzymać browninga w górze, miałam wolne ręce i mogłam strzelać. Ciężar trupa przyszpilał mnie do podłogi, nic na to nie mogłam poradzić. Na wargach nieboszczyka błyszczała krew.

Wystrzeliłam z przyłożenia. Ściągając spust, przymknęłam oczy. Nie, żeby nie chciała tego oglądać, po prostu próbowałam w ten sposób ochronić oczy przed odłamkami kości. Gdy znów je otworzyłam, zombi nie miał już głowy, nie licząc żuchwy i fragmentu potylicy. Jedyną ręką zaczęła szukać mojej szyi. Dłoń, wciąż wczepiona w moje przedramię, pomagała korpusowi. Nie mogłam odwrócić pistoletu, aby strzelić w to oderwane ramię. Wisiało pod złym kątem.

Z tyłu za mną rozległo się ciężkie szuranie. Zerknęłam niepewnie, odwracając głowę i ujrzałam zbliżającego się do mnie pierwszego zombi. Usta, jedyne czym mógł jeszcze wyrzucić mi krzywdę, rozdziawił szeroko.

Krzyknęłam i ponownie odwróciłam się do tego, który na mnie leżał. Sprawna ręka trupa zbliżała się do mojej szyi. Odsunęłam ją i podsunęłam w zamian oderwane ramię nieboszczyka. Trup pochwycił je. Jako że nie miał już mózgu, nie był zbyt bystry. Urwana ręka zadrżała spazmatycznie. Krew buchnęła z niej jak sok z przejrzałego melona. Palce rozwarły się, puszczając moje przedramię. Zombi zmiażdżył swoją własną rękę, gruchocąc kości i tkanki.

Szuranie z tyłu za mną coraz bardziej się przybliżało.

- Boże!

- Policja! Wychodzić z rękoma w górze! - Z korytarza dobiegł silny męski głos.

- Pomocy! - Do diabła z zimną krwią i samodzielnością.

- Co się tam dzieje, proszę pani?

Szuranie pełznącego ciała słycać było niemal tuż obok mnie. Odwróciłam głowę i znalazłam się niemal nos w nos z pierwszym zombi. Wcisnęłam lufę browninga w otwarte usta trupa. Zęby nieboszczyka zgrzytnęły o metal, a ja pociągnęłam za spust.

Wtem w drzwiach obramowanych ciemnością pojawił się policjant. Z mojego punktu widzenia wydawał się olbrzymi. Kręcone, brązowe, lecz już siwiejące włosy, wąsy, pistolet w dłoni.

- Jezu - wyszeptał. Drugi zombi upuścił zgruchotane ramię i ponownie sięgnął w moją stronę. Gliniarz mocno złapał zombi za pasek u spodni i jedną ręką dźwignął go w górę. - Zabierz ją stąd - rozkazał.

Jego partner rzucił mi się na pomoc, ale ubiegłam go. Wyczołgałam się spod na wpół uniesionego ciała i na czworakach popelzłam do pokoju. Nie trzeba mnie było dwa razy prosić. Drugi gliniarz pomógł mi wstać, wyciągając rękę. Podałam mu prawą, tę z browningiem.

Zwykle gliniarz, zanim powie coś więcej, każe ci rzucić broń. W pierwszej chwili trudno ocenić, kto stoi po dobrej stronie, a kto jest przestępcą. Jeśli masz broń, uznają cię za bandziora, dopóki nie udowodnisz, że jest inaczej. W akcji nie obowiązuje zasada domniemania niewinności.

Wyłuskał broń z mojej ręki. Nie stawiałam oporu. Znałam procedurę.

Z tyłu za nami huknął strzał. Drgnęłam, podobnie jak gliniarz. Był w moim wieku, ale ja miałam wrażenie, że jestem stara jak świat. Odwróciliśmy się i ujrzeliśmy, jak partner gliniarza strzela do zombi. Stwór musiał mu się wyrwać. Dźwignął się na nogi, ale kule nie czyniły mu większej szkody.

- Chodź tu, Brady - rzekł pierwszy policjant. Młodszy wyjął pistolet i postąpił naprzód.

Zawahał się, zerkając na mnie.

- Pomóż mu - rzuciłam.

Skinał głową i zaczął strzelać do zombi. Odgłos palby przypominał huk gromu. Przepelnił całe pomieszczenie tak, że zaczęło mi dzwonić w uszach, a od smrodu prochu zakręciło mnie w nosie. Na ścianach pojawiły się otwory po kulach. Zombi wciąż parł naprzód. Kule tylko go rozdrażniły.

Z policją jest ten problem, że nie wolno jej używać pocisków typu glazer. Większość glin, w przeciwieństwie do mnie, nie ma styczności z istotami nadnaturalnymi. Zwykle ścigają oni zwykłych przestępców. Opinia publiczna źle przyjęłaby fakt, że któryś z gliniarzy odstrzelił nogę jakiemuś bandziorowi, bo ten próbował postać go do nieba. Nie wolno zabijać ludzi tylko dlatego, że ci akurat próbują cię sprzątnąć, prawda? Dlatego gliniarzom wydaje się zwykle pociski, niekiedy powlekane srebrem, ale te akurat nie powstrzymają rozjuszonego zombi. Policjanci zaczęli się cofać. Jeden strzelał, a drugi wymieniał magazynek. Zombi

chwajnie brnął naprzód. Jedyłą sprawną ręką wymachiwał przed sobą, macając powietrze. Szukał mnie. Cholera.

- Mam w magazynku naboje typu glazer - rzekłam. - Użyjcie ich.

- Brady, mówiłem ci, żebyś ją stąd zabrał - odezwał się pierwszy gliniarz.

- Potrzebowałeś pomocy - odparł Brady.

- Wyprowadź stąd ty cywilkę, ale już.

Cywilka, ja?

Brady nie zaoponował. Wrócił do mnie z bronią w ręce, ale nie strzelał.

- Chodźmy, proszę pani. Musimy się stąd wydostać.

- Oddaj mi mój pistolet. - Spojrzał na mnie i pokręcił głową. - Należę do Okręgowej Jednostki ds. Dochodzeń Paranormalnych.

To była prawda. Pomyślałam, że dzięki temu weźmie mnie za policjantkę, którą akurat nie byłam. Był młody. Omylny. Oddał mi browninga.

- Dzięki. - Podeszłam do starszego gliny. - Współdziałam z oddziałem duchów.

- Wobec tego zrób coś. - Spojrzał na mnie, przez cały czas mierząc w żywego trupa.

Ktoś zapalił światło w pokoju. Teraz gdy nikt do niego nie strzelał, zombi swobodnie maszerował przed siebie. Szedł rażno, jakby był na spacerze, tyle tylko, że nie miał głowy i jednej ręki. Może czuł, że jestem niedaleko.

To ciało było w lepszym stanie niż pierwszy nieboszczyk. Mogłam go okaleczyć, ale nie powstrzymać. I na to się właśnie zdecydowałam. Wpakowałam trzecią kulę w lewą nogę stwora, w tę, którą zraniłam już wcześniej. Noga załamała się pod nim. Zaczął pełznąć naprzód, odpychając się jedną ręką i nogą. Był niezmordowany. Uśmiechnęłam się pod nosem, ale zaraz się uspokoiliam. Obeszłam łóżko i trupa szerokim łukiem. Po tym, co ten stwór zrobił z własnym ciałem, nie chciałam nawet przypadkiem wpaść w jego ręce. Mogłam obejść się bez pogruchootanych kości. Podeszłam do niego od tyłu, a stwór odwrócił się w moją stronę szybciej, niż się spodziewałam. Wpakowałam mu dwie kule w drugą nogę. Nie pamiętałam, ile kul w sumie zużyłam. Czy została mi jedna, dwie czy nic?

Czułam się jak Brudny Harry, tyle że temu bandziorowi było obojętne, czy miałam jeszcze jakieś kule. Nie tak łatwo przstraszyć trupa.

Nieboszczyk wciąż sunął naprzód, wlokąc za sobą uszkodzone kończyny. Podciągał się na jednej ręce. Strzeliłam nieomal z przyłożenia i dłoń zombi rozbryznięła się jak karmazynowy kwiat na białym dywanie. Mimo to trup ciągle pełził do przodu, podpierając się okrwawionym kikutem. Pociągnęłam za spust, ale usłyszałam tylko metaliczny szcęk.

- Cholera. Nie mam już nabo! - rzuciłam. Cofnęłam się. Zombi poczołgał się za mną.

Starszy gliniarz podszedł i schwycił trupa za kostki. Pociągnął go do tyłu. Jedna noga powoli wysunęła się z nogawki i silnym skrętem wyslizgnęła się z jego uścisku.

- O kurwa! - Wypuścił nogę. Spadła na dywan, wijąc się jak wąż z przetrąconym grzbietem.

Spojrzałam na niezłomnego, pełnego determinacji nieboszczyka. Bez ustanku sunął w moim kierunku. Słabo mu to szło. Gliniarz wciąż przytrzymywał go za jedną nogę. Mimo to zombi

wciąż próbował. I tak już będzie, dopóki nie zostanie spalony albo Dominga Salvador nie wyda mu innego rozkazu.

W drzwiach pojawili się kolejni mundurowi. Rzucili się na okaleczonego zombi jak sępy na konające zwierzę. Trup szamotał się dziko. Próbował się im wyrwać, dokończyć swoją misję. Zabić mnie. Gliniarzy było dość, aby go obezwładnić. Przytrzymają go, dopóki nie przyjadą technicy. Ci zrobią swoje, a potem zombi zajmą się tępiciele. Wcześniej przewoziło się je do kostnicy na badania, ale drobne szczątki potrafiły uciec i skryć się w najdziwniejszych miejscach.

Koroner życzyła sobie, aby wszystkie przysyłane do niej zombi były ostatecznie martwe. Jej zdanie podzielali technicy i pielęgniarze. Podobnie jak ja, choć wiedziałam, że większość dowodów szejnie w ogniu. Cóż, tak to jest, gdy trzeba wybierać.

Stałam pod ścianą pokoju. W całym tym zamieszaniu policja o mnie zapomniała.

Świetnie. Nie miałam dziś ochoty na kolejną rundkę z zombi. Dopiero teraz zorientowałam się, że mam na sobie tylko majtki i podkoszulek. Mokry od krwi podkoszulek przylepiał mi się do ciała. Ruszyłam w stronę sypialni. Chyba poszłam po spodnie. To, co ujrzałam na podłodze, sprawiło, że zamarłam w bezruchu.

Pierwszy zombi wyglądał jak beznogi owad. Nie mógł się ruszać, ale próbował. Okrwawiony kadłubek wciąż usiłował wykonać otrzymany rozkaz. Zabić mnie. Dominga Salvador zamierzała mnie zabić. Dwa zombi, jeden prosto z grobu. Jednak chciała mnie zabić. Ta myśl nie dawała mi spokoju. Groziłyśmy sobie nawzajem, ale czy trzeba było posuwać się do tak brutalnych rozwiązań? Czemu próbowała mnie zabić? Zgodnie z literą prawa nie mogłabym jej powstrzymać. Wiedziała o tym.

Dlaczego więc potraktowała mnie tak serio i spróbowała zabić? Może miała coś do ukrycia? Co prawda, dała mi słowo, że to nie ona ożywiła morderczego zombi, ale może jej słowo nie było warte funta kłaków. To jedyna odpowiedź. Musiała mieć coś wspólnego z morderczym zombi. Czy to ona go ożywiła? A może знаła tego, kto to zrobił? Nie. To zapewne ona go ożywiła, w przeciwnym razie czemu próbowałyby mnie zabić następnej nocy po naszej rozmowie? To musiałby być nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Nie kupowałam tego.

Dominga Salvador ożywiła zombi, a ten wyrwał się spod jej kontroli. Tak. Właśnie. Może była zła, ale nie była wariatką. Nie ożywiłaby morderczego zombi i nie uwolniła go ot tak sobie. Wielka królowa voodoo sfuszerowała sprawę. I to wkurzyło ją bardziej niż cokolwiek innego, bardziej niż zabójstwa czy potencjalna groźba oskarżenia o zabójstwo. Nie mogła dopuścić, by jej reputacja legła w gruzach.

Powiodłam wzrokiem nad okrwawionymi, cuchnącymi szczątkami walającymi się w sypialni. Moje pluszowe pingwinki były umazane posoką i czymś jeszcze gorszym. Czy moja stara, wysłużona pralka zdoła doprowadzić je do porządku? Z moimi rzeczami sobie radziła.

Pociski typu glazer nie przebiły ścian. I między innymi dlatego tak je lubiłam. Moi sąsiedzi nie ucierpieli. Jednak kule z broni policjantów podziurawiły ściany sypialni. Wszędzie widniały równe, nieduże otwory. Do tej pory nikt nie atakował mnie w domu, nie w ten sposób. To powinno być zakazane. Było wbrew regułom. We własnym łóżku człowiek

powinien czuć się bezpieczny. Wiem, wiem. Przestępcy nie uznają żadnych reguł. Między innymi dlatego są przestępcami.

Wiedziała, kto ożywił tego zombi. Teraz musiałam to tylko udowodnić. Wszędzie była krew. Krew i coś gorszego. Zaczynałam przyzwyczajać się do fetoru. Boże. Ależ tu cuchnęło. Całe mieszkanie przepelniała drażniąca woń. W moim mieszkaniu niemal wszystko jest białe - ściany, dywan, łóżko, fotel. Na białym nazbyt wyraźnie widać plamy. Odznaczają się jak świeże rany. Dziury po kulach i odpryśnięty tynk jeszcze podkreślały plamy posoki. Mieszkanie było zrujnowane, udowodnię, że to robota Domingi, a potem, jeśli tylko zdołam, odpłacę jej pięknym za nadobne.

- Oko za oko - wyszeptalam w przestrzeń. Poczułam ucisk w gardle i pieczenie pod powiekami. Nie chciałam się rozplakać, ale narastał we mnie dziki krzyk. Mogłam rozplakać się albo zacząć krzyczeć. To pierwsze wydało mi się bardziej na miejscu.

Przyjechała karetka. Pojawiła się niska czarnoskóra lekarka w moim wieku.

- Chodź, kochanie, niech no cię obejrzę. - Miała miły, łagodny głos, ale zdecydowanie odciągnęła mnie od przypominającej rzeźnię sypialni. Nawet się na nią nie obraziłam, że powiedziała do mnie "kochanie". Miałam teraz chęć zwinąć się w kłębek, ułożyć głowę na czymś podołku i zasnąć. Potrzebowałam ciepła. I pocieszenia. Bardzo tego pragnęłam. Ale nie było mi to dane. - Kochanie, musimy zobaczyć, czy jesteś poważnie ranna, zanim znieśmy cię do karetki. Ta krew...

- To nie moja krew. - Pokręciłam głową. Mój głos wydawał się obcy, odległy.

- Co?

Spojrzałam na nią, usiłując zachować ostrość widzenia. Pojawiły się pierwsze objawy szoku. Zwykle radzę sobie z tym lepiej, ale cóż, każdy ma lepsze i gorsze dni.

- To nie moja krew. Zostałam ukąszona w ramię. To wszystko.

Sprawiła wrażenie, jakby mi nie wierzyła. W sumie wcale się jej nie dziwiłam. Większość ludzi, ujrzawszy cię skapaną we krwi, uznaje, że musi to być twoja krew. Nie biorą pod uwagę, że mogą mieć do czynienia z twardą jak stara zelówka pogromczynią wampirów i animatorką.

Łzy powróciły, palące i nieprzyjemne. Moje pingwinki były całe we krwi. Pal licho ściany i dywan. Można je doprowadzić do porządku, a dywan wymienić, ale te pingwinki zbierałam przez całe lata. Pozwoliłam, by lekarka wyprowadziła mnie z pokoju. Łzy pociekły mi po policzkach. Nie płakałam. To oczy mi się pociły. A pociły się, bo moje pluszowe zabawki były całe ubabrane posoką i fragmentami ciał żywych trupów.

Boże Święty!

Widziałam dostatecznie dużo miejsc zbrodni, by wiedzieć, czego się mogę spodziewać. Jak film oglądany zbyt wiele razy. Znałam wszystkie sceny, kluczowe zwroty akcji i dialogi. Ale to coś innego. To było moje mieszkanie.

Może to głupie, że byłam wściekła na Domingę Salvador za to, iż ośmieliła się zaatakować mnie we własnym domu. Głupie, ale nic na to nie poradzę. Złamała regułę. I to taką, z istnienia której nie zdawałam sobie dotąd sprawy. Nie będziesz atakować pozytywnej bohaterki w jej własnym domu. Cholera. Zapłaci mi za to. Już ja się o to postaram. No jasne, może przy pomocy oddziału kawalerii. Albo jeszcze lepiej marines. Nie, chyba jednak poprzestanę na starej, dobrej policji.

Zastony w pokoju falowały, poruszane gorącym wiatrem. W trakcie walki poleciały szyby. Zostały podziurawione kulami. Cieszyłam się, że właśnie podpisałam dwuletnią umowę najmu. Przynajmniej nie mogli mnie stąd wykopać.

Dolph siedział naprzeciw mnie w mojej maleńkiej kuchni. Stolik śniadaniowy z dwoma prostymi krzesłami wydawał się maleńki, gdy przy nim zasiadł. Wydawało się, że zajął całą przestrzeń kuchni. A może po prostu ja czułam się tej nocy malutka. Tej nocy? A może był już dzień? Spojrzałam na zegarek. Szkiełko było pokryte jakąś rozmazaną ciemną substancją. Nie mogłam dostrzec, która jest godzina. Będę musiała zeskrobywać to świństwo z zegarka. Na powrót wsunęłam rękę pod koc, który przyniósł mi jeden z sanitariuszy. Skórę miałam zimniejszą, niż mogłam się spodziewać. Nawet myśli o zemście nie były w stanie mnie rozgrzać. Później, ogrzeję się później. Potem będzie czas na złość. Na gniew. Teraz cieszyłam się, że żyję.

- W porządku, Anito, co się stało?

Rozejrzałam się po pokoju. Był prawie pusty. Zombi już wyniesiono. Spalono je tuż pod domem, na ulicy. Asfaltowe barbecue.

- Czy przed złożeniem zeznań mogłabym się przebrać? Proszę. - Patrzył na mnie przez chwilę, ale w końcu pokiwał głową. - Świetnie. - Wstałam, starannie otulona kocem, przytrzymując jego brzegi. Nie chciałam, aby się rozchyliły. Jak na jedną noc miałam już dość kłopotliwych sytuacji.

- Zostaw podkoszulek. To materiał dowodowy - zawołał Dolph.

- Jasne - odparłam, nie odwracając się.

Największe kałuże nakryto prześcieradłami, aby krew nie została rozniesiona na podszwach butów po całym budynku. Pięknie. Sypialnia cuchnęła gnijącymi zwłokami, starą krwią i śmiercią. Boże. Już nigdy nie zdołam tu zasnąć. Nawet ja czułam pewne granice. Miałam ochotę na prysznic, ale wątpiłam, aby Dolph zechciał czekać tak długo. Skończyło się na wybraniu dżinsów, skarpet i czystego podkoszulka. Zaniosiłam to wszystko do łazienki. Gdy zamknęłam drzwi, odór nie wydawał się już tak dokuczliwy. Łazienka wyglądała całkiem zwyczajnie. Nie wydarzyło się tu nic dramatycznego.

Upuściłam koc i podkoszulek na podłogę. Na ramieniu, w miejscu gdzie ugryzł mnie zombi, miałam pokaźnych rozmiarów opatrunek. Na szczęście truposz nie wyrwał mi kawałka ciała. Sanitariusz ostrzegł, że czekał mnie zastrzyk przeciwężcowy. Końska dawka. Zombizmem nie można się zarazić na skutek ukąszenia przez żywego trupa, ale nieboszczycy są nosicielami wielu groźnych chorób. Ich usta są pełne zarazków. Zawsze istnieje groźba infekcji, ale zastrzyk przeciwężcowy to w takiej sytuacji rutynowe postępowanie.

Na moich rękach i nogach widniały zaschnięte ślady krwi. Nie umyłam rąk. Później wezmę prysznic. Umyję się raz, a dobrze. Koszulka sięgała mi prawie do kolan. Z przodu ozdabiała ją karykatura Arthura Conan Doyle'a. Twórca postaci wielkiego detektywa patrzył przez wielką lupę i jedno jego oko wydawało się zabawnie powiększone. Obejrzałam się w lustrze nad umywalką. Koszulka była miękka, ciepła i miła w dotyku. Tego właśnie było mi trzeba. Stary podkoszulek był bezpowrotnie zniszczony. Nic nie mogło go uratować. Ale może uda mi się ocalić niektóre z pingwinków. Napuściłam zimnej wody do wanny. Gdyby chodziło o koszulkę, wrzuciłabym ją i namoczyła w zimnej wodzie. Może z pluszakami to również poskutkuje.

Wyjęłam spod łóżka moje buty do biegania. Nie chciałam krzątać się po mieszkaniu w samych tylko skarpetkach. Po to są buty. No dobrze, przyznaję, twórca adidasów nie przewidział, że ktoś będzie w nich chodził po kałużach zakrzepłej krwi żywych trupów. Trudno jest być przygotowanym na wszystko.

Dwa pingwinki zmieniły kolor na brązowy, gdy zaschła na nich krew. Zaniosiłam je ochoczo do łazienki i włożyłam do wanny. Przytrzymałam pod wodą, aż nasiąkły i zanurzyły się niemal zupełnie, po czym zakręciłam wodę. Moje dłonie trochę się domyły. Woda nie była już czysta. Krew wysączała się z dwóch pluszowych zabawek jak woda z gąbki. Jeśli uda mi się z tymi dwoma, powinnam uratować je wszystkie.

Wytarłam dłonie w koc. Nie ma sensu brudzić krwią ręczników. Zygmus, pingwinek, z którym czasem sypiałam, był prawie nietknięty. Miał tylko kilka brązowych kropek na mechatym białym brzuszku. Chwała Bogu. Miałam ochotę wsadzić go pod pachę i wyjść z nim, aby mi towarzyszył podczas składania zeznań. Dolph zapewne nic by mi nie powiedział.

Odsunęłam Zygmuta nieco dalej od największych kałuż, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc. Widok tego kretyńskiego pluszaka siedzącego bezpiecznie w kącie w znacznym stopniu poprawił mi humor. Świetnie.

Zerbrowski wpatrywał się w akwarium. Po chwili uniósł wzrok i spojrzał na mnie.

- To największe skalary, jakie w życiu widziałem. Można by z nich przyrządzić niezły obiadek.

- Zostaw ryby w spokoju, Zerbrowski - mruknęłam.

- Jasne, tak tylko głośno myślałem. - Uśmiechnął się.

W kuchni Dolph wciąż siedział z dłońmi złożonymi jedna na drugiej na blacie stolika. Jego oblicze pozostawało nieodgadnione. Jeżeli był zdenerwowany, że omal nie straciłam dziś życia, nie okazywał tego w żaden sposób. Ale Dolph rzadko zdradzał jakiegokolwiek emocje.

Jedyne, co go obecnie nurtowało, to prowadzone śledztwo. Sprawa zabójczego zombi. Zamordowanych niewinnych osób.

- Chcesz kawy? - spytałam.

- Jasne.

- Ja też - wtrącił Zerbrowski.

- Tylko jeśli powiesz "poproszę".

- Poproszę. - Oparł się o ścianę przy wejściu do kuchni. Wyjęłam z zamrażalnika torebkę kawy. - Trzymasz kawę w zamrażalniku? - spytał Zerbrowski.

- Czy nikt nigdy nie parzył dla ciebie prawdziwej kawy? - odparowałam.

- Zwykle pijam rozpuszczalną.

- Barbarzyńca. - Pokręciłam głową.

- Kiedy już skończycie tę wymianę uprzejmości - wtrącił Dolph - chciałbym przejść do rzeczy i spisać twoje zeznanie. - Jego głos był łagodniejszy niż słowa.

Uśmiechnęłam się do niego i do Zerbrowskiego. Niech to diabli, ale naprawdę cieszyłam się, że ich widzę. Najbardziej bolało mnie to, że nawet widok Zerbrowskiego sprawiał mi nieopisaną radość.

- Spałam smacznie jak dziecko, gdy nagle obudziłam się i zobaczyłam zombi stojącego nad moim łóżkiem. - Odmierzyłam ilość ziaren i wsypałam je do małego, czarnego elektrycznego młynka, który kupiłam, bo pasował mi do ekspresu.

- Co cię obudziło? - zapytał Dolph.

Wcisnęłam włącznik młynka i kuchnię wypełnił przyjemny aromat świeżo mielonych ziaren. Prawdziwy raj.

- Poczułam smród trupów - odparłam.

- Wyjaśnij.

- Śniłam i nagle poczułam trupi odór. To nie pasowało do snu. I dlatego się obudziłam.

- Co było potem? - Dolph wyjął swój notes. Pióro zawisło nad kartką papieru. Koncentrując się na złożonej czynności parzenia kawy, opowiedziałam Dolphowi o wszystkim, łącznie z moimi podejrzeniami dotyczącymi Senory Salvador. Kawa zaczęła bulgotać i wypełniła całe mieszkanie cudownym, uwielbianym przeze mnie aromatem. - A więc uważasz, że to Dominga Salvador jest osobą, która ożywiła te zombi? - zapytał Dolph.

- Tak.

Spojrzał na mnie zza stołu. Miał poważny, skupiony wyraz twarzy.

- Możesz to udowodnić?

- Nie.

Wzjął głęboki oddech, na chwilę zamknął oczy.

- Pięknie, po prostu pięknie - rzekł.

- Sądząc po zapachu, kawa jest już gotowa - powiedział Zerbrowski. Siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę przy wejściu do kuchni. Wstałam i nalałam kawę.

- Jeśli chcecie cukru lub śmietanki, proszę bardzo, częstujcie się. - Postawiłam cukiernicę i dzbanek z prawdziwą śmietanką na kuchennym blacie. Zerbrowski hojnie posłodził swoją

kawę i nalał sobie trochę śmietanki. Dolph wolał czarną. Tak jak ja. Nie zawsze, ale prawie zawsze. Dziś też posłodziłam kawę i dolałam trochę śmietanki. Prawdziwa kawa z prawdziwą śmietanką. Niebo w gębie.

- Czy po wejściu z tobą do domu Domingi moglibyśmy liczyć na znalezienie jakichś dowodów? - spytał Dolph.

- Na jakieś na pewno, ale czy na dowody, że to ona ożywiła zabójczego zombi... -

Pokręciłam głową. - Jeżeli to ona go przywołała, a potem z jakichś powodów pozwoliła mu uciec, raczej uczyni wszystko, abyśmy nie zdołali jej z nim w żaden sposób połączyć. Na pewno zniszczyła wszystkie dowody wiążące się z tą sprawą.

- Chcę ją za to zapuszkować - mruknął Dolph.

- Ja też.

- Może podjąć kolejną próbę zabicia ciebie - rzucił od wejścia do kuchni Zerbrowski. Dmuchał na kawę, aby ją ostudzić.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparłam.

- Myślisz, że spróbuje ponownie? - zapytał Dolph.

- Prawdopodobnie tak. Jak, u licha, dwa zombi zdołały dostać się do mego mieszkania?

- Ktoś sforsował zamek - odparł Dolph. - Czy zombi może...

- Nie, żywy trup mógłby wyrwać drzwi z zawiasów, ale nie dałby rady otworzyć zamka wytrychem. Nawet gdyby jego ciało było w pełni sprawne.

- A zatem jakiś fachowiec od włamań musiał otworzyć drzwi i wpuścić je do środka - skonstatował Dolph.

- Na to wygląda - przytaknęłam.

- Jakieś sugestie?

- Stawiałabym na jednego z ochroniarzy - wnuka Antonia albo może Enza. To duży facet po czterdziestce, który wydaje się być jej strażą przyboczną. Nie wiem, czy któryś z nich umie radzić sobie z zamkami, ale to musieli być oni. A ściślej rzecz biorąc, Enzo, nie Antonio.

- Czemu go skreślasz?

- Gdyby Tony wpuścił zombi do mego mieszkania, zostałby, aby popatrzeć.

- Jesteś pewna?

- Ten typ tak ma. - Wzruszyłam ramionami. - Enzo zrobiłby swoje i wziął nogi za pas. Ten gość wie, co znaczy wykonywać rozkazy. Wnuk Domingi jest ulepiony z innej gliny.

- Góra strasznie na nas naciska, abyśmy rozwikłali tę sprawę. - Dolph pokiwał głową. -

Myślę, że mógłbym zdobyć nakaz w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Dwa dni to kupa czasu, Dolph.

- Dwa dni bez najmniejszego dowodu, Anito. Dysponując jedynie twoim zeznaniem.

Nadstawiam dla ciebie karku.

- Ona tkwi w tym po uszy, Dolph. Jestem tego pewna. Nie wiem, dlaczego ani co sprawiło, że straciła kontrolę nad tym nieboszczykiem, ale z pewnością maczała w tym palce.

- Zdobędę nakaz - powiedział.

- Jeden z niebieskich braci stwierdził, że podałaś się za policjantkę - odezwał się Zerbrowski.
 - Powiedziałam tylko, że należę do waszego zespołu. Nie mówiłam, że jestem policjantką.
 - Mhm-uhm. - Zerbrowski uśmiechnął się.
 - Będziesz tu dziś bezpieczna? - zapytał Dolph.
 - Myślę, że tak. Senora nie chce narazić się stróżom prawa. Czarownice-renegatki są w świetle prawa traktowane tak jak zbuntowane wampiry. To dla nich automatycznie równa się wyrokowi śmierci.
 - Bo ludzie znowu się ich boją - burknął Dolph.
 - Bo mało która czarownica jest w stanie wyslizgnąć się z więziennej celi.
 - A jak to jest z królowymi voodoo? - spytał Zerbrowski.
 - Nie chcę wiedzieć. - Pokręciłam głową.
 - Lepiej już chodźmy, musisz się trochę przespać - rzekł Dolph. Zostawił pustą filiżankę po kawie na stoliku. Zerbrowski swojej nie dopił, ale też ją odstawił i wyszedł za Dolphem jak cień. Odprowadziłam ich do drzwi. - Dam ci znać, kiedy dostaniemy nakaz - powiedział Dolph.
 - Czy mógłbyś załatwić dla mnie zezwolenie na przejrzanie rzeczy osobistych Petera Burke'a?
 - Po co?
 - Tego typu utrata kontroli nad żywym trupem sugeruje, że mamy do czynienia z jednym z dwóch potencjalnych scenariuszy. Bywa tak, że choć masz dostatecznie dużą moc, aby ożywić trupa, po jego przywołaniu okazuje się, że nie potrafisz nad nim zapanować. Dominga jest w stanie kontrolować wszystko, co ożywi. Bywa też tak, że w twoje poczynania wtrąci się ktoś dysponujący podobną mocą, traktując to jako swoiste wyzwanie. - Spojrzałam na Dolpha. - John Burke mógłby tego dokonać. Jest dostatecznie potężny. Może gdybym zdołała przekonać Johna, aby rzucił okiem na rzeczy osobiste brata, no wiesz, czy wszystko jest na swoim miejscu, czy nie zauważy tam niczego niezwykłego, przez przypadek coś mu się wymknie.
 - Zraziłaś już do siebie Domingę Salvador, Anito. Czy nie dość już narobiłaś sobie wrogów jak na jeden tydzień?
 - Wystarczyłoby mi na całe życie - odparłam. - Ale w ten sposób zajęlibyśmy się czymś konstruktywnym do czasu uzyskania nakazu.
 - W porządku. - Dolph pokiwał głową. - Zajmę się tym. Zadzwoń jutro rano do pana Burke'a i umów się z nim na konkretną godzinę. A potem zadzwoń do mnie.
 - Nie ma sprawy.
 - Uważaj na siebie. - Dolph przystanął na chwilę w progu.
 - Jak zawsze - odparłam.
 - Fajne pingwinki - rzucił Zerbrowski, nachylając się w moją stronę.
- Po czym ruszył wzdłuż korytarza w ślad za Dolphem. Wiedziałam, że gdy następnym razem spotkam się z resztą zespołu, wszyscy już będą wiedzieć, że zbieram pluszowe pingwinki.

Moja tajemnica wydała się. Zerbrowski zatroszczy się osobiście, aby poznali ją wszyscy członkowie oddziału. Przynajmniej był konsekwentny. Miło wiedzieć, że są jeszcze na świecie tacy ludzie.

Pluszowych zwierzków nie powinno się zanurzać w wodzie. Dwa pingwinki w wannie były bezpowrotnie zniszczone. Może powinnam użyć odplamiacza? Zapach był silny i wydawał się nie do usunięcia. Nagrałam pilną wiadomość na automatycznej sekretarce mojej pomocy od sprzątania. Nie zdradziłam wielu szczegółów. Nie chciałam nikogo wystraszyć.

Spakowałam torbę. Dwie zmiany bielizny i jeden pingwinek z dopranym brzuszkiem. Teczka Harolda Gaynora i byłam gotowa do drogi. Zabrałam też oba pistolety - firestara w kaburze wewnętrznej i browninga w podramiennej. Pod wiatrówką browning był niewidoczny. Zapasową amunicję włożyłam do kieszeni kurtki. W magazynkach obu pistoletów miałam w sumie dwadzieścia dwa naboje. Czemu więc nie czułam się bezpieczna?

W przeciwieństwie do większości ożywionych trupów zombi mogły poruszać się za dnia. Nie przepadają za światłem słonecznym, ale są w stanie je wytrzymać. Dominga mogła rozkazać zombi, aby zabił mnie czy to w nocy, czy za dnia. Co prawda w dzień nie zdoła przywołać umarłych, ale jeśli dobrze wszystko sobie zaplanuje, ożywi trupy nocą i wyśle je po mnie z nadejściem nowego dnia. Nie ma to jak kapłanka voodoo obdarzona zdolnością planowania i przewidywania. Znając swoje szczęście, przypuszczałam, że właśnie z taką miałam do czynienia. Nie bardzo chciało mi się wierzyć, że Dominga miała w zapasie kilka zombi i tylko czekała, by je na mnie napuścić. Mimo to dziś rano męczyła mnie lekka paranoja. Paranoja to inne określenie sztuki przetrwania. Zapewniała dłuższe życie.

Wyszłam na skąpany w ciszy korytarz, rozglądając się w obu kierunkach, jak przy przejściu przez ulicę. Nic. Żadnych żywych trupów kryjących się wśród cieni. Nikogo prócz mnie, przerażonej, małej kobietki. Jedynym dźwiękiem, jaki się rozległ, był szum klimatyzatora. Tak to już bywa z korytarzami. Dostatecznie często wracałam do domu o świcie, by poznać, co znaczy cisza. Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Wiedziałam, że był już prawie świt. Nie musiałam zerkać na zegarek ani w okno, podpowiadało mi to coś bardziej pierwotnego. Jakiś instynkt, pozostałość z czasów, gdy nasi przodkowie trwożliwie kulili się w jaskiniach, modląc się o światło.

Większość ludzi w bliżej nieokreślony sposób obawia się mroku. Obawia się tego, co może się w nim kryć. Ożywiam zmarłych. Unicestwiłam ponad tuzin wampirów. Wiem, co czyha w mroku. I lękam się tego. Ludzie powinni bać się tego co nieznanego, ale nieświadomość przynosi ukojenie, podczas gdy wiedza może dać nam jedynie trwogę.

Wiedziałam, co by się ze mną stało, gdybym zawiodła ubiegłej nocy. Gdybym była wolniejsza albo nie strzelała dość celnie. Przed dwoma laty miały miejsce trzy morderstwa. Nie łączyło ich nic poza sposobem, w jaki dokonano tych zbrodni. Ofiary zostały rozdarte na strzępy przez zombi. Ciało nie pożarto. Zwyczajne zombi nie jedzą niczego. Mogą skubnąć tu czy tam, ale na tym koniec. Jednemu mężczyźnie zmiżdżono gardło, ale to w sumie był przypadek. Zombi wgryzł się w część ciała ofiary, która znajdowała się najbliżej. Akurat tak się złożyło, że to ugryzienie okazało się zabójcze. Cóż. Taki pech.

Zwykle zombi rozrywa ofiarę na kawałki. Robi to praktycznie bez wysiłku. Jak chłopiec obrywający skrzydełka musze.

Przywołanie zombi w celu uczynienia zeń maszyny do zabijania równa się automatycznemu wyrokowi śmierci. System sądowniczy w ostatnich latach usprawnił całą tę złożoną procedurę. Obecnie wyrok śmierci równa się szybkiej egzekucji. Zwłaszcza jeśli zbrodnia miała jakiś aspekt paranormalny. Czarownic i czarowników nie pali się już na stosach.

Posyłamy ich na krzesło elektryczne.

Gdybyśmy tylko zdołali zdobyć niezbite dowody, prawo uśmierciłoby Domingę Salvador, oszczędzając mi zachodu. Johna Burke'a także, gdyby udało się nam udowodnić, że świadomie spowodował u zombi morderczy szal. Ze zbrodniami paranormalnymi jest spory kłopot, aby udowodnić je w sądzie. Większość przysięgłych nie jest obeznana w najświeższych zaklęciach i inkantacjach. Cholera, ze mną jest podobnie. Ale próbowałam już tłumaczyć zachowanie wampirów i zombi w sądzie. Nauczyłam się, że należy mówić jak najprościej i dodawać krwawe szczegóły w takim stopniu, na ile pozwoli mi na to obrona. Ława przysięgłych lubi straszne opowieści. Większość zeznań jest przeraźliwie nudna lub smutna. Ja staram się zaciekawić ławę przysięgłych. To nadaje trochę tempa sprawie. Na parkingu było ciemno. Na niebie wciąż migotały gwiazdy. Gasły już jednak jak świece na wietrze. Wiedziałam, że zbliża się świt. Czułam smak brzasku na języku. Może to wskutek praktyki podczas polowania na wampiry, ale obecnie byłam bardziej wyczulona na przejście z nocy w dzień niż cztery lata temu. Wcześniej nie potrafiłam wyczuć nadchodzącego wschodu słońca.

Rzecz jasna, cztery lata temu nie miałam tak ciekawych koszmarów jak dziś. Coś zyskujesz, coś tracisz. Takie jest życie.

Było po piątej nad ranem, gdy dotarłam do samochodu i pojechałam do najbliższego hotelu. Nie wrócę do mieszkania, dopóki nie zostanie należycie posprzątane. Miałam nadzieję, że sprzątacze usuną jakoś ten fetor. Właściciel domu nie byłby zadowolony, gdyby to się nie udało. Byłby jeszcze mniej zachwycony, wiedząc o dziurach po kulach i wybitym oknie. Może powinnam wstawić nowe, a dziury zagipsować i odmalować ściany? Nie bardzo wiedziałam, jak likwiduje się dziury po kulach. Na razie miałam nadzieję, że nie zostanę zmuszona nakazem sądowym do opuszczenia mego mieszkania.

Na wschodnim niebie pojawiły się pierwsze, nieśmiałe jeszcze oznaki świtu. Czyste, białe światło rozchodzące się wśród mroku niczym lód. Większość ludzi uważa, że świt jest barwny jak zachód słońca, ale pierwszym kolorem brzasku jest biel, oznaczająca koniec nocy. Trafiłam na motel, ale wszystkie domki były zaledwie piętrowe i stały w sporej odległości jeden od drugiego. Łaknęłam tłumów. Zdecydowałam się na Stouffer Concourse, niezbyt tani, ale gdyby teraz jakiś zombi chciał się do mnie dostać, musiałby skorzystać z windy. Poza tym w Stouffer Concourse nawet o tej porze funkcjonowała obsługa hotelowa. Tego mi było trzeba. Kawy, dużo kawy.

Recepcjonista spojrział na mnie z przerażeniem, ale był na tyle uprzejmy, że powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy. Windy były przeszkłone; czas jakiś zajęło kabinie pokonanie

kilku pięter, miałam okazję przyjrzeć się swemu odbiciu. Zasznięta krew pozlepiła moje włosy w czarne strąki. Ciemny ślad ciągnął się od linii włosów po prawej stronie twarzy aż do szyi. Nie zauważyłam tego wcześniej w domu. To skutek szoku. Sprawia, że zapominasz o pewnych rzeczach.

To nie z uwagi na ślady krwi recepcjonista patrzył na mnie krzywo. Jeśli nie wiesz, że patrzysz na krew, wątpliwe jest, że zdołasz ją rozpoznać. Natomiast moja skóra była przeraźliwie biała, biała jak kreda, jak papier. Oczy mam ciemnobrązowe, prawie czarne. Były teraz rozszerzone, ciemne i... dziwne. Wydawałam się zdziwiona. Dziwiłam się, że żyję. Może. Wciąż próbowałam zwalczyć w sobie szok. Niezależnie jak zwarta i gotowa się czułam, moja twarz mówiła coś innego. Gdy minie szok, spróbuję się przespać. Do tej pory poczytałam akta Gaynora.

W pokoju znajdowały się dwa podwójne łóżka. Apartament był za duży jak na moje potrzeby, ale co mi tam. Wyjęłam czyste ubranie, włożyłam firestara do szuflady nocnego stolika i zabrałam browninga ze sobą do łazienki. Gdybym zachowała ostrożność i nie odkręciła wody na full, mogłabym przypiąć kaburę do wieszaka na ubrania w kabinie. W ten sposób nie zamoczę broni. Choć, prawdę mówiąc, nowoczesna broń jest odporna na zamoczenie. Woda jej nie szkodzi. Rzecz jasna, jeśli tylko po zamoczeniu pistolet zostanie należycie wyczyszczony, można z niego strzelać nawet pod wodą.

Ubrana tylko w ręcznik kąpielowy, wezwałam obsługę hotelową. Nieomal się zapomniałam. Zamówiłam dzbanek kawy, a do tego cukier i śmietankę. Spytali, czy chcę bezkofeinową. Odparłam, że nie. To wkurzające. Tak jak kelnerzy, którzy pytają, czy życzysz sobie dietetyczną colę, choć dokładnie precyzujesz zamówienie. Facetów, nawet tych otyłych, nigdy nie pytają, czy chcą dietetyczną colę.

Mogłam wypić dzbanek prawdziwej, mocnej kawy i spałabym po niej jak dziecko. Kawa nie przyprawia mnie o bezsenność czy nerwową nadpobudliwość. Po prostu prawdziwa czarna bardziej mi smakuje.

Tak, zostawią wózek pod drzwiami. Nie, nie będą pukać. Dopiszą mi kawę do rachunku. Doskonale - skwitowałam. Mieli numer mojej karty kredytowej. W takich sytuacjach zwykle chętniej wszystko dopisuje się do rachunku. Dopóki masz coś na karcie.

Wstawiłam krzesło, blokując oparciem klamkę drzwi prowadzących na korytarz. Gdyby ktoś chciał je sforsować, usłyszę go. Może. Zamknęłam na zasuwkę drzwi do łazienki i weszłam z bronią pod prysznic. Bezpieczniejsza już chyba nie będę. Nagość sprawia, że czuję się niepewnie. Wolalabym ewentualnym łotrom stawić czoło w ubraniu niż goluteńka. Chyba wszyscy tak mają.

Gruby opatrunek na ugryzionym ramieniu stanowił pewien problem, jeżeli chodziło o umycie włosów. Musiałam zmyć krew niezależnie od opatrunku. Wykorzystałam hotelowy zapas szamponu i odżywki. Te małe próbki mają kwiatowy zapach i powinny utrzymywać ten aromat, ale wcale tak nie jest. Na moim ciele widniały zasznięte ślady krwi. Wyglądałam, jakbym miała cętki. Woda spływająca do otworu odpływowego miała różowawy kolor. Zużyłam całą buteleczkę szamponu, zanim domyłam pozlepiane w strąki włosy. Przy

ostatnim płukaniu woda przesączyła się przez bandaż na moim ramieniu. Ból był ostry i natarczywy. Musiałam pamiętać, aby zrobić zastrzyk przeciwtężcowy. Umyłam się starannie gąbką i mydłem. Gdy już doprowadziłam się do porządku, wzięłam długi, gorący prysznic. Strugi wody spływały mi po plecach i po całym ciele. Bandaż przesiąkł do cna już dawno temu.

A jeśli nie uda się nam powiązać Domingi z zombi? Jeżeli nie znajdziemy żadnych dowodów? Spróbuje ponownie. Teraz stawką była jej duma. Napuściła na mnie dwa zombi, a ja rozwalłam oba żywe trupy. Z niewielką pomocą policji. Dominga Salvador przyjmie to jako rzucone jej osobiste wyzwanie. Ożywiła zombi, a ten trup całkiem wyrwał się spod kontroli. Woląta, aby zginęli niewinni ludzie, niż miałyby przyznać się do popełnienia błędu. A ona raczej mnie zabije, niż pozwoli mi to udowodnić. Mściwa suka. Senorę Salvador należało powstrzymać. Gdyby nakaz nie pomógł, będę musiała zadziałać bardziej praktycznie. Jasno dała mi do zrozumienia, że na tym świecie nie było miejsca dla nas dwu. A zatem ja albo ona. Wolalabym, aby to była ona. A w razie konieczności osobiście dopilnuję, aby Dominga Salvador pożegnała się z tym światem.

Otworzyłam oczy i zakręciłam wodę. Nie chciałam już o tym myśleć. Zastanawiałam się nad popełnieniem morderstwa. Ja postrzegałam to jako samoobronę, ale wątpiłam, aby ława przysięgłych wzięła moją stronę. Trudno to byłoby udowodnić. Chciałam zaledwie paru rzeczy. Aby Dominga Salvador wypadła z obiegu, trafiła za kratki albo na cmentarz. Abym ja sama pozostała przy życiu. Abym nie znalazła się w więzieniu pod zarzutem morderstwa. Abym dopadła morderczego zombi, zanim znowu zabije. To mało prawdopodobne. Abym odkryła, na ile w to wszystko jest zamieszany niejaki John Burke. A także, aby Harold Gaynor nie zdołał przekonać ani zmusić mnie do złożenia ofiary z człowieka. Nieomal o tym zapomniałam. To był gorący tydzień.

Pod drzwiami na małej tacy pozostawiono dla mnie kawę. Wniosłam ją do pokoju, zamknęłam drzwi na klucz i ponownie zablokowałam klamkę odwróconym krzesłem.

Dopiero wtedy postawiłam tacę z kawą na niedużym stoliku przy zasłoniętym oknie.

Browning leżał już na stoliku, wyjęty z kabury. Uprząż spoczywała na łożku.

Rozsunęłam zasłony. Zwykle zasłaniam okna, ale dziś łaknęłam światła. Nastął już ranek.

Robiło się coraz jaśniej. O tej porze, wczesnym rankiem, nie panowało jeszcze gorąco, powietrze było chłodne i rześkie.

Kawa nie była zła, ale daleka od ideału. Nawet najgorsza kawa świata smakowałaby mi dziś jak ambrozja. No, z wyjątkiem kawy na komendzie. Ale nawet lura była lepsza niż nic. Kawa była moim ulubionym napojem. Nie mógł się z nią równać żaden alkohol.

Rozłożyłam teczkę Gaynora na stoliku i zaczęłam czytać. Do ósmej rano, wcześniej niż zwykle wstaję, przeczytałam każdą napisaną odręcznie notatkę i obejrzałam każde, nawet najbardziej zamazane zdjęcie. Wiedziałam o Haroldzie Gaynorze więcej, niż mogłam sobie życzyć i nie na wiele to mi się zdało.

Gaynor miał kontakty z mafią, ale nikt nigdy niczego mu nie udowodnił. Był multimilionerem. Sam doszedł do tej fortuny. Punkt dla niego. Stać go było na zapłacenie tego półtora

miliona, który zaproponował mi Tommy. Miło wiedzieć, że faceta stać na zapłacenie rachunków. Nie miał rodziny, jego matka zmarła dziesięć lat temu, ojciec zmarł rzekomo jeszcze przed jego narodzeniem. Nie było informacji na temat śmierci ojca. Zupełnie jakby ojciec w ogóle nie istniał.

Dziecko z nieprawego łoża? Zatuszowana ciąża? Być może. A zatem Gaynor był bękartem w dosłownym tego słowa znaczeniu. I co z tego? Wiedziałam coś na ten temat. Miałam już o nim wyrobione zdanie.

Przystawiłam do dzbanka z kawą zdjęcie Wandy Wózek. Uśmiechała się, jakby pozowała do zdjęcia. A może była po prostu fotogeniczna. Na dwóch zdjęciach była razem z Gaynorem. Na jednym uśmiechali się i trzymali za ręce, podczas gdy Tommy pchał wózek Gaynora, a Bruno Wandy. Patrzyła na Gaynora maślanymi oczami. W tych oczach malowały się podziw i miłość. Ja też kiedyś to przerabiałam. Jeszcze w college'u. To mija.

Drugie zdjęcie było prawie identyczne jak pierwsze. Bruno i Tommy pchali wózki. Ale Gaynor i Wanda już nie trzymali się za ręce. Gaynor się uśmiechał. Wanda nie. Wydawała się wściekła. Obok Gaynora szła, trzymając go za rękę, blondwłosa Cicely o pustych oczach. To wszystko tłumaczyło. No jasne.

A więc Gaynor przez pewien czas spotykał się z nimi obiema. Dlaczego Wanda odeszła? Co nią powodowało? Zazdrość? Czy Cicely przyłożyła do tego rękę? Czy Gaynor znudził się nią? Najprościej byłoby zapytać.

Spojrzałam na fotografię z Cicely. Postawiłam ją obok zdjęcia uśmiechniętej Wandy.

Nieszczęśliwa młoda kobieta, odrzucona kochanka. Jeśli nienawidziła Gaynora bardziej, niż się go obawiała, na pewno zechce ze mną porozmawiać. Byłaby głupia, gdyby poszła z tym do prasy, ale ja nie zamierzałam upubliczniać jej tajemnic.

Chciałam poznać sekrety Gaynora, aby nie mógł zastosować wobec mnie swoich brudnych metod. Potrzebowałam czegoś, z czym mogłabym pójść na policję. Gdyby udało mi się wpakować pana Gaynora za kratki, miałby inne problemy na głowie, niż przejmowanie się moją skromną osobą. Może dzięki temu zapomni o pewnej niechętej animatorce. No, chyba że dowiedział się, iż przyłożyłam ręki do jego aresztowania. To nie byłoby wskazane. Gaynor wydał mi się mściwym typem. Dominga Salvador była na mnie wściekła. Nie potrzebowałam więcej wrogów.

Zasunęłam zasłony i zamówiłam śniadanie na dwunastą w południe. Irving będzie musiał poczekać na zwrot akt. Bądź co bądź, załatwiłam mu wywiad z nowym Mistrzem Miasta. To powinno zapewnić mi łagodniejsze traktowanie z jego strony. Jeżeli nie, to do diabła z nim. Zamierzałam się trochę przespać. Zanim się położyłam, zadzwoniłam jeszcze do domu Petera Burke'a. Uznałam, że tam właśnie zastanę Johna. Po piątym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka.

- Mówi Anita Blake. Być może udało mi się zdobyć informację dla Johna Burke'a w sprawie, o której rozmawialiśmy we czwartek. - Informacja była dość niejasna, ale nie chciałam powiedzieć wprost: - Zadzwoń do mnie w sprawie dotyczącej morderstwa twego brata. - To zabrzmiałoby zbyt melodramatycznie i okrutnie. Prócz mojego, zostawiłam także numer do

hotelu. Tak na wszelki wypadek. Zapewne wyłączono telefon. Ja tak bym zrobiła. Sprawa trafiła na pierwsze strony, bo Peter był animatorem. Animatorzy nie padają ofiarami pospolitego morderstwa. Zwykle przydarza im się coś znacznie bardziej niesamowitego. W drodze do domu odwożę akta Gaynora. Zamierzałam zostawić teczkę w recepcji. Nie miałam ochoty rozmawiać z Irvingiem o wywiadzie. Nie chciałam dowiedzieć się, jak cudowny był Jean-Claude ani jak wspinał się plany dla naszego miasta. Na pewno w rozmowie z reporterem zachował daleko posuniętą ostrożność. To powinno dobrze wyglądać w druku. Ale ja znałam prawdę. Wampiry są w takim samym stopniu potworami jak zombi. Kto wie - może nawet bardziej. Wampiry zwykle powstają za przyzwoleniem ofiar. Zombi nie. Irving też z własnej woli udał się do Jean-Claude'a i został z nim. Rzecz jasna, gdyby Irving nie był wtedy ze mną, mistrz zostawiłby go w spokoju. Chyba. Tak więc to była jednak moja wina, nawet jeśli decyzja ostatecznie należała do Irvinga. Byłam potwornie zmęczona, ale wiedziałam, że nie zmruję oka, dopóki nie usłyszę głosu Irvinga. Mogłabym zadzwonić do niego pod pretekstem, że oddam mu akta później, niż się umawialiśmy. Nie byłam pewna, czy Irving wybierał się dziś do pracy. Spróbowałam najpierw złapać go w domu. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Halo.

- Cześć, Irving. To ja. - Ucisk w żołądku nieznacznie zelżał.

- Panna Blake, czemu zawdzięczam telefon o tak wczesnej porze? - Jego głos brzmiał tak zwyczajnie.

- Wczorajszej nocy w moim mieszkaniu zaszły pewne nieprzewidziane wydarzenia. Liczyłam na to, że będę mogła oddać teczkę z aktami nieco później, niż obiecałam.

- O jakich nieprzewidzianych wydarzeniach mowa? - Aż się prosił o dalsze wyjaśnienia.

- To sprawa policji, a nie twoja - odparowałam.

- Spodziewałem się, że to powiesz - mruknął. - Dopiero się kładziesz?

- Tak.

- Cóż, chyba ciężko pracująca animatorka zasługuje na odrobinę snu. Nawet moja siostra reporterka pewnie by to zrozumiała.

- Dzięki, Irving.

- Wszystko w porządku, Anito?

Chciałam odpowiedzieć, że nie, ale nie zrobiłam tego. Puściłam to pytanie mimo uszu.

- Czy Jean-Claude zachował się jak dżentelmen? - spytałam.

- Był wspinały! - Entuzjazm Irvinga był szczerzy, podobnie jak brzmiące w jego głosie podniecenie. - Wywiad udał się doskonale! - Milczał przez chwilę. - Ej, zadzwoniłaś do mnie, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Martwiłaś się o mnie.

- Wcale nie - zaoponowałam.

- Dzięki, Anito. To wiele dla mnie znaczy. Ale naprawdę zachował się wobec mnie bardzo elegancko.

- Świetnie. Wobec tego ja już kończę. Miłego dnia. Baw się dobrze.

- Dzięki. Mam taki zamiar. Naczelnny nie posiada się z radości, odkąd dowiedział się o wywiadzie z Mistrzem Miasta.

Zaśmiałam się, słysząc, z jakim namaszczeniem wymówił ten tytuł.

- Idź spać, Irving.

- Ty też się prześpij, Blake. Zadzwoń do ciebie za dzień, dwa w sprawie tych artykułów o zombi.

- To na razie - odparłam. Rozłączyliśmy się. Irvingowi nic się nie stało. Powinna bardziej martwić się o siebie niż o cały świat. Zgasiłam światło i wślizgnęłam się do łóżka. W ramionach tuliłam pingwinka. Browninga włożyłam pod poduszkę. To nie to samo, co olstro przy łóżku w moim mieszkaniu, ale lepsze niż nic. Nie byłam pewna, co uspokajało mnie bardziej, pistolet czy pingwinek. Chyba jedno i drugie, choć każde z nich na inny sposób. Jak grzeczna dziewczynka zmówiłam paciorek. I poprosiłam w modlitwie, aby tej nocy nic mi się nie przyśniło.

Ekipie sprzątającej odwołano jakieś zlecenie i przyjechali do mnie wcześniej, niż się zapowiadali. Po południu moje mieszkanie było już czyste i pachniało świeżością. Przysłany przez właściciela domu szklarz wstawił nową szybę w oknie. Dziury po kulach zaszpachlowano i zamalowano na białą. Otworów prawie nie było już widać. W sumie mieszkanie wyglądało całkiem nieźle.

John Burke nie oddzwonił. Może okazałam się za sprytna. Spróbuję później i będę bardziej bezpośrednia. Teraz jednak miałam na głowie przyjemniejsze sprawy. Przebrałam się do joggingu. Ciemnoniebieskie szorty z białymi wstawkami, białe adidas z niebieskimi paskami, skarpety frotte i podkoszulek. Szorty miały wewnętrzne kieszonki na rzepy. W jednej z nich tkwił derringer. Dokładnie, amerykański derringer, sześć i pół uncji, .38 specjal, cztery i osiemdziesiąt dwie setne cala długości. Przy ciężarze sześciu i pół uncji ważył tyle, co pokaźne piórko. Kieszeń na rzep nie była przystosowana do szybkiego dobywania broni. Miałam tylko dwa strzały, celne na odległość splunięcia, ale jak dotąd ludzie Gaynora nie próbowali mnie zabić. Zranić być może, ale na pewno nie zabić. Musieliby podejść blisko, aby zrobić mi krzywdę. Dostatecznie blisko, abym mogła użyć derringera. Naturalnie miałam tylko dwa strzały. Potem znajdę się w tarapatach.

Próbowałam obmyślić sposób, aby podczas joggingu nosić przy sobie dziewiątkę, ale bez powodzenia. Nie da się biegać z takim żelastwem. Ech, te ciągłe wybory.

Veronica Sims czekała w moim pokoju. Ronnie ma metr siedemdziesiąt dwa, jasne włosy i szare oczy. Jest prywatnym detektywem i współpracuje z naszą firmą. Poza tym co najmniej dwa razy w tygodniu wspólnie ćwiczymy, chyba że któraś jest akurat poza miastem, kuruje rany albo zadaje się z wampirami. Te dwie ostatnie ewentualności przytrafiają mi się częściej, niż bym sobie tego życzyła.

Miała na sobie kuse fioletowe szorty i podkoszulek z napisem "To książka, zaraz po psie, jest najlepszym przyjacielem człowieka. W psie jest za ciemno, aby czytać". Nie bez powodu przyjaźnimy się z Ronnie.

- Brakowało mi cię w czwartek na siłowni - powiedziała. - Czy pogrzeb był smutny?

- Taa.

Nie drażyła tego tematu. Wie, że nie przepadam za pogrzebami. Większość ludzi nie znosi pogrzebów ze względu na nieboszczyków. Ja nie cierpiałam związanych z tą ceremonią emocji.

Zaczęła rozciągać długie, smukłe nogi. Zawsze rozgrzewamy się jeszcze w mieszkaniu. W krótkich szortach ciężko jest się rozciągać, gdy ma się naprawdę długie nogi i nie chce się gorszyć ludzi. Powtarzałam każdy jej ruch. Mięśnie górnych partii moich ud poruszyły się i zaczęły protestować. Derringer nieprzyjemnie wpijał mi się w ciało.

- Tak z ciekawości - rzuciła Ronnie. - Dlaczego uważasz, że zawsze powinnaś mieć przy sobie broń? Czy to konieczne?

- Nigdy nie rozstaję się z bronią - odparłam.
 - Jeśli nie chcesz powiedzieć, nie mów, ale nie wciskaj mi kitu. - Spojrzała na mnie z niesmakiem.
 - No dobra, już dobra - mruknęłam. - To dziwne, ale nikt nie zabronił mi o tym mówić.
 - Jak to? Nikt nie groził ci śmiercią, w razie gdybyś opowiedziała o wszystkim na policji?
 - Nie.
 - Rany, to coś nowego.
 - I tak, i nie. - Usiadłam na podłodze, rozchylając szeroko nogi. Ronnie zrobiła to samo. - W tej sytuacji to i tak nic by nie dało. - Pochyliłam całe ciało do lewej nogi, aż dotknęłam policzkiem uda.
 - Opowiedz mi o tym - zaproponowała. Zrobiłam to. Kiedy skończyłam, byliśmy już po rozgrzewce i gotowe. - Cholera, Anito. Zombi w twoim mieszkaniu i obłąkany milioner pragnący skłonić cię do złożenia ludzkiej ofiary. - Jej szare oczy lustrowały moją twarz. - Jesteś jedyną znajomą osobą, która ma dziwniejsze problemy niż ja.
 - Dzięki - mruknęłam. Zamknęłam za nami drzwi, a klucze wrzuciłam do kieszonki z derringerem. Wiem, że pistolet będzie strasznie porysowany, ale co miałam zrobić, biec z kluczami w rękę?
 - Harold Gaynor, mogę sprawdzić go dla ciebie.
 - Czy nie prowadzisz jakiejś sprawy? - Zbiegłyśmy po schodach.
 - Trzy różne, ale związane z próbą wyludzenia odszkodowania. Głównie inwigilacja i robienie zdjęć. Jeśli przyjdzie mi dłużej stołować się w barach szybkiej obsługi, na święta będę wyglądać jak pani Mikołajowa.
 - Pysznic i zmiana ciuchów u mnie. - Uśmiechnęłam się. - Potem pójdziemy na prawdziwą kolację.
 - Brzmi wspaniale, ale nie każ czekać Jean-Claude'owi.
 - Daj spokój, Ronnie - warknęłam.
 - Powinnaś trzymać się możliwie jak najdalej od tej... istoty, Anito. - Wzruszyła ramionami.
 - Wiem. - Teraz to ja wzruszyłam ramionami. - Wybieram mniejsze zło, zgadzając się na spotkanie z nim.
 - A jaki miałaś wybór?
 - Spotkanie się z nim z własnej woli albo porwanie i doprowadzenie przed jego oblicze.
 - Niezły wybór, nie ma co.
 - No.
- Otworzyłam podwójne drzwi prowadzące na zewnątrz. Fala żaru uderzyła mnie w twarz. Było piekielnie gorąco, jakbym weszła do rozgrzanego pieca. Miałyśmy biegać w takim upale? Spojrzałam na Ronnie. Jest o piętnaście centymetrów wyższa ode mnie i większość z tego to nogi. Możemy biec razem, ale muszę ustalić tempo kroku i włożyć w to sporo wysiłku. To bardzo dobre ćwiczenie.
- Dziś jest z 80°C - rzekłam.

- Bez wysiłku nie ma rezultatów - ucięła Ronnie. W lewej dłoni trzymała bidon. Byłyśmy gotowe.

- Sześć kilometrów w piekle - mruknęłam. - Do roboty. - Ruszyliśmy wolnym, ale równym biegiem. Zwykle kończyłyśmy przebieżkę w niecałe pół godziny.

Powietrze wręcz stało z gorąca. Miałam wrażenie, jakbyśmy musiały przebijać się przez wpółmaterialny mur gorącego powietrza. Wilgotność w St. Louis zawsze oscyluje w granicach stu procent. To w połączeniu z temperaturą rzędu 38°C daje w rezultacie małe, wilgotne piekielko. St. Louis latem, ale czad.

Nie lubię ćwiczyć. Szczupłe biodra i muskularne łydki to za mała zachęta, by tak się katować. Bardziej przemawia do mnie fakt, że dzięki temu można prześcignąć jakiegoś bandziora. Czasami wszystko sprowadza się do tego, kto jest szybszy, silniejszy, zwinniejszy. Wybrałam sobie niewłaściwy fach. No dobra, nie skarżę się. Tylko że czterdzieści dwa kilogramy mają w sobie za mało mięśni, by nimi szaleć.

Naturalnie gdy w grę wchodzi wampiry, to, ile ważę, przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nawet młodzi nieumarli są w stanie jedną ręką dźwignąć samochód. W tej sytuacji przegrywam już na starcie. Przywykłam do tego.

Pokonałyśmy pierwsze półtora kilometra. To zawsze boli najbardziej. Moje ciało potrzebuje mniej więcej takiego dystansu, aby uświadomić sobie, że nie skłoni mnie do przerwania całego tego szaleństwa. Biegłyśmy przez starszą część dzielnicy. Sporo tutejszych domów pochodzi z lat pięćdziesiątych, a niektóre nawet z XIX wieku. Był tu nawet pewien magazyn pamiętający czasy wojny secesyjnej. To był punkt oznaczający, iż mamy za sobą połowę drogi. Trzy kilometry. Czułam się rozluźniona i silna, jakbym potrafiła tak biec w nieskończoność, o ile tylko nie będę musiała biec za szybko. Skupiłam się na przedzieraniu się przez fale żaru i utrzymaniu stałego rytmu. To Ronnie zauważyła tego faceta.

- Nie chcę cię niepokoić - rzekła - ale czemu ten facet tam stoi?

Wyteżyłam wzrok. Jakieś pięć metrów przed nami kończył się ceglany mur i rósł wysoki wiąz. W cieniu drzewa stał mężczyzna. Nie próbował się ukryć. Nosił jednak dżinsową kurtkę. Było za ciepło na noszenie kurtki, chyba że chciał ukryć pod nią broń.

- Jak długo tam stoi?

- Właśnie wyszedł zza drzewa - odparła.

- Zawracamy. Z powrotem mamy jeszcze trzy kilometry. - Paranoja wzięła nade mną górę. Ronnie skinęła głową.

Zawróciłyśmy. Facet nie próbował nas zatrzymać ani krzyczeć. Paranoja to okropna choroba.

Zza załomu ceglaneanego muru wyszedł drugi mężczyzna. Podbiegłyśmy jeszcze kilka metrów w jego stronę. Obejrzałam się za siebie. Ten w kurtce szedł wolno w naszym kierunku. Kurtkę miał rozpiętą i sięgał za pazuchę. I to tyle, jeśli chodzi o paranoję.

- Biegnij - rzuciłam.

Drugi facet wyjął pistolet z kieszeni kurtki. Przystanęłyśmy. To wydawało się rozsądnym posunięciem.

- Uhm, hm - mruknął mężczyzna. - Nie mam ochoty nikogo ganiać w tym upale. Chcemy cię żywej, laluniu, ale niekoniecznie całej i zdrowej.

Pistolet okazał się automatem .22. Nieduża moc, ale dobry, gdy chciało się tylko kogoś zranić. Wszystko sobie obmyślili. To było przerażające. Ronnie stała bardzo sztywna obok mnie. Zwalczyłam w sobie chęć pochycenia jej za rękę i ściśnięcia mocno, to nie byłoby dobrze widziane. Bądź co bądź, byłam twardą i bezwzględną zabójczynią wampirów, nieprawdaż?

- Czego chcecie? - spytałam.

- Już lepiej - mruknął. Nosił jasnoniebieską koszulę. Nad paskiem spodni przelewał się ciężko wypracowany mięsień piwny. Miał jednak potężne i z wyglądu silne łapska. Może i był za gruby, ale mogłam się założyć, że potrafił mocno uderzyć.

Cofnęłam się tak, że za plecami miałam teraz mur. Ronnie zrobiła to samo. Ten w kurtce podszedł do nas. W prawej ręce trzymał luźno berettę dziewięć milimetrów. Ta broń nie służyła tylko do ranienia.

Spojrzałam na Ronnie, a potem na tłuściocha, który się do niej zbliżał. Zerknęłam na tego w dżinsowej kurtce, który podchodził do mnie. Znów spojrzałam na Ronnie. Jej oczy lekko się rozszerzyły. Oblizła wargi, po czym przeniosła wzrok na tłuściocha. Facet z berettą był mój. Ronnie miała zająć się tym z .22. Nie ma to jak odpowiednie planowanie.

- Czego chcecie? - powtórzyłam. Nie lubię się powtarzać.

- Wybierzcie się z nami na małą przejażdżkę. To wszystko. - Mówiąc to, tłuścioch uśmiechnął się.

Odpowiedziałam uśmiechem, po czym odwróciłam się do tego w dżinsowej kurtce z berettą w garści.

- Nie umiesz mówić?

- Umiem - odparł. Postąpił dwa kroki w moją stronę, ale jego pistolet wciąż mierzył w moją pierś. - I to jak.

Dotknął leciutko moich włosów koniuszkami palców. Beretta nieomal wpiła się w moje ciało. Gdyby teraz nacisnął spust, byłoby po herbacie. Matowa czarna lufa wydawała mi się z każdą chwilą coraz większa. Złudzenie, ale im dłużej na nią patrzyłam, tym wydawała mi się istotniejsza. Zwłaszcza że stałam u jej wylotu.

- Nic z tego, Seymour - rzucił tłuścioch. - Żadnego pieprzenia ani zabijania. Znasz zasady.

- Niech to szlag, Pete.

- Możesz zająć się tą blondyną - rzucił Pete alias Tłuścioch. - Nikt nie mówił, że nie możemy się z nią zabawić.

Spojrzałam na Ronnie. I na Seymoura. Musiałam być gotowa, gdyby nadarzyła się jakaś okazja. Spojrzenie na przyjaciółkę, aby sprawdzić, jak zniosła wiadomość, że ma stać się ofiarą gwałtu, nie podbudowało mnie psychicznie. Naprawdę.

- Potęga członka, Ronnie. Wszystko sprowadza się do myślenia penisem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Seymour zmarszczył brwi.

- Że jesteś debilem, Seymour, i że myślisz wackiem zamiast głową - odparłam z uśmiechem.

Uderzył mnie na odlew, otwartą dłonią, ale mocno. Zachwiałam się, lecz nie upadłam. Pistolet wciąż był we mnie wycelowany. Cholera. Gdy mi przywalił, tym razem zaciśniętą pięścią, spomiędzy jego ust dobył się głuchy warkot. Upadłam. Przez chwilę leżałam na brudnym chodniku, wsłuchując się w szum krwi w uszach. Uderzenie otwartą dłonią piekło. Cios pięścią zabolął. Ktoś kopnął mnie w żebra.

- Zostaw ją! - krzyknęła Ronnie.

Położyłam się na brzuchu i udawałam, że strasznie mnie boli. Nie było to trudne. Sięgnęłam do kieszonki szortów. Seymour wymachiwał berettą przed twarzą Ronnie. Ronnie krzyczała na niego. Pete złapał ją za ręce i spróbował przytrzymać. Sprawy wymykały się spod kontroli. Ekstra.

Spojrzałam na Seymoura i powoli dźwignęłam się na kolana. Wbiłam mu derringera w krocze. Zamarł w bezruchu i przeniósł wzrok na mnie.

- Nie ruszaj się albo będziesz miał z klejnotów jajecznicę - wycodziłam.

Ronnie trzasnęła tłusciocha łokciem w splot słoneczny. Zgiął się lekko, opuścił dłonie do brzucha. Wyrwała mu się i wyrznęła go kolaniem w twarz. Z nosa Pete'a buchnęła krew.

Ronnie rąbnęła go w bok twarzy, wkładając w ten cios cały ciężar swego ciała. Facet runął jak ścięte drzewo. W dłoni Ronnie pojawiła się .22. Miałam ochotę zawołać: - Brawo, Ronnie - ale to zniweczyłoby mój image. Później przybijemy sobie piątkę.

- Seymour, powiedz swemu kumplowi, żeby się nie ruszał albo pociągnę za spust.

Przelknął ślinę tak głośno, że aż to usłyszałam.

- Nie ruszaj się, Pete, dobra?

Pete tylko się na nas gapił.

- Ronnie, proszę, odbierz Seymourowi broń. Dziękuję. - Wciąż klęczałam na żwirze z derringerem przytkniętym do krocza faceta w kurtce. Bez oporów oddał spluwę Ronnie. Coś podobnego.

- Mam go na muszce, Anito - rzekła Ronnie. - Nie spojrzałam na nią. Miała swoje zadanie, a ja swoje.

- Seymour, to .38 specjal. Dwustrzałowy. Nadaje się do różnego rodzaju amunicji - .22, .44 albo .357 magnum. - To było kłamstwo. W nowej, lżejszej wersji nie używało się niczego potężniejszego od zwykłej .38, ale mogłam się założyć, że Seymour nie połapie się w tym małym oszustwie. - .44 albo .357 i możesz pożegnać się z klejnotami. W przypadku .22 może zdołasz je ocalić, ale i tak będzie bolało. - I znów odegrałam scenę z Brudnego Harry'ego. - To jak sądzisz, masz dziś szczęście?

- Czego chcesz, o co ci, kurde, chodzi? - spytał piskliwym z przerażenia głosem.

- Kto was wynajął?

- Nic z tego. Zabiłby nas. - Pokręcił głową.

- Kula .357 magnum robi wielkie dziury, Seymour.

- Nic jej nie mów - rzekł Pete.

- Jeśli jeszcze raz się odezwie, Ronnie, rozwal mu rzepkę kolanową.

- Z przyjemnością - odparła Ronnie. Zastanawiałam się, czy faktycznie mogłaby to zrobić. Lepiej, żebym się nie dowiedziała.

- Gadaj, Seymour, i to już, albo pociągnę za spust. - Wbiłam pistolet głębiej w jego ciało. Nawet to musiało nieźle boleć. Facet stał prawie na palcach.

- Boże, błagam, nie.

- Kto was wynajął?

- Bruno.

- Seymour, ty durniu - syknął Pete. - On nas zabije.

- Ronnie, wpakuj mu kulkę - rzekłam.

- Mówiłaś - w rzepkę kolanową, tak?

- Tja.

- A może lepiej w łokieć? - zapytała.

- Wybór należy do ciebie - odparłam.

- Jesteście nienormalne - jęknął Seymour.

- Taa - mruknęłam. - Lepiej o tym nie zapominaj. Co właściwie powiedział wam Bruno?

- Kazał przewieźć was do budynku przy Grand i Washington. Mieliśmy zawieźć tam was obie, ale aby zmusić cię do uległości, mieliśmy zabawić się trochę z tą blondyną.

- Podaj mi ten adres - warknęłam.

Seymour zrobił to. Chyba gdybym go zapytała, podałby mi nawet sposób na stworzenie kamienia filozoficznego.

- Jeśli tam pojedziecie, Bruno zorientuje się, że to my go sypnęliśmy - rzekł Pete.

- Ronnie - powiedziałam.

- Strzelaj, laluniu, jest mi to obojętne. Jeśli tam pojedziecie albo wezwiecie policję, i tak będzie po nas.

Spojrzałam na Pete'a. Wyglądało, że mówił szczerze. Ci dwaj byli bandziorami, ale...

- Dobra, nie złożymy mu niespodziewanej wizyty.

- Nie wezwiemy też policji - dodała Ronnie.

- Gdybyśmy to zrobili, równie dobrze mogłybyśmy rozwalić was na miejscu. Ale wcale nie musimy tego robić, prawda Seymour?

- Jasne, że nie!

- Ile płaci wam Bruno?

- Czteryście na łebka.

- To za mało - stwierdziłam.

- I kto to mówi.

- Teraz wstanę, Seymour, i twoje jaja pozostaną nietknięte. Nigdy więcej nie zbliżaj się do mnie ani do Ronnie, albo dam Brunonowi cynk, kto go sypnął.

- On by nas zabił. I zrobiłby to powoli.

- Otóż to, Seymour. Będziemy udawać, że to wszystko w ogóle się nie wydarzyło, jasne? - Pokiwał energicznie głową. - Zgadzasz się na taki układ, Pete? - spytałam.

- Nie jestem głupi. Bruno wyrwałby nam serca i nakarmił nas nimi. Będziemy milczeć jak grób. - Wydawał się zniesmaczony.
- Wstałam i odstałam ostrożnie od Seymoura. Ronnie celowała w Pete'a z beretty. Za gumką jej sportowych szortów tkwiła .22.
- Precz stąd - rzuciłam.
- Twarz Seymoura pobiadła i błyszczała od poru.
- Czy mogę odzyskać swój pistolet? - Nie był zbyt bystry.
- Żarty się siebie trzymają - stwierdziłam.
- Pete wstał. Krew pod jego nosem zaczęła zasychać.
- Chodź, Seymour. Spadamy stąd - powiedział.
- Ruszyli w głąb ulicy. Seymour kulił się w sobie, jakby tłumił pragnienie rozmasowania obolałych klejnotów.
- Ronnie odetchnęła z ulgą i oparła się o ścianę. Wciąż trzymała w prawym ręku pistolet.
- O Boże - westchnęła.
- No - mruknęłam.
- Dotknęła mojej twarzy w miejscu, gdzie walnął mnie Seymour. Zabolalo. Skrzywiłam się.
- W porządku? - spytała Ronnie.
- Jasne - odparłam. Tak naprawdę cały bok mojej twarzy przeszywał potworny ból, ale żadne słowa nie były go w stanie ukoić.
- Odwiedzimy Bruna?
- Nie.
- Dlaczego?
- Znamy adres, pod który miano nas przewieźć i wiemy, kto zlecił nasze uprowadzenie. Wiemy, dlaczego chciano mnie porwać. Co jeszcze byłoby warte narażania życia?
- Ronnie zamyśliła się przez chwilę.
- Chyba masz rację. Ale naprawdę nie zamierzasz donieść o tym ataku na policję?
- A po co? Nic mi nie jest, tobie zresztą też nie. Seymour i Pete już nie wrócą.
- Tak naprawdę wcale nie chciałaś, abym strzeliła mu w kolano, prawda? - Wzruszyła ramionami. - To była tylko gra, jak w dobrego i złego glinę, mam rację? - Spojrzała na mnie z przejściem, w jej łagodnych szarych oczach malowała się niepewność.
- Wracajmy do domu, ale spacerkiem. - Odwróciłam wzrok. - Nie mam już ochoty na bieganie.
- Ja też nie. - Ruszyliśmy wolnym krokiem. Ronnie wyjęła koszulkę ze spodenek i zatknęła berettę za gumkę szortów. Trzymała teraz w ręku .22. Pistolet prawie całkiem niknął w jej dłoni. - Tylko udawałyśmy, prawda? Zgrywałyśmy twarde sztuki, no nie?
- Nie wiem - odparłam szczerze.
- Anito!
- Nie wiem. Naprawdę.
- Nie mogłabym strzelić do niego z zimną krwią, aby zmusić go do milczenia.
- Wobec tego dobrze, że cię do tego nie sprowokował - ucięłam.

- A ty, czy mogłabyś, ot tak, wpakować mu kulkę? - Gdzieś z oddali dobiegł śpiew ptaka. Ten dźwięk sprawił, że mimo upału zrobiło się nam chłodniej i przyjemniej. -Odpowiedz, Anito.

Czy naprawdę pociągnęłabyś za spust?

- Tak.

- Tak? - W jej głosie brzmiała nuta zdziwienia.

- Tak.

- Cholera. - Przez chwilę szliśmy w milczeniu, ale zaraz znów się odezwała. - Jaką masz dziś amunicję w derringerze?

- .38.

- Taka kula zapewne by go zabiła.

- Zapewne - przytaknęłam.

Widziałam, że od czasu do czasu zerkąta na mnie z ukosa. W jej oczach było coś, czego wcześniej nie dostrzegałam. Mieszanina zgrozy i podziwu. Nigdy dotąd przyjaciółka nie patrzyła na mnie w taki sposób. To trochę mnie zaboląło. Ale tego wieczoru wybrałyśmy się na kolację do Miller's Daughter w starym St. Charles. Atmosfera była przyjemna. Jedzenie wyśmienite. Jak zawsze. Rozmawiałyśmy, śmiałyśmy się i doskonale się bawiłyśmy. Żadna z nas nie wspomniała o dzisiejszym incydencie. Jeśli dobrze się postaram, może nawet zdołam przekonać samą siebie, że w ogóle nic się tego dnia nie wydarzyło. Potrzeba do tego tylko trochę wysiłku.

O dwudziestej drugiej dotarłam do dzielnicy wampirów. Ciemnogrnatowa koszulka polo, dżinsy, czerwona wiatrówka. Kurtka przesłaniała kaburę podramienną z browningiem hi-powerem. Pociłam się przez to pod pachami, ale trudno, w pewnych sytuacjach kompromis jest niezbędny.

Popołudniowy incydent zakończył się szczęśliwie, ale poniekąd stało się tak za sprawą zrzędzenia losu. I faktu, że Seymour dał się wyprowadzić z równowagi oraz tego, że byłam w stanie przyjąć parę ciosów i w dalszym ciągu funkcjonować w miarę normalnie. Lód sprawił, że zeszała mi opuchlizna, ale lewa strona mojej twarzy wciąż była obrzmiała i czerwona jak dojrzały pomidor. Nie miałam siniaka - jeszcze nie.

Uśmiechnięty Nieboszczyk był jednym z najnowszych klubów w dzielnicy. Wampiry są seksowne. Przyznaję. Ale czy zabawne? Raczej nie. Najwyraźniej byłam w mniejszości.

Przy wejściu do klubu stała kolejka ciągnąca się aż do najbliższej przecznicy.

Nie przyszło mi do głowy, że mogę potrzebować rezerwacji biletu albo wejściówki. Ale co tam, przecież znalazłam szefa. Przeszłam obok kolejki w stronę kasy biletowej. W kolejce stali głównie młodzi ludzie. Kobiety w sukienkach, mężczyźni w strojach sportowych, niektórzy w garniturach, ale tych było raczej niewielu. Rozmawiali o czymś z ożywieniem, od czasu do czasu pozwalając sobie na delikatną oznakę zażyłości. Pary. Randki. Jeszcze je pamiętam. Wiem, co to takiego. Choć już dawno na żadnej nie byłam. Może gdybym nie pakowała się stale po uszy w kłopoty, miałabym więcej czasu na randki. Może.

Minęłam czteroosobową grupkę stojącą w kolejce do kasy i ruszyłam w stronę wejścia.

- Ej, ty - rzucił jeden z mężczyzn.

- Przepraszam - powiedziałam.

- Proszę pani, tu obowiązuje kolejka. - Kasjerka spojrzała na mnie spode łba.

Proszę pani?

- Nie potrzebuję biletu. Nie chcę oglądać przedstawienia. Mam się tu spotkać z Jean-Claudem. To wszystko.

- No cóż. Nic mi o tym nie wiadomo. A może jest pani reporterką?

- Reporterką? - Wzięłam głęboki oddech. - Proszę powiadomić Jean-Claude'a, że przyszła Anita, dobra? - Wciąż gapiała się na mnie ponuro. - No niechże pani zawiadomi Jean-Claude'a. Jeśli jestem wścibską reporterką, on się mną zajmie. Jeśli jestem tą, za którą się podaję, ucieszy się, że go powiadomiłaś. Tak czy owak, zyskasz.

- No... nie wiem.

Miałam ochotę na nią wrzasnąć. Zapewne niewiele by to pomogło. Zapewne.

- Bardzo proszę, powiadom Jean-Claude'a - powtórzyłam.

Może poskutkowało dlatego, że powiedziałam "bardzo proszę". Obróciła się na stołku i otworzyła górną połowę drzwiczek w budce kasowej. Budka była nieduża. Nie usłyszałam, co powiedziała, ale zaraz znów się odwróciła.

- W porządku, kierownik mówi, że może pani wejść.

- Świetnie, dziękuję. - Weszłam po schodach. Wszyscy stojący w kolejce spiorunowali mnie wzrokiem. Czułam na sobie ich gniewne spojrzenia. Ale nie z takimi specami od spojrzeń miewałam już do czynienia, więc zyskałam pewną wprawę i nawet nie mrugnęłam powieką. Nikt nie lubi, gdy ktoś wpycha się bez kolejki.

W klubie, jak w większości tego typu miejsc, panował półmrok.

- Bilet, proszę - rzucił jakiś facet tuż przy wejściu. Spojrzałam na niego. Nosił podkoszulek z napisem "Uśmiechnięty Nieboszczyk, można umrzeć ze śmiechu". Podpisowi towarzyszyła karykatura szczerzącego kły, rozbawionego wampira. Facet był potężny, muskularny, a na czole miał wytatuowane "Wykidajło". - Poproszę o bilet - powtórzył.

Najpierw kasjerka, teraz bileter?

- Kierownik powiedział, że mogę wejść, mam się zobaczyć z Jean-Claudem - powiedziałam.

- Willie - burknął wykidajło - to ty ją wpuściłeś?

Odwrociłam się i ujrzałam Williego McCoya. Na jego widok uśmiechnęłam się. Ucieszyłam się, widząc go. To mnie zdziwiło. Zwykle nie cieszy mnie widok nieboszczyków.

Willie jest niski, szczupły, czarne włosy ma gładko zaczesane do tyłu. W tym świetle trudno mi było określić kolor jego garnituru, ale wydawał się ciemnoczerwony. Biała koszula na guziki i błyszczący zielony krawat. Musiałam spojrzeć drugi raz, aby się upewnić - ale tak, jego krawat zdobiły fosforyzujące podobizny hawajskich tancerek. To był najmniej gustowny strój, w jakim miałam okazję widzieć Williego.

- Anito, miło cię widzieć. - Uśmiechnął się, błyskając kłami.

- Mnie również, Willie. - Skinęłam głową.

- Naprawdę?

- Taa. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jego kły zabłysły w słabym świetle. Był martwy niespełna od roku. - Od jak dawna jesteś tu kierownikiem? - spytałam.

- Będzie ze dwa tygodnie.

- Gratulacje.

Podszedł do mnie. Cofnęłam się. Instynktownie. To nic osobistego, ale wampir jest wampirem. Nie należy dopuszczać go zbyt blisko. Willie stał się nieumarłym niedawno, ale mimo to był już w stanie mnie zahipnotyzować. No dobra, może żaden wampir tak młody jak Willie nie zdołałby zawładnąć mną wzrokiem, ale stare nawyki trudno wyplenić. Willie sposepniał, w jego oczach coś się pojawiło - ból? Zniżył głos, ale nie próbował się już do mnie zbliżyć. Uczył się szybciej po śmierci niż za życia.

- Dzięki temu, że pomogłem ci ostatnim razem, jestem w dobrej komitywie z szefem.

Zachowywał się jak cyngiel ze starego filmu gangsterskiego, ale to był wciąż ten sam Willie.

- Cieszę się, że dogadaliście się z Jean-Claudem.

- O tak - rzekł Willie - to najlepsza robota, jaką kiedykolwiek miałem. Poza tym szef nie jest...

- Machnął ręką w przód i w tył. - No wiesz, wredny. - Skinęłam głową. Wiedziałam. Mogłam skarżyć się i utyskiwać na Jean-Claude'a, ale w porównaniu z innymi Mistrzami Miasta ten

był łagodny jak kociak. Wielki, niebezpieczny i mięsożerny, ale zawsze jednak kociak. - Szef

jest chwilowo zajęty - wyjaśnił Willie. - Powiedział, że gdybyś przyszła wcześniej, mam znaleźć ci stolik przy samej scenie.

Świetnie.

- Ile to może potrwać? - spytałam.

- Nie potrafię powiedzieć. - Willie wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy. Zaczekam. - Pokiwałam głową.

- Mam powiedzieć Jean-Claude'owi, aby się pospieszył? - Willie uśmiechnął się, pokazując kły.

- Potrafiłbyś?

- Raczej nie. - Skrzywił się, jakby połknął robaka.

- Nie przejmuj się. Jeśli znudzę się czekaniem, sama mu to powiem.

- Zrobiłabyś to, prawda? - Willie spojrzął na mnie z ukosa.

- Jasne.

Pokręcił tylko głową i poprowadził mnie między małymi okrągłymi stolikami. Przy każdym siedzieli ludzie. Śmiali się, rozmawiali, pili, trzymali się za ręce, szeptali. Wrażenie, że zewsząd otacza mnie ociekająca potem, tętniąca ściana życia, wydało mi się nieomal przytłaczające. Spojrzałam na Williego. Czy on też to czuł? Czy ciepła ściana ludzkich istnień sprawiała, że jego żołądek skręcał się z głodu? Czy wracał nocą do domu i snił, że rozrywa ten głośny, rozbawiony tłum na krwawe strzępy? Mało brakowało, a zapytałabym go o to, ale lubiłam Williego jako wampira. Nie chciałam wiedzieć, czy na moje pytanie odpowiedziałby twierdząco.

Stolik w drugim rzędzie pod sceną był pusty. Na blacie stał kartonik z napisem "Rezerwacja". Willie chciał odsunąć dla mnie krzesło. Podziękowałam mu ruchem ręki. To nie był przejaw feminizmu. Po prostu nigdy nie wiedziałam, jak mam się zachować, gdy facet odsuwa dla mnie krzesło. Czy mam usiąść i zaczekać, aż przysunie krzesło wraz ze mną do stolika? To żenujące. Zwykle unoszę się lekko nad siedzeniem, aż przysuwane krzesło dotknie wewnętrznej strony moich kolan. Do diabła z tym.

- Napijesz się czegoś, aby zabić czas? - spytał Willie.

- Dostanę colę?

- Nic mocniejszego?

Pokręciłam głową.

Willie oddalił się. Na scenie stał szczupły facet o krótkich ciemnych włosach. Chudy jak tyka, zapadnięte policzki, ale był bez wątpienia człowiekiem. Już sam jego wygląd rozbawiał do łez. Obok niego, gapiąc się tępym spojrzeniem na widownię, stał zombi. Błede oczy trupa wciąż były wyraźne i ludzkie, ale nie mrugały. Nieboszczyk wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w publiczność. Mało kto słuchał dowcipów. Większość osób patrzyła na trupa. Był już trochę nadpsuty i przez to przerażający, ale nawet siedząc w drugim rzędzie, nie czułam odoru rozkładu. Niezła sztuczka, o ile ktoś ją potrafi.

- Ernie, mój współlokator, to najlepszy kumpel, jaki mógł mi się trafić - mówił komik. - Je niewiele, nie zrędzi, nie sprowadza do domu panienek i nie zamyka się z nimi w pokoju, by

się zabawić, podczas gdy ja muszę wystawać w tym czasie na korytarzu. - Kilka osób zaczęło się śmiać. Spojrzenia były utkwione w starym, dobrym Erniem. - Któregoś razu wysiadła nam lodówka. Mieliśmy w niej kawałek szynki, ale się zepsuł. Nic to jednak, bo Erniemu i tak bardzo smakowała.

Zombi odwrócił się wolno, jakby z trudem, aby spojrzeć na komika. Mężczyzna zerknął na zombi, ale zaraz znów przeniósł wzrok w stronę sali i uśmiechnął się. Zombi wciąż mu się przyglądał. Facetowi to się chyba nie spodobało. Wcale mu się nie dziwię. Nawet umarli nie lubią, gdy ktoś się z nich wyśmiewa. Poza tym żarty wcale nie były zabawne. Dowcip polegał na sposobie, w jaki opowiadano żarty. Na obecności zombi. To chore, choć przyznaję, że całkiem odkrywcz.

Wrócił Willie z moją colą. Miałam kierownika na posyłki, niezły gips. Że o rezerwacji stolika nie wspomnę. Willie postawił szklaneczkę na jednej z tych bezużytecznych papierowych serwetek.

- Proszę bardzo - powiedział. Odwrócił się, by odejść, ale dotknęłam jego ramienia.

Natychmiast pożałowałam tego gestu.

Ramię było twarde, silne, bardzo realne. Miałam wrażenie, jakbym dotknęła kawałka drewna. To był trup. Nie potrafiłam nazwać tego inaczej. Zero wrażenia ruchu. Zupełnie nic. Powoli puściłam jego rękę i spojrzałam na niego. Mogłam spojrzeć mu w oczy dzięki znakom otrzymanym od Jean-Claude'a. W brązowych oczach wampira malował się dziwny smutek.

Poczułam szum krwi w uszach i przełknęłam ślinę, aby uspokoić rozkołataną serce. Cholera. Musiałam się uspokoić. Chciałam, aby Willie już sobie poszedł. Odwróciłam się od niego i wlepiłam wzrok w szklaneczkę coli. Willie oddalił się. Może to przez ten śmiech, ale nie słyszałam, jak odchodził.

Willie McCoy był jedynym wampirem, którego znałam, zanim umarł. Pamiętałam go żywego. Był drugorzędnym bandziorem. Chłopcem na posyłki grubych ryb. Może Willie sądził, że stając się wampirem, sani stanie się grubą rybą. Tu się pomylił. Teraz był po prostu nieumarłym tandeciarzem. Po wsze czasy będzie chłopcem na posyłki dla Jean-Claude'a lub jemu podobnych. Biedny Willie.

Wytarłam o spodnie dłoń, którą go dotknęłam. Chciałam zapomnieć o tym dotknięciu, o nieprzyjemnym uczuciu, jakie wywołało zetknięcie z jego ciałem. Ciało Jean-Claude'a nie było takie. Ale rzecz jasna Jean-Claude z łatwością mógłby uchodzić za człowieka. Tak bywa z niektórymi starymi wampirami. Willie też się nauczy. Z pomocą Bożą.

- Zombi są lepsze niż psy. Przyniosą ci kaptcie i nie trzeba ich wyprowadzać na dwór. Jeśli mu każę, Ernie jak posłuszny psiak zacznie warować przy mojej nodze albo udawać trupa. Publiczność zareagowała śmiechem. Nie bardzo pojmowałam dlaczego. To nie był szczery, serdeczny śmiech. To była reakcja na gwałtowny szok. Ten śmiech zawierał w sobie informację: - To nie do wiary.

Zombi szedł w stronę komika powolnym, leniwym krokiem. Zniszczone ręce wyciągnęły się do przodu, a ja poczułam nieprzyjemny ucisk w dołku. To było jak reminiscencja z ubiegłej

nocy. Zombi zawsze atakują z wyciągniętymi rękami. Tak jak w filmach. Komik nie zdawał sobie sprawy, że cierpliwość i wytrzymałość Erniego skończyły się. Jeśli zombi po przywołaniu nie otrzymuje przez dłuższy czas żadnych rozkazów, zwykle powraca do stanu, który jest mu najbliższy. Człowiek z natury dobry jest łagodny, dopóki rozkładowi nie ulegnie jego mózg, pozbawiając go tożsamości. Większość zombi nie zabija bez rozkazu, ale od czasu do czasu zdarza się, że ktoś ożywi zombi o niepohamowanych morderczych skłonnościach. To właśnie przydarzyło się komikowi.

Zombi szedł w jego stronę jak parodia monstrum Frankensteina. Dopiero teraz komik zrozumiał, że coś jest nie tak. Nie dokończył kolejnego żartu i wybałuszył oczy.

- Ernie - powiedział.

Tylko tyle. Trawione rozkładem ręce zacisnęły się na jego szyi i zaczęły ją miażdżyć.

Przez jedną krótką chwilę chciałam pozwolić żywemu trupowi dokończyć dzieła.

Wykorzystywanie umarłych to coś, czego nie popieram, ale... za głupotę nie należy płacić śmiercią. W przeciwnym razie nasza planeta znacznie by się wyludniła.

Wstałam, rozglądając się dokoła, by stwierdzić, czy obsługa była przygotowana na taką ewentualność. Willie podbiegł do sceny. Ramionami oplótł Erniego w pasie i pociągnął z całej siły, ale choć dźwignął trupa w powietrze, tamten nie przestał dusić swojej ofiary. Komik osunął się na kolana, wydając ciche stęknienia. Jego twarz z czerwonej stała się purpurowa. Publiczność śmiała się. Ludzie myśleli, że to element przedstawienia. W sumie było to znacznie zabawniejsze niż cały występ.

- Pomóc ci? - szepnęłam półgłosem do Williego, podchodząc do sceny.

Spojrzał na mnie, wciąż obejmując zombi w pasie. Dysponując nadludzką siłą, Willie zapewne mógłby oderwać po kolei wszystkie palce trupa wpijające się w gardło komika i ocalić go. Tyle że nadludzka siła na nic się nie zda, jeśli nie wiesz, jak jej użyć. Willie nigdy nie miał tęgiej głowy. Naturalnie zombi mógł zmiażdżyć komikowi tchawicę, zanim wampir oderwie jego palce od szyi mężczyzny. Była taka możliwość. Ale lepiej nie brać jej pod uwagę. Przynajmniej na razie. Według mnie ten komik był marny. Ale nie mogłam pozwolić, aby tak zginął. To nie było w moim stylu.

- Przestań - rzekłam. Cicho, tak aby tylko zombi mnie usłyszał. Przestał zaciskać palce, ale wciąż nie puszczał komika. Mężczyzna zwiotczał. - Puść go.

Zombi puścił. Mężczyzna, prawie nieprzytomny, osunął się na scenę. Willie wyprostował się i przestał szarpać się z trupozem. Wygładził czerwoną marynarkę. Włosy miał nienagannie zaczesane do tyłu. Nałożył tyle brylantyny, że byle szamotanina z zombi nie mogła mu zepsuć fryzury.

- Dzięki - wyszeptał. Wyprężył się na swoje pełne metr sześćdziesiąt wzrostu i rzekł:

- Proszę państwa, to był Zdumiewający Albert i jego ulubiony zombi.

Publiczność, jakby trochę niepewnie, po krótkiej chwili zaczęła klaskać. Kiedy Zdumiewający Albert podniósł się chwiejnie, rozległy się gromkie brawa.

- Ernie uważa, że już czas wracać do domu. - Wychrypiał do mikrofonu: - Byliście wspaniałą publicznością. - Oklaski były głośne i szczere.

Komik zszedł ze sceny. Zombi został, gapiąc się na mnie. Czekał. Czekał na kolejny rozkaz. Nie wiem, czemu każdy nie jest w stanie rozkazywać żywym trupom. Dla mnie w ogóle nie było w tym magii. Nie czułam świerzbień skóry ani tchnienia mocy. Ja mówię, a zombi słucha. No jasne.

- Idź za Albertem i wykonuj jego rozkazy, dopóki nie zadecyduję inaczej - powiedziałam. Zombi wahał się przez chwilę, ale zaraz odwrócił się i poczłapał za mężczyzną. Teraz już go nie zabije. Ale nie zamierzałam mówić tego komikowi. Niech myśli, że jego życie jest wciąż zagrożone. Niech wie, że sam nie zdołałby uspokoić rozjuszonego trupa. Tego właśnie chciałam. I zombi zapewne też.

Erniemu najwyraźniej nie podobała się rola pośmiewiska. Nie lubił być przedmiotem niewybrednych żartów i kpin. Odpłacić pięknym za nadobne to jedno. Udusić komika, który go nękał, to dla mnie nazbyt radykalne rozwiązanie.

Willie odprowadził mnie do stolika. Usiadłam i upiłam łyk coli. Willie usiadł naprzeciw mnie. Wydawał się wstrząśnięty. Jego drobne ręce wyraźnie drżały. Był wampirem, ale wciąż pozostawał Williem McCoyem. Zastanawiałam się, ile potrwa, zanim zatraci resztki swej dawnej osobowości. Dziesięć lat, dwadzieścia, sto? Ile potrzeba, żeby potwór pożarł człowieka? Oby jak najdłużej. To już nie będzie mój problem. Nie będę musiała tego oglądać. Prawdę mówiąc, wcale nie chciałam tego widzieć.

- Nigdy nie lubiłem zombi - rzekł Willie.

- Boisz się ich? - Spojrzałam na niego.

- Nie. - Zerknął na mnie, po czym wlepił wzrok w blat stolika.

- Boisz się zombi. Masz fobię. - Uśmiechnęłam się do niego.

- Tylko nic nikomu nie mów. Proszę. - Nachylił się nad stolikiem. W jego oczach malował się prawdziwy strach.

- Komu miałabym powiedzieć?

- Wiesz, komu.

- Nie wiem, o czym mówisz, Willie. - Pokręciłam głową.

- O Mistrzu - powiedział to z namaszczeniem.

- Dlaczego miałabym powiedzieć o tym Jean-Claude'owi?

Mówił teraz szeptem. Na scenie pojawił się nowy komik, rozległy się hałas i śmiech, a on wciąż szeptał.

- Jesteś jego ludzką służebnicą, czy to ci się podoba, czy nie. Twierdzi, że gdy rozmawiamy z tobą, to tak, jakbyśmy zwracali się do niego.

Nasze twarze dzielił dystans zaledwie paru centymetrów. Poczułam jego oddech przesycony zapachem miętówek. Prawie wszystkie wampiry używały miętówek. Ich oddechy pachniały miętą. Zastanawiałam się, jak sobie radziły przed wynalezieniem miętówek. Zapewne miały bardzo nieświeży oddech.

- Wiesz, że nie jestem jego ludzką służebnicą.

- Ale on chce, abyś nią była.

- Tylko dlatego, że Jean-Claude czegoś pragnie, nie oznacza, że musi to otrzymać - odparłam.

- Nie masz pojęcia, jaki on jest.

- Chyba jednak trochę go znam...

Dotknął mojej ręki. Tym razem nie cofnęłam się gwałtownie. Zamyśliłam się nad tym, co mi przed chwilą powiedział.

- Zmienił się od czasu śmierci starej mistrzyni. Jest naprawdę potężny. Potężniejszy, niż sądzisz.

Tego się akurat spodziewałam.

- Czemu więc nie miałabym mu powiedzieć, że boisz się zombi?

- Bo wykorzysta to, aby mnie ukarać.

- Chcesz powiedzieć, że on torturuje ludzi, aby przejąć nad nimi kontrolę? - Spojrzałam na niego, nasze oczy nigdy dotąd nie znajdowały się tak blisko siebie. - Pokiwał głową. - Cholera.

- Nie powiesz?

- Nie powiem. Obiecuję.

Odetchnął z taką ulgą, że odruchowo poklepałam go po dłoni. Jego ręka wydawała się w dotyku całkiem normalna. Ciało nie było już twarde jak kłoc z drewna. Dlaczego? Nie wiedziałam. I nie zapytałam o to Williego. Na pewno i tak nie wiedział. Jedna z tajemnic... śmierci.

- Dzięki.

- O ile pamiętam, mówiłeś, że Jean-Claude jest najłagodniejszym mistrzem, jakiego kiedykolwiek miałeś.

- To prawda - przyznał Willie. Przerazające, ale prawdziwe. Jeśli wykorzystanie do dręczenia kogoś jego najstraszniejszych lęków można było określić mianem najłagodniejszego traktowania, to w jakich potwornościach lubowała się Nikolaos? Na to pytanie akurat znałam odpowiedź. Ta mistrzyni była obłąkana. Jean-Claude nie był okrutny sam w sobie. Nie dręczył ludzi tylko dlatego, aby napawać się ich cierpieniem. Jeśli postępował okrutnie, musiał mieć jakiś powód. To już pewien postęp. - Muszę lecieć. Dzięki za pomoc z zombi. - Wstał.

- Wiesz, byłeś bardzo dzielny - powiedziałam. Uśmiechnął się do mnie, błyskając kłębem. Uśmiech jednak zaraz znikł z jego twarzy, jakby ktoś wyłączył mu prąd.

- Muszę być taki.

Wampiry w dużej mierze przypominają wilcze stada. Słabi są unicestwiani albo tępieni przez silniejszych. Wygnanie nie wchodzi w rachubę. Willie walczył o lepszą pozycję. Okazanie słabości mogło mu w tym przeszkodzić, a może nawet gorzej. Często zastanawiałam się, czego lękały się wampiry. Jeden z nich obawiał się zombi. To byłoby nawet zabawne, gdybym nie widziała przerażenia malującego się w jego oczach. Komik na scenie był wampirem. Musiał umrzeć niedawno. Kredowobiała skóra, gorejące oczy. Pozbawione krwi dziąsła i kły, których mógłby mu pozazdrościć owczarek niemiecki. Nigdy nie widziałam

równie potwornego wampira. Zwykle krwio pijcy starają się wyglądać jak ludzie. Ten nawet nie próbował.

Nie zauważyłam, jaka była pierwsza reakcja publiczności na jego pojawienie się, ale teraz widzowie się śmiali.

Jeśli moim skromnym zdaniem dowcipy o zombi były niskiego lotu, te okazały się jeszcze gorsze. Prawdziwe dno. Kobieta przy sąsiednim stoliku zaśmiewała się do łez.

- Byłem niedawno w Nowym Jorku. To brutalne miasto. Napadło na mnie paru osiłków. Chcieli mi dać w zęby. - Wyszczерzył się.

Ludzie ze śmiechu nieomal pokładali się na stolikach. Nie mogłam tego pojąć. Te żarty wcale nie były śmieszne. Zlustrowałam tłum i stwierdziłam, że spojrzenia wszystkich były utkwione w wampirzym komiku. Patrzyli na niego z niezłomnym oddaniem osób pogrążonych w głębokiej hipnozie.

Używał mentalnych sztuczek. Widziałam wampiry uwodzące ludzi, grożące im i wzbudzające grozę jedynie siłą swoich umysłów. Nigdy jednak nie widziałam ich doprowadzających ludzi do śmiechu. A ten wampir sprawiał, że zaśmiewali się do rozpuku.

To nie było najgorsze nadużycie wampirzych mocy, z jakimi miałam do czynienia. Ten wampir nie próbował zrobić krzywdy publiczności. Poza tym, ta ogólna hipnoza była niegroźna i krótkotrwała. Tyle tylko, że nie powinno tak być. To nie w porządku. Masowa kontrola umysłów to jedna z najbardziej przerażających rzeczy, o których większość ludzi nie ma pojęcia, a z którą wampiry radzą sobie doskonale.

Ja o tym wiedziałam i wcale mi się to nie podobało. To był świeży nieboszczyk i nawet zanim otrzymałam znaki od Jean-Claude'a, komik nie miałby nade mną władzy. Jako animatorka posiadałam do pewnego stopnia odporność na hipnotyczne moce wampirów. To jeden z powodów, dlaczego zwykle to animatorzy są ich zabójcami. Od urodzenia mieliśmy po prostu do tego smykałkę.

Zadzwoiłam wcześniej do Charlesa, ale jeszcze się z nim nie widziałam. Niełatwo przeoczyć go w tłumie. Wyglądałby wśród tych ludzi jak Godzilla przedzierająca się przez Tokio. Gdzie on się podział? I kiedy Jean-Claude będzie wreszcie mógł się ze mną spotkać? Było już po dwudziestej trzeciej. Najpierw nalega na spotkanie, a potem trzeba na niego czekać. Arogancki skurwiel.

Przez wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni wszedł do sali Charles. Przeszedł pomiędzy stolikami, kierując się ku drzwiom. Kręcił głową i mówił coś do niskiego Azjaty, który nieomal musiał biec, aby dotrzymać mu kroku.

Pomachałam, a Charles skręcił w moją stronę.

- Ja prowadzić bardzo czysta kuchnia. - Usłyszałam, jak powtarza niższy mężczyzna.

Charles mruknął coś, czego nie dosłyszałam. Zauroczona publiczność nie zwróciła na to uwagi. Moglibyśmy oddać tutaj salwę honorową, a nikt z tych ludzi nawet by się nie obejrzał. Dopóki komik nie skończy, będą słyszeć wyłącznie jego. - Pan co, pan z sanepidu? - pytał Azjata. Wyglądał jak typowy orientalny kucharz. Miętosił w dłoniach wielką białą czapę. W jego ciemnych, uniesionych ku górze oczach malowała się wściekłość.

Charles ma niecałe metr dziewięćdziesiąt, ale wydaje się wyższy. Wygląda, jakby od stóp do głów wyciosano go z jednego potężnego bloku granitu. Prawie nie ma talii. Jest jak chodząca góra. Olbrzymi. Jego doskonale brązowe oczy mają ten sam kolor, co skóra. Są precudnie ciemne. A dłoń ma taką, że mógłby przesłonić nią całą moją twarz. Azjata wyglądał przy Charlesie jak rozjuszony kundel. Złapał go za rękę. Nie wiem, co zamierzał, ale Charles nagle się zatrzymał. Spojrzał na dłoń kucharza.

- Nie dotykaj mnie - rzekł z przejęciem.

Kucharz puścił jego rękę jak oparzony. Cofnął się o krok.

Charles w sumie potraktował go ulgowo. Gdyby się nie pohamował, skończyłoby się zapewne tak jak w przypadku tych opryszków, którzy go kiedyś napadli i którzy na koniec uciekli gdzie pieprz rośnie, krzycząc z przerażenia. Jednak rozgniewanego kucharza, skądinąd słusznie, Charles potraktował ulgowo. Po chwili kucharz się odezwał spokojnym, rzeczowym tonem.

- Ja mieć czysta kuchnia.

- Zombi nie mogą zbliżać się do miejsc, gdzie przygotowuje się posiłki. - Charles pokręcił głową. - To niezgodne z prawem. Przepisy bhp zabraniają trupom zbliżania się do miejsc przygotowania posiłków oraz do samych potraw.

- Mój pomocnik jest wampirem. On nie żyje.

Charles wyrócił oczami i spojrzał na mnie. Współczułam mu. Ja też odbyłam kilka podobnych rozmów z szefami kuchni.

- Zgodnie z nowymi przepisami prawa wampiry nie są uznawane za trupy, panie Kim. W przeciwieństwie do zombi.

- Nie rozumieć, dlaczego.

- Zombi rozkładają się i przenoszą choroby, jak każde martwe ciało. Tylko dlatego, że chodzą, to nie znaczy, że nie są nosicielami groźnych zarazków.

- Ja nie...

- Albo zrobi pan coś, aby zombi nie miały dostępu do kuchni, albo zamkniemy pański kramik. Czy to jest jasne?

- I będzie pan musiał wytłumaczyć właścicielowi, dlaczego jego lokal nie przynosi zysków - dodałam, uśmiechając się do nich obu.

Szef kuchni jakby trochę poblądł. Coś takiego.

- Ja... ja rozumieć. Zająć się tą sprawą.

- Doskonale - mruknął Charles.

Azjata rzucił mi przerażone spojrzenie, po czym spiesznie zawrócił w stronę kuchni. To zabawne, jak szybko Jean-Claude był w stanie wzbudzić przerażenie u tylu osób. A zanim stał się głównym krwiopijcą, był przecież jednym z najbardziej cywilizowanych wampirów. Władza korumpuje.

Charles usiadł naprzeciwko mnie. Wydawał się za duży jak na niewielki stolik, przy którym się rozlokował.

- Dostałem twoją wiadomość. Co jest grane?

- Potrzebuję eskorty do Tenderloin.

Trudno powiedzieć, kiedy Charles się czerwieni, ale wyraźnie zaczął wiercić się na krześle.

- Po jaką cholere się tam wybierasz?

- Muszę znaleźć kogoś, kto tam pracuje.

- Kogo?

- prostytutkę - odparłam.

Znów poruszył się na krześle. Miałam wrażenie, jakbym obserwowała wierzącą się górę.

- Caroline to się nie spodoba - stwierdził.

- Więc nic jej nie mów - odparłam.

- Wiesz, że Caroline i ja nie okłamujemy się nawzajem ani nie mamy przed sobą tajemnic.

Staralam się zachować pokerową twarz. Skoro Charles miał ochotę opowiadać żonie o wszystkich swoich planach i zamierzeniach, to jego sprawa. Caroline nie musiała kierować jego życiem. Sarn się na to godził. Taki obrót spraw trochę krzyżował mi szyki, ale nie zamierzałam jeszcze składać broni.

- Powiedz jej, że to dodatkowe "animatorskie" zlecenie. Na pewno nie zechce pytać o szczegóły. - Caroline mierzyła naszą pracę. Uważała, że to, co robimy, jest okropne i odrażające. Dekapitacja kurcząt, ożywianie trupów, ohyda.

- Po co chcesz znaleźć tę prostytutkę?

Zignorowałam to pytanie i odpowiedziałam na inne. Im mniej Charles wiedział o Haroldzie Gaynorze, tym był bezpieczniejszy.

- Potrzebny mi ktoś o groźnym wyglądzie. Nie mam ochoty wpakować paru kul jakiemś nieszczęśliwemu tylko dlatego, że próbował mnie poderwać. Jasne?

- Pójdę z tobą. Pochlebia mi, że zwróciłaś się z tym do mnie. - Charles skinął głową.

Uśmiechnęłam się do niego zachęcająco. Prawda była taka, że to Manny był znacznie bardziej niebezpieczny i przydatniejszy jako wsparcie. Ale Manny był taki jak ja. Nie wyglądał groźnie. W przeciwieństwie do Charlesa. Dzisiejszej nocy nie potrzebowałam zmasowanej siły ognia, lecz przewagi psychologicznej, jaką daje nam gra pozorów.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła północ. Jean-Claude kazał mi czekać prawie godzinę.

Spojrzałam za siebie i wychwyciłam spojrzenie Williego. Podszedł do mnie natychmiast.

Postaram się wykorzystywać tę moc tylko w dobrych celach.

Pochylił się nisko, ale nie za nisko. Spojrzał na Charlesa, lekko skinął głową w jego stronę.

Charles odpowiedział tym samym. Ideal stoika.

- Czego chcesz? - spytał Willie.

- Czy Jean-Claude jest już gotów spotkać się ze mną, czy nie?

- Tak. Właśnie szedłem, aby ci to zakomunikować. Nie wiedziałem, że spodziewasz się dzisiejszej nocy towarzystwa. - Spojrzał na Charlesa.

- To mój współpracownik.

- Animator? - zapytał Willie.

- Tak - odparł Charles. Jego ciemne oblicze pozostało beznamienne. Wzrok zawierał w sobie pewną dozę wrogości.

Na Williem wywarło to piorunujące wrażenie. Pokiwał głową.

- No jasne, pewnie po spotkaniu z Jean-Claudem idziecie razem ożywiać jakichś nieboszczyków?

- Tak - odparłam krótko. Wstałam i odezwałam się półgłosem do Charlesa, choć wiedziałam, że prawie na pewno Willie zdoła to usłyszeć. Nawet młodzi nieumarli mają słuch lepszy niż większość psów. - Wrócę najszybciej, jak się da.

- W porządku - odparł - ale i tak niedługo będę musiał już iść do domu.

Zrozumiałam. Caroline trzymała go na krótkiej czy To w dużej mierze jego wina, ale chyba ja przejmowałam się tym bardziej niż sam Charles. Może to jedna z przyczyn, dlaczego wciąż pozostaję w stanie wolnym. Nie przepadam za kompromisami.

Willie przeprowadził mnie przez próg i krótki korytarz. Gdy tylko drzwi zamknęły się za nami, wszystkie dźwięki stały się przytłumione, odległe jak sen. Światła, w porównaniu z mrocznym wnętrzem klubu, wydawały się wyjątkowo jasne. Zamrugałam powiekami. Policzki Williego w jasnym świetle wydawały się zaróżowione, wyglądał całkiem zdrowo, jak na nieboszczyka. Musiał się dziś czymś pożywiać. Czymś albo kimś. Zwierzęciem albo chętnym do tego śmiertelnikiem. Kto wie.

Na drzwiach po lewej widniał napis "Biuro Kierownika". Gabinet Williego? Nie. Willie otworzył drzwi i wpuścił mnie do środka. Sam nie wszedł. Zerknął w stronę biurka, po czym wycofał się chyłkiem, zamykając za sobą drzwi.

Podłogę wyłożono bladobeżowym dywanem, ściany były kredowobiałe. Pod przeciwległą ścianą stało duże, czarne, lakierowane biurko. Wydawała się z niego wyrastać lśniąca, czarna lampa. Dokładnie pośrodku blatu leżał bibularz. Nie zauważyłam żadnych papierów ani spinaczy. Za biurkiem siedział Jean-Claude.

Długie, białe dłonie złożył miękko na bibularzu. Lekko kręcone czarne włosy, oczy granatowe jak noc, biała koszula z fikuśnymi mankietami. Siedział w całkowitym bezruchu, jakby pozował do portretu. Był piękny jak erotyczny sen, choć nierealny. Tylko wyglądał na ideał. Wiedziałam, co się kryło pod tą iluzją.

Pod lewą ścianą stały dwie brązowe metalowe szafki na akta. Resztę ściany zajmowała czarna skórzana kanapa. Wisiał nad nią sporych rozmiarów obraz olejny. Przedstawiał miasto St. Louis w XVIII wieku. Rzeką na płaskodennych łodziach płynęli osadnicy. Na płótnie odmalowano jeden z cieplejszych jesiennych dni. W tle bawiły się i biegały dzieci. Obraz nie pasował do reszty wystroju gabinetu.

- Twoje płótno? - spytałam. Lekko skinął głową. - Znałeś jego twórcę? - Uśmiechnął się, nie pokazując kłów, lekko tylko rozchylił wargi. Gdyby istniało pismo dla wampirów, Jean-Claude byłby idealnym materiałem na okładkę jednego z nich. - Biurko i kanapa nie pasują do reszty wystroju - stwierdziłam.

- Jestem w trakcie przemeblowania - odparł. Wciąż mi się przyglądał.

- To ty poprosiłaś o to spotkanie, Jean-Claude. Przejdźmy do rzeczy.

- Spiesz ci się? - Nieznacznie zniżył głos. Jego ton był jak delikatne muśnięcie kosmatego futra po nagiej skórze.

- Owszem, tak. Czego chcesz?

Uśmiech odrobinę się poszerzył. Jean-Claude na chwilę spuścił wzrok. Wyglądał jak nieśmiały uczeń.

- Jesteś moją ludzką służebnicą, Anito. - Zwrócił się do mnie po imieniu. To zły znak.

- Nie - zaoponowałam. - Nie jestem nią.

- Nosisz dwa moje znaki, pozostały ci do nadania jeszcze dwa. - Jego twarz wyglądała uroczo, wręcz cudnie. Wyraszał z tego, co mówił.

- No i co?

- Anito... - Westchnął. Przerwał nagle i wstał. Obszedł biurko. - Czy wiesz, co znaczy być Mistrzem Miasta? - Przysiadł na krawędzi biurka. Jego koszula rozchyliła się, odsłaniając błądy tors. Zauważyłam jedną brodawkę, małą i zeszywniałą. Blizna w kształcie krzyża zdawała się uragać tej kredowobiałej perfekcji. Wpatrywałam się w jego obnażony tors. Jakże to żenujące. Odnalazłam jego spojrzenie i zrobiłam, co w mojej mocy, aby się nie zaczerwienić. Punkt dla mnie. - Jest wiele korzyści wynikających z faktu bycia moją ludzką służebnicą, ma petite. - Jego źrenice zdawały się pochłaniać białko, oczy stały się czarne i bezdennie głębokie.

- Nie. - Pokręciłam głową.

- Nie kłam, ma petite. Czuję twoje pożądanie. - Obliznął językiem wargi. - Czuję ten smak. Pięknie, po prostu pięknie. Jak tu dyskutować z kimś, kto wyczuwa twoje emocje?

Odpowiedź - nie dyskutować. Przytakiwać.

- W porządku, pożądam cię. Zadowolony?

- Tak. - Uśmiechnął się. Jedno słowo, ale przemknęło przez mój umysł, szepcząc zdania, które nie zostały wypowiedziane głośno. Szepty w ciemnościach.

- Pożądam wielu facetów, ale to nie znaczy, że z nimi sypiam.

Jego oblicze zwiotczało, oczy wyglądały jak dwie głębokie studnie.

- Przypadkowe żądze można łatwo przewyciężyć - powiedział. Wstał jednym płynnym ruchem. - To co jest między nami, nie jest przypadkowe, ma petite. To nie zwykła żądza, lecz pożądanie. - Podpłynął do mnie, wyciągając jedną rękę.

Serce podeszło mi do gardła. To nie był strach. Ani żadna mentalna sztuczka. To coś wydawało się prawdziwe. Powiedział, że to pożądanie, kto wie, może miał rację?

- Nie - wychrypiałam. Ale on, rzecz jasna, nie zatrzymał się. Palcami delikatnie musnął mój policzek. Najdelikatniejsze dotknięcie, jakie można sobie wyobrazić. Odsunęłam się od niego i z pewnym wysiłkiem zaczerpnęłam tchu. Nie czułam się dobrze. I o to chodziło.

Skoro wyczuwał moje emocje, niech tego posmakuje. Niech zazna mojego dyskomfortu.

Udawanie mijają się z celem. Wciąż czułam na skórze jego dotyk. - Doceniam potencjalne plusy tej funkcji, Jean-Claude, naprawdę - powiedziałam, wlepwszy wzrok w podłogę. - Ale nie mogę tego przyjąć. I wcale tego nie chcę. - Odnalazłam jego wzrok. Jego oblicze było przeraźliwie puste. Nic. Zero. To była ta sama twarz, co przed chwilą, ale jakaś iskierka człowieczeństwa, tłący się w niej ogień życia zgasł. Mój puls znowu przyspieszył. To nie miało nic wspólnego z seksem. Strach. To na pewno miało istotny związek ze strachem.

- Jak sobie chcesz, moja mała animatorko. Czy będziemy kochankami, czy nie, to nie zmieni tego, kim dla mnie jesteś. A jesteś moją ludzką służebnicą.

- Nie - zaoponowałam.

- Należysz do mnie, Anito. Czy tego chcesz, czy nie.

- Widzisz, Jean-Claude, tu się właśnie nie zgadzamy. Najpierw próbujesz mnie uwieść, co jest skądinąd miłe. A gdy to nie skutkuje, od razu przechodzisz do gróźb.

- To nie gróźby, ma petite. To prawda.

- Wcale nie. I, do cholery, przestań nazywać mnie ma petite. - Uśmiechnął się. Nie chciałam go rozbawić. Gniew zastąpił strach przepotężną, gorącą falą. Lubiłam gniew. Czynił mnie odważną i nierozsądną. - Pieprzę cię - dodałam.
 - Właśnie to ci przed chwilą proponowałem. - Jego głos sprawił, że coś ścisnęło mnie w dołku.
 - Niech cię diabli, Jean-Claude. Niech cię cholera. - Zaczerwieniłam się.
 - Musimy porozmawiać, ma petite. Kochankowie czy nie, mistrz i służebnica czy nie, tak czy owak, musimy porozmawiać.
 - Rozmawiajmy więc. Nie mamy całej nocy.
 - Nie ułatwiasz mi zadania. - Westchnął.
 - Gdybyś chciał, żeby było łatwo, wybrałbyś kogoś innego. A w każdym razie powinieneś.
 - Racja. - Pokiwał głową. - Usiądź, proszę. - Ponownie oparł się o biurko, splatając ramiona na piersiach.
 - Nie mam tyle czasu - mruknęłam.
 - Wydaje mi się, że zgodziliśmy się, że to przedyskutujemy, ma petite. - Zasepił się.
 - Umówiliśmy się na spotkanie o dwudziestej trzeciej. To ty zmarnowałaś całą godzinę, nie ja.
 - Dobrze. - Uśmiechnął się niemal z rozgoryczeniem. - Przedstawię ci... skróconą wersję.
 - Świetnie. - Skinęłam głową.
 - Jestem nowym Mistrzem Miasta. Ale aby nie zostać unicestwionym za rządów Nikolaos, musiałem ukryć swoje moce. I udało mi się. Może nawet za bardzo. Są tacy, którzy uważają, że nie jestem dość potężny, by stać się Mistrzem Miasta. Rzucają mi wyzwania. I wykorzystują w tym celu także ciebie.
 - W jaki sposób?
 - Chodzi o to, że nie jesteś mi posłuszna. Twierdzą, że nie jestem nawet w stanie zapanować nad własną ludzką służebnicą. Jak w tej sytuacji miałbym poradzić sobie z wszystkimi wampirami w mieście i okolicach?
 - Czego chcesz ode mnie?
 - Chcę, abyś została moją ludzką służebnicą. - Uśmiechnął się do mnie szeroko i szczerze, pokazując kły.
 - Po moim trupie, Jean-Claude.
 - Mogę wymusić na tobie przyjęcie trzeciego znaku, Anito. - To nie była pogrożka. Raczej zwykłe stwierdzenie faktu.
 - Wolalabym raczej umrzeć, niż zostać twoją służebnicą. - Mistrz wampirów potrafił wyczuć prawdę. Musiał wiedzieć, że naprawdę tak myślałam.
 - Dlaczego?
- Już chciałam mu to wytłumaczyć, ale zmitygowałam się. Nie zrozumiałby. Dzieliło nas zaledwie parę centymetrów, ale równie dobrze dystans ten mógł wynosić wiele kilometrów. Pomiędzy nami ziała bezdenne przepaść. Nic nie było w stanie połączyć jej brzegów. Jean-

Claude był chodzącym trupem. To, kim był za życia, przepadło bezpowrotnie. Był Mistrzem Miasta i w niczym nie przypominał istoty ludzkiej.

- Jeśli zrobisz to siłą, zabiję cię - ostrzegłam.

- Nie żartujesz. - W jego głosie wychwyciłam zdziwienie. Nieczęsto dziewczynie udaje się zadziwić liczącego sobie setki lat wampira.

- Ani trochę.

- Nie rozumiem cię, ma petite.

- Wiem - mruknęłam.

- Czy mogłabyś udawać, że jesteś moją służebnicą?

Dziwne pytanie.

- Co to znaczy - udawać?

- Towarzyszyć mi na niektórych spotkaniach. Stać u mego boku, wspierając mnie swą reputacją i bronią palną.

- Chcesz, aby egzekutorka chroniła twoje plecy. - Patrzyłam na niego przez parę chwil.

Dopiero teraz zrozumiałam prawdziwą zgrozę tego, co przed chwilą powiedział. - Wydawało mi się, że dwa pierwsze znaki to był czysty przypadek. Że wpadłeś w panikę. A ty od samego początku chciałeś mnie naznaczyć, zgadza się? - Tylko się uśmiechnął. -

Odpowiedz, sukinsynu - naciskałam.

- Skoro nadarzyła się okazja, żal mi było jej nie wykorzystać.

- Żal ci było! - prawie wykrzyknęłam. - Z zimną krwią upatrzyłeś mnie sobie na swoją służebnicę! Dlaczego?

- Jesteś egzekutorką.

- Niech cię diabli, a co to ma do rzeczy?

- To nobilitujące dla wampira być z kimś takim jak ty. Usidlić kogoś tak znacznego.

- Nie usidliłeś mnie.

- Jeżeli dobrze odegrasz swoją rolę, nikt się nie zorientuje, że tylko udajemy. I nikt prócz nas dwojga nie będzie znać prawdy.

- Nie zamierzam grać w twoją grę, Jean-Claude. - Pokręciłam głową.

- Nie pomożesz mi?

- Otóż to. Dobrze to ująłeś.

- Proponuję ci nieśmiertelność. I to bez brzemienia wampiryzmu. Oferuję ci siebie. W ciągu minionych lat było mnóstwo kobiet, które mając przed sobą taką perspektywę, zrobiłyby dla mnie wszystko.

- Seks to seks, Jean-Claude. Nikt nie jest aż tak dobry.

- Wampiry są inne, ma petite. - Uśmiechnął się lekko. - Gdybyś nie była tak uparta, mogłabyś przekonać się, do jakiego stopnia jesteśmy inni.

Musiałam odwrócić wzrok. To było zbyt osobiste. Zbyt intymne. Zbyt przesycone fantazjami.

- Chcę od ciebie tylko jednego - powiedziałam.

- Czegóż to, ma petite?

- No dobrze, dwóch rzeczy. Po pierwsze przestań mówić do mnie ma petite, po drugie uwolnij mnie. Usuń te cholerne znaki.
- Co do pierwszego, Anito, mogę je spełnić.
- A co z drugim?
- Nie mogę, nawet gdybym chciał.
- A nie chcesz - zasugerowałam.
- Nie chcę.
- Trzymaj się ode mnie z daleka, Jean-Claude. Nie waż się do mnie zbliżyć, bo, jak mi Bóg miły, zabiję cię.
- Wielu próbowało. I to nieraz.
- A ilu z nich miało na koncie osiemnaście unicestwionych wampirów?
- Ani jeden. - Chyba trochę się zdziwił. - Choć na Węgrzech spotkałem kiedyś człowieka, który przysięgał, że zabił pięciu z nas.
- Co się z nim stało?
- Rozszarpałem mu gardło.
- Może to zrozumiesz, Jean-Claude. Wolałabym raczej, żebyś rozszarpał mi gardło. Pierwej umrę, próbując cię zabić, niż ci się podporządkuję. - Spojrzałam na niego, próbując ocenić, czy rozumiał choć część z tego, co przed chwilą usłyszał. - Powiedz coś.
- Usłyszałem, co powiedziałaś. Wiem, że mówiłaś poważnie. - Nagle pojawił się tuż przede mną. Nie dostrzegłam jego ruchu, nie poczułam go w swojej głowie. Po prostu nagle znalazł się o parę centymetrów ode mnie. Chyba aż westchnęłam ze zdumienia. - Naprawdę mogłabyś mnie zabić? - Jego głos był jak jedwab położony na zranione miejsce, delikatność mimo wszystko wywołująca ból. Jak seks. Albo jak aksamit muskający wnętrze mojej czaszki. To było przyjemne, nawet mimo przepełniającego mnie nieopisanego przerażenia. Cholera. Wciąż mógł mnie załatwić. Mógł mnie mieć. Odrobina siły i już. Nie. Nic z tego.
- Tak - odpowiedziałam, spoglądając w jego ciemne oczy. Mówiłam szczerze. Zamrugał powiekami i cofnął się.
- Jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem - stwierdził. Tym razem powiedział to ze śmiertelną powagą. Bez odrobiny rozbawienia.
- To najmiłszy komplement, jaki kiedykolwiek od ciebie usłyszałam.
- Stał przede mną z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków. Stał w kompletnym bezruchu. Węże i ptaki potrafią tak trwać w bezruchu, ale nawet węże przejawiają pewne oznaki ożywienia, czynności, która - prędzej czy później - będzie kontynuowana. Jean-Claude stał, nie zdradzając kompletnie niczego, jakby wbrew temu, co mówiły mi oczy, rozplynał się w powietrzu bez śladu. W ogóle go tam nie było. Przestał istnieć. Umarli nie robią hałasu.
- Co się stało z twoją twarzą? - spytał.
- Odruchowo dotknęłam spuchniętego policzka.
- Nic - skłaniałam.
- Kto cię uderzył?
- Po co pytasz? Aby się na tym kimś zemścić? Odplacić mu za mnie?

- Jednym z pomniejszych plusów wynikających z faktu bycia moją służebnicą jest to, że byłabyś pod moją ochroną.
 - Nie potrzebuję twojej ochrony, Jean-Claude.
 - On cię skrzywdził.
 - A ja wbiłam mu w krocze lufę pistoletu i zmusiłam, aby powiedział mi wszystko, co wie - odparowałam.
 - Co zrobiłaś? - Jean-Claude uśmiechnął się.
 - Wbiłam mu w jaja lufę pistoletu, mam wyrazić się jeszcze bardziej dosadnie?
- W jego oczach pojawiły się żywe iskielki. Roześmiał się w głos. Szczerze. Radośnie. Ten śmiech był słodki jak cukierek i zaraźliwy. Gdyby komuś udało się zabutelkować śmiech Jean-Claude'a, na pewno nie byłby to produkt z gatunku tych dietetycznych. Raczej coś, co powoduje przyrost tkanki tłuszczowej. Albo wywołuje orgazm.
- Ma petite, ma petite, jesteś absolutnie cudowna.
- Spojrzałam na niego, pozwalając, by ten śmiech otoczył mnie jak niewidzialny kokon. Pora iść. Już czas. Trudno zachować niewzruszoną postawę, kiedy ktoś śmieje ci się prosto w twarz. Mimo to jakoś mi się udało.
- To co powiedziałam na odchodne, sprawiło, że ponownie wybuchnął śmiechem:
- I przestań zwracać się do mnie ma petite.

Ponownie znalazłam się w gwałtownym, hałaśliwym wnętrzu klubu. Charles nie siedział, lecz stał przy stoliku. Już z daleka było widać, że jest nie w sosie. Co poszło nie tak? Zaciskał nerwowo ogromne łapska. Ciemne oblicze wykrzywiało coś, co wydawało się grymasem bólu. Dobry Bóg obdarzył Charlesa wielkim ciałem i groźnym obliczem, gdyż wewnątrz był miękki jak wata cukrowa. Gdybym dysponowała gabarytami oraz siłą Charlesa, byłabym stuprocentową łotrzą. To wydawało mi się trochę smutne i nieuczciwe.

- Co się stało? - spytałam.

- Dzwoniłem do Caroline - odparł.

- I?

- Opiekunka do dziecka zachorowała. A Caroline wezwano do szpitala. Ktoś musi pobyć z Samem, podczas gdy ona jest w pracy.

- Uhm-hm - mruknęłam.

- Czy nasz wypad do Tenderloin może poczekać do jutra? - spytał. Już nie wyglądał na twardego. Pokręciłam głową. - Nie możesz pójść tam sama - rzekł Charles. - Prawda, że nie?

- To nie może czekać, Charles. - Westchnęłam, spojrzawszy na tego człowieka-górę.

- Ale Tenderloin - zniżył głos, jakby obawiał się, że samo wymówienie tej nazwy ściągnie na nas chmurę dziwek i alfonsów. - Nie możesz iść tam sama, w środku nocy.

- Bywałam w gorszych miejscach, Charles. Poradzę sobie.

- Nie. Sama tam nie pójdziesz. Nie pozwolę na to. Caroline będzie musiała nająć nową opiekunkę albo odpuścić sobie szpital.

Mówiąc to, uśmiechnął się. Uwielbiał pomagać przyjaciółom. Caroline urządzi mu za to piekło. Co gorsza, nie chciałam zabierać Charlesa ze sobą. Sam wygląd twardego nie wystarczy. A gdyby Gaynor zorientował się, że wzięłam Wandę na spytke? Jeżeli dowie się o Charlesie i uzna, że on również brał w tym udział? Nie. Nie mogłam ryzykować życia Charlesa. On miał rodzinę. Czteroletniego syna. I żonę. Harold Gaynor zjadłby Charlesa na kolację, na surowo. Nie mogłam go w to wplątywać. Był potężny, z wyglądu groźny, ale miał złote serce. Ot taki wielki, całusny misiek. Wspaniały do przytulenia. Każda kobieta chciałaby go mieć. Ja też. Tyle że nie w charakterze wsparcia. Miśki są raczej kiepskimi ochroniarzami. Potrzebowałam kogoś, kto nie pęka w obliczu zagrożenia, jakie mógł nam zgotować Gaynor.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Wróć do domu, Charles. Nie pójde tam sama. Obiecuję.

Wydawał się niepewny. Jakby mi nie ufał. Coś podobnego.

- Anito, na pewno? Nie chcę cię opuszczać w potrzebie.

- Idź, Charles. Załatwię sobie wsparcie.

- O tej porze? Kogo ściągniesz do pomocy?

- O nic nie pytaj. Wracaj do domu, do syna.

Wciąż się wahał, ale chyba trochę mu ulżyło. Naprawdę nie miał ochoty na wypad do Tenderloin. Może potrzebował, a nawet chciał, by Caroline trzymała go na tak krótkiej smyczy. To wymówka dla wszystkich rzeczy, na które nie masz ochoty. Niezła podstawa do małżeństwa. Ale cóż, skoro coś nie jest zepsute, nie należy tego naprawiać.

Charles odszedł, przeprosiwszy mnie solennie. Mimo to wiedziałam, że cieszy się z takiego obrotu sprawy. Zapamiętam mu to.

Zapukałam do drzwi biura.

- Wejdz, Anito. - Usłyszałam po chwili ciszy. Skąd wiedział, że to ja? Nie spytam go o to. Nie chciałam wiedzieć. Jean-Claude najwyraźniej zliczał coś w księdze rachunkowej.

“Wyglądała na bardzo starą, kartki były pożółkłe, tusz wyblakł. Takiej księgi mógł używać Bob Cracht w tamto zimne wigilijne przedpołudnie. - Cóż uczyniłem takiego, że zasłużyłem sobie na dwie wizyty jednej nocy? - spytał.

Gdy na niego spojrzałam, zrobiło mi się głupio. Tak długo starałam się go unikać. A teraz chciałam poprosić go, by mi towarzyszył w nocnym wypadzie. Cóż, tym sposobem ubiję dwa gacki jednym kamieniem. Jean-Claude będzie zadowolony, a ja nie chciałam go denerwować, o ile tylko mogłam tego uniknąć. Poza tym, gdyby Gaynor spróbował zmierzyć się z Jean-Claudem, bez wahania postawiłabym na tego ostatniego. Chodziło mi o to, co Jean-Claude zrobił mi kilka tygodni temu. Wybrał mnie, abym została czempionką wampirów. Wystawił mnie przeciwko potworowi, który zabił trzech wampirzych mistrzów. I założył się, że pokonam również Nikolaos. Udało mi się, aczkolwiek niewiele brakowało... Cóż, kiedy wleziesz między wrony... Uśmiechnęłam się słodko do niego. Ucieszyłam się, że tak szybko mogę oddać mu przysługę.

- Czy zechciałbyś towarzyszyć mi w wypadzie do Tenderloin?

Zamrugał, na jego twarzy pojawiło się czysto ludzkie zdziwienie.

- W jakim celu?

- Muszę przesłuchać prostytutkę w związku ze sprawą, nad którą pracuję. Potrzebuję wsparcia.

- Wsparcia? - powtórzył pytająco.

- Takiego, które będzie wyglądać groźniej ode mnie. Nadajesz się idealnie.

- Będę twoim ochroniarzem. - Uśmiechnął się ciepło.

- Przysporzyłeś mi całą masę smutku i cierpień, teraz dla odmiany mógłbyś zrobić coś miłego i przyjemnego.

- Skąd ta nagła zmiana uczuć, ma petite? - Uśmiech zniknął.

- Moje wsparcie musiało wrócić do domu i zaopiekować się dzieckiem.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Pójdę tam sama - odparłam.

- Do Tenderloin?

- Taa. - Nagle znalazł się przy biurku i ruszył w moją stronę. Nie zauważyłam, kiedy wstał. - Chciałabym, żebyś więcej tego przy mnie nie robił.

- Czego?

- Nie zaćmiewaj mi umysłu, abym nie dostrzegła twoich ruchów.

- Robię to tak często, jak mogę, ma petite, tylko po to, by udowodnić, że wciąż to potrafię.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Naznaczając cię, zrezygnowałem z większości władzy nad tobą. Ćwiczę te drobne gierki, jakie mi jeszcze pozostały. - Stał niemal tuż przede mną. - Abyś nie zapomniała, kim oraz czym jestem.

Spojrzałam w jego niebieskie, bardzo niebieskie oczy.

- Nigdy nie zapomnę, że jesteś chodzącym trupem, Jean-Claude.

Przez jego oblicze przemknął jakiś nieodgadniony grymas. Może to był grymas bólu.

- Nie, po twoich oczach widzę, że wiesz, czym jestem. - Zniżył głos prawie do szeptu, ale nie nadał mu uwodzicielskiego brzmienia. Głos wciąż był ludzki. - Twoje oczy są najczystszyimi zwierciadłami, jakie kiedykolwiek widziałem, ma petite. Kiedykolwiek zaczynam udawać przed samym sobą... kiedykolwiek mamie się iluzjami życia... wystarczy mi jeden rzut oka na twoją twarz i dostrzegam w niej prawdę.

Co spodziewał się ode mnie usłyszeć? Wybacz, postaram się zignorować fakt, że jesteś wampirem.

- Czemu więc tak uporczywie się mnie trzymasz? - spytałam.

- Może gdyby Nikolaos miała podobne zwierciadło, nie stałaby się takim potworem.

Spojrzałam na niego. Mógł mieć rację. To sprawiło, że wybór mojej osoby jako jego ludzkiej służebnicy wydał mi się nieomal szlachetny. Nieomal. Niech to diabli. Nie zacznę -współczuć cholernemu Mistrzowi Miasta. Co to, to nie. Ani teraz. Ani nigdy.

Wyberzemy się razem do Tenderloin. Alfonsi, miejcie się na baczności. Zabieram ze sobą Mistrza w charakterze ochroniarza. To było jak zabranie z sobą bomby atomowej w celu zniszczenia mrowiska. Cóż, jeżeli chodzi o zabijanie, zawsze miałam skłonność do przesady.

Tenderloin była na początku XIX wieku dzielnicą czerwonych latarni na Nabrzeżu. Później, jak niemal całe St. Louis, przeniosła się bardziej na północ. Przejedź wzdłuż Washington, miń teatr Foxa, gdzie objazdowe trupy wystawiają najlepsze musicale rodem z Broadwayu. Jedź dalej aż do zachodnich rogatek śródmieścia St. Louis, a dotrzesz do odrodzonego Tenderloin.

Nocne ulice jaśnieją blaskiem neonów, migających, zmieniających się i pulsujących kolorami. To miejsce przypomina po trosze pornograficzne wesołe miasteczko. Brak tu tylko diabelskiego młyna. Możesz natomiast kupić watę cukrową w kształcie nagiego mężczyzny lub kobiety. Znajdziesz tu rozrywkę tak dla dzieci, jak i dla dorosłych. Zwłaszcza dla panów. Tatusiowie mogą się tu nieźle zabawić. Mamy nie muszą o tym wiedzieć.

Jean-Claude siedział w aucie obok mnie. Milczał przez całą drogę. Od czasu do czasu zerkałam na niego, aby upewnić się, że wciąż tam jest. Ludzie wydają różne dźwięki. Nie mam tu na myśli tego, że mówią, bekają czy coś w tym rodzaju. Chodzi o to, że nie są w stanie usiedzieć bezgłośnie na miejscu. Wiercą się i słyszą wtedy szelest materiału o tapicerkę, oddychają, nabierają powietrza, zwilżają wargi, oblizują je, każda z tych czynności, choć cicha, jest mimo wszystko słyszalna.

Jean-Claude podczas całej drogi zachowywał się absolutnie bezgłośnie. Chyba nawet nie mrugał powiekami. Nie ma to jak żywy trup! Znoszę ciszę tak dobrze jak każdy, lepiej niż większość kobiet i wielu mężczyzn. Teraz potrzebowałam czegoś, co wypełniłoby tę ciszę. Pragnęłam choćby niezobowiązującej rozmowy. Może to strata energii, ale tego było mi trzeba.

- Jesteś tam, Jean-Claude? - Powoli, jakby z wysiłkiem odwrócił głowę. Jego oczy zabłyśły, odbijając blask neonów, jak czarne szkło. Cholera. - Umiesz udawać człowieka, Jean-Claude, lepiej niż niemal wszystkie wampiry, jakie miałam okazję widzieć. Dlaczego nagle zacząłeś się tak zachowywać? To do ciebie nie pasuje.

- O co ci chodzi? - spytał półgłosem.

- Czemu mnie straszysz?

- Straszę cię? - zapytał i dźwięk tych słów wypełnił wnętrze auta. Zupełnie jakby zmieniło się ich znaczenie.

- Przestań - warknęłam.

- Co mam przestać?

- Odpowiadać pytaniem na pytanie.

Mrugnął powiekami. Jeden raz.

- Wybacz, ma petite, ale starałem się wyczuć ulicę.

- Wyczuć ulicę? Co to ma znaczyć?

- Ulica wręcz tętni życiem. - Osunął się na fotelu, opierając potylicę o zagłówek. Dłonie splótł na kolanach.

- Życiem? - Sytuacja się odwróciła.
 - Tak - odparł. - Czuję je dokoła. Małe stworzenia rozpaczliwie poszukujące miłości, bólu, akceptacji, chciwości. Sporo jest tu chciwości, ale przeważają miłość i ból.
 - Do prostytutki nie idziesz po miłość. Tylko po seks.
 - Wiele osób myli te dwie rzeczy. - Odwrócił głowę i jego ciemne oczy spojrzały na mnie. Przeniosłam wzrok na ulicę. Zjeżyły mi się krótkie włoski na karku.
 - Nie pożywiałeś się dziś, prawda?
 - To ty jesteś ekspertem od wampirów. Nie potrafisz tego stwierdzić? - Zniżył głos prawie do szeptu. Był ochrypliwy i oschły.
 - Wiesz, że w twoim przypadku nigdy nie mam pewności.
 - Traktuję to jako komplement dla moich mocy.
 - Nie sprowadziłam cię tutaj, abys zapolował - odparłam. Powiedziałam to głośno i stanowczo. Pulsowało mi w skroniach.
 - Zabronisz mi dziś polowania? - zapytał.
- Zastanawiałam się nad tym przez parę chwil. Będziemy musieli zawrócić i przejechać jeszcze raz w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania auta. Czy zabronię mu dziś polowania? Tak. Znał odpowiedź. To było podchwytliwe pytanie. Sęk w tym, że nie widziałam haczyka.
- Poproszę cię, abys dziś wstrzymał się od polowania - powiedziałam.
 - Podaj mi powód, Anito. - Sam, z własnej woli zwrócił się do mnie po imieniu. Najwyraźniej coś kombinował.
 - Ponieważ to ja cię tu sprowadziłam. Gdyby nie ja, nie zapolowałbyś tutaj.
 - Masz wyrzuty sumienia z powodu osoby, którą mógłbym się tu dziś pożywić?
 - Odsądzanie niechętnych temu ludzkich ofiar jest niezgodne z prawem - odparowałam.
 - Zgadza się.
 - Karą za takie przestępstwo jest śmierć - dodałam.
 - Z twojej ręki.
 - Jeżeli przestępstwo zostanie dokonane na terytorium tego stanu, to tak.
 - Przecież to tylko dziwki i alfonsi żerujący na swoich klientach. Cóż oni dla ciebie znaczą, Anito? - Chyba jeszcze nigdy nie zwrócił się do mnie po imieniu dwa razy z rzędu. To zły znak. Spod klubu Szary Kot odjechał jakiś samochód. Szczęście nam dopisało. Zatrzymałam na tym miejscu mego chevroleta. Na szczęście wóz, który odjechał, był dwa razy większy od mojego auta, bo z wpasowaniem się między stojące samochody zawsze miałam pewne kłopoty. Chwała Bogu, że miałam dostatecznie dużo miejsca na manewr i wyrównanie auta przy krawężniku. Kiedy samochód stanął przy chodniku, wciśnięty gładko w wolną przestrzeń między dwoma autami, zgasłam silnik. Jean-Claude leżał rozparty na fotelu, wpatrując się we mnie. - Zadałem ci pytanie, ma petite, co znaczą dla ciebie ci ludzie?
- Odpięłam pas i odwróciłam się, by spojrzeć na wampira. Dzięki jakiejś sztuczce świateł i cieni niemal całe jego ciało tonęło w ciemnościach. Na twarz mu padała struga prawie

złocistego światła. Biała skóra podkreślała wypukłość wydatnych kości policzkowych. Spomiędzy warg wylaniały się koniuszki kłów. Jego oczy błyszcząły jak niebieski neon. Odwróciłam wzrok i odezwałam się, wpatrując się w kierownicę.

- Zrozum, Jean-Claude, dla mnie nie jest ważne, jacy to są ludzie. Istotne jest, że to ludzie. Dobrzy, źli czy obojętni, ci ludzie żyją i nikt nie ma prawa odebrać im życia.

- A zatem życie jako takie wciąż jest dla ciebie świętością?

- Tak jest. - Pokiwałam głową. - Poza tym uważam, że każdy człowiek jest na swój sposób szczególny. Każda śmierć oznacza utratę czegoś cennego i niezastąpionego. - Dopiero gdy to powiedziałam, znów spojrzałam na niego.

- Zabijałaś już wcześniej, Anito. Unicestwiałaś to, co niezastąpione.

- Ja także jestem niezastąpiona - odparłam. - Co oznacza, że także mnie nikt nie ma prawa zabić. - Usiadł jednym płynnym ruchem i rzeczywistość jakby skonsolidowała się wokół niego. Nieomal poczułam, jak czas wewnątrz mego auta ruszył z miejsca, fala dźwiękowa przetoczyła się wewnątrz mojej czaszki niczym grzmot. Jean-Claude wyglądał teraz całkiem jak człowiek. Jego blada cera trochę się zaróżowiła. Kręcone czarne włosy, starannie zaczesane i ułożone, wydawały się żywe i lśniące. Oczy miały barwę nocnego nieba, nic niezwykłego, pomijając kolor. Znów był człowiekiem, zmienił się weń w mgnieniu oka. - Jezu - szepnęłam.

- Co się stało, ma petite?

Pokręciłam głową. Gdybym zapytała, jak tego dokonał, tylko by się uśmiechnął.

- Po co te wszystkie pytania, Jean-Claude? Od kiedy przejmujesz się moimi poglądami na życie?

- Jesteś moją ludzką służebnicą. - Uniósł dłoń, aby uciszyć mój natychmiastowy protest. - Rozpocząłem proces, w wyniku którego staniesz się moją ludzką służebnicą i chciałbym cię lepiej zrozumieć.

- Czy nie mógłbyś... po prostu... wyczuć moich emocji, tak jak w przypadku ludzi na ulicy?

- Nie, ma petite. Wyczuwam tylko twoje pożądanie i niewiele więcej. Zrezygnowałem z tego, odkąd cię nazaczyłem.

- Nie potrafisz mnie wyczuć?

- Nie.

Miło to wiedzieć. Jean-Claude nie musiał mi tego mówić. Czemu więc to zrobił? Nigdy nie dawał niczego za darmo. Gdzieś tam musiały kryć się niewidzialne dla mnie nitki, sznurki jak u marionetki. Pokręciłam głową.

- Dziś masz mnie tylko wspierać. Nie rób nic nikomu, chyba że ci każę, zgoda?

- Co to znaczy, że nikomu nie mam nic robić?

- Nie rób nikomu krzywdy, chyba że ktoś zaatakuje nas pierwszy.

Pokiwał głową. Miał poważną minę. Dlaczego spodziewałam się, że mnie wyśmieje? Skąd wzięło się we mnie to posępne przekonanie? Mistrz Miasta miałby podporządkować się rozkazom kogoś takiego jak ja? Śmiechu warte. Przynajmniej w moim mniemaniu.

Na ulicy panował spory hałas. Z każdego budynku płynęła głośnie muzyka. Piosenki były różne, ale jednakowo głośnie. Błyszczące neony układały się w napisy "Dziewczęta!", "Topless!", "Spotkaj kobietę swoich marzeń!" I wiele innych. O rany. Podeszła do nas wysoka, szczupła, czarnoskóra kobieta. Miała na sobie fioletowe szorty tak krótkie, że wyglądały jak stringi. Jej nogi i pośladki opinały czarne siatkowe rajstopy. Wyglądała prowokująco.

Przystanąła pomiędzy nami. Zmierzyła nas wzrokiem.

- Które z was lubi ostrą jazdę, a które jest obserwatorem?

Jean-Claude i ja wymieniliśmy spojrzenia. Kąciki ust wampira wykrzywiły się w słabym uśmiechu.

- Przepraszam, szukamy Wandy - powiedziałam.

- Sporo ich tutaj - odparła. - Mogę zrobić dla was to samo, co Wanda, i to lepiej. - Podeszła do Jean-Claude, niemal przywarła do niego. Ujął jej dłoń w swoją i delikatnie uniósł do ust. Robiąc to, przez cały czas patrzył na mnie. - Ty jesteś tym aktywnym - rzekła. Jej głos stał się zduszony, zmysłowy. A może po prostu Jean-Claude tak wpływał na kobiety. Może. Kobieta przylgnęła do niego. Jej skóra wydawała się bardzo ciemna na tle jego białej koronkowej koszuli. Paznokcie miała pomalowane na różowo.

- Przepraszam, że przerywam - wtrąciłam - ale nie mamy całej nocy.

- A więc to nie ta, której szukamy - odezwał się.

- Nie - odparłam.

Ujął ją za rękę tuż powyżej łokci i odepchnął od siebie, zaczęła się szamotać, aby znów się do niego zbliżyć. Schwyciła go za ramiona, próbując przyciągnąć go do siebie. Trzymał ją na odległość wyciągniętych ramion bez najmniejszego wysiłku. Równie swobodnie mógłby trzymać przed sobą podniesioną półciężarówkę.

- Zrobię ci za darmo - wychrypiąła.

- Coś ty jej zrobił? - zapytałam.

- Nic.

Nie uwierzyłam mu.

- Nic, a ona chce ci zrobić dobrze za friko? - Sarkazm to jeden z moich wrodzonych talentów. Dopilnowałam, aby Jean-Claude odebrał to właściwie. Musiał to zrozumieć.

- Nie ruszaj się - wycodził.

- Nie każ mi się zamknąć.

Kobieta znieruchomiała. Jej ręce opadły wzdłuż boków, zwiotczałe. Nie mówił do mnie.

Jean-Claude puścił ją. Nawet nie drgnęła. Ominął ją jak szczelinę w chodniku. Ujął mnie pod rękę, nie broniał się. Patrzyłam na prostytutkę, czekając, kiedy się poruszy. Jej wyprężonym, niemal nagim ciałem wstrząsnął dreszcz. Ramiona kobiety zwisały bezwładnie. Odrzuciła głowę do tyłu i wzięła głęboki, drżący oddech.

Jean-Claude pociągnął mnie delikatnie w głąb ulicy, jego palce delikatnie obejmowały mój łokieć. prostytutka odwróciła się, miała mętny wzrok. Nie rozpoznała nas.

Przełknęłam ślinę z takim trudem, że aż zabolęło. Uwolniłam się z uścisku Jean-Claude'a. Nie stawiał oporu. I bardzo dobrze. Dla niego. Wycofałam się pod okno wystawowe. Jean-Claude stanął przede mną.

- Co jej zrobiłeś? - spytałam.

- Przecież ci powiedziałem, ma petite, nic.

- Nie nazywaj mnie tak. Widziałam ją, Jean-Claude. Nie okłamuj mnie.

Obok nas zatrzymało się dwóch mężczyzn, aby spojrzeć na wystawę. Trzymali się za ręce. Spojrzałam w okno wystawowe i zalałam się rumieńcem. Były tam bicze, skórzane maski, miękko obite kajdanki i przedmioty, których nawet nie umiałam nazwać. Jeden z mężczyzn nachylił się do drugiego i szepnął coś. Drugi wybuchnął śmiechem. Pierwszy wychwycił mój wzrok. Nasze spojrzenia spotkały się, a ja natychmiast spuściłam oczy. W miejscach takich jak to kontakt wzrokowy bywa niebezpieczny. Spiekłam raka i było mi wstyd. Dwaj mężczyźni odeszli, trzymając się za ręce. Jean-Claude gapił się na wystawę, jakby był na zakupach. Zachowywał się swobodnie. Na luzie.

- Co zrobiłeś tej kobiecie?

Nie odrywał wzroku od wystawy. Nie potrafiłam określić, co konkretnie przykuło jego uwagę.

- To było nieostrożne z mojej strony, ma... Anito. To moja wina. Przyznaję.

- O co się właściwie obwiniasz?

- Moja... moc wzrasta, gdy jestem w towarzystwie mojej ludzkiej służebnicy. - Spojrzał na mnie. Omiótł wzrokiem moją twarz. - Gdy jesteś przy mnie, moje moce przybierają na sile.

- Chcesz powiedzieć, że to jest tak jak z chowańcami dla wiedźm?

- Tak. Można to z tym porównać. Nie sądziłem, że wiesz aż tyle o czarach. - Przekrzywił głowę, na jego ustach wykwitł lekki uśmieszek.

- Miałam trudne dzieciństwo - odparłam. Nie zamierzałam pozwolić mu na zmianę tematu.

To było dla mnie zbyt ważne. - A zatem twoja zdolność hipnotyzowania ludzi wzrokiem wzrasta, kiedy jestem blisko ciebie. Do tego stopnia, że bez najmniejszego wysiłku rzuciłeś urok na tę prostytutkę. - Przytaknął. Pokręciłam głową. - Nie. Jakoś ci nie wierzę.

- Wierz, w co chcesz, ma petite. Taka jest prawda. - Wzruszył ramionami, to był zgrabny gest. Pelen gracji.

Nie chciałam uwierzyć. Gdyby to była prawda, oznaczałoby, że faktycznie byłam jego ludzką służebnicą. Czyny może tego nie potwierdzały, ale wystarczała sama moja obecność.

Było mi zimno, a jednak czułam, jak strużka potu spływa mi po plecach.

- Cholera - powiedziałam.

- Nieźle powiedziane - przyznał.

- Nie rozumiesz. Nie potrafię teraz się z tym uporać. Nie umiem. Nie dam rady. - Spojrzałam na niego. - Jeżeli nawet z wielokrotnością twoją moc, bardzo cię proszę, w mojej obecności postaraj się trzymać ją na wodzy, dobra?

- Spróbuję - powiedział.

- Nie próbuj, do cholery, tylko zrób to.

- Oczywiście, ma petite. - Uśmiechnął się szeroko, błyskając koniuszkami kłów.

Poczułam pierwsze objawy paniki narastającej w moim wnętrzu. Zacisnęłam dłonie w pięści.

- Jeżeli jeszcze raz mnie tak nazwiesz, przywalę ci.

Jego oczy rozszerzyły się odrobinę, wargi się rozchyliły. Dostrzegłam, że próbował stłumić w sobie śmiech. Nie znoszę, gdy ktoś drwi sobie z moich gróźb.

Był natarczywym skurwielem i chciałam mu dopiec. Chciałam, aby cierpiał, ponieważ wzbudził we mnie strach. Miałam już wcześniej do czynienia z takimi emocjami. Zwykle prowadzą one do gwałtownego wybuchu przemocy. Spojrzałam w to rozbawione, uśmiechnięte oblicze. Jean-Caude był protekcyjnym sukinsynem, ale gdyby doszło co do czego, jedno z nas musiałoby umrzeć. Istniała spora szansa, że tym kimś byłabym ja. Rozbawienie znikło z jego twarzy - była przystojna, nieodgadniona i arogancka.

- O co chodzi, Anito? - zapytał czule i z przejęciem. Nawet w tak mało romantycznej okolicy jego głos wydał mi się uwodzicielski i zmysłowy. To jednak był dar.

- Nie zapędzaj mnie do narożnika, Jean-Claude. Nie pozbawiaj mnie wszystkich możliwości. To mogłoby się okazać dla ciebie zgubne.

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparł.

- Jeżeli będę miała do wyboru - ty albo ja, oczywiście, że wybiorę siebie. Nigdy o tym nie zapominaj.

Patrzył na mnie przez kilka uderzeń serca. Potem zamrugnął powiekami i skinął głową.

- Wierzę ci. Na pewno byś tak postąpiła. Ale pamiętaj, ma... Anito, jeżeli mnie zranisz, zranisz także siebie. Ja mógłbym przeżyć wstrząs, jakim byłaby dla mnie twoja śmierć.

Pytanie brzmi, amante de moi, czy ty byłabyś w stanie przeżyć moją?

Amante de moi? Co to znaczy, do cholery? Wołałam nie pytać.

- Niech cię diabli, Jean-Claude, bodajbyś szczeł w piekle.

- Moja droga Anito, to się stało na długo przed poznaniem ciebie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Wzrok miał niewinny jak dziecko.

- Ależ Anito, przecież to twój Kościół, rzymskokatolicki, ogłosił wszystkie wampiry samobójcami. Co z natury rzeczy automatycznie czyni nas potępionymi.

- Należę teraz do Kościoła episkopalnego. - Pokręciłam głową. - Ale chyba nie o to ci chodziło.

Wybuchnął śmiechem. Ten dźwięk był jak muśnięcie jedwabiu po nagim karku. Gładki i przyjemny, a mimo wszystko wywoływał dreszcz.

Odeszłam. Po prostu zostawiłam go stojącego przed tą okropną wystawą. Wmieszałam się w tłum dziwek, alfonsów i klientów. Na tej ulicy nie było nikogo równie groźnego, jak Jean-Claude. Sprowadziłam go tu, aby mnie chronił. Śmiechu warte. Czysty absurd.

Obrzydliwość.

Zatrzymał mnie młody, może piętnastoletni chłopak. Miał na sobie tylko kamizelkę i podarte dżinsy.

- Chcesz czegoś? - spytałam.

Był odrobinę wyższy ode mnie. Miał niebieskie oczy. Stojący za nim dwaj inni chłopcy gapili się na nas jak sroki w gnat.

- Nie mamy tu wielu kobiet - powiedział.

- Wierzę ci. - Wyglądał niesamowicie młodo. - Gdzie znajdę Wandę Wózek?

- O Jezu, miłośniczka kalek! - rzucił jeden z chłopaków stojących z tyłu.

Przytaknęłam.

- Gdzie ją znajdę? - Pokazałam mu dwudziestodolarowy banknot. To było za dużo. Za informacje płaciło się znacznie mniej, ale może dzięki tym pieniądzom chłopak szybciej wróci do domu. Może mając dwadzieścia dolców, mógłby zrezygnować z zatrzymania któregoś z aut krążących wzdłuż tej ulicy. Dwadzieścia dolców mogło i powinno zmienić jego życie. To tak jak próbować palcem zatkać dziurę w nieszczelnym kontenerze z odpadami radioaktywnymi.

- Znajdziesz ją pod Szarym Kotem. Przy końcu ulicy.

- Dzięki. - Dałam mu dwudziestkę. Miał brud pod paznokciami.

- Na pewno nie chcesz się zabawić? - Głos miał słaby i niepewny, podobnie jak spojrzenie. Kątem oka dostrzegłam Jean-Claude'a przedzierającego się przez tłum. Szedł po mnie. Aby mnie ochronić. Odwróciłam się do chłopaka.

- Uwierz mi, ubawu mam od jakiegoś czasu po pachy. I bynajmniej nie masz mi czego zazdrościć.

Zmarszczył brwi, wyglądał na zakłopotanego. I bardzo dobrze. Ja też byłam zakłopotana. Co zrobić z natrętnym mistrzem wampirów, który nie chce zostawić cię w spokoju? Dobre pytanie. Sęk w tym, że nie znałam na nie odpowiedzi.

Wanda Wózek, kobieta niskiego wzrostu, siedziała w jednym z tych sportowych wózków inwalidzkich, których używa się do wyścigów. Nosiła sportowe rękawiczki, i prężne mięśnie poruszały się płynnie pod jej opaloną skórą, gdy podjechała do przodu. Długie, kasztanowe włosy okalały łagodnymi falami jej atrakcyjną twarz. Miała nałożony gustowny makijaż. Nosiła lśniący, metaliczny podkoszulek; nie miała stanika. Jej nogi skrywały się pod sięgającą do kostek spódnicą z co najmniej dwóch warstw wielobarwnej krynoliny, stopy obute były w gustowne czarne botki.

Podjechała do nas dość energicznie. Większość prostytutek, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, wyglądała pospolicie. Nie byli poubierani wyzywająco, w skąpe, obcisłe stroje. Królowały topy i szorty. Zważywszy na ten upał, czyż można było się im dziwić? Myślę, że gdybyście wbili się w siatkowe kombinezony, niejako z założenia zwrócilibyście na siebie uwagę policji.

Jean-Claude stanął obok mnie. Spojrzał na jaśniejący neon Szarego Kota nieopodal. Bardzo gustowny.

Jak zbliżyć się do prostytutki, choćby tylko po to, aby z nią porozmawiać? Każdego dnia człowiek uczy się czegoś nowego. Zastąpiłam jej drogę i czekałam, aż do mnie podjedzie. Uniosła wzrok i zauważyła, że na nią patrzę. Gdy nie odwróciłam wzroku, odnalazła moje spojrzenie i uśmiechnęła się.

Jean-Claude znów przystanął obok mnie. Uśmiech Wandy poszerzył się, a może pogłębił. To był "zapraszający" uśmiech, jak go zwykła określać Babcia Blake.

- Czy to ta prostytutka? - wyszeptał Jean-Claude.

- Tak - odparłam.

- Na wózku? - zdziwił się.

- Taa.

- O rany - mruknął. Chyba Jean-Claude był w ciężkim szoku. Miło widzieć, że coś takiego jest w ogóle możliwe.

Wanda zatrzymała wózek wprawnymi ruchami dłoni. Uśmiechnęła się, spoglądając na nas. Unoszenie głowy i patwienie w górę zdawało się sprawiać jej ból.

- Cześć - rzekła.

- Cześć - powiedziałam.

Wciąż się uśmiechała. A ja wciąż patrzyłam. Dlaczego nagle poczułam się niezręcznie?

- Przyjaciel powiedział mi o tobie - stwierdziłam. Wanda skinęła głową. - To na ciebie mówią Wanda Wózek?

Uśmiechnęła się szeroko, a jej oblicze przepełniło się szczerością. A więc za tą maską fałszywych uśmiechów kryła się prawdziwa osoba.

- Tak, to ja.

- Możemy pogadać?

- Jasne - odparła. - Masz pokój?

Czy miałam pokój? Czy to nie ona powinna mieć wolną chatę?

- Nie.

Wanda czekała. A niech to.

- Chcemy tylko z tobą porozmawiać. To zajmie z godzinkę, dwie. Zapłacimy według twojej zwykłej stawki. - Powiedziała mi, ile wynosi jej stawka. - Rany, słono się cenisz - mruknięłam. Rozpromieniła się.

- Daję i wymagam - stwierdziła. - Tego co mogę ci dać, nie dostaniesz nigdzie indziej.

Mówiąc te słowa, pogładziła dłońmi nogi. Podążyłam wzrokiem za jej rękoma, tak jak tego chciała. O to właśnie chodziło. Muszę przyznać, że to też było trochę dziwne.

- W porządku, umowa stoi. - Skinęłam głową. To był wydatek wliczony w kosztą mojej pracy. Papier do drukarki, pióra, ołówki, jedna prostytutka, skoroszyty, kartonowe teczki. Widzicie, pasuje jak ulał. Bertowi to się pewnością spodoba.

Zabraliśmy Wandę do mojego mieszkania. W budynku nie było windy. Dwie kondygnacje schodów stanowiły dla osoby na wózku przeszkodę nie do pokonania. Jean-Claude zaniósł ją na górę. Idąc przede mną, poruszał się płynnie i pewnie. Wanda nie spowalniała go ani trochę. Ja podążałam za nim z wózkiem. Szłam przez to bardzo wolno. Pocieszał mnie fakt, że mogłam obserwować Jean-Claude'a wspinającego się po schodach. Przyznaję się. Jestem winna. Ale Jean-Claude jak na wampira miał całkiem zgrabny tyłek.

Czekał na mnie w korytarzu na górze, stojąc z trzymaną na rękach Wandą. Oboje spojrzeli na mnie dziwnie nieobecny wzrokiem. Potoczyłam wózek po wykładzinie. Jean-Claude ruszył za mną. Krynolinowa spódnica Wandy szeleściła przy każdym jego kroku.

Oparłam wózek o nogę i otworzyłam drzwi. Pchnęłam je aż do końca, aby wpuścić do środka Jean-Claude'a.

Wózek składał się do środka, to było bardzo wygodne. Przez chwilę mocowałam się z metalowymi zaczepami rurek, aby wózek wrócił do poprzedniego kształtu. Tak jak przypuszczałam, łatwiej go było popsuć, niż złożyć. Przerwałam szarpaninę z wózkiem i ujrzałam Jean-Claude'a wciąż stojącego pod drzwiami. Wanda spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

- Co się stało? - spytałam.

- Nigdy nie byłem w twoim mieszkaniu.

- I co z tego?

- Wielka znawczyni wampirów... daj spokój, Anito.

- Możesz wejść. Zapraszam.

- Dziękuję za zaproszenie. Jestem zaszczycony. - Ukłonił się lekko.

Wózek odzyskał dawny kształt. Jean-Claude posadził Wandę na nim. Zamknęłam drzwi.

Wanda wygładziła spódnice, zasłaniając nią nogi.

Jean-Claude stał pośrodku pokoju i rozglądał się dokoła. Spojrzał na kalendarz z pingwinkami na ścianie, przy kuchni. Przekartkował go, by zobaczyć pozostałe miesiące i towarzyszące im rozmaite zdjęcia nietotów. Chciałam powiedzieć, aby przestał, ale to, co robił, było w sumie nieszkodliwe. Nie zapisuję w kalendarzu umówionych spotkań. Czemu mi przeszkadzało, że tak się tym zainteresował? Odwróciłam się do prostytutki. Ta noc była zdecydowanie zbyt dziwna.

- Napijesz się czegoś? - spytałam. Gdy masz wątpliwości, bądź uprzejma.

- Czerwonego wina, jeżeli je masz - odparła Wanda.

- Przykro mi, ale nie mam żadnych napojów alkoholowych. Kawa, napoje gazowane, nic dietetycznego, ewentualnie woda.

- To może jakiś napój - poprosiła.

- Podać szklaneczkę? - Wyjęłam z lodówki puszkę coli.

Pokręciła głową. Jean-Claude oparty o ścianę obserwował, jak krzątam się po kuchni.

- Ja też dziękuję za szklaneczkę - rzekł półgłosem.

- Nie bądź taki mądry - mruknęłam.

- Za późno.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Ten uśmiech chyba mu się spodobał. Zasepiłam się. Życie w pobliżu Jean-Claude'a nie było łatwe. Wampir skierował się w stronę akwarium. Zwiedzał moje mieszkanie. Wiedziałam, że tak będzie. Ale przynajmniej dzięki temu zostałam sam na sam z Wandą.

- Cholera, to wampir - rzuciła Wanda. Wydawała się zdziwiona.

To mnie zaskoczyło. Ja rozpoznawałam nieumarłych na pierwszy rzut oka. Trup to trup, niezależnie jak atrakcyjny.

- Nie wiedziałaś? - spytałam.

- Nie jestem trumiennym wabikiem - odparła. Mięśnie jej twarzy zacisnęły się. Widziałam, jak śledzi Jean-Claude'a wzrokiem. Była przerażona.

- Co to jest trumienny wabik? - Podałam jej puszkę.

- Dziwka, która daje wampirom.

Trumienny wabik, ciekawe określenie.

- On cię nie skrzywdzi - powiedziałam.

Spojrzała na mnie brązowymi oczami. Wzrok miała przenikliwy, jakby chciała wejrzeć w głębię mojej czaszki i stwierdzić, czy mówię prawdę. To przerażające, chodzić z nieznajomymi do pokoi na godziny i nie mieć pewności, czy się stamtąd wyjdzie. Czy klient nie zrobi ci nic złego. Desperacja albo żądza śmierci.

- To jak zrobimy to razem? - zapytała. Ani na chwilę nie odrywała wzroku od mojej twarzy.

Zamrugłam powiekami. Dopiero po chwili zorientowałam się, o co jej chodziło.

- Nie - pokręciłam głową. - Nie, przecież mówiłam, że chcę tylko porozmawiać. I to prawda. - Chyba się zaczerwieniłam.

Może podziałał ten rumieniec. Otworzyła puszkę i pociągnęła łyk.

- Chcesz, abym opowiadała, jak robiłam to z innymi, podczas gdy ty będziesz się z nim zabawiać? - Skinęła głową na wędrującego po mieszkaniu wampira.

Jean-Claude zatrzymał się przed jedynym obrazem, jaki miałam w pokoju. Był nowoczesny i pasował do wystroju. Szarość, biel, czerń i lekki róż. To jeden z tych obrazów, który im dłużej mu się przyglądasz, staje się bardziej wyrazisty i czytelny.

- Posłuchaj, Wando, chcę tylko z tobą porozmawiać. To wszystko. Nikt nie będzie niczego z nikim robił. Jasne?

- Ty za to płacisz. Możemy robić, co zechcesz. - Wzruszyła ramionami.

Te słowa sprawiły, że coś zabolalo mnie w środku. Mówiła serio. To ja płaciłam. A ona zrobiłaby wszystko, za co zapłacę. Wszystko? To było okropne. Świadomość, że ktoś mówi, że zrobi wszystko, i co gorsza, mówi to z pełnym przekonaniem. Rzecz jasna wampiry nie wchodziły w grę. Nawet dziwki mają pewne granice.

Wanda uśmiechnęła się do mnie. Zmiana była niesamowita. Jej oblicze rozpromieniło się. Wyglądała cudownie. Nawet jej oczy błyszczały. Przypominała mi uśmiechającą się bezgłośnie Cicely. Wracajmy do interesów.

- Słyszałam, że jakiś czas temu byłaś kochanką Harolda Gaynora. - Żadnych wstępów, bez owijania w bawełnę. Waliłam prosto z mostu.

Uśmiech Wandy przygasał. Wesołe iskielki znikły z jej oczu, zastąpiła je czujność.

- Nie znam nikogo o tym nazwisku.

- Owszem, znasz - zaoponowałam. Wciąż stałam nad nią, zmuszając, by patrzyła na mnie pod niewygodnym kątem. Upiła łyk coli i pokręciła głową, nie patrząc na mnie. - Daj spokój, Wando, wiem, że byłaś kochanką Gaynora. Powiedz, że go znasz i dalej pójdzie jak z płatka.

Spojrzała na mnie, po czym spuściła wzrok.

- Nie. Zrobię ci dobrze. A wampir niech patrzy. Będę mówiła sprośności do was obojga. Ale nie znam nikogo nazwiskiem Gaynor.

Nachyliłam się, opierając dłonie o podłokietniki jej fotela. Nasze twarze znalazły się bardzo blisko siebie.

- Nie jestem reporterką. Gaynor nigdy się nie dowie o naszej rozmowie, chyba że sama mu o tym powiesz. - Jej oczy stawały się coraz większe. Spojrzałam w tę samą stronę, co ona. Poły mojej wiatrówki rozchyliły się. Widać było mój pistolet. To ją zdenerwowało. Doskonale.

- Mów do mnie, Wando - rzekłam miękko, łagodnym tonem. Czasami tak właśnie brzmią najbardziej przekonujące pogroźki.

- Kim ty jesteś, u diabła? Na pewno nie glina. Reporterką też nie. Pracownicy społeczne nie noszą spluw. Kim jesteś?

W ostatnim pytaniu dało się wyczuć nutę strachu. Jean-Claude wszedł do pokoju. Był w mojej sypialni. Pięknie, po prostu pięknie.

- Kłopoty, ma petite?

Nie skarciłam go, że tak się do mnie zwrócił. Wanda nie musiała wiedzieć, że nie wszystko było między nami tip-top.

- Idzie w zaparte - mruknęłam.

Odstąpiłam od wózka. Zdjęłam wiatrówkę i położyłam, na kuchennym blacie. Wanda spojrzała na pistolet. Może nie budzę grozy swoim wyglądem, ale browning na pewno. Jean-Claude podszedł do kobiety z tyłu. Jego szczupłe dłonie dotknęły jej ramion. Podskoczyła, jakby z bólu. Ale ja wiedziałam, że to jej nie bolało. Choć może tak byłoby lepiej.

- On mnie zabije - odezwała się Wanda.

Sporo osób podzielało jej zdanie na temat pana Gaynora.

- Nigdy się nie dowie - sprostowałam. Jean-Claude potarł policzkiem o jej własny. Palcami delikatnie zaczął masować jej ramiona.

- A poza tym, moja słodka kokietko, dziś go tu nie ma - wyszeptał jej wprost do ucha. - Ale my tu jesteśmy.

Dodał coś jeszcze, tak cicho, że tego nie usłyszałam. Dostrzegłam, tylko ruch jego warg. Wanda go usłyszała. Jej oczy rozszerzyły się, zaczęła dygotać. Całe ciało przeszły gwałtowne dreszcze. W oczach zaślnęły łzy i po chwili spłynęły po jej policzkach błyszczącymi strużkami. O Jezusie.

- Proszę, nie. Proszę, nie pozwól mu - wykrztusiła zduszonym ze strachu głosem.

W tej chwili nienawidziłam Jean-Claude'a. I samej siebie też. Miałam stać po stronie prawa. To jedno z moich ostatnich złudzeń. Ostatnia iluzja. Nie chciałam jej utracić. Wanda zacznie mówić albo nie. Bez tortur.

- Zostaw ją, Jean-Claude - powiedziałam. Jego oczy wydawały się być bliźniaczymi, bezdennymi granatowymi otchłaniami.

- Smak jej strachu jest niczym mocne wino - rzekł, spoglądając na mnie. Z takimi oczami wyglądał jak ślepiec. Jego twarz wciąż miała w sobie mnóstwo uroku, nawet gdy otworzył szeroko usta, obnażając wilgotne kły.

Wanda wciąż płakała i patrzyła na mnie. Gdyby ujrzała teraz wyraz twarzy Jean-Claude'a, zaczęłaby krzyczeć.

- Sądziłam, że lepiej umiesz nad sobą zapanować, Jean-Claude.

- Panuję nad sobą bez zarzutu, ale nie bez końca. - Odstąpił od niej i zaczął spacerować w drugim końcu pokoju. Wyglądał jak lampart w klatce. Skondensowana brutalność i przemoc, czekająca tylko na uwolnienie. Nie mogłam zobaczyć jego twarzy. Czy odegrał tę komedię tylko po to, by przestraszyć Wandę? A może wcale nie grał?

Pokręciłam głową. Nie mogłam spytać go o to przy Wandzie. Może później. Może. Uklękałam przed nią. Ścisnęła puszkę w dłoni tak mocno, że aż wgniotła blachę. Nie dotknęłam jej, ale uklękałam bardzo blisko.

- Nie pozwolę mu ciebie skrzywdzić. Naprawdę. Harold Gaynor mi groził. Dlatego chcę dowiedzieć się o nim możliwie jak najwięcej.

Wanda patrzyła na mnie, ale skupiała uwagę na wampirze za moimi plecami. Była spięta.

Nie rozluźni się, dopóki Jean-Claude pozostawał w tym pokoju. Ta kobieta miała gust.

- Jean-Claude, Jean-Claude. - Gdy odwrócił się do mnie, wyglądał całkiem normalnie. Jego pełne wargi wykrzywiły się w uśmiechu. To była jednak gra. Udawał. Niech go szlag. Czy stając się wampirem, równocześnie nabierasz sadystycznych skłonności? - Wejdz na chwilę do sypialni. Wanda i ja chcemy porozmawiać na osobności.

- Do twojej sypialni. - Uśmiechnął się szerzej. - Z przyjemnością, ma petite.

Łypnęłam na niego spode łba. Był niepoprawny. Jak zawsze. Ale zrobił, o co go prosiłam.

Ramiona Wandy rozluźniły się. Wzięła drżący, niepewny oddech.

- Naprawdę nie pozwolisz, aby mnie skrzywdził?

- Naprawdę.

Rozpłakała się na dobre. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Nigdy nie wiem, jak mam się zachować w takiej sytuacji. Objąć ją? Poklepać na pocieszenie? Co?

Wreszcie przykucnęłam przed nią na podłodze i nie zrobiłam nic. Zupełnie. Trochę to trwało, ale wreszcie się uspokoiła. Przestała płakać. Zamrugnęła i spojrzała na mnie. Makijaż wokół

jej oczu rozplynał się zupełnie. Wyglądała tak delikatnie. Tak krucho. I moim zdaniem przez to jeszcze bardziej atrakcyjnie. Miałam ochotę wziąć ją w ramiona i utulić jak dziecko. A potem szeptać jej do ucha kłamstwa, że już wszystko będzie w porządku.

Gdy się rozstaniemy, jeszcze tej nocy, ona nadal będzie dziwką. Kaleką dziwką. Jak coś takiego mogło być w porządku? Pokręciłam głową, bardziej do siebie niż do niej.

- Chcesz chusteczkę higieniczną? - Skinęła głową. Wyjęłam pudełko z szafki w kuchni.

Wytarła chustką twarz, po czym delikatnie, jak prawdziwa dama, wydmuchała nos. - Czy teraz możemy porozmawiać? - Zamrugnęła powiekami i pokiwała głową. Upiła łyk coli. -

Znasz Harolda Gaynora, prawda?

Spojrzała na mnie tępym wzrokiem. Czyżbyśmy ją złamali?

- Jeśli się o tym dowie, zabije mnie. Może nie mam ochoty zostać trumiennym wabikiem, ale niespieszne mi też umierać.

- Nikt tego nie pragnie. Mów do mnie, Wando, proszę.

- W porządku, znam Harolda. - Westchnęła przeciągle i drżąco.

Harolda?

- Opowiedz mi o nim.

Wanda spojrzała na mnie. Przymrużyła lekko powieki. Miała wyraźne zmarszczki wokół oczu. Bardzo ją to postarzało. Wyglądała poważniej, niż sądziłam.

- Czy wysłał już do ciebie Brunona albo Tommy'ego? - spytała.

- Tommy złożył mi krótką wizytę.

- I co było dalej?

- Wymierzyłam do niego z pistoletu.

- Z tego? - zapytała półgłosem.

- Tak.

- Co zrobiłaś, że Harold tak się na ciebie wkurzył?

Powiedzieć prawdę czy skłamać? Ani jedno, ani drugie.

- Chciał, żebym coś dla niego zrobiła, ale odmówiłam.

- Co?

- Nieważne. - Pokręciłam głową.

- Na pewno nie chodziło o seks. Nie jesteś kaleką. - Ostatnie słowo wymówiła ze szczególnym naciskiem. - On interesuje się tylko niepełnosprawnymi. - W jej głosie czuć było gorycz.

- Jak go poznałaś?

- Na studiach na uniwersytecie w St. Louis. Gaynor przekazywał na jakiś cel pewną kwotę pieniędzy.

- I tam cię poderwał?

- Tak - powiedziała to tak cicho, że musiałam nachylić się w jej stronę.

- Co było potem?

- Oboje byliśmy na wózkach. On był bogaty. To było cudowne. - Oblizła wargi, po czym przełknęła ślinę.

- A kiedy sielanka się skończyła? - zapytałam.
- Wprowadziłam się do niego. Rzuciłam studia. To było... znacznie prostsze. On wciąż nie miał mnie dość. - Wlepiała wzrok w swój podolek. - Ale po jakimś czasie zaczął eksperymentować... w sypialni. Bo choć ma niesprawne nogi, wciąż ma w nich czucie. W przeciwieństwie do mnie - głos Wandy przeszedł nieomal w szept. Musiałam oprzeć się o jej kolana, aby ją słyszeć. - Lubił robić różne rzeczy z moimi nogami, ale ja tego nie czułam. Z początku nie miałam nic przeciwko temu, ale potem... to zaczęło być coraz bardziej niezdrowe. Zboczone. - Spojrzała na mnie z odległości paru centymetrów. W jej oczach wciąż błyszczały łzy. - Zaczął mnie ranić, kroić, nie czułam tego, ale nie w tym rzecz, prawda?
- Oczywiście. - Pierwsza łza spłynęła po jej twarzy. Dotknęłam jej dłoni. Zaciśnęła na mojej palce i przytrzymała. - Już dobrze - powiedziałam - już dobrze. - Rozplakała się. Trzymałam ją za rękę i kłamałam jak z nut. - Teraz już będzie dobrze, Wando. On już cię nie skrzywdzi.
- Wszyscy nas krzywdzą - odparowała. - Ty też byłaś gotowa mnie skrzywdzić - dodała z oskarżycielskim błyskiem w oku.
- Nie zamierzałam jej tłumaczyć procedury łamania opornych, znanej w policji jako dobry glina i zły glina. I tak by w to nie uwierzyła.
- Opowiedz mi o Gaynorze.
- Na moje miejsce znalazł sobie jakąś głuchą dziewczynę.
- Cicely - powiedziałam.
- Spotkałaś ją? - Uniosła wzrok zaskoczona.
- Przelotnie.
- Cicely to chora zdzira. - Wanda pokręciła głową.
- Lubi torturować ludzi. To ją rajcuje. - Spojrzała na mnie, jakby oceniała moją reakcję. Czy byłam wstrząśnięta? Nie. - Bywało, że Harold sypiał z nami obiema jednocześnie. Pod koniec zawsze sypialiśmy we trójkę. Sypialniane gry stały się znacznie ostrzejsze. - Jej głos zmienił się w ochryply szept. - Cicely lubi noże. Jest bardzo dobra, jeżeli chodzi o skórowanie. - Znów oblizła wargi.
- Gaynor zabiłby mnie za sam fakt, że zdradzam ci tajemnice jego alkowy.
- Znasz jeszcze inne jego sekrety? Na przykład dotyczące prowadzonych przez niego interesów?
- Nie. - Pokręciła głową. - Przysięgam. Zawsze zachowywał daleko posuniętą dyskrecję. Nie chciał mnie w to wtajemniczać. Z początku sądziłam, że nie chciał, abym w razie jakiegś jego wpadki trafiła razem z nim do więzienia. - Wlepiała wzrok w podolek. - Później zrozumiałam, że od samego początku wiedział, iż prędzej czy później zastąpi mnie inną. Nie chciał, abym dowiedziała się czegoś, czym mogłabym mu zaszkodzić, gdy już się mnie pozbędzie. - Powiedziała to bez rozgoryczenia, bez gniewu, ale z głębokim smutkiem. Wołałam, aby się wściekła i złorzeczyła. Ta cicha rozpacz była nie do zniesienia. Bolała jak rana, która nigdy się nie zagoi. Gaynor nie zabił jej, ale zrobił coś znacznie gorszego. Podarował jej życie.

Pozostawił ją żywą i okaleczoną zarówno fizycznie, jak i psychicznie. - Wiem tylko tyle, ile powiedział mi w sypialni. To raczej nie pomoże ci w walce z nim.

- Czy w sypialni rozmawialiście o czymś więcej prócz seksu? - spytałam.

- To znaczy?

- O osobistych sekretach, ale nie związanych z seksem. Byłaś jego kochanką prawie przez dwa lata. Musiał rozmawiać z tobą o czymś jeszcze oprócz seksu.

- Chyba... tak, opowiadał mi o swojej rodzinie. - Zamyśliła się.

- Co konkretnie?

- Pochodził z nieprawego łoża. Miał obsesję na punkcie rodziny swego prawdziwego ojca.

- Wiedział, kim byli?

- To była bardzo zamożna, stara rodzina. - Wanda pokiwała głową. - Jego matka była dziwką, która awansowała do roli kochanki. Gdy zaszła w ciążę, została czym prędzej wyrzucona.

Gaynor postępował w podobny sposób ze swoimi kobietami, pomyślałam. Freud tak często objawia się w naszym życiu.

- Co to była za rodzina? - spytałam.

- Nie powiedział. Chyba obawiał się, że mogłabym ich zacząć szantażować albo zwrócić się do nich, zdradzając jego brudne, małe sekrety. Bardzo mu zależało, aby gorzko pożałowali, że nie przyjęli go na łono rodziny. Sądzę, że doszedł do całej tej fortuny tylko po to, by dorównać zamożnością swojej rodzinie.

- Skoro nie zdradził ci nazwiska tej rodziny, skąd wiesz, że nie kłamał?

- Nie pytałabyś o to, gdybyś go mogła usłyszeć. Mówił z takim przejęciem. On nienawidzi tych ludzi. Pragnie jedynie tego, co mu się należy z racji urodzenia. Czyli ich fortuny. Ich pieniędzy.

- Jak zamierza je przejąć? - spytałam.

- Tuż przed tym, jak od niego odeszłam, Harold dowiedział się, gdzie spoczywają niektórzy z jego przodków. Wspominał o jakimś skarbie. Zakopanym skarbie, uwierzyłabyś?

- W grobach?

- Nie, rodzina jego ojca dorobiła się fortuny jako piraci rzeczni. Pływali po Missisipi i grabili ludzi. Gaynor był z tego powodu dumny i wściekły zarazem. Twierdził, że jego przodkowie wywodzili się od złodziei i dziwek. Kiedy zdążyli nabrać dystygowanych manier i czym tak bardzo się od niego różnili? Czy byli na tyle lepsi od niego? - Mówiąc te słowa, wpatrywała się w moje oblicze. Może coś powoli zaczynało jej świtać.

- Skąd wiedział, że lokalizując mogiły przodków, zdobędzie klucz do ich skarbów?

- Stwierdził, że znajdzie jakiegoś kapłana voodoo, który ich dla niego ożywi. Zamierzał zmusić ich, aby przekazali mu skarb zaginiony od stuleci.

- Ach, tak - mruknęłam.

- Co? Czy to ci jakoś pomogło?

Pokiwała głową. Nareszcie zrozumiałam, jaka była moja rola w planie opracowanym w chorym umyśle Gaynora. Wszystko stało się jasne. Pytanie, na które dotąd nie znałam

odpowiedzi, brzmiało - czemu właśnie ja? Dlaczego nie poszedł z tym do kogoś całkowicie niegodziwego, dajmy na to do Domingi Salvador? Do kogoś, kto przyjąłby jego pieniądze i zabił białą kozę bez mrugnięcia okiem czy wyrzutów sumienia. Dlaczego ja, skoro wszyscy doskonale wiedzą, że mam pewne zasady, których nigdy nie łamię?

- Czy wspominał jakieś nazwiska, mówiąc o tych kapłanach voodoo?

- Nie, żadnych nazwisk. - Wanda pokręciła głową. - Zawsze był pod tym względem ostrożny. Dziwnie wyglądasz. Ten wyraz twarzy. Czy to, co przed chwilą powiedziałam, w jakiś sposób ci pomogło?

- Wydaje mi się, że im mniej o tym wiesz, tym lepiej dla ciebie, prawda?

Patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę, po czym skinęła głową.

- Chyba tak.

- Czy jest jakieś miejsce... - Nie dokończyłam. Zamierzałam zaproponować jej bilet, na autobus lub samolot do dowolnie wybranego miejsca. Aby tylko nie musiała się już sprzedawać. Aby mogła zaleczyć swoje rany. Może wyczytała to z mojej twarzy albo zrozumiała, co oznacza moje milczenie. Zaśmiała się w głos. Czy dziwki nie powinny tylko cynicznie chichotać?

- A więc jednak masz w sobie coś ze społecznicy. Chcesz mnie ocalić, prawda?

- Czy to takie naiwne z mojej strony, oferować ci bilet do domu czy w jakieś inne bezpieczne miejsce?

- Jeszcze jak. - Pokiwała głową. - A poza tym z jakiej racji miałabyś mi pomagać? Nie jesteś mężczyzną. Nie lubisz kobiet. Czemu miałabyś odsyłać mnie do domu?

- Z głupoty - podpowiedziałam, wstając.

- To nie głupota. - Ujęła mnie za rękę i ścisnęła ją. - Ale to i tak nic by nie dało. Jestem dziwką. Tu przynajmniej znam miasto i ludzi. Mam stałych klientów. - Puściła moją dłoń i wzruszyła ramionami. - Dam sobie radę.

- Z niewielką pomocą przyjaciół - dokończyłam.

- Dziwki nie mają przyjaciół. - Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie musisz być dziwką. To Gaynor uczynił z ciebie dziwkę, ale nie musisz być nią już na zawsze.

Po raz trzeci tej nocy w jej oczach zakręciły się łzy. Cholera, nie była dość twarda, aby prowadzić takie życie. Nikt nie "był".

- Wezwij już dla mnie taryfę, dobra? Nie chce mi się dłużej z tobą gadać.

Cóż mogłam począć? Wezwałam taksówkę. Poinformowałam kierowcę, że będzie miał do przewiezienia osobę na wózku, tak jak kazała mi Wanda. Ponieważ ja nie mogłam tego zrobić, pozwoliłam, aby Jean-Claude zniósł ją po schodach. Była jednak bardzo sztywna i spięta w jego ramionach. Zostawiliśmy ją na wózku przy rogu ulicy.

Zaczekałam, aż podjedzie taksówka i zabierze ją. Jean-Claude stał obok mnie przy wejściu do budynku, w złocistym kręgu, światła. Ciepłe światło zdawało się wysączać kolory z jego skóry.

- Muszę cię już opuścić, ma petite. To było bardzo pouczające, ale mam niewiele czasu.

- Idziesz się pożywić, prawda?
- Aż tak to widać?
- Troszeczkę.
- Powinienem nazywać cię ma verite, Anito. Zawsze mówisz mi prawdę o mnie samym.
- Czy verite znaczy "prawda"? - zapytałam. Skinął głową.
- Czułam się źle. Byłam zła, niespokojna i podenerwowana. Wściekałam się na Harolda Gaynora, że uczynił z Wandy ofiarę i beztrosko żerował na niej przez blisko dwa lata.
- Wkurzałam się na Wandę, że na to pozwalała. Byłam też zła na siebie, że nie mogłam temu zaradzić. Tej nocy wściekałam się na cały świat. Dowiedziałam się, czego oczekiwał ode mnie Gaynor. Co miałam dla niego zrobić. I niewiele mi to pomogło.
- Ofiary będą zawsze, Anito. Drapieżcy i ofiary, tak już jest urządzony ten świat - powiedział Jean-Claude.
- Spojrzałam na niego spode łba.
- Sądziłam, że nie możesz już czytać w moich myślach.
- To prawda, nie mogę, ale umiem czytać to, co jest odmalowane na twojej twarzy i śmiem twierdzić, że trochę cię już znam. To wystarczyło mi, aby dojść do pewnych wniosków. Nie chciałam wiedzieć, że Jean-Claude znał mnie aż tak dobrze. Tak dogłębnie.
- Idź już, Jean-Claude. Po prostu odejdz.
- Jak sobie życzysz, ma petite. - I już go nie było.
- Silniejszy podmuch wiatru, a potem cisza.
- Szpaner - mruknęłam. Zostałam sama pośród nocy, czując łzy napływające do oczu. Czemu zbierało mi się na płacz? Z jakiej racji miałam oplakiwać dziwkę, którą dopiero poznałam? A może zamierzałam oplakiwać ogólnie wszelkie niesprawiedliwości tego świata. Jean-Claude miał rację. Zawsze będą drapieżcy i ofiary. A ja robiłam, co w mojej mocy, aby zaliczać się do grona drapieżców. Byłam Egzekutorką. Czemu więc stale sprzyjałam ofiarom? I dlaczego wyraz rozpaczony w oczach Wandy sprawił, że za to właśnie znienawidziłam Gaynora bardziej niż za wszystko, co mi zrobił?
- No właśnie, dlaczego?

Zadzwoił telefon. Nawet nie drgnęłam, spojrzałam tylko na budzik na nocnym stoliku. Szósta czterdzieści pięć. Cholera. Leżałam w ciemnościach, balansując na granicy snu i jawy i czekając, aż włączy się automatyczna sekretarka.

- Tu Dolph. Znaleźliśmy następną. Zadzwoń na mój pager...

Sięgnęłam po telefon, strącając przy okazji słuchawkę.

- Cześć, Dolph. Jestem.

- Długa noc?

- Taa. Co jest grane?

- Nasz przyjaciel uznał, że domy jednorodzinne to łatwy łup. - Jego głos brzmiał chrapliwie, najwyraźniej Dolph też się nie wyspał.

- Boże, tylko nie jeszcze jedna rodzina.

- Niestety... Możesz przyjechać?

To było głupie pytanie, ale nie zwróciłam mu uwagi, żołądek opadł mi na wysokość kolan. Nie chciałam powtórki z domu Reynoldsów. Wątpiłam, aby moja wyobraźnia była w stanie to wytrzymać.

- Podaj mi adres. Przyjadę. - Podał adres. - St. Peters - powiedziałam. - To niedaleko St. Charles, ale mimo wszystko...

- Co mimo wszystko?

- To kawał drogi, jak na wyprawę do jednorodzinnego domu. W St. Charles jest mnóstwo domów, które nadawałyby się dla naszego zabójcy. Po kiego zadał sobie tyle trudu i przeszedł taki szmat drogi... tylko po to, by się pożywić?

- Mnie o to pytasz? - mruknął. W jego głosie zabrzmiało coś jakby śmiech. - Przyjedź tu, pani ekspert ds. voodoo. Zobaczysz wszystko na własne oczy.

- Dolph, czy jest aż tak źle jak w domu Reynoldsów?

- Źle, gorzej, najgorzej - odparł. Wciąż słyszałam echo tego śmiechu, a także coś jeszcze, coś zimnego, twardego i srogiego. Poczucie winy?

- To nie twoja wina - stwierdziłam.

- Powiedz to moim szefom. Domagają się czyjejś głowy.

- Masz już ten nakaz?

- Dostanę go nieco później, po południu.

- W weekendy nikt nie wydaje nakazów - zauważyłam.

- Ja mam specjalne względy - odparł Dolph. - Ze względu na sytuację kryzysową. Przyjedź tu, Anito, ale tak raz-dwa. Każdy z nas chciałby już wrócić do domu. - Odłożył słuchawkę. Nawet się z nim nie pożegnałam.

Kolejne morderstwo. Cholera, cholera, cholera. Jasna cholera. Nie tak chciałam spędzić sobotni poranek. Ale przynajmniej zdobędziemy nakaz. Ekstra! Kłopot w tym, że nie bardzo wiedziałam, czego właściwie marny szukać. Nie byłam ekspertem od voodoo. Byłam

ekspertem od paranormalnych zbrodni. To niezupełnie to samo. Może powinnam poprosić Manny'ego, aby mi towarzyszył. Nie, nie. Wolałam, aby nie zbliżał się do Domingi Salvador, bo a nuż zdecydowałyby się złamać naszą umowę i wydałyby go policji. W sprawach, gdzie w grę wchodzi ofiary z ludzi, nie ma przedawnienia. Manny za to, co zrobił, trafiłby za kratki. Po Domindze można było się spodziewać, że zechce wymienić mego przyjaciela za swoje życie.

A przy okazji wrobiłaby i mnie. Cała wina za to spadłaby na mnie. Tak, to z pewnością by się jej spodobało.

Na mojej automatycznej sekretarce mrugała lampka. Dlaczego nie zauważyłam jej wczoraj? Wzruszyłam ramionami. Jeszcze jedna zagadka życia. Wcisnęłam guzik odtwarzania.

- Anito Blake, mówi John Burke. Dostałem twoją wiadomość. Zadzwoń do mnie, kiedy zechcesz. Jestem ciekaw, co dla mnie masz. - Podał mi swój numer i to było wszystko.

Świetnie, oględziny na miejscu zbrodni, odwiedziny w kostnicy i wyprawa do krainy voodoo, a wszystko to jednego dnia. Zapowiadał się żmudny, nieprzyjemny dzień. Taki sam jak ubiegła noc i jeszcze poprzednia. Cholera, to już była trzydniówka. Zastanawiałam się, kiedy minie ta moja zła passa.

Jakiś mundurowy policjant wyrzygiwał z siebie wszystkie wnętrzności do jednego z tych dużych pojemników na śmieci stojących przed domem. Zły znak. Po drugiej stronie ulicy stał wóz transmisyjny jednej ze stacji telewizyjnych. Jeszcze gorszy znak. Do tej pory Dolphowi udawało się blokować wypływ informacji do prasy, radia i telewizji na temat rzezi dokonywanych przez zombi. Obecne wydarzenia musiały stanowić zbyt łakomy kąsek, aby medialne ogary mogły je przeoczyć. "Zombi masakruje całe rodziny. Seryjny morderca, żywy trup, wciąż na wolności".

Zespół reporterski z kamerą i mikrofonami obserwował mnie, jak podchodziłam do ogradzającej teren żółtej taśmy. Gdy przypięłam sobie do kołnierza zafoliowaną plakietkę, reporterzy ruszyli jak burza. Mundurowy przytrzymał dla mnie taśmę, lustrując wzrokiem tabun reporterów. Nie odwróciłam się. Nie należy się odwracać, gdy suną na ciebie dziennikarze. Jeśli to zrobisz, dopędzą cię.

- Panno Blake, panno Blake - zawołał blondyn w garniturze - czy możemy usłyszeć pani oświadczenie?

Miło być rozpoznawaną. Chyba. Ale udałam, że go nie słyszę. Pomaszerowałam dalej, nieznacznie spuszczać głowę.

Miejsce zbrodni za każdym razem wygląda podobnie. Jeśli nie liczyć koszmarnych szczegółów, niepowtarzalnych i specyficznych dla każdego z nich z osobna.

Stałam w sypialni niedużego, parterowego farmerskiego domku. Podsufitowy wiatrak obracał się powoli. Każdemu obrotowi towarzyszyło słabe skrzypienie, jakby wiatrak z jednej strony nie był przykręcony dostatecznie mocno. Lepiej skupić się na drobiazgach. Na świetle od wschodu, wpadającym pomiędzy listewkami żaluzji, malującym pokój w czarno-białe pasy cieni. Lepiej nie patrzeć na to, co pozostało na łóżku. Nie chciałam patrzeć. Nie chciałam tego zobaczyć.

Ale musiałam spojrzeć. Musiałam zobaczyć. Może nawet uda mi się znaleźć jakiś trop. No jasne, a świnie potrafią latać. Choć kto wie, może faktycznie wpadnę na jakiś trop. Może. Miejmy nadzieję. Nadzieja matką głupich.

W ludzkim ciele znajduje się przeciętnie około sześciu litrów krwi. To, co pokazują w filmach, to zdecydowanie za mało. Spróbujcie wylać na podłogę w sypialni sześć litrów mleka. Zobaczcie, ile narobi ono szkód, a teraz spróbujcie to przemnożyć... kilka razy. Tu było zbyt wiele krwi, by mogła pochodzić z ciała tylko jednej osoby. Dywan chlupotał pod stopami, przy każdym kroku kropelki krwi rozpryskiwały się we wszystkie strony. Moje białe adidasy stały się czerwone, zanim znalazłam się w pół drogi do łóżka. Oto lekcja numer jeden - wkładaj czarne adidasy, gdy odwiedzasz miejsce zbrodni.

W pokoju panowała silna woń. Cieszyłam się, że wciąż pracował podsufitowy wiatrak. Cuchnęło. Ten fetor przywodził na myśl połączenie wygódki i rzeźni. Odchody i krew. Zwykle taki właśnie fetor towarzyszy brutalnej śmierci. Pościel pokrywała nie tylko łóżko, lecz także

podłogę wokół niego. Wyglądała jak wielki papierowy ręcznik ciśnięty na największą na świecie kałużę coli. Pod prześcieradłami musiały walać się porzucone ludzkie szczątki. Wypukłości były małe, zbyt małe, aby mogły to być całe zwłoki. Żadne z przesiąkniętych szkarłatem wyrzyszeń nie było tak duże, by mogło tam spoczywać nieokaleczone ciało.

- Proszę, nie kaźcie mi tego oglądać - wyszeptałam pod nosem.

- Mówiłaś coś?

Drgnęłam nerwowo i ujrzałam stojącego za mną Dolpha.

- Jezu, Dolph, ale mnie wystraszyłeś.

- Zaczekaj, aż zobaczysz, co znajduje się pod tymi prześcieradłami. Potem naprawdę będziesz miała powód, by się bać.

Nie chciałam zobaczyć tego, co spoczywało pod tą mokrą od krwi pościelą. Z całą pewnością naoglądałam się już dość koszmarów, by wystarczyło mi ich na cały tydzień. Przedostatniej nocy przekroczyłam swój limit krwawej grozy. Tak. Zdecydowanie tak. Dolph stał w drzwiach. Czekał. Pod oczami miał małe zmarszczki, których wcześniej nie zauważyłam. Poza tym był blady i nieogolony.

Każde z nas czegoś potrzebowało. Najpierw jednak musiałam zajrzeć pod prześcieradła. Skoro Dolph mógł to zrobić, to i ja także. No jasne.

- Potrzebujemy pomocy przy zdjęciu prześcieradeł. - Dolph wychylił głowę na korytarz. - Kiedy Blake zobaczy szczątki, będziemy mogli wrócić do domu - chyba dodał to ostatnie zdanie, ponieważ nikt nie kwapił się do pomocy. Nie miał co liczyć na ochotników. -

Zerbrowski, Perry, Merlioni, pofatygujcie się no tutaj.

Worki pod oczami Zerbrowskiego wyglądały jak sińce.

- Siema, Blake.

- Cześć, Zerbrowski, fatalnie wyglądasz.

Zaśmiał się.

- A ty wciąż wyglądasz świeżo i kwitnąco. - Uśmiechnął się do mnie.

- No jasne - burknęłam.

- Panno Blake, miło znowu panią widzieć - rzekł detektyw Perry.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Perry był jedynym znanym mi gliną, który nawet przy krwawych szczątkach zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen.

- Ja też się cieszę, że pana widzę, detektywie Perry.

- Możemy kontynuować - odezwał się Merlioni - czy może zamierzacie gruchać tu sobie jak zakochane gołąbki? - Merlioni był wysoki, choć nie tak wysoki jak Dolph. Ale w sumie kto dorównywał Dolphowi wzrostem? Siwe, kręcone włosy miał przycięte krótko i wygolone nad uszami. Nosił białą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami i poluzowany pod szyją krawat. Pistolet w odstającej kaburze na biodrze wyglądał jak pękaty portfel.

- Wobec tego łap się za pierwsze prześcieradło, Merlioni, skoro tak ci się spieszy - rzucił Dolph.

- Tja, tja. - Merlioni westchnął. Podeszedł do prześcieradła leżącego na podłodze. Ukłął. - Jesteś na to gotowa, dziewczyno?

- Może się okazać, że dziewczyna jest twardsza od byle makaroniarza - odparowałam. Uśmiechnął się. - Do dzieła.

- Czas na przedstawienie - rzekł Merlioni. Uniósł prześcieradło, które przywarło do rozległej kałuży posoki i odchodziło od niej powoli, z wilgotnym młaśnięciem.

- Zerbrowski, pomóż mu to podnieść - poleciał Dolph.

Zerbrowski nie zaoponował. Musiał być zmęczony. Dwaj mężczyźni jednym zdecydowanym ruchem unieśli prześcieradło. Poranne słońce przebiło się przez okrwawioną tkaninę, barwiąc dywan na jeszcze bardziej czerwony kolor, o ile to w ogóle możliwe. Z brzegów prześcieradła trzymanego przez dwóch mężczyzn ściekała krew. Wielkie czerwone krople skapywały jak z uszkodzonego kranu. Nigdy dotąd nie widziałam materiału tak nasiąkniętego krwią. Cóż, zawsze musi być ten pierwszy raz.

Spojrzałam na dywan i wytrzymałam wzrok. Ujrzałam stertę czegoś niedużego i bryłowatego. Uklękałam przy tym. Krew przesiąkała moje dżinsy na kolanie. Była zimna. To lepsze, niż gdyby była ciepła. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Największy fragment był wilgotny i gładki, mierzył koło trzynastu centymetrów długości. Był różowy i dorodny. Fragment jelita grubego. Obok leżał mniejszy kawałek. Przyjrzałam mu się, ale im dłużej patrzyłam, tym bardziej wydawał mi się obcy. To równie dobrze mógł być kawałek jakiegoś zwierzęcia. Do licha, nawet to jelito nie musiało być ludzkie. Ale było, w przeciwnym razie nie posłano by po mnie.

Szturchnęłam mniejszy fragment palcem w gumowej rękawiczce. Tym razem nie zapomniałam o rękawiczkach. Punkt dla mnie. Strzęp był wilgotny, ciężki i twardy w dotyku. Przełknęłam ślinę, ale wciąż nie miałam pojęcia, co to mogło być. Te kawałki mięsa wyglądały jak coś, co wypadło z pyszczka kotu. Okruchy ze stołu. Jezu. Wstałam.

- Następne. - Mój głos brzmiał stanowczo, zwyczajnie. To zdumiewające.

Do zdjęcia narzuty z łóżka potrzeba było aż czterech mężczyzn.

- Cholera! - Merlioni zaklął i upuścił trzymany róg. Krew spłynęła po jego dłoni na białą koszulę.

- Czyżby zapaprał se tę śnieżnobiłą koszulę? - spytał Zerbrowski.

- Tak, kurde. Ależ tu bajzel.

- Chyba pani domu nie zdążyła posprzątać przed twoim przyjazdem, Merlioni - wtrąciłam.

Zerknęłam na łóżko i szczątki pani domu. W chwilę potem przeniosłam wzrok na Merlioniego. - A może glina, makaroniarz, nie może już tego znieść, co?

- Zniosę wszystko to, co ty, mała damo - odparł.

- Idę o zakład, że nie. - Zmarszczyłam brwi i pokręciłam głową.

- To mi się zaczyna podobać - mruknął Zerbrowski.

Dolph nie próbował nas powstrzymać, wyjaśnić, że to miejsce zbrodni, a nie jaskinia hazardu. Wiedział, że potrzebowaliśmy tego, aby pozostać przy zdrowych zmysłach. Nie mogłam patrzeć na zwłoki, nie siląc się na dowcipne komentarze. W przeciwnym razie postradałabym rozum. Musiałam jakoś rozładować napięcie. Gliny z konieczności mają najdziwniejsze poczucie humoru.

- O co się zakładamy? - spytał Merlioni.
- O kolację dla dwojga u Tony'ego - odparłam.
- Ostro, nie ma co. - Zerbrowski zagwizdał.
- Stać mnie, by w razie czego uregulować rachunek. To jak, zakład stoi?
- Od wieków nie byliśmy z żoną na wystawnej kolacji. - Merlioni skinął głową i podał mi okrwawioną dłoń. Ujęłam ją. Chłodna krew zabrudziła mi rękawiczkę. Posoka była wilgotna, miałam wrażenie, że przesiąkła przez kauczuk, ale tak się nie stało. To było tylko złudzenie. Wiedziałam, że kiedy zdejmę rękawiczki, moje dłonie będą suchutkie. Mimo to wrażenie było denerwujące. - Jak udowodnimy, które z nas jest twardsze? - spytał Merlioni.
- Tu i teraz. Na miejscu zbrodni - odparłam.
- Stoi.

Z nowym zapałem i determinacją zlustrowałam wzrokiem miejsce masakry. Wygram ten zakład. Nie dam Merlioniemu satysfakcji. Dzięki temu przynajmniej miałam się na czym skupić, nie musiałam poświęcać większej uwagi temu, co leżało na łóżku.

A leżała tam lewa połowa torsu. Wciąż można było rozpoznać fragment nagiej piersi. Czy należała do pani domu? Wszystko było skąpane w jasnej czerwieni, jakby ktoś rozlał na łóżku parę kublów szkarłatnej farby. Trudno było wychwycić szczątki. Było tam lewe ramię, drobne, kobiece. Podniosłam je za palce, były wiotkie, nie nastąpiło jeszcze stężenie pośmiertne. Na serdecznym palcu tkwiła obrączka ślubna. Poruszyłam palcami.

- Nie ma rigor mortis. Co o tym sądzisz, Merlioni? Przyjrzał się ręce.

Nie mógł okazać się gorszy ode mnie, więc także poruszał palcami i dłonią.

- Możliwe, że stężenie już ustąpiło. Jak wiesz, pierwsze rigor nie trwa długo.

- Naprawdę sądzisz, że od śmierci denatki upłynęły już prawie dwie doby? - Pokręciłam głową. - Krew jest za świeża. Stężenie jeszcze nie wystąpiło. Zbrodnię popełniono nie dalej niż osiem godzin temu.

Skinął głową.

- Nieźle, Blake. Ale co sądzisz o tym? - Szturchnął tors tak, że pierś zafalowała. Przełknęłam ślinę. Wygram ten zakład.

- Nie wiem. Zobaczmy. Pomóż mi to odwrócić - mówiąc to, spojrzałam na jego twarz.

Czyżby trochę zbladł? Może.

- Jasne - odparł.

Pozostała trójka stanęła z boku, obserwując nasze zawody. Niech sobie patrzą. Lepsze to niż traktowanie tego, co robiliśmy, ze śmiertelną powagą.

Merlioni i ja odwróciliśmy fragment torsu. Zaaranżowałam to tak, aby musiał dotykać miękkich części ciała.

Czy pierś to zawsze pierś? Czy to istotne, że była zimna i okrwawiona? Merlioni jakby trochę zzieleniał.

Chyba jednak pewne rzeczy się liczą. Wnętrze klatki piersiowej zostało oczyszczone, jak w przypadku torsu pana Reynoldsa. Czysta, krwawa pustka. Merlioni upuścił tors z powrotem

na łóżko, krew rozprysnęła się dokoła, parę kropel dosięgło także nas. Na jego białej koszuli wyglądała gorzej niż na mojej niebieskiej bluzce polo. Punkt dla mnie.

Skrzywił się i spróbował wytrzeć krwawe plamki. Roztął sobie jednak tylko krew z rękawiczki po całej koszuli. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

- Wszystko gra, Merlioni? - zapytałam. - Nie musisz tego przedłużać, jeśli jest to dla ciebie nieprzyjemne. Po co masz się stresować.

Łypnął na mnie spode łba, po czym uśmiechnął się. To był perfidny uśmiech.

- Nie widziałaś wszystkiego, dziewczyno. W przeciwieństwie do mnie.

- Ale czy dotykałeś wszystkiego?

- Nie chcesz dotykać tego wszystkiego. - Po jego twarzy spłynęła strużka potu.

- To się okaże. - Wzruszyłam ramionami. Na łóżku leżała noga, sądząc po owłosieniu i trampku, była to noga mężczyzny. Okrągły, wilgotny wzniesienie kości zdawał się na nas patrzeć. Zombi po prostu wyrwał facetowi nogę, wyszarpnął ją ze stawu, nie uszkodzając kości. - Musiało boleć jak jasna cholera - mruknęłam.

- Myślisz, że on żył, kiedy mu to robiono?

- Tak. - Skinęłam głową. Nie miałam stuprocentowej pewności. Było za dużo krwi, aby można stwierdzić czas zgonu poszczególnych osób, ale Merlioni chyba trochę pobladł. Pozostałe fragmenty stanowiły okrwawione wnętrzości, strzępy tkanek i kawałki kości. Merlioni podniósł garść flaków.

- Łap.

- Jezu, Merlioni, to nie jest zabawne. - Mój żołądek zawiązał się w ciasny supeł.

- Nie, w przeciwieństwie do twojego wyrazu twarzy - odparł.

- Rzucasz albo nie, Merlioni, przestań się ze mną drażnić - warknęłam, spoglądając na niego spode łba.

Zamrugnął powiekami, po czym skinął głową. Cisnął pięto jelit. Ciężko było nimi rzucić, ale udało mi się je złapać. Były wilgotne, ciężkie, wiotkie, mięsiste i ogólnie obrzydliwe jak surowa wątroba jagnięca, tyle że to nie był zwierzęcy organ.

- Widzę, że nieźle się bawicie, ale może przy okazji dowiedziałbym się czegoś naprawdę istotnego? - Dolph parsknął z rozdrażnieniem.

- Jasne. - Upuściłam wnętrzości na łóżko. - Tak jak ostatnim razem, zombi wszedł przez rozsuwane szklane drzwi. Zagonił mężczyznę i kobietę tutaj, po czym zabił oboje. - Zamilkłam. Zastygłam w bezruchu.

Merlioni trzymał w ręku dziecięcy kocyk. Jakimś cudem jego róg nie przesiąknął krwią. Kocyk był różowy, w baloniki i maleńkie postacie kłownów. Z drugiego końca nakrycia spływała obficie krew. Spojrzałam na maleńkie baloniki i kłownów tańczących bezsensownie w koło.

- Ty draniu - wycodziłam.

- Mówisz do mnie? - spytał Merlioni.

Pokręciłam głową. Nie chciałam dotknąć kocyka. Ale wyciągnęłam po niego rękę. Merlioni zrobił to tak, aby okrwawiony róg musnął moje nagie ramię.

- Pieprzony makaroniarz - warknęłam.

- Mówisz do mnie, suko?

Skinęłam głową i wysiliłam się na uśmiech, ale bez powodzenia. Wciąż musieliśmy udawać, że wszystko było w porządku. Że jakoś dało się to znieść. A przecież to było ohydne.

Obrzydliwe. Plugawe. Gdyby nie zakład, już dawno zwiłabym stąd z krzykiem. Spojrzałam na kocyk.

- W jakim wieku było dziecko?

- Sądząc po zdjęciu w pokoju, jakieś trzy, cztery miesiące.

Znalazłam się wreszcie po drugiej stronie łóżka. Było tam kolejne, nakryte prześcieradłem miejsce. Równie krwawe, co poprzednie i równie małe wypukłości. Pod nim nie było nic w całości. Chciałam odwołać zakład. Jeśli tylko nie każą mi zaglądać pod prześcieradło, zaproszę ich wszystkich do Tony'ego. Tylko nie każcie mi tego podnosić. Błagam. Błagam. Ale musiałam to obejrzeć, niezależnie, czy się założyłam, czy nie. Musiałam zobaczyć, co się tam znajdowało. Mogłam zajrzeć tam i wygrać albo zrejterować i przegrać. Oddałam kocyk: Merlioniemu. Wziął go i odłożył na łóżko, tak by czysty róg nakrycia pozostał nie zabrudzony.

Uklękałam z jednej strony, przy skraju prześcieradła. Merlioni z drugiej. Nasze spojrzenia spotkały się. To był pojedynek do samego końca. A koniec mógł być tylko jeden.

Odwinęliśmy prześcieradło.

Pod nim znajdowały się dwie rzeczy. Tylko dwie. Poczułam ucisk w żołądku i mdłości podeszły mi do gardła. Zakasłałam i omal nie puściłam pawia, ale jednak mimo wszystko zdołałam się pohamować. A jednak.

Okrwawione coś, co wzięłam za dziecko, okazało się być lalką. Zwykłą lalką. Skapaną we krwi, tak że nie sposób było rozpoznać barwy włosów, ale jednak to była lalka. Za duża jak na czteromiesięczne dziecko.

Na dywanie, unurzana w posoce jak wszystko inne, leżała rączka. Cała rączka. Ludzka. Rączka dziecka. Nie mogła należeć do niemowlęcia. Rozcapirzyłam palce i przyłożyłam do niej swoją, aby porównać wielkość. Dziecko mogło mieć jakieś trzy, cztery latka. Musiało być w wieku Benjamin Reynoldsa. Czy to tylko zbieg okoliczności? Pewnie tak. Zombi nie wybierały swoich ofiar. Nie do tego stopnia.

- Dajmy na to, że pani domu karmi piersią niemowlę, kiedy nagle słyszy głośny hałas. Mąż idzie, aby to sprawdzić. Hałas budzi dziewczynkę, ta wychodzi ze swego pokoju, aby zobaczyć, co się dzieje. Mąż dostrzega potwora, chwytą dziecko i biegnie do sypialni. Tam dopada ich monstrum. I zabija wszystkich. - Mój głos brzmiał chłodno, beznamiętnie. Punkt dla mnie. Spróbowałam choć trochę zetrzeć krew z maleńkiej rączki. Na jednym z paluszków, jak na palcu mamy, widniał pierścionek. Plastikowy. W rodzaju tych, jakie dołączane są do gumy do żucia. - Widziałeś ten pierścionek, Merlioni? - spytałam. Uniosłam rączkę z dywanu i powiedziałam: - Łap.

- Jezu! - Zanim zdążyłam zrobić coś więcej, poderwał się na nogi i skierował w stronę drzwi. Wybiegł z sypialni jak burza. Nie rzuciłabym mu tej rączki. Naprawdę. Ujęłam ją w dłonie.

Wydała mi się dziwnie ciężka. Miałam wrażenie, że malutkie paluszki lada moment schwyca któryś z moich. Zacisną się na nim z ufnością małego dziecka, które mama zabiera na spacer. Upuściłam rączkę na dywan. Wylądowała na nim z wilgotnym plaśnięciem.

W pokoju było piekielnie gorąco i miałam wrażenie, że ściany lekko zawirowały. Zamrugalam i spojrzałam na Zerbrowskiego.

- Wygrałam zakład?

- Anita Blake, naprawdę twarda baba. - Pokiwał głową. - Masz przed sobą szalowy wieczór dla dwóch osób u Tony'ego na koszt Merlioniego. Słyszałem, że podają tam pyszne spaghetti.

Wzmianka o jedzeniu okazała się kroplą, która przepelnia czarę.

- Gdzie jest łazienka? - spytałam.

- W głębi korytarza, trzecie drzwi po lewej - odparł Dolph.

Pobiegłam do łazienki. Merlioni właśnie stamtąd wychodził. Nie miałam czasu, by napawać się zwycięstwem. Musiałam dać z siebie wszystko, by powstrzymać mdłości podchodzące do gardła.

Uklękałam, opierając się czołem o chłodną krawędź wanny. Poczułam się trochę lepiej. Całe szczęście, że nie zdążyłam zjeść śniadania. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Czego? - warknęłam.

- To ja, Dolph. Mogę wejść?

- Jasne - odpowiedziałam po chwili zastanowienia.

Wszedł Dolph ze ścierką w dłoni. Zapewne wziął ją z szafki w kuchni. Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, kręcąc głową. Zmoczył ścierkę pod kranem w umywalce i podał mi.

- Wiesz co z tym zrobić.

Wiedziałam. Ścierka była chłodna i cudownie kojąca, gdy rozłożyłam ją sobie na twarzy i szyi.

- Merlioniemu też przyniosłeś? - spytałam.

- Tak. Jest w kuchni. Oboje jesteście porabani, ale miło było na to popatrzeć. - Wysiliłam się na słaby uśmiech. - A teraz gdy widowisko dobiegło już końca, może doczekam się paru konstruktywnych uwag? - Usiadł na opuszczonej klapie sedesu. Nie podniosłam się z podłogi.

- Czy tym razem ktoś coś słyszał? - spytałam.

- Sąsiad twierdzi, że słyszał coś tuż przed świtem, ale musiał iść do pracy. Nie chciał, jak sam powiada, mieszać się w cudze kłótnie rodzinne.

- Czy wcześniej w tym domu miały miejsce jakieś burdy? - Spojrzałam na Dolpha. Pokręcił głową. - Boże, gdyby tylko wezwał policję - jęknęłam.

- Myślisz, że to by coś zmieniło? - wycedził Dolph.

Rozważałam to przez chwilę.

- Może nie dla tej rodziny, ale moglibyśmy pochwycić tego zombi.

- Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem - skomentował Dolph.

- Może i tak. Miejsce zbrodni jest względnie świeże. Zombi zabił tych ludzi, a potem niespiesznie pożarł. Te się nie stało ot tak, raz-dwa. Musiało upłynąć sporo czasu. O świcie ten stwór jeszcze ich mordował.

- Do czego zmierzasz?

- Otoczcie i zabezpieczcie całą tę okolicę.

- Wyjaśnij.

- Zombi musi być gdzieś w pobliżu, nie uszedł daleko. Ukrywa się, czeka na zmierzch.

- Myślałem, że zombi mogą poruszać się za dnia - rzucił Dolph.

- Mogą, ale tego nie lubią. Żaden zombi nie będzie szwendał się za dnia bez konkretnego rozkazu.

- A zatem trzeba przetrząsnąć najbliższy cmentarz - wtrącił Dolph.

- Niekoniecznie. Zombi to nie wampiry ani ghule. Nie muszą kryć się w trumnach czy w grobach. Wystarczy, że schowają się w jakimś ciemnym miejscu.

- Gdzie wobec tego mamy go szukać?
- W szopach, garażach, innymi słowy - w każdej potencjalnej kryjówce.
- Równie dobrze mógł zaszyć się w domku na drzewie. W tej okolicy jest ich sporo, dzieciaki za nimi przepadają - dodał Dolph.
- Uśmiechnęłam się. Miło było stwierdzić, że wciąż to potrafię.
- Wątpię, aby zombi zechciał wspinać się na drzewo, mając inne, prostsze możliwości wyboru. Zwróć uwagę, że wszystkie domy tutaj są parterowe.
- Piwnice - mruknął.
- Nikt nigdy nie ucieka do piwnicy - zauważyłam.
- Czy to by coś dało?
- Z reguły zombi są kiepskimi wspinaczami. - Wzruszyłam ramionami. - Ten jest szybszy i bardziej czujny, ale... Zejdźcie do piwnicy mogłoby w najlepszym razie go opóźnić. Gdyby były w niej okna, rodzice mieliby choć cień szansy na ocalenie dzieci. - Wytałam ścierką kark. - Zombi wybiera parterowe domki z przesuwanymi, przeszkłonymi drzwiami. Być może odpoczywa teraz przy jednym z nich.
- Koroner twierdzi, że ten trup ma jakieś metr osiemdziesiąt - metr osiemdziesiąt dwa wzrostu. To mężczyzna, biały. Niewiarygodnie silny.
- To ostatnie już wiemy, a reszta nie na wiele nam się przyda.
- Masz lepszy pomysł?
- Właściwie tak - odparłam. - Niech twoi ludzie, ci słusniejszego wzrostu, przez następną godzinę patrolują całą okolicę. A potem otoczcie ją szczelnym kordonem.
- I mamy przeszukać wszystkie szopy oraz garaże - dorzucił Dolph.
- A także piwnice, nisze pod schodami, stare lodówki - wtrąciłam.
- A jeśli go znajdziemy?
- Spalcie go. Ściągnijcie tu oddział eksterminatorów.
- Czy zombi zaatakuje za dnia? - spytał Dolph.
- Jeśli go rozdrażnicie, tak. I jeśli poczuje się zagrożony. Ten nasz wydaje się szczególnie agresywny.
- To nie żarty - burknął Dolph. - Będziemy potrzebować tuzina zespołów eksterminacyjnych, a może nawet więcej. Miasto nigdy na to nie pójdzie. Poza tym będzie trzeba przeczesać diablo duży obszar. Może się okazać, że całkiem przypadkowo ten zombi prześlizgnie się nam między palcami.
- Zacznie być aktywny dopiero po zmierzchu. Jeżeli będziecie gotowi, znajdziecie go. Właśnie wtedy, po zmroku.
- W porządku. Powiedziałaś to tak, jakbyś nie zamierzała pomóc nam w poszukiwaniach.
- Wrócę, aby was wspomóc, ale właśnie oddzwonił do mnie John Burke.
- Zabierasz go do kostnicy?
- Taa, a poza tym mam zamiar w swoim czasie wykorzystać go przeciwko Domindze Salvador. Niezłe wycucie czasu, co?
- Jeszcze jak. Czy mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

- Gdybyś mógł załatwić dla nas dwojga wejście do kostnicy - poprosiłam.
 - Nie ma sprawy. Uważasz, że jesteś w stanie nauczyć się czegoś od tego Burke'a?
 - Nie wiem, dopóki nie spróbuję - odparłam.
 - Stara szkoła, co? - Uśmiechnął się.
 - Najlepsza - przytaknęłam.
 - To idź już do kostnicy i spotkaj się z naszym Johnem Voodoo. Dogadaj się z nim. My tymczasem przetrzaśniemy całą tę cholerną okolicę.
 - Miło wiedzieć, że oboje mamy dzisiaj zapewniony dzień pełen wrażeń - dodałam.
 - Nie zapomnij, że po południu czeka nas przeszukanie w domu tej Salvador.
 - Taa. - Skinęłam głową. - A po zmierzchu mamy w grafiku polowanie na zombi.
 - Dziś w nocy położymy kres temu szaleństwu - powiedział.
 - Mam taką nadzieję.
 - Czyżby nasze plany nie przypadły ci do gustu? - Spojrzał na mnie i lekko zmrużył oczy.
 - Cóż, żaden plan nie jest idealny.
- Milczał przez chwilę, po czym wstał.
- Mam nadzieję, że ten akurat będzie.
 - Ja również na to liczę.

29

Kostnica miejska w St. Louis mieści się w potężnym gmachu. W sumie nie bez przyczyny. Każda ofiara zgonu nie potwierdzonego przez lekarza trafia do kostnicy. Że nie wspomnę o ofiarach zabójstw. W St. Louis oznacza to naprawdę spory przerób. Bywałam w kostnicy w miarę regularnie. Choćby po to, aby zakołkować ofiary wampirów, by nie powstały z martwych i nie odsącały z krwi tutejszego personelu. Po wprowadzeniu nowych praw dla wampirów jest to równoznaczne z morderstwem. Musisz najpierw poczekać, aż ożywienie powstanie, chyba że zastrzegł sobie przed śmiercią w specjalnej klauzuli, iż nie chce stać się wampirem. Ja w swojej ostatniej woli zamieściłam stosowny ustęp, zgodnie z którym w razie uzasadnionych podejrzeń, że mogłabym wrócić jako pijawa, mam zostać zakołkowana. Ba, zażyczyłam sobie kremacji. Nie chcę powrócić również jako zombi, wielkie dzięki. John Burke wyglądał tak, jak go zapamiętałam. Wysoki, ciemnowłosy, przystojny, ale podejrzany jak typek spod ciemnej gwiazdy. Ten efekt wywoływała jego delikatna bródka. Nikt nie nosi takich bródek prócz bohaterów horrorów. Wiecie, o jakich filmach mówię, o tych z satanistami oddającymi cześć antychrystowi.

Wydawał się odrobinę blady wokół oczu i ust. To typowy efekt długiego płaczu u osób o ciemnej karnacji skóry.

Gdy weszliśmy do kostnicy, usta Johna przypominały wąską, białą kreskę. Zaciskał dłonie na ramionach, jakby go pobołowały.

- Co słyhać u twojej szwagierki? - spytałam.
- Kiepsko, bardzo kiepsko.

Czekałam, aż rozwinie ten temat, ale bez powodzenia. Nie naciskałam. Skoro nie chciał o tym mówić, trudno, miał do tego pełne prawo.

Ruszyliśmy wzdłuż szerokiego, pustego korytarza. Był tak szeroki, że mogłyby zmieścić się w nim naraz obok siebie trzy wózki noszowe na kółkach. Wartownia wyglądała jak dobrze zachowany bunkier z czasów drugiej wojny światowej, z gniazdami karabinów maszynowych. To na wypadek, gdyby wszyscy nieboszczycy powstałi równocześnie i spróbowali wydostać się na wolność. W St. Louis, jak dotąd, nigdy do tego nie doszło, ale w Kansas City niewiele brakowało. Karabin maszynowy jest w stanie uporać się z każdym żywym trupem. Kłopoty zaczynają się, gdy jest ich wielu. Jeśli jest ich cały tłum, twoja sytuacja jest, delikatnie mówiąc, nie do pozazdroszczenia.

- Cześć, Fred, dawno się nie widzieliśmy. - Pokazałam strażnikowi moją legitymację.

- Szkoda, że nie pozwalają ci odwiedzać nas na takich zasadach jak dawniej - powiedział. - W tym tygodniu mieliśmy już trzech ożywieńców i zamiast ich zakołkować, musieliśmy wypuścić ich do domu. Uwierzysz w to?

- Wampiry?

- Oczywiście. Któregoś dnia będzie ich więcej niż nas.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, wybrałam zatem milczenie. Fred zapewne miał rację.

- Przyszliśmy tu, aby przejrzeć rzeczy osobiste Petera Burke'a. Sierżant Rudolph Storr miał załatwić wszelkie formalności.

- Tak. - Fred zajrzał do swego notesu. - Masz pełną autoryzację. Korytarzem w prawo, trzecie drzwi po lewej. Doktor Saville już na was czeka.

To co usłyszałam, niełicho mnie zdziwiło. Rzadko zdarzało się, by główny koroner robiła cokolwiek dla policji czy kogokolwiek innego.

- Dzięki, Fred, na razie. Zobaczymy się przy wyjściu.

- Coraz więcej osób stąd wychodzi. I bynajmniej nie nogami do przodu - mruknął. Nie wydawał się z tego powodu szczególnie zachwycony.

Moje adidas nie wywoływały żadnych dźwięków wśród panującej w budynku grobowej ciszy. John Burke także poruszał się bezszelestnie. Nie przypuszczałam, aby nosił tenisówki. Spuściłam wzrok i okazało się, że miałam rację. Nosił brązowe, wiązane na sznurowadła buty na miękkiej podeszwie, a nie tenisówki. Mimo to jednak stąpał obok mnie bezgłośnie jak cień. Jego ubiór był dopasowany do obuwia. Brązowa, sportowa kurtka o tak ciemnym odcieniu, że wydawała się prawie czarna, do tego jasno-żółta koszula i brązowe materiałowe spodnie. Brakowało mu tylko krawata, aby mógł uchodzić za przeciętnego amerykańskiego yuppie. Czy zawsze się tak ubierał, czy zrobił wyjątek ze względu na śmierć brata? Nie, na pogrzebie był przecieź w czarnym garniturze.

W kostnicy zawsze było cicho, ale w ten sobotni poranek panowała tu iście grobowa cisza.

Czy w weekend karetki krążą jak samoloty, oczekując na bardziej stosowną porę?

Wiedziałam, że w weekendy liczba zabójstw zazwyczaj znacznie wzrasta, ale sobotnie i niedzielne poranki bywały raczej spokojne. To doprawdy ciekawe. Nigdy nie zdołałam rozgryźć, czemu tak się dzieje.

Policzyłam drzwi po lewej. Zapukałam do trzecich.

- Proszę - usłyszałam i otworzyłam drzwi.

Doktor Marian Saville jest niską kobietą o krótkich ciemnych włosach przyciętych tuż poniżej uszu, oliwkowej cerze, ciemnobrązowych oczach i wysoko osadzonych, wyraźnych kościach, policzkowych. Ma francuskie i greckie korzenie - widać to po niej. Jej egzotyczna uroda ma w sobie pewną subtelność. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego doktor Saville nigdy nie wyszła za mąż. Na pewno nie z braku urody.

Jej jedynym minusem było to, że paliła jak lokomotywa i woń papierosów stale ją otaczała jak zapach paskudnych perfum. Podeszła do nas i uśmiechnęła się, wyciągając rękę na powitanie.

- Miło znów cię widzieć, Anito.

- Mnie również, pani doktor. - Uścisnęłam jej dłoń i uśmiechnęłam się.

- Proszę, mów mi Marian.

Wzruszyłam ramionami.

- Marian, czy to są te rzeczy?

Znaleźliśmy się w niedużym gabinecie. Na niklowanym, stalowym stole leżało kilka plastikowych torebek.

- Tak.

Spojrzałam na nią, zastanawiając się, o co jej chodziło. Główny koroner nie wykonywała zleceń na prawo i lewo. Coś było grane, tylko co? Nie znałam jej na tyle dobrze, by zagrać w otwarte karty i nie chciałam, by zabroniono mi wstępu do kostnicy, więc nie mogłam zachować się wobec niej obcesowo. Na każdym kroku problemy.

- To John Burke, brat zmarłego - powiedziałam.

Doktor Saville na te słowa aż uniosła brwi ze zdumienia.

- Wyraży współczucia, panie Burke.

- Dziękuję. - John uścisnął podaną mu dłoń, ale nie odrywał wzroku od plastikowych torebek. Dziś nie było czasu na przyglądanie się atrakcyjnym lekarkom albo wzajemną kurtuazję. John miał przejrzeć rzeczy swego zmarłego brata. Szukał tropów, czegoś, co pomogłoby policji złapać zabójcę jego brata. Traktował to zadanie śmiertelnie poważnie. Gdyby nie to, że chodziło o Domingę Salvador, byłabym mu winna wielkie przeprosiny.

Ale jak miałam nakłonić go do mówienia w obecności doktor Marian? Jak miałam poprosić ją o odrobinę prywatności? Bądź co bądź, przebywałam na jej terenie.

- Muszę tu zostać, aby dopilnować, że materiał dowodowy pozostanie nietknięty - stwierdziła. - Ostatnio mieliśmy tu paru bardzo zdeterminowanych reporterów.

- Ale ja nie jestem reporterką.

- Nie jesteś też policjantką, Anito. - Wzruszyła ramionami. - Nowe, odgórne przepisy mówią, że osobom cywilnym nie wolno przeglądać materiału dowodowego bez nadzoru.

- Cieszę się, że to jesteś ty, Marian.

- I tak tu byłam. - Uśmiechnęła się. - Pomyślałam sobie, że jeśli już ktoś ma zaglądać ci przez ramię, zniesiesz to lżej, jeśli tym kimś będę ja.

Miała rację. Czy oni sobie wyobrażali, że zwinę stąd zwłoki? Gdybym chciała, mogłabym ożywić wszystkich nieboszczyków w tym budynku i wyprowadzić ich stąd jak szczurołap dzieciaki z Hamelin. Może właśnie dlatego trzeba mnie było pilnować. Może.

- Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało niegrzecznie - rzekł John - ale czy moglibyśmy już zacząć?

Spojrzałam na jego przystojne oblicze. Skóra wokół oczu i ust wydawała się napięta i jakby odrobinę cieńsza niż gdzie indziej. Dopadły mnie wyrzuty sumienia.

- Jasne, John, trochę się zapomniałyśmy.

- Proszę wybaczyć, panie Burke - powiedziała Marian. Podała nam obojgu cienkie plastikowe rękawiczki. Marian i ja nałożyłyśmy je jak na profesjonalistki przystało, ale John nie miał w tym aż takiej wprawy. Praktyka czyni mistrza. Ot i cała tajemnica. Zanim skończyłam mu pomagać w założeniu rękawic, uśmiechnął się. Gdy się uśmiechał, cała jego twarz wydawała się odmieniona. Wyglądał promiennie, uroczo i pod żadnym pozorem nie kojarzył mi się z szemranym typem.

Doktor Saville złamała pieczęć na pierwszej z torebek. Było w niej ubranie.

- Nie - rzekł John. - Nie znam jego rzeczy. Mogą należeć do niego lub do kogoś innego, nie mam pojęcia, w co się ubierał. Peter i ja... nie widzieliśmy się od dwóch lat. - W jego głosie słyhać było tak silne poczucie winy, że odruchowo aż się skrzywiłam.

- W porządku, przejdziemy więc do rzeczy osobistych - powiedziała Marian i uśmiechnęła się. To był miły, szczerzy uśmiech. Musiała to robić często. Miała w tym nielichą wprawę. Dobrze jej to wychodziło.

Otworzyła mniejszą torebkę i wysypała zawartość na lśniący srebrzyście stół. Grzebień, dziesięć centów, dwie pięciocentówki, fragment biletu do kina i amulet voodoo. Gris-gris. Zostało uplecione z czerwono-czarnej nici, na której nanizano paciorki przeplatane ludzkimi zębami. Dodatkową ozdobę stanowiły zwisające z niej kości.

- Czy to ludzkie kości palców? - spytałam.

- Tak - odparł z powagą John. Wyglądał dziwnie, jakby w głębi jego oczu czaiła się jakaś groza.

To był zły amulet, ale nie pojmowałam, czemu John tak mocno na niego zareagował.

Szturchnęłam gris-gris jednym palcem. Pośrodku amuletu wpleciony był skrawek zasuszonej skóry. Prócz czarnych nici do wykonania amuletu użyto również czarnych włosów.

- Ludzkie włosy, zęby, kości i skóra - powiedziałam półgłosem.

- Tak - powtórzył John.

- Znasz się na voodoo lepiej niż ja - rzuciłam. - Co to znaczy?

- Aby mógł powstać ten amulet, musiał zginąć człowiek.

- Jesteś pewien?

- Czy uważasz, że gdyby mogło być inaczej, nie powiedziałbym tego? - Spojrzał na mnie pogardliwie. - Sądzisz, że szczycę się świadomością, iż mój brat uczestniczył w składaniu ofiar z ludzi?

- Czy Peter musiał być przy tym? Nie mógł po prostu kupić tego amuletu już po fakcie?
- Nie! - To zabrzmiało niemal jak krzyk. Odwrócił się od nas i podszedł do ściany. Oddychał głośno i szybko.
- Odczekałam kilka chwil, aby się pozbierał, po czym zadałam to nieuniknione pytanie.
- Co daje gris-gris?
- Odwrócił się do nas. Trochę się jakby uspokoił, ale napięcie wciąż widać było w bladości skóry wokół jego oczu.
- Pozwala nie dość potężnym nekromantom ożywiać starszych nieboszczyków, pozyskiwać moce znacznie silniejszych nekromantów.
- Pozyskiwać? W jaki sposób?
- Ten amulet zawiera w sobie moc paru najpotężniejszych spośród nas. - Wzruszył ramionami. - Peter słono za niego zapłacił, aby móc ożywiać znacznie więcej nieporównanie starszych trupów. Peter, na Boga, jak mogłeś?
- Jak potężny musiałbyś być, aby pozyskiwać moc w taki sposób?
- Bardzo potężny - odparł.
- Czy istnieje możliwość, aby dotrzeć do osoby, która zrobiła to gris-gris?
- Nic nie rozumiesz, Anito. Ta rzecz to fragmencik czyjejś mocy. Jedyna pozostałość ich dusz. Namacalna pamiątka. Aby wykonać taką rzecz, ktoś musiał bardzo tego pragnąć albo był bardzo chciwy. Peter nigdy nie mógłby sobie na to pozwolić.
- Czy można jakoś dotrzeć do osoby, która to zrobiła?
- Tak, wystarczy, że ta opaska znajdzie się w jednym pomieszczeniu z osobą, do której naprawdę należała. To gris-gris samoistnie powróci do swego prawowitego właściciela. Stanowi brakującą część jego duszy.
- Czy może zostać potraktowane jako dowód w sądzie?
- Jeżeli zdołasz przekonać ławę co do tego, czym jest ta rzecz, myślę, że tak. - Podszedł do mnie. - Wiesz, kto to zrobił?
- Może.
- Kto, powiedz mi, kto?
- Zrobię coś znacznie lepszego. Załatwię ci możliwość uczestniczenia w przeszukaniu domu tego kogoś.
- Zaczynam naprawdę cię lubić, Anito. - Na wargach Johna pojawił się posępny uśmiech.
- Komplementy potem.
- Co to ma znaczyć? - spytała Marian.
- Odwróciła amulet. Po drugiej stronie, wśród włosów i kości znajdowała się mała ozdóbka - talizman pochodzący zapewne z innej bransoletki. Miał kształt klucza wiolinowego.
- Przypomniałam sobie słowa Evansa, kiedy dotknął fragmentu grobu: "Poderżnęli jej gardło, miała na ręce bransoletkę z nutkami i serduszkami".
- Spojrzałam na amulet i cały świat zawirował wokół mnie. W jednej chwili wszystkie elementy tej układanki trafiły na swoje miejsce. To nie Dominga Salvador ożywiła zabójczego zombi. Ona jedynie pomagała Peterowi Burke'owi w ożywieniu tego trupa. Mimo to musiałam mieć

pewność. Zostało nam tylko parę godzin do przeszukania domu Senory i ewentualnego odnalezienia dowodów jej winy.

- Czy w tym samym czasie, co Petera Burke'a, przywieziono tu jakieś kobiety?

- O tak, z pewnością - odparła z uśmiechem Marian.

- Chodzi mi o kobietę z podejrzanym gardłem - dodałam.

- Sprawdzę w komputerze. - Patrzyła na mnie przez chwilę.

- Czy możemy zabrać ze sobą ten amulet?

- Po co?

- Bo o ile się nie mylę, ta kobieta powinna mieć przy sobie bransoletkę z łukiem, strzałami, nutkami i małymi serduszkami i to właśnie z niej pochodzi ten klucz wiolinowy. - Uniosłam bransoletkę pod światło. Klucz wiolinowy zabłysnął radośnie, jakby nie wiedział, że jego właścicielka została zamordowana.

30

Zanim pojawią się inne barwy, śmierć czyni człowieka szarym. Ciało, które traci wiele krwi, wydaje się zrazu białe albo sine. Gdy jednak rozpocznie się proces rozkładu - nie samo gnicie, jeszcze nie - ciało nabiera szarego odcienia. Ta kobieta wydawała się szara. Rana na szyi została oczyszczona i przebadana. Była nabrzmiąta i wyglądała jak drugie, wielkie usta tuż poniżej podbródka.

Doktor Saville ostrożnie odchyliła głowę denatki.

- Cięcie było bardzo głębokie. Rozplątało mięśnie oraz tętnicę szyjną. Zgon nastąpił dość szybko.

- Profesjonalna robota - skomentowałam.

- Tak. Ktokolwiek podciął jej gardło, wiedział, co robi. Jest wiele rodzajów ran szyi, które mogłyby nie okazać się śmiertelne lub spowodować długie konanie ofiary.

- Czy chce pani powiedzieć, że mój brat miał w tym względzie pewną praktykę? - spytał John Burke.

- Nie wiem - odparłam. - Czy masz tu gdzieś jej rzeczy osobiste?

- O, tutaj. - Marian otworzyła niedużą plastikową torebkę i wysypała zawartość na pusty stół. W świetle neonówek rozbłysła złota bransoletka z amuletami. Podniosłam ją dwoma palcami. Wciąż nosiłam cienkie gumowe rękawiczki. Przyjrzałam się bransolecie. Mały łuk ze strzałą, nutka, dwa połączone serca. Dokładnie tak jak je opisał Evans.

- Skąd wiedziałaś o amulecie i denatce? - spytał John Burke.

- Zniosłam kilka dowodów jasnowidzowi. Ujrzał śmierć tej kobiety oraz bransoletkę.

- Co to ma wspólnego z Peterem?

- Jestem przekonana, że kapłanka voodoo zleciła Peterowi ożywienie zombi. Tyle że ten stwór wymknął mu się spod kontroli. A teraz zabija ludzi. Aby zatuzszować swój czyn, kapłanka zabiła Petera.

- Kto to zrobił?

- Nie mam dowodów, chyba że za materiał wystarczyłoby samo gris-gris.
- Wizja i gris-gris. - John pokręcił głową. - Ława przysięgłych raczej tego nie kupi.
- Wiem. Dlatego potrzeba mi więcej dowodów.

Doktor Saville bacznie przysłuchiwała się naszej rozmowie.

- Imię, Anito, podaj mi imię - poprosił John.
- Najpierw musisz mi przysiąc, że nie będziesz próbował dochodzić sprawiedliwości na własną rękę. Pozwól wykazać się policji. Jeżeli prawo zawiedzie, będziesz miał swoją szansę.
- Daję słowo.

Przez chwilę wpatrywałam się w jego twarz. Ciemne oczy, czyste i niezłomne, odnalazły moje spojrzenie. Założę się, że umiał kłamać w żywe oczy. Nie ufam nikomu. Taką już mam naturę. Przypatrywałam mu się jeszcze przez chwilę. Nawet okiem nie mrugnął. Chyba moc mojego piorunującego spojrzenia trochę osłabła. A może naprawdę zamierzał dotrzymać danego słowa. To się czasem zdarza.

- W porządku. Przyjmuję twoje słowo. Tylko żebym nie musiała tego później żałować.
- Nie będziesz - zapewnił. - A teraz podaj mi to imię.
- Marian, musimy cię na chwilę przeprosić. - Odwróciłam się do doktor Saville. - Im mniej wiesz o tym wszystkim, tym większa jest szansa, że nie obudzisz się którejs nocy, by ujrzeć, jak przez okno do twojej sypialni gramoli się wygłodniały zombi.

Może trochę przesadziłam, ale odniosłam pożądany efekt. Miałam wrażenie, że Marian chciała zaprotestować, ale w końcu tylko pokiwała głową.

- No dobrze, ale któregoś dnia, gdy to już będzie możliwe, chciałabym usłyszeć całą tę historię.
 - Jeśli tylko wyjdę z tego cało, chętnie sama ci ją opowiem - odparłam.
- Znów skinęła głową, wsunęła szufladę z Jane Doe do chłodni i wyszła.
- Zawołaj mnie, jak skończycie. Mam sporo pracy - rzekła i zamknęła za sobą drzwi.
- Zostawiła nas z materiałem dowodowym w rękach. Czyżby mi ufała? A może nam obojgu?
- Dominga Salvador - powiedziałam.
 - Znam to nazwisko. - Nerwowo zaczerpnął tchu. - Ta kobieta dysponuje przerażającą mocą, oczywiście jeżeli opowieści na jej temat nie są blagą.
 - Są prawdziwe - zapewniłam.
 - Spotkałaś ją?
 - Miałam ten wątpliwy zaszczyt. - Na jego twarzy pojawił się grymas, który wcale mi się nie spodobał. - Pamiętaj o obietnicy. Żadnej wendety.
 - Policja jej nie przyskrzyni. Ona jest na to za sprytna.
 - Załatwimy ją zgodnie z prawem. Wierzę w to.
 - Nie masz takiej pewności - stwierdził.

Cóż mogłam powiedzieć? Miał rację.

- Jestem prawie pewna.
- Prawie to za mało, gdy chodzi o zamordowanie mego brata.

- Ten zombi zabił znacznie więcej osób, nie chodzi tylko o twojego brata. Ja też chcę ją dopaść. Ale zapuszczujemy ją zgodnie z literą prawa.
- Są inne sposoby, aby ją załatwić - wycedził.
- Jeżeli prawo zawiedzie, będziesz mógł wykazać się biegłością w voodoo. Tylko ja nie chcę nic o tym wiedzieć.
- Nie złażasz mnie za wykorzystanie magii jako narzędzia zemsty? - Wydawał się rozbawiony i zdezorientowany.
- Ta kobieta już raz próbowała mnie zabić. I raczej nie zawaha się przed kolejnym zamachem.
- Przeżyłaś atak Senory? - zapytał. Sprawiał wrażenie zaskoczonego.
- Potrafię o sobie zadbać, panie Burke.
- Nie wątpię, panno Blake. - Uśmiechnął się. - Uraziłem twoje ego. Nie pochlebia ci moje zdziwienie, nieprawdaż?
- Zatrzymaj swoje spostrzeżenia dla siebie, dobrze?
- Skoro przeżyłaś bezpośrednią konfrontację z tym, co nasłała na ciebie Dominga Salvador, chyba będę musiał uwierzyć w choćby niektóre z historii na twój temat. Opowieści o Egzekutorce, animatorce zdolnej ożywiać nawet bardzo stare trupy.
- Nie wiem, jak to jest z tą ostatnią kwestią, ale ja tylko staram się pozostać przy życiu. To wszystko.
- Jeśli Dominga Salvador pragnie twojej śmierci, to nie będzie łatwe.
- Powiedziałabym raczej - prawie niemożliwe - poprawiłam.
- Wobec tego dopadniemy ją pierwsi - zaproponował.
- Zgodnie z prawem.
- Anito, nie bądź naiwna.
- Propozycja twojego udziału w przeszukaniu jej domu jest wciąż aktualna.
- Jesteś pewna, że dasz radę to załatwić?
- Myślę, że tak.

W jego oczach pojawiły się mroczne błyski, posępne czarne iskierki. Uśmiechnął się przez zaciśnięte wargi, złowrogo, jakby zastanawiał się nad torturami, jakim podda Domingę Salvador. Ta osobista wizja przepelniła go dziką rozkoszą.

Na ten widok poczułam na plecach lodowate ciarki. Miałam nadzieję, że John nigdy nie spojrzy na mnie w ten sposób. Coś mówiło mi, że lepiej nie mieć w nim wroga. Był niemal tak samo groźny jak Dominga Salvador. Nie aż tak, ale z pewnością nie należało go lekceważyć.

Dominga Salvador siedziała w swoim pokoju i uśmiechała się. Mała dziewczynka, która podczas mojej ostatniej wizyty tutaj jeździła na trzykołowym rowerku, siedziała u babci na kolanach. Dziecko było rozluźnione i rozleniwione jak kociak. Dwaj starsi chłopcy siedzieli u stóp Domingi. Wyglądała jak uosobienie macierzyńskiej błogości. Zbierało mi się na mdłości. Naturalnie to, że była najgroźniejszą kapłanką voodoo, jaką spotkałam, nie oznaczało, że nie mogła być również dobrą babcią. Ludzie są skomplikowani. Hitler lubił psy.

- Może pan przeprowadzić przeszukanie, sierżancie. Mój dom jest również pańskim. Proszę się czuć jak u siebie - rzekła miodopłynnym tonem, jakby proponowała nam lemoniadę lub być może mrożoną herbatę.

John Burke i ja staliśmy z boku, pozwalając glinom wykonywać ich obowiązki. Dominga sprawiała, że czuli się kretyńsko ze swymi podejrzeniami. Przecież to tylko miła starsza pani. No jasne. Antonio i Enzo także stanęli z boku. Nie bardzo pasowali do sielskiego wizerunku, ale najwyraźniej Dominga chciała mieć świadków. A może nie wykluczała ewentualnej strzelaniny.

- Pani Salvador, czy rozumie pani potencjalne konsekwencje niniejszego przeszukania? - spytał Dolph.

- Nie ma o nich mowy, bo nic nie mam do ukrycia. - Uśmiechnęła się słodko. Niech ją szlag.

- Anito, panie Burke - rzucił Dolph. Wysforowaliśmy się naprzód jak artyści podczas występu. W sumie to całkiem trafne porównanie. Wysoki funkcjonariusz z kamerą był gotowy zacząć kręcić. - Zna pani, o ile mi wiadomo, pannę Blake - rzekł Dolph.

- Miałam tę przyjemność - odparła Dominga.

Kłamała w żywe oczy.

- To John Burke.

Jej oczy leciutko się rozszerzyły. Pierwsza skaza na pancerzu. Czy słyszała o Johnie Burke'u? Czy się zaniepokoiła? Miałam nadzieję, że tak.

- Cieszę się, że mogę wreszcie pana poznać, panie Burke - rzekła w końcu.

- Zawsze miło poznać inną osobę praktykującą sztukę - odparł.

Nieznacznie schyliła głowę. Przynajmniej nie próbowała zgrywać niewiniątka. Przyznała się, że jest kapłanką voodoo. To pewien postęp.

Uznałam za odrażające, że matka chrzestna voodoo próbowała udawać niewiniątka.

- Zrób to, Anito - powiedział Dolph. Żadnych wstępów, teatralności, zrób to i już. Taki był Dolph.

Wyjęłam z kieszeni plastikową torebkę. Dominga zmieszała się. Wyłuskałam z torebki gris-gris. Twarz Domingi była niewzruszona jak maska. Kąciki jej ust wykrzywiły się w uśmiechu.

- Co to? - spytała.

- Ależ, Senora - odezwał się John - proszę nie udawać Greka. Przecież dobrze pani wie, co to takiego.

- Wiem, że na pewno jakiś amulet. Ale odkąd to policja grozi starym kobietom magią voodoo?

- Każdy sposób dobry - wtrąciłam.

- Anito - rzucił Dolph.

- Przepraszam. - Spojrzałam na Johna, a on tylko pokiwał głową.

Położyłam gris-gris na dywanie niecałe dwa metry od Domingi. Musiałam zaufać Johnowi. Rozmawiałam też o tym z Mannym przez telefon. Gdyby się udało i sprawa trafiłaby do sądu, gdybyśmy zdołali przekonać ławę przysięgłych, może Dominga Salvador odpowiedziałaby za swoje zbrodnie. Tylko trochę za dużo tych "gdyby"... Gris-gris przez chwilę leżało nieruchomo, a potem kości palców zadrżały, jakby poruszone niewidzialną dłonią.

Dominga zdjęła wnuczkę z kolan i odesłała chłopców do Enza. Siedziała sama na kanapie i czekała. Wciąż dziwnie się uśmiechała, ale teraz wyglądała raczej upiornie. Amulet zaczął przesuwać się w jej stronę jak ślimak, pełznąca za sprawą nieistniejących mięśni. Włosy na rękach stanęły mi dęba.

- Nagrywasz to, Bobby? - spytał Dolph.

- Jasne, że tak - odparł glinka z kamerą. - Nie wierzę własnym oczom, ale, kurwa, nagrywam, jak leci.

- Proszę nie używać takich słów przy dzieciach - odezwała się Dominga.

- Przepraszam - bąknął policjant.

- Nic się nie stało. - Wciąż udawała gospodynię doskonałą, podczas gdy amulet pełził w kierunku jej stóp. Miała nerwy ze stali, muszę jej to przyznać. W przeciwieństwie do Antonia. Załamał się. Postąpił naprzód, jakby zamierzał podnieść gris-gris z dywanu.

- Proszę tego nie dotykać - warknął Dolph.

- Grozicie mojej babci swoimi tandetnymi sztuczkami - rzucił Antonio.

- Proszę tego nie dotykać - powtórzył Dolph. I wstał. Jego ogromne cielsko zdawało się wypełniać cały pokój. W porównaniu z nim Antonio wydał się nagle mały i żaloszny.

- Proszę, nie straszcie jej. - Ale to jego twarz była blada i złana potem. Czego tak się obawiał stary Tony? Przecież nie on miał trafić do pudła.

- Proszę wrócić - rzekł Dolph - i to już, czy mamy pana skuć?

Antonio pokręcił głową.

- Nie... ja... lepiej się cofnę. - Zrobił to, ale równocześnie spojrzał na Domingę. Rzucił jej szybkie, ukradkowe spojrzenie. Gdy napotkała jego wzrok, w jej oczach malował się gniew. Niepohamowana wściekłość. Grymas gniewu wykrzywił jej twarz. Co się stało, że zrzuciła maskę opanowania?

Gris-gris powoli pełzło w jej stronę. Zaczęło łasić się do stóp jak pies i ocierać się o palce jak kot złakniony piesszczot. Starła się to ignorować, wciąż grała.

- Nie przyjmie pani powracającej do niej mocy? - spytał John.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Znów była zimna jak głaz. Ale chyba jednak trochę skonsternowana. Grała zakłopotanie. Była niezła. Naprawdę. - Jest pan potężnym kapłanem voodoo. Próbuje pan zastawić na mnie pułapkę.

- Jeśli nie chce pani tego amuletu, ja go wezmę - stwierdził. - Dodam pani magię do swojej. Będę najpotężniejszym mistrzem sztuk w całych Stanach. - Po raz pierwszy poczułam na skórze falę mocy Johna. To tchnienie magii było naprawdę przerażające. A już zaczęłam myśleć o Johnie jak o zwyczajnym facecie. Cóż, mój błąd. Pomyliłam się.

Pokręciła głową.

John postąpił naprzód i ukląkł, wyciągając rękę po wijące się gris-gris. Jego moc towarzyszyła mu jak niewidzialna opończa.

- Nie! - Pochwyciła gris-gris i ukryła w dłoniach.

- Czy potwierdza pani, że wykonała to gris-gris? - John uśmiechnął się. - Jeżeli nie, wezmę je i wykorzystam tak, jak uznam za stosowne. Znalezione je wśród rzeczy mego brata. Zgodnie z prawem jest moje, czyż nie, sierżancie Storr?

- Zgadza, się - przyznał Dolph.

- Nie, nie może pan tego zabrać.

- Mogę i zrobię to, chyba że przyzna pani przed kamerą, że to gris-gris jest jej dziełem.

- Pożałuje pan tego. - Warknęła do niego.

- A pani pożałuje, że zabiła mego brata.

- W porządku, przyznaję, że to ja wykonałam ten amulet. - Spojrzała na kamerę. - Ale nie przyznaję się do niczego więcej. Zrobiłam to gris-gris dla pańskiego brata. To wszystko.

- Aby sporządzić ten amulet, złożyła pani ofiarę z człowieka - rzekł John.

- Amulet jest mój. - Pokręciła głową. - Zrobiłam go dla pańskiego brata. To tyle. Ma pan amulet, nic poza tym.

- Proszę wybaczyć, Senora - rzekł Antonio. Wydawał się blady i roztrzęsiony oraz bardzo, ale to bardzo przerażony.

- Calenta! - rzuciła. - Zamknij się!

- Zerbrowski, zaprowadź naszego przyjaciela do kuchni i spisz jego zeznanie - polecił Dolph.

- Ty głupcze, ty żaloszny głupcze! - Dominga wstała. - Jeśli piśniesz choć słówko, sprawię, że twój język zgnije ci w ustach.

- Wyprowadź go stąd, Zerbrowski.

Zerbrowski wyprowadził prawie płaczącego Antonia z pokoju. Miałam wrażenie, że to stary Tony był odpowiedzialny za odzyskanie amuletu. Zawiódł i teraz za to zapłaci. Gliny były obecnie najbliższym z problemów, jakie miał na karku. Na jego miejscu upewniłabym się, że babunia jeszcze dziś trafi do mamra. Nie chciałabym, aby miała kiedykolwiek w przyszłości dostęp do swych magicznych akcesoriów.

Teraz dokonamy przeszukania, pani Salvador.

- Proszę bardzo, sierżancie. Niczego pan tu jednak nie znajdzie - powiedziała ze stoickim spokojem.

- A to, co było ukryte za drzwiami? - zapytałam.

- Tego już nie ma, Anito. Nie znajdziesz tu nic nielegalnego i... zdrowego - odparła z niezłomną pewnością siebie.

Dolph spojrział na mnie. Wzruszyłam ramionami. Ta jej pewność siebie trochę mnie deprimowała.

- W porządku, chłopcy, przetrząśnijcie tę budę. - Mundurowi i cywile wzięli się do roboty. Chciałam podążyć za Dolphem. Zatrzymał mnie. - Nie, Anito. Ty i Burke zostajecie tutaj.

- Dlaczego?

- Jesteście cywilami.

Ja, cywil?

- Czy byłam cywilem, gdy spenetrowałam dla ciebie cmentarz?

- Gdyby mógł to zrobić któryś z moich ludzi, nie pozwoliłbym ci na to.

- Nie pozwoliłbyś mi?

- Wiesz, o co mi chodzi. - Zmarszczył brwi.

- Nie. Obawiam się, że nie.

- Może i jest z ciebie kawał cholery, ale nie jesteś gliną. To robota dla glin. Zostań w tym pokoju tylko teraz. Gdy skończymy, będziesz mogła zejść na dół i zidentyfikować dla nas czarnego luda.

- Nie wyświadcza mi przysług, Dolph.

- Opuść sobie te dąsy, Blake.

- Nie dąsam się.

- A co? Może marudzisz?

- Daj spokój. Powiedziałaś swoje. Masz rację. Zostanę tu, choć wcale mi się to nie podoba.

- Zwykle pakujesz się po uszy w kłopoty. Dobrze ci robi, gdy chociaż raz nie znajdziesz się na linii ognia. - To rzekłszy, ruszył w kierunku piwnicy.

Szczerze mówiąc, nie miałam ochoty ponownie zapuszczać się w tę mroczną czeluść. I na pewno nie chciałam ujrzeć istoty, która ściagała mnie i Manny'ego po schodach. A mimo to poczułam się... odrzucona. Dolph miał rację. Dąsałam się. Świetnie.

John Burke i ja usiedliśmy na kanapie. Dominga zajęła miejsce w fotelu. Dzieci poszły się bawić pod czujnym okiem Enza. Wyglądał na rozluźnionego. Nieomal miałam ochotę mu potowarzyć. Wszystko było lepsze, niż siedzieć tu i czekać, aż rozlegną się pierwsze wrzaski.

Jeśli tam na dole był potwór, a sądząc po odgłosach, nie mogło to być nic innego, wrzaski rozlegną się prędzej czy później. Gliny świetnie sobie radziły z bandziorami, ale potwory stanowiły dla nich pewną nowość. Poniekąd byłoby prościej, gdyby całym tym szajsem zajęła się grupka ekspertów. Para samotników potrafiących walczyć. Kołkujących wampiry. Unicestwiających zombi. Pałających czarownice. Choć można by się spierać, co mogłoby mnie spotkać jeszcze parę lat temu. Dajmy na to w latach pięćdziesiątych.

Bez wątplenia, parałam się magią. Zanim wszystkie potwory wyszły z ukrycia, istoty nadnaturalne były uznawane za nadnaturalne. I należało je zniszczyć, zanim one zniszczą ciebie. To były prostsze czasy. Teraz oczekiwano, że policja będzie umiała rozprawiać się z

zombi, wampirami i od czasu do czasu z jakimś przypadkowym demonem. Gliny nie bardzo radzą sobie z demonami. Ale powiedzmy sobie szczerze, kto umie sobie z nimi radzić? Dominga siedziała w fotelu i gapiła się na mnie. Dwaj mundurowi, którzy pozostali w pokoju, stali jak posągi z pustymi twarzami, pozornie znudzeni, ale mimo wszystko czujni i zawsze gotowi do działania. Gliny zawsze wszystko widzą. Skrzywienie zawodowe. Ale od tego zależy ich życie. Dominga nie patrzyła na policjantów. Nie zwracała nawet uwagi na Johna Burke'a, który nieomal dorównywał jej pod względem posiadanej mocy. Odnalazłam jej spojrzenie.

- Czego? - spytałam.

Jeden z gliniarzy spojrzał na nas. John poruszył się na kanapie.

- Co się dzieje? - spytał.

- Gapi się na mnie.

- I na tym się nie skończy, chica. - Zniżyła głos. Włoski na moim karku zjeżyły się.

- Grozisz mi. - Uśmiechnęłam się. - Ale szczerze mówiąc, nie sądzę, abyś mogła jeszcze kiedyś kogoś skrzywdzić.

- Masz na myśli to. - Wyciągnęła amulet w moją stronę. Przedmiot wił się w jej dłoni, jakby z radości, że został dostrzeżony. Zmiażdżyła go w dłoni. Przedmiot na próżno wrywał się i próbował stawiać opór. Ukryła go w dłoniach. Spojrzała na mnie, po czym wolno przysunęła dłoń do piersi.

Powietrze zrobiło się nagle ciężkie, trudno było oddychać. Włosy na moich rękach zjeżyły się.

- Powstrzymać ją! - rzucił John. I wstał.

Znajdujący się najbliżej niej policjant wahał się tylko przez chwilę, ale to wystarczyło. Gdy siłą rozwarł jej palce, dłoń była pusta.

- Sprytna sztuczka, Domingo. Sądziłam, że stać cię na coś lepszego niż iluzjonistyczne triki.

- To nie był trik. - John pobladł. Głos mu się łamał. Usiadł ciężko na kanapie obok mnie.

Jego ciemna twarz wyraźnie pobladła. Moc jakby osłabła. Wyglądał na zmęczonego.

- Co się stało? Co ona zrobiła? - zapytałam.

- Musi pani oddać amulet - rzekł policjant.

- Nie mogę - odparła.

- John, co ona zrobiła, do cholery?

- Coś, czego nie powinna być w stanie dokonać.

Zaczynałam rozumieć, jak czuł się Dolph usiłujący wyciągnąć ze mnie jakieś informację. To było jak wrywanie zęba.

- Co ona zrobiła? - powtórzyłam..

- Wchłonęła swoją moc z powrotem w siebie - odparł.

- To znaczy?

- Wchłonęła gris-gris do swego ciała. Nie czułaś tego?

Coś poczułam. Powietrze było teraz trochę lżejsze, ale nie za bardzo. Świerzbiała mnie skóra. Coś było na rzeczy.

- Coś poczułam, ale w dalszym ciągu nie rozumiem.
 - Bez ceremonii, tez pomocy loa wchłonęła to na powrót do swojej duszy. Już nie znajdziemy po tym nawet śladu. I po dowodzie.
 - A zatem jedyne, co mamy, to taśma? - Pokiwał głową. - Skoro wiedziałeś, że może to zrobić, dlaczego nie powiedziałeś wcześniej? Nie dalibyśmy jej tego do ręki.
 - Nie wiedziałem, że to potrafi. To niemożliwe bez przeprowadzenia specjalnego rytuału.
 - A jednak to zrobiła.
 - Wiem, Anito. Wiem. - Po raz pierwszy wydawał się przerażony. Ze strachem nie było mu do twarzy. Po tym, jak poczułam jego moc, wydawało mi się nieprawdopodobne, że ten człowiek może się czegoś obawiać. A jednak się bał. Poczułam, jego strach. Zadrżałam, jakby ktoś przeszedł po moim grobie. Dominga patrzyła na mnie.
 - Na co się gapisz?
 - Na trupa - odparła półgłosem.
 - Gadka-szmatka. - Pokręciłam głową. - Twoje pogrożki nie robią na mnie wrażenia.
 - Nie drażnij jej, Anito - John dotknął mego ramienia. - Skoro jest w stanie dokonywać bez przygotowania czegoś takiego, kto wie, na co jeszcze ją stać.
 - Ona nic nie robi. - Glina miał już dość. - Jeśli pani choćby drgnie, senora, zastrzelę panią.
 - Jestem tylko starą kobietą. Grozi pan starej kobiecie?
 - Ani słowa więcej.
 - Znałam kiedyś wiedźmę - wtrącił drugi mundurowy - która umiała rzucać uroki na ludzi samym tylko głosem.
- Dłonie obu gliniarzy w jednej chwili znalazły się niebezpiecznie blisko kabur z bronią. To zabawne, jak magia zmienia czyjś punkt widzenia i sposób postrzegania pewnych osób. Wszystko było w porządku, dopóki sądzili, że Dominga do swoich czarów musi korzystać ze złożonych rytuałów i składać ofiary z ludzi. Ale wystarczy jedna sztuczka i nagle staje się osobą szczególnie niebezpieczną. Ja zawsze uważałam ją za groźną.
- Dominga siedziała w milczeniu pod czujnym okiem glin. Jej mały popis trochę mnie zdekoncentrował. Z dołu wciąż nie dobiegały żadne wrzaski. Nic. Cisza.
- Czyżby to coś dopadło ich wszystkich? Tak szybko, że nie zdołali oddać ani jednego strzału? Nie. Mimo to poczułam ucisk w dołku i strużka potu ściekła mi po plecach.
- “Wszystko gra, Dolph?” - pomyślałam.
- Mówiłaś coś? - zapytał John.
 - Tylko intensywnie myślałam. - Zaprzeczyłam. Pokiwał głową, jakby to było dla niego oczywiste. Dolph wszedł do pokoju. Nie potrafiłam wyczytać niczego z jego oblicza. Typowy stoik. - No i co? - spytałam.
 - Nic - odparł.
 - Co to znaczy - nic?
 - Wyczyściła tu wszystko dokumentnie. Znaleźliśmy pomieszczenia, o których wspominałaś. Jedne drzwi były wyłamane od środka, ale pokój został wysprzątnany i odmalowany. - Uniósł przed siebie jedną wielką dłoń. Była cała biała. - A niech to, farba jest jeszcze świeża.

- To niemożliwe, aby nic tu nie zostało. A co z zabetonowanymi drzwiami?
 - Wyglądają jakby ktoś potraktował je młotem pneumatycznym. Teraz to jedynie świeżo odmalowane pokoje. Cuchną wapnem i świeżą farbą. Żadnych trupów, żadnych zombi. Nic.
 - Chyba żartujesz. - Patrzyłam na niego.

- Bynajmniej. - Pokręcił głową.

- Kto cię ostrzegł? - Stałam przed Dominga.

Tylko na mnie patrzyła, uśmiechając się. Miałam ochotę zetrzeć ten uśmiech z jej twarzy silnym sierpowym. Wystarczyłoby raz przywalić - od razu lepiej bym się poczuła. Byłam o tym przekonana.

- Anito - rzekł Dolph. - Cofnij się.

Może to wyraz gniewu na mojej twarzy, zaciśnięte pięści albo dreszcze przenikające moje ciało. Trzęsłam się z wściekłości i czegoś jeszcze. Jeśli Dominga nie trafi do paki, będzie wolna i znów spróbuje mnie zabić. Tej i każdej kolejnej nocy.

- Nic nie masz, chica. - Uśmiechnęła się, jakby czytała w moich myślach. - Pokazałaś swoje karty, ale okazało się, że to same blotki.

Miała rację.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, Domingo.

- Nie zbliż się do ciebie. To nie będzie konieczne.

- Twoja ostatnia niespodzianka nie wypaliła. Nadal tu jestem.

- Nic nie zrobiłam. Ale jestem pewna, że są gorsze rzeczy niż te, które odwiedziły twoje mieszkanie, chica.

- Cholera, czy nic nie możemy zrobić? - Odwróciłam się do Dolpha.

- Mamy amulet. To wszystko. - Wyraz mojej twarzy musiał coś zdradzić, bo Dolph dotknął mego ramienia. - Co się stało?

- Ona zrobiła coś z amuletem. Zniknął.

Dolph wziął głęboki oddech i odszedł kilka kroków, ale zaraz wrócił.

- Niech to szlag, jak to się stało?

- Niech John ci wyjaśni. - Wzruszyłam ramionami. - Ja wciąż nie rozumiem, co tu zaszło. - Nie lubię przyznawać się, że czegoś nie pojmuję. Czuję się przez to niezręcznie. Ale cóż, nie można być specem od wszystkiego. Robiłam, co w mojej mocy, by trzymać się z dala od voodoo. I co mi z tego przyszło? Wpatrywałam się teraz w czarne oczy kapłanki voodoo obmyślającej najlepszy sposób, w jaki mogła się mnie pozbyć. Sądząc po tym, jak się uśmiechała, musiało to być coś naprawdę paskudnego. Cóż, ryzyko zawodowe. Podeszłam do niej. Spojrzałam jej prosto w oczy i uśmiechnęłam się. Jej uśmiech nieco przygasł.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej. - Ktoś dał ci cynk i przez dwa dni wyczyściłaś tę budę. - Nachyliłam się do niej, opierając dłonie na podłokietnikach fotela. Nasze twarze dzieliła odległość zaledwie paru centymetrów. - Musiałaś zburzyć swoje mury. Musiałaś unicestwić swoje dzieła. Wszystko, co stworzyłaś. Twoje wewnętrzne sanktuarium, twoje hougoun zostało wysprzątane i pobielone. Wszystkie veuve zniknęły. Nie ma już śladu po zwierzęcych ofiarach. Dzięki temu cała ta domena została odarta z mocy, jej potęga słabnie

z każdą chwilą. Będiesz musiała zacząć wszystko od nowa, ty suko. Będiesz musiała zaczynać od podstaw. - Spojrzenie tych czarnych oczu przeszło mnie dreszczem, ale było mi to już obojętne. - Jesteś za stara na zaczynanie wszystkiego od początku. Czy musiałaś zniszczyć wiele swoich zabawek? Wykopać wiele grobów?

- Żartuj sobie, chica, ale pewnej ciemnej nocy przyślę do ciebie to, co zdołałam ocalić.

- Po co zwlekać? Zrób to teraz, w biały dzień. Staw mi czoło, a może się boisz?

Zaśmiała się, to był ciepły, przyjazny dźwięk. Zaskoczyła mnie do tego stopnia, że wyprostowałam się gwałtownie.

- Sądzisz, że jestem, na tyle nieroztropna, by atakować cię w obecności policji? Chyba masz mnie za idiotkę.

- Warto było spróbować - mruknęłam.

- Powinnaś przyłączyć się do mnie i rozwinąć interes z zombi. Razem mogłybyśmy osiągnąć naprawdę wiele. Byłybyśmy bogate.

- Razem mogłybyśmy się co najwyżej pozabijać - odpowiedziałam.

- Skoro tak twierdzisz. Wobec tego niechaj będzie między nami wojna.

- Zawsze była - poprawiłam.

Skinęła głową, uśmiechając się cały czas. Zerbrowski wyszedł z kuchni. Był rozpromieniony. Miał w zanadrzu coś przyjemnego. Dobrą wiadomość.

- Pani wnuk zaczął sypać.

Wszyscy w pokoju spojrzeli na niego.

- Co konkretnie powiedział? - zapytał Dolph.

- Wygadał się o ludzkiej ofierze. O tym, że miał odebrać Peterowi Burke'owi gris-gris, po zabiciu go na rozkaz swojej babki, ale ktoś akurat nadbiegł, jacyś zwolennicy joggingu i spanikował. Tak bardzo się jej boi - tu wskazał na Domingę - że chce, aby trafiła za kratki. Obawia się, co mogłaby z nim zrobić za to, że zapomniał o amulecie.

Tyle że nie mieliśmy już tego amuletu. Pozostawało nam jedynie nagranie wideo i zeznanie Antonia. Dzień zapowiadał się ciekawie.

Odwróciłam się do Domingi Salvador. Wydawała się wysoka, dumna i przerażająca. W jej czarnych oczach jarzyło się dziwne światło. Gdy stałam tak blisko, czułam bijącą z niej moc, ale był na to sposób. Usmażają ją na krześle elektrycznym, a potem spalają ciało i rozsypią popioły na rozstajach dróg.

- Już po tobie - wycedziłam. Splunęła na mnie. Plwocina wylądowała na mojej dłoni, paląc jak kwas. - Cholera!

- Zrób to jeszcze raz, a rozwalimy cię na miejscu i zaoszczędzimy w ten sposób pieniądze podatników - rzekł Dolph.

Wydobył broń.

Ruszyłam na poszukiwanie łazienki, aby zmyć ślinę z dłoni. W miejscu, w które trafiła, pojawił się okazały bąbel. Oparzenie drugiego stopnia. Za sprawą zwykłego splunięcia. Boże święty!

Cieszyłam się, że Antonio pękł. Cieszyłam się, że Dominga trafi za kratki. Cieszyłam się, że ta wiedźma umrze. Lepiej ona niż ja.

Riverridge było nowoczesną dzielnicą willową. To oznaczało, że potencjalny mieszkaniec mógł wybrać jeden z trzech modeli domów. W efekcie zdarzało się, że obok siebie stały cztery identyczne budowle wyglądające jak domki z kart. W zasięgu wzroku nie było rzeki. Ani nawet jej brzegu.

Dom stanowiący ośrodek obszaru policyjnej obławy wyglądał tak samo jak jego sąsiad, różnił się tylko kolorem. Dom zbrodni, jak obecnie określają to miejsce gazety, był szary, z białymi okiennicami. Żadna z nich nie działała. Były jedynie na pokaz. W nowoczesnej architekturze jest mnóstwo takich szczegółów - bariereki balkonowe bez balkonu, strzeliste dachy wyglądające tak, jakby w głębi domu było dodatkowe pomieszczenie, które wszelako nie istniało, ganki tak wąskie, że mogłyby przycupnąć na nim jedynie elfy, pomocnicy świętego Mikołaja. Taki widok wzbudzał we mnie nostalgiczną tęsknotę za architekturą wiktoriańską. Może było w niej sporo przesady, ale przynajmniej wszystko działało.

Całe osiedle ewakuowano. Dolph został zmuszony wydać oświadczenie dla prasy. Szkoda. Niestety, nie sposób ewakuować osiedla wielkości małego miasta i utrzymać tego faktu w tajemnicy. Wyszło szydło z worka. Określano to mianem masakr zombi. Okropność. Słońce zachodziło w morzu szkarłatu i oranżu. Wyglądało tak, jakby ktoś roztopił dwie wielkie kredki i rozsmarował je po niebie. Każda szopa, garaż, piwnica, domek na drzewie, przybudówka oraz wszelkie inne potencjalne schowki zostały starannie przeszukane. Mimo to nic nie znaleziono.

Sępy z prasy krążyły niespokojnie na obrzeżach obszaru objętego poszukiwaniami. Jeżeli okaże się, że ewakuowaliśmy setki ludzi i przetrząsnęliśmy ich domy bez nakazu, nie znajdując żadnego zombi... wpakujemy się w niezłe szambo.

Ale on tu był. Wiedziałałam, że tu jest. No powiedzmy, byłam prawie pewna.

John Burke stał przy jednym z wielkich pojemników na śmieci. Dolph zaskoczył mnie, pozwalając Johnowi wziąć udział w obławie na zombi. Jak powiedział sam Dolph, potrzebowaliśmy każdej pomocy.

- Gdzie on jest, Anito? - spytał Dolph.

Chciałam powiedzieć coś błyskotliwego. Na Boga, Holmesie, skąd wiedziałeś, że zombi ukrył się w doniczce? Ale nie potrafiłam skłamać.

- Nie wiem, Dolph, Po prostu nie wiem.

- Jeśli go nie znajdziemy... - Nie dokończył, ale wiedziałałam, o co mu chodziło.

Gdyby ta operacja zakończyła się fiaskiem, nic mi nie groziło. Miałam zapewnioną pracę. Gorzej z Dolphem. Cholera. Jak mogłam mu pomóc? Co przeoczyliśmy? Co?

Wlepiłam wzrok w pogrążoną w ciszy ulicę. To była dziwna cisza. We wszystkich oknach było ciemno. Jedynie latarnie odganiały napierający zewsząd mrok. Łagodny blask latarni.

Przy każdym z domów stała skrzynka pocztowa. Niektóre z nich były naprawdę urocze.

Jedną wyrzeźbiono w kształcie siedzącego kota. Zamiast chorągiewki, gdy w brzuszku kota

znajdowała się poczta, unosiła się przednia kocia łapa. Rodzina nazywała się Kott. To niesamowite.

Ponadto przed każdym domem stały okazałych rozmiarów pojemniki na śmieci. Niektóre z nich były większe ode mnie. No jasne, ale w niedzielę nie wybiera się śmieci. A może wybiera się codziennie, ale dziś policja nie dopuściła tu śmieciarzy?

- Pojemniki - rzuciłam.

- Co? - spytał Dolph.

- Pojemniki na śmieci. - Schwyciłam go za rękę, nagle zakręciło mi się w głowie. - Przez cały dzień gapiliśmy się na te cholerne pojemniki. To tyle.

John Burke, zasępiony, w milczeniu stanął obok mnie.

- Dobrze się czujesz, Blake? - Z tyłu podszedł do nas Zerbrovski. Palił papierosa. Żarzący się koniec wyglądał jak nabrzmiały świetlik.

- Te pojemniki są tak duże, że mógłby ukryć się w nich człowiek.

- Czy nie zdrętwiałyby mu ręce i nogi? - spytał Zerbrovski.

- Zombi nie mają krążenia, w każdym razie nie tak jak my.

- Sprawdźcie wszyscy pojemniki na śmieci - zawołał Dolph. - Zombi jest w jednym z nich. Do roboty!

Wszyscy rozbiegli się jak mrówki opuszczające zniszczone mrowisko, ale przynajmniej mieliśmy jakiś cel. Towarzyszyło mi teraz dwoje mundurowych. Na plakietkach mieli napisane "Ki" i "Roberts". Ki był Azjata, Roberts jasnowłosą młodą kobietą. Niezła drużyna. Zgraliśmy się bez słów. Funkcjonariusz Ki podchodził i opróżniał kosz na śmieci. Roberts i ja osłanialiśmy go. Gdyby z któregoś pojemnika wytoczył się zombi, na pewno wszyscy zareagowalibyśmy głośnym krzykiem. To z pewnością byłby ten zombi, którego szukaliśmy. Życie często bywa okrutne.

Zaczęlibyśmy krzyczeć, aż zjawiłby się zespół tępicielei. Na pewno przybiegłby w te pędy. Oby. Ten zombi był zbyt szybki i aż nazbyt skuteczny. Mógł okazać się bardziej od innych odporny na ogień z broni palnej. Lepiej, byśmy się o tym nie przekonali. Trzeba po prostu spalić sukinsyna i zakończyć tę sprawę raz na zawsze.

Nasz zespół był jedynym działającym na ulicy. Słyszał tylko nasze kroki, chrzęst przewracanych kontenerów, grzechot wysypywanych puszek, brzęk butelek i szelest śmieci. Czy nikt już nie zawiązywał worków?

Zrobiło się już całkiem ciemno. Wiedziałam, że gdzieś tam w górze był księżyc i gwiazdy, ale z miejsca, gdzie staliśmy, nie było ich widać. Od zachodu napłynęły chmury, gęste i czarne jak aksamit. Tylko dzięki latarniom jakoś dało się tu wytrzymać.

Nie wiedziałam, jak sobie radziła Roberts, ale moje mięśnie karku i ramion zdawały się wyć z bólu. Za każdym razem, kiedy Ki dotykał dłońmi kosza, aby go przewrócić, byłam gotowa do akcji. Gotowa otworzyć ogień i ocalić policjanta, zanim zombi skoczy i rozszarpie mu gardło. Po twarzy Ki spłynęła strużka potu. Nawet w słabym świetle było widać, jak błyszczy. Cieszyła mnie świadomość, że nie tylko ja czułam brzemień tego wysiłku. Naturalnie to nie ja usiłowałam zdemaskować kryjówkę morderczego zombi. Kłopot w tym, że nie wiedziałam,

jak dobrym strzelcem był Ki, a także Roberts. Ja dobrze strzelałam. Zdawałam sobie sprawę, że zdołałabym spowolnić tę istotę aż do przybycia posiłków. Musiałam skupić się na tej kwestii. To było najtrudniejsze. Naprawdę.

Krzyki. Po lewej. Zastygliśmy we troje w bezruchu. Obróciłam się w stronę, skąd dobiegły. Nic nie zauważyłam, oprócz ciemnych domów i światła latarni. Nic się tam nie poruszało. A jednak krzyki trwały nadal, głośne i przeraźliwe.

Zaczęłam biec w tamtą stronę. Ki i Roberts pognali za mną. Biegłam, trzymając przed sobą oburącz browninga. Tak było mi łatwiej biec. Nie odważyłam się schować pistoletu do kabury. Przed oczyma wciąż widziałam okrwawione pluszowe miśki, a moje uszy rozdzierał okropny wrzask. Krzyki zdawały się cichnąć. Gdzieś tam przede mną ktoś konał.

Nagle ciemność wypełniła się ruchliwymi kształtami. Ze wszystkich stron nadbiegali gliniarze. Wszyscy pędziliśmy co sił, ale już było za późno. Wszyscy się spóźniliśmy. Krzyki ucichły. Nie było słycać strzałów. Dlaczego nikt nie strzelał? Właśnie, dlaczego?

W pewnej chwili przed nami pojawiła się metalowa siatka. Musieliśmy schować broń. Za pomocą tylko jednej ręki nie sposób przejść przez siatkę. Cholera. Dałam z siebie wszystko, aby jak najszybciej pokonać to ogrodzenie.

Zeskoczyłam po drugiej stronie i prawie przyklekłam na miękkim dużym klombie. Zdeptałam parę wysokich letnich kwiatów. Na klęczkach byłam znacznie niższa od nich. Ki wylądował obok mnie. Tylko Roberts zeskoczyła na miętko ugięte nogi. Ki wstał, nie dobywając broni.

Ja, jeszcze klęcząc wśród kwiatów, sięgnęłam po browninga. Wstanę już uzbrojona.

Widziałam poruszające się kształty, ale - jak na razie - nic konkretnego. Kwiaty przesłaniały mi widok. Nagle Roberts zatoczyła się do tyłu, krzycząc. Ki wyciągnął broń, ale coś uderzyło go, tak że upadł na mnie. Przeturlałam się, ale wciąż byłam nim na wpół przygnieciona.

Leżał na mnie jak kłoda.

- Ki, rusz się, do cholery! - Usiadł i popelzł w kierunku swojej partnerki, w blasku latarni dostrzegłam jego pistolet. Spojrzał na Roberts. Nie poruszała się. Przepatrywałam ciemność, usiłując coś dostrzec, cokolwiek. To poruszało się szybciej niż człowiek. Było szybkie jak ghul. Żaden zombi nie poruszał się w taki sposób. Czyżbym od początku się myliła? Czy to było coś innego? Coś gorszego? Ile istnień będzie kosztować moja dzisiejsza pomyłka? Czy Roberts nie żyła? - Ki, czy ona żyje? - Lustrowałam ciemność, walcząc z pragnieniem, ty penetrować tylko oświetlone obszary. Słycać było krzyki, ale dokoła panował chaos.

- Gdzie on jest? Gdzie pobiegł? - Odgłosy oddalały się.

- Tutaj, tutaj! - zawołałam. Po chwili głosy zaczęły się przybliżać. Nadchodzący hałasowali jak stado artretycznych słoni.

- Co z nią? - spytałam.

- Kiepsko. - Opuścił broń. Przycisnął dłonie do jej szyi. Po jego rękach spływało coś czarnego. Boże.

Uklekłam obok Roberts z drugiej strony, trzymając broń w gotowości i lustrując ciemność.

Wszystko zdawało się ciągnąć w nieskończoność, ale upłynęło zaledwie kilka sekund.

Jedną ręką sprawdziłam jej tętno. Było słabe, ale wyczuwalne. Gdy cofnęłam dłoń, była cała zakrwawiona. Otarłam ją o spodnie. Ten stwór nieomal poderżnął jej gardło.

Gdzie on się podział?

Oczy Ki były wybałuszone, źrenice rozszerzone. Skóra w świetle latarni wydawała się kredowobiała. Spomiędzy palców wypływała krew jego partnerki.

Coś się poruszyło, tuż nad ziemią, zbyt nisko, aby mógł to być człowiek, ale wielkość była zbliżona. Dostrzegłam rozmyty kształt sunący wzdłuż tylnej ściany domu na wprost nas.

Czymkolwiek był ten stwór, skrył się wśród najgęstszych cieni i próbował się ulotnić.

Wydawał się inteligentniejszy niż zwykły zombi. A więc jednak się pomyliłam. Cholera.

Skopałam sprawę koncertowo. I Roberts miała zapłacić za to życiem.

- Zostań z nią. Spróbuj utrzymać ją przy życiu.

- A ty dokąd? - rzucił.

- Za nim. - Pomagając sobie tylko jedną ręką, przeskoczyłam przez siatkę. Udało się. Chyba przez ten zastrzyk adrenaliny.

Znalazłam się na podwórzu, ale stwora już tam nie było. I nagle go zobaczyłam. Był piekielnie szybki. Rozmyta smuga, ale olbrzymia, wielkości człowieka. Znikł za załomem domu. Straciłam go z oczu. Cholera. Odsunęłam się jak najdalej od ściany, a w moim żołądku zaległa się gula lodowatego strachu. Nieomal czułam zaciskające się na mojej szyi i rozdzierające mi gardło zimne palce. Pokonałam załom muru, trzymając broń oburącz w pozycji gotowej do strzału. Nic. Zlustrowałam ciemność i miejsca oświetlone. Nic.

Z tyłu za mną rozległy się krzyki. Zjawiły się gliny. Boże, oby tylko Roberts przeżyła.

I nagle poruszenie, coś przemknęło przez oświetloną połąć terenu przy narożu sąsiedniego budynku.

- Anito! - krzyknął ktoś.

Już biegłam w tę stronę.

- Sprowadźcie ekipę tępiciele! - zawołałam w biegu, ale nie przystanęłam. Nie odważyłam się stanąć. Tylko ja to widziałam. Jeśli stracę monstrum z oczu, ucieknie.

Pobiegłam w mrok, sama, ścigając coś, co mogło wcale nie być zombi. Niezbyt roztropne posunięcie, ale nie zamierzałam, pozwolić temu czemuś uciec. Co to, to nie. To coś już nigdy nie skrzywdzi kolejnej rodziny. Nie zrobi tego, o ile zdołam go powstrzymać. Tu i teraz. Tej nocy.

Wbiegłam w krąg światła i ciemność dokoła zgęstniała, na moment mnie oślepiło. Zastygłam w bezruchu, nakłaniając oczy, aby szybciej przywykły do ciemności.

- Niessstrudzona. Kobieta - zasyczał jakiś głos. Rozległ się na prawo ode mnie, tak blisko, że włoski na moich ramionach, stanęły dęba. Znieruchomiałam, usiłując rozszerzyć zakres widzenia. Był tam, ciemniejszy kształt wyłonił się z kępy wiecznie zielonych krzewów rosnących tuż przy domu. Stwór wyprostował się, ale nie zaatakował. Gdyby chciał, mógłby dopaść mnie, zanim zdążyłabym odwrócić się i strzelić. Widziałam, jak to się poruszało.

Wiedziałam, że moje chwile były policzone. Już nie żyłam. - Nie jesteś taka jak reszszszta. - Głos był zniekształcony, jakby mówiącemu brakowało fragmentu ust,

wypowiedzenie każdego słowa kosztowało go mnóstwo wysiłku. To był głos dżentelmena, aczkolwiek nieżyjącego już od dłuższego czasu i trawionego nieubłaganym rozkładem.

Odwróciłam się do niego powoli, bardzo powoli. - Zzłóż mnie na powrót.

Odwróciłam głowę na tyle, by móc go zobaczyć. Nocą widzę lepiej niż większość ludzi. A co dopiero, gdy w pobliżu palą się latarnie. Skórę miał bladą, żółtobiałą. Przywieriała do kości jego czaszki jak na wpół roztopiony wosk. Ale oczy, one nie były zniszczone przez rozkład. Pałały wewnętrzną mocą.

- W jaki sposób? - zapytałam.

- Zzłóż mnie do grobu - odpowiedział. Jego usta nie pracowały prawidłowo, nie zostało na nich dość dużo tkanek.

Nagle poraziło mnie silne światło. Zombi krzyknął, zasłaniając twarz. Nic nie widziałam. Stwór uderzył we mnie. Pociągnęłam spust, celując na oślep. Usłyszałam głuchy dźwięk, kiedy kula dosięgła celu. Wypaliłam raz jeszcze, trzymając broń jedną ręką, a drugą osłaniając szyję. Próbowałam się bronić, gdy na wpół oślepiona runęłam na ziemię. Kiedy zamrugałam powiekami i rozejrzałam się w rozjaśnionych blaskiem latarni ciemnościach, byłam sama. Nic mi się nie stało. Dlaczego? Jak to? Złóż mnie na powrót - powiedziało to coś. Złóż mnie do grobu. Skąd wiedział, kim jestem? Większość ludzi tego nie wyczuwa. Niekiedy udaje się to czarownikom, no i - rzecz jasna - inni animatorzy nie mają z tym żadnych trudności. Inni animatorzy. Cholera.

Dolph nagle znalazł się obok mnie i pomógł mi wstać.

- Boże, Blake, nic ci nie jest?

- Co to było za światło? - Pokręciłam głową.

- Latarka halogenowa.

- Prawie mnie, cholera, oślepiło.

- Nic nie widzieliśmy, nie mogliśmy strzelać - odparł.

Paru gliniarzy minęło nas i pognało w ciemność. Rozległy się okrzyki.

- Tam jest!

Dolph, ja i ta piekielna, latarka zostaliśmy z tyłu, podczas gdy krzykliwa obława rozplynęła się w mroku.

- To do mnie przemówiło, Dolph - stwierdziłam.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Poprosiło, abym złożyła go na powrót do grobu - mówiąc to, spojrzałam na niego.

Zastanawiałam się, czy wyglądałam tak jak Ki, blada jak trup, o rozszerzonych źrenicach i wytrzeszczonych oczach. Dlaczego się nie bałam? - To jest stare, ma co najmniej ze sto lat. Za życia parało się voodoo albo czymś w tym rodzaju. W tym właśnie sęk. To dlatego Peter Burke nie był w stanie nad nim zapanować.

- Skąd to wszystko wiesz? Powiedziało ci?

Pokręciłam głową.

- Wiek osądziłam po wyglądzie. To rozpoznało we mnie osobę, która może złożyć go do grobu. Jedynie czarownik albo inny animator jest w stanie rozpoznać, kim jestem. Stawiałabym raczej na animatora.

- Czy to zmienia, nasze plany? - zapytał. Spojrzałam na niego.

- Ile osób zabiło to coś? - Nie czekałam na jego odpowiedź. - Zabijemy to. Koniec, kropka.

- Myślisz jak glina, Anito. - Ze strony Dolpha był to spory komplement i tak też potraktowałam jego słowa.

Nieważne czym było to coś za życia. I co z tego, że ta istota była animatorem albo raczej szamanem voodoo. Teraz stała się maszyną do zabijania. Nie zabiła mnie. Nie zrobiła mi krzywdy. Nie mogłam sobie pozwolić na odpowiedzenie tym samym.

Z oddali dobiegły strzały. Jakaś sztuczka letniego powietrza sprawiła, że rozległo się ich echo. Dolph i ja wymieniliśmy spojrzenia. Wciąż trzymałam w garści browninga.

- Zróbmy to!

Skinął głową. Zaczęliśmy biec, ale szybko mnie zdystansował. Miał dłuższe nogi. Nie mogłam za nim nadążyć. Może okazałabym się wytrzymałsza od niego, ale na pewno był ode mnie szybszy. Zawahał się i spojrzał na mnie.

- Biegnij, nie ociągaj się - rzuciłam.

Przyspieszył kroku i po chwili zniknął w ciemnościach. Nawet się nie obejrzał. Skoro mówiłam, że dam sobie radę, mimo iż na wolności grasował zabójczy zombi, Dolph nie miał wyboru, jak tylko mi uwierzyć. Może nie wszystkim ufał do tego stopnia, ale mnie na pewno. To był komplement. Z dwóch przeciwległych kierunków dochodziły mnie głośne krzyki. Zgubili to. Cholera.

Zwolniłam. Nie chciałam choćby przez przypadek wpaść na tego stwora. Za pierwszym razem nic mi nie zrobił, ale wpakowałam mu co najmniej jedną kulę. Za coś takiego nawet zombi mógłby się wkurzyć. Znalazłam się w chłodnym cieniu rozłożystego drzewa. Dotarłam do granicy osiedla. Opoдал ciągnęło się ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym. Po drugiej stronie, jak okiem sięgnąć, rozciągały się pola uprawne. Rosła tu fasola. Aby się tu ukryć, zombi musiałyby położyć się płasko na ziemi. Dostrzegłam sylwetki przeczesujących teren policjantów z latarkami, ale znajdowali się dobre pięćdziesiąt metrów ode mnie.

Przepatrywali ziemię, ciemne zakamarki, bo powiedziałam im, że zombi nie umieją się wspinać. Ale to nie był zwyczajny zombi. W górze nad moją głową coś zaszeleściło. Włosy stanęły mi dęba. Obróciłam się, spojrzałam w górę i uniosłam broń.

Stwór wyszczerzył się do mnie i skoczył.

Oddałam dwa strzały, zanim runął na mnie i przewrócił całym ciężarem na ziemię. Dwie kule w pierś i praktycznie żadnej reakcji. Strzeliłam po raz trzeci, ale równie dobrze mogłabym użyć przeciwko niemu pistoletu na wodę.

Stwór wyszczerzył do mnie połamane zęby pokryte ciemnymi przebarwieniami, a z jego ust popłynął smród jak ze świeżo otwartej mogiły. Krzyknęłam przeraźliwie, pociągając raz jeszcze za spust. Kula trafiła monstrum w szyję. Stwór znieruchomiał, spróbował przełknąć ślinę. A może kulę? Błyszczące, niesamowite oczy znów na mnie spojrzały. W tych oczach

kryła się inteligencja, jak w oczach zombi Domingi, tych, w których uwięziła nieszczęsne dusze. Przez te oczy przezierała czyjaś jaźń. Zastygliśmy w bezruchu. Ta chwila zdawała się nie mieć końca, ale - rzecz jasna - trwała tylko kilka sekund. Stwór siedział na mnie okrakiem, dłonie trzymał przy mojej szyi, ale nie dusił mnie, w każdym razie jeszcze nie. Przyłożyłam mu pistolet do brody. Jak dotąd żadna kula nie wyrządziła mu krzywdy. Może tym razem się uda?

- Nie chciałem zabijać - rzekła półgłosem istota - z początku nie rozumiałem. Nie pamiętałem, kim byłem.

Obok nas pojawili się gliniarze. Jak na razie nie próbowali interweniować. Czekali.

- Nie strzelać! Nie strzelać! - zawołał Dolph.

- Potrzebowałem mięsca, aby przypomnieć sobie, kim byłem. Ssstarłem sssię nie zabijać. Próbowałem ominąć wszystkie domy, ale nie mogłem. Za dużo domów - wyszeptano to coś. Dłonie istoty zacisnęły się, brudne paznokcie zagłębiły się w moim ciele. Strzeliłam mu w podbródek. Ciało stwora odchyliło się do tyłu, ale palce zacisnęły się na mojej szyi.

Nacisk, piekielny nacisk, silny i wzmagający się coraz bardziej. Przed moimi oczyma pojawiły się oślepiająco białe gwiazdy. Noc zmieniła się z czarnej w szarą. Przyłożyłam lufę pistoletu do czoła monstrem i pociągnęłam za spust, raz, drugi, trzeci. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, ale wciąż czułam moje dłonie i palec ściągający spust. Ciemność otoczyła mnie, pochłaniając cały świat. Nie czułam już rąk.

Obudziły mnie krzyki, przeraźliwe krzyki. W ustach i na języku czułam dławiącą woń palonego ciała i włosów. Wzięłam głęboki oddech. Bolało. Zakasłałam i spróbowałam usiąść. Dolph podtrzymał mnie. Miał w ręce mój pistolet. Nabierałam powietrza, ale każdy oddech kończył się potwornym atakiem kaszlu. Bolało mnie gardło. Może to ten zombi.

Coś wielkości człowieka zataczało się po letniej trawie. I płonęło. Bijące zeń pomarańczowe płomienie rozświetliły mrok nocy, wypełniając go krwistoczerwoną luną. Dwóch tępicielei w kombinezonach ognioodpornych stało nieopodal, zbryzgując stwora strugami napalmu, jak pospolitego ghula. Istota wyła przeraźliwie na całe gardło, upiorne krzyki zdawały się trwać bez końca.

- Jezu, czemu to nie chce umrzeć? - spytał stojący opodal Zerbrovski. Jego twarz w blasku płomieni wydawała się pomarańczowa.

Nie odezwałam się ani słowem. Nie chciałam powiedzieć tego głośno. Zombi nie chciał umrzeć, bo za życia był animatorem. Tyle wiedziałam o zombi-animatorach. Nie wiedziałam natomiast, że po wyjściu z grobu mają oni apetyt na ludzkie mięso. I że dopiero po zjedzeniu ludzkiego mięsa przypominają sobie, kim byli. Tego wszystkiego nie wiedziałam. Nie chciałam wiedzieć.

W blasku ognia pojawił się John Burke. Przyciskał jedną rękę do piersi. Miał zakrwawione ubranie. Czy zombi odezwał się też do Johna? Czy Burke wiedział, dlaczego stwór nie chciał umrzeć?

Zombi zatoczył się, otoczony buzującymi płomieniami. Ciało stworza płonęło jak knot świecy. Zrobił niepewny krok w naszą stronę. Wyciągnął do mnie płonąca rękę. Do mnie. A potem wolno przewrócił się na травę. Runął jak drzewo w zwolnionym tempie, walcząc o życie. O ile można to tak określić. Tępiciele wciąż byli czujni. Woleli nie ryzykować. Wcale się im nie dziwiłam.

To coś było kiedyś nekromantą. Ten gorejący zewłok, od którego z wolna zajmowała się trawa, był ongiś tym samym, co ja. Czy powstawszy z grobu, też stałabym się takim potworem? Nie wiedziałam. I wołałam się nigdy nie dowiedzieć. W testamencie zażądałam, aby mnie skremowano, by nikt, niezależnie od przyczyny, nie spróbował mnie ożywić. Teraz miałam po temu jeszcze jeden powód. Co prawda wystarczyłby mi jeden.

Patrzyłam, jak ciało czernieje, kurczy się i rozpada. Mięśnie i kości rozpryskiwały się w miniaturowych eksplozjach, wznecając nieduże fontanny iskier. Obserwowałam zagładę zombi i poprzysięgłam sobie, że osobiście dopilnuję, aby za to, co uczyniła, Dominga Salvador zapłaciła życiem. Niech idzie do piekła, tam, gdzie jej miejsce. Niech się smaży. Wiedźma. Niech płonie po wsze czasy. W porównaniu z ogniem piekielnym płomień napalmu to małe miki. Dla Domingi Salvador nawet wieczność smażenia się w ogniu, piekielnym była zdecydowanie zbyt łagodną karą.

33

Leżałam na wznak w szpitalnej sali. Widok przesłaniał mi biały parawan. Odgłosy zza niego były donośne i nieprzyjemne. Lubiłam mój parawan. Poduszka była płaska, łóżko twarde. Białe, czyste i wspaniałe. Przelykanie sprawiało mi ból. Bolało nawet przy oddychaniu. Ale oddychanie było ważne. Dobrze było móc to robić.

Leżałam sobie cichutko. Po raz pierwszy robiłam, co mi kazano. Wsłuchiwałam się w mój własny oddech i rytm serca. Zawsze, gdy ktoś lub coś omal nie wysłało mnie na tamten świat, bardzo interesowałam się moim ciałem. Zwracałam uwagę na rzeczy, które nie interesowały mnie przez większość życia. Czułam krew krążącą w żyłach moich ramion. W ustach miałam, słodki jak cukierek, smak mego regularnego pulsu.

Żyłam. A zombi nie. Dominga Salvador trafiła do paki. Życie było cudowne.

Dolph rozsunął parawan. Po chwili zasunął go, jakby zamykał drzwi do pokoju. Oboje udawaliśmy, że jesteśmy tu sami, choć po drugiej stronie zasłony wciąż krążyli ludzie.

Uśmiechnęłam się do niego. Odpowiedział uśmiechem.

- Miło cię widzieć, w miarę całą i zdrową.

- Dobrze, że dodałeś to "w miarę" - mruknęłam. Mój głos brzmiał ochryple. Odkasznęłam, próbując nadać mu właściwe brzmienie, ale to na nic się nie zdało.

- Co mówił lekarz o twoim głosie? - zapytał Dolph.

- Tymczasowo jestem tenorem. - Dostrzegłszy pytający wyraz jego twarzy, dodałam: - Ale to minie.

- Świetnie.

- Jak tam Burke? - spytałam.
- Tylko szwy, żadnych trwałych, uszkodzeń.
- Domyśliłam się tego, ujrzawszy go wczoraj wieczorem, ale miło było usłyszeć konkretne potwierdzenie.
- A Roberts?
- Przeżyje.
- Wylizę się? - Musiałam przełknąć ślinę. Mówienie sprawiało mi ból.
- Wyjdzie z tego. Ki też ma rozplataną rękę. Wiedziałaś o tym?
- Pokręciłam głową i znieruchomiałam w pół ruchu. To także bolało.
- Nie zauważyłam.
- Parę szwów, nic poważnego. Do wesela się zagoi. - Dolph włożył obie ręce do kieszeni. - Straciliśmy trzech funkcjonariuszy. Jeden ma cięższe obrażenia niż Roberts, ale powinien się wykaraskać.
- To moja wina. - Spojrzałam na niego.
- Jak na to wpadłaś? - Zmarszczył brwi.
- Powinnam, była się domyślić - mruknęłam, przełykając ślinę - że to nie może być zwykły zombi.
- To był zombi, Anito. Miałaś rację. To ty domyśliłaś się, że ukrywa się w jednym z tych cholernych pojemników na śmieci. - Uśmiechnął się do mnie. - Poza tym omal nie straciłaś życia, usiłując go zabić. Myślę, że zrobiłaś to, co do ciebie należało.
- Nie zabiłam, go. Zrobili to eksterminatorzy. - Wielosylabowe wyrazy sprawiały mi większy ból niż krótkie.
- Czy pamiętasz, co się stało, zanim zemdliałaś?
- Nie.
- Wpakowałaś mu w głowę cały magazynek. Rozwaliłaś mu czerep tak, że z mózgu zostały tylko strzępy. A potem zwiotczałaś. Myślałem, że nie żyjesz. Boże - pokręcił głową - nigdy więcej tak nie rób.
- Postaram się. - Uśmiechnęłam się.
- Kiedy mózg zaczął mu się wylewać przez otwór w potylicy, zombi wstał. Najwyraźniej zniechęciłaś go do dalszej walki.
- Zerbrowski stanął przy moim łóżku, nie zasuwając za sobą parawanu. Dostrzegłam pochlipującego cichutko małego chłopca z zakrwawioną rączką, wtulonego w ramię jakiejś kobiety. Dolph zaciągnął parawan. Założę się, że Zerbrowski był jednym z tych facetów, którzy nigdy nie zamykają szuflady.
- Wciąż jeszcze wyciągają z trupa kule. Wszystkie są twoje, Blake. - Spojrzałam na niego. - Prawdziwa z ciebie żmija, Blake.
- Ktoś musi być bezwzględny, gdy ty jesteś w pobliżu, Zerbrow... - Nie mogłam dokończyć jego nazwiska. Ból. Typowe.
- Boli cię? - spytał Dolph.
- Ostrożnie pokiwałam głową.

- Lekarz ma przynieść mi środek przeciwbólowy. Dostałam też końską dawkę zastrzyku przeciwtężcowego.

- Śliczniutki ten twój naszyjnik z siniaków - pochwalił Zerbrowski.

- Poetyckie porównanie - zauważyłam.

Wzruszył ramionami.

- Zajrzę jeszcze raz do naszych rannych, a potem podeślę mundurowego funkcjonariusza, aby odwiózł cię do domu - powiedział Dolph.

- Dzięki.

- Nie sądzę, żebyś była w stanie prowadzić wóz.

Być może miał rację. Czułam się fatalnie, ale przynajmniej żyłam. Udało mi się. Udało się nam. Rozwiązaliśmy sprawę morderstw, a zamieszane w nią osoby trafią za kratki. Super! Zjawił się lekarz ze środkami przeciwbólowymi. Zerknął na dwóch policjantów.

- Proszę. - Podał mi buteleczkę z trzema pigułkami. - To powinno pani wystarczyć na całą noc i jutrzejszy dzień. Na pani miejscu wzięłbym jutro chorobowe. - Mówiąc to, łypnął na Dolpha - Słyszał pan, szefie?

- Nie jestem jej szefem. - Dolph spochmurniał.

- Pan tu rządzi, prawda? - spytał lekarz. Dolph pokręcił głową.. - A więc...

- Tylko z nim współpracuję - wytrąciłam.

- Współpracuje pani?

- Można powiedzieć, że wypożyczyliśmy ją z innego wydziału - dodał Zerbrowski.

Lekarz skinął głową.

Wobec tego proszę powiadomić jej przełożonych, że ta pani nie przyjdzie do pracy. Może jej obrażenia nie wyglądają tak poważnie jak u innych, ale ta kobieta przeżyła spory szok. Ma szczęście, że nie nastąpiły trwałe uszkodzenia.

- Ona nie ma przełożonego - dorzucił Zerbrowski - ale powiadomimy jej szefa.

Uśmiechnął się do lekarza.

- Wobec tego jest pani wolna. Proszę obserwować zadrapania, czy nie wda się infekcja. I to ukąszenie na ramieniu. - Pokręcił głową. - Wy, gliniarze, harujecie ciężko na każdy zarobiony grosz. - To rzekłszy, oddalił się.

- Po co mielibyśmy mówić temu łapiduchowi, że narażamy życie osób cywilnych? -

Zerbrowski zaśmiał się. - Nieświadomość bywa zdrowsza.

- Przeżyła spory szok - powiedział Dolph.

- Jeszcze jaki - dorzucił Zerbrowski.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Usiadłam powoli, ostrożnie, zwieszając nogi z łóżka.

- Jak skończycie rechotać, dobrze by było, aby ktoś odwiózł mnie do domu.

Tamci dwaj śmiali się do łez. To wszystko wcale nie było aż tak śmieszne, ale potrafiłam ich zrozumieć. Śmiech znacznie lepiej rozładowuje napięcie aniżeli płacz. Nie przyłączyłam się do nich z obawy, że atak śmiechu mógłby sprawić mi silny ból.

- Odwiozę cię do domu - wysapał Zerbrowski pomiędzy kolejnymi wybuchami śmiechu.

Uśmiechnęłam, się mimowolnie. Widok chichoczących Dolpha i Zerbrowskiego rozbawiłby każdego.

- Co to, to nie - zaproponował Dolph. - Was dwoje w jednym aucie. Tylko jedno wyszłoby żywe z samochodu.

- I tym kimś byłabym ja - dodałam.

- Święta racja. - Zerbrowski skinął głową.

Miło wiedzieć, że zgadzaliśmy się, choćby w jednej tylko kwestii.

Drzemałam na tylnym siedzeniu radiowozu, gdy samochód zatrzymał się przed apartamentowcem, w którym mieszkałam. Zaaplikowane leki złagodziły nieco pulsujący ból w gardle. Co dał mi ten lekarz? Czułam się świetnie, ale cały świat wydawał mi się dziwnie obcy i nie związany bliżej z moją skromną osobą. Był odległy i niegroźny jak sen. Dałam Dolphowi kluczyki do mojego wozu. Obiecał, że ktoś jeszcze tej nocy podstawi mój samochód pod dom.. Dodał przy tym, że zadzwoni do Berta i powiadomi go, że nie zjawię się dziś w pracy. Zastanawiałam się, jak Bert to zniesie. I czy bardzo się tym przejmowałam. Ależ skąd.

Jeden z funkcjonariuszy odchylił się do mnie na fotelu i rzekł:

- Wszystko w porządku, pani Blake?

- Panno - poprawiłam odruchowo.

Uśmiechnął się półgębkiem, otwierając mi drzwi. Od wewnątrz z tyłu w radiowozie nie ma klamek. Musiał przytrzymać dla mnie drzwi, ale zrobił to szarmancko.

- Na pewno wszystko gra, panno Blake?

- Tak, panie posterunkowy... - musiałam zamrugać, aby odczytać nazwisko na plakietce - ...Osborn. Dziękuję za odwiezienie do domu. Pańskiemu partnerowi również.

Jego partner stał przy aucie z drugiej strony, opierając się obiema przedramionami o dach.

- To wielki zaszczyt spotkać słynną egzekutorkę z oddziału duchów - mówiąc to, uśmiechnął się szeroko.

Zamrugałam do niego i spróbowałam wziąć się w garść, aby móc myśleć i mówić równocześnie.

- Byłam egzekutorką na długo przed zawiązaniem oddziału duchów.

- Bez urazy. - Rozłożył ręce, wciąż się uśmiechając.

Byłam zbyt zmęczona i otumaniona prochami, aby się tym przejąć. Pokręciłam głową.

- Jeszcze raz dziękuję.

Wchodząc po schodach, poczułam się dość niepewnie. Trzymałam się poręczy równie mocno jak tonący brzytwy. Dzisiaj wreszcie się prześpię. Może obudzę się na środku korytarza, ale w końcu się prześpię. Mimo wszystko. Już za drugim razem udało mi się wsunąć klucz do zamka. Chwiejąc się na nogach, weszłam do mieszkania i oparłam się czołem o drzwi, aby je zamknąć. Przekręciłam zasuwkę i byłam bezpieczna. Byłam w domu. Żyłam. Zombi zabójca został unicestwiony. Miałam chęć zachichotać, ale to był efekt działania leku przeciwbólowego. Sama z własnej woli nigdy nie chichoczę.

Stałam tak, z głową opartą o drzwi. Wpatrywałam się w czubki moich adidasów. Wydawały się bardzo odległe, jakby dystans pomiędzy moją głową a stopami znacznie się zwiększył od ostatniego razu, gdy na nie patrzyłam. Lekarz dał mi jakieś dziwaczne świństwa. Jutro już tego nie wezmę. Te prochy zbyt burzały poczucie rzeczywistości.

Tuż obok moich adidasów pojawiły się czubki czarnych butów. Skąd wzięły się te buty w moim mieszkaniu? Zaczęłam się odwracać. Sięgnęłam po broń. Zbyt wolno, za późno, byłam za bardzo otępiąta. Spieprzyłam sprawę.

Silne brązowe łapska opłotły mnie wół, unieruchamiając ramiona. Przyszpiliły mnie do drzwi. Spróbowałam się uwolnić, ale było już na to za późno. Miał mnie na widelcu.

Odchyliłam głowę do tyłu, usiłując zwalczyć działanie przeklętych medykamentów.

Powinłam być przerażona. Zastrzyk adrenaliny, choć niektórym prochom jest obojętne, że akurat chcesz zrobić użytek ze swego ciała. Mają nad tobą władzę, dopóki nie przestaną działać. I kropka. Zamierzałam zrobić temu konowałowi krzywdę. I to sporą. Jeżeli tylko przeżyję.

To Bruno przycisnął mnie do drzwi.

Po mojej prawej stronie pojawił się Tommy. W dłoni trzymał strzykawkę.

- Nie!

Bruno zatkał mi usta dłonią. Próbowałam go ugryźć. Trzasnął mnie w twarz. Uderzenie trochę mnie otrzeźwiło, ale świat wciąż wydawał się odległy, spowity gęstym kokonem z waty. Dłoń Brunona pachniała płynem po goleniu. Dławiąca słodycz:.

- To wydaje się trochę zbyt proste - zauważył Tommy.

- Zrób to i już.

Patrzyłam, jak igła zbliża się do mojego ramienia. Gdyby nie to, że Bruno zatykał mi usta, powiedziałabym im, że zostałam już naszpikowana prochami. Zapytałabym, co było w strzykawce i czy ten specyfik nie zareaguje gwałtownie na lekarstwo, które mi podano. Nie dano mi tej szansy.

Igła zagłębiła się w ciele. Zesztywniałam, zaczęłam się wrywać, ale Bruno trzymał mnie mocno. Nie mogłam się poruszyć. Nie mogłam uciec. Cholera! Cholera! Adrenalina przemogła wreszcie otępienie, ale już było za późno. Tommy wyjął igłę z mego ramienia.

- Wybacz, że nie mamy spirytusu, aby przetrzeć miejsce wkłucia - rzekł i uśmiechnął się do mnie.

Nienawidziłam go. Nienawidziłam ich obu. Poprzysięgłam sobie, że jeżeli ten zastrzyk mnie nie wykończy, zabiję ich obu. Za to, że mnie wystraszyli. Że poczułam się przez nich bezradna. Za to, że przyłapali mnie osłabioną, nafaszerowaną prochami, ogłupiałą. Popełniłam błąd, ale jeśli wyjdę z tego cało, to się już nigdy nie powtórzy. Proszę Cię, Boże, pozwól mi to przeżyć.

Bruno zatykał mi usta i przytrzymał przy drzwiach długo, aż poczułam, że zastrzyk zaczyna działać. Zrobiłam się śpiącą. Postawny osiłek, typ spod ciemnej gwiazdy opasywał mnie muskularnymi ramionami, a mnie chciało się spać. Próbowałam z tym walczyć, lecz bez powodzenia. Moje powieki zatrzepotały. Starłam się z całych sił, aby nie opadły. Przestałam już wrywać się z uścisku Brunona i resztką sił usiłowałam powstrzymać opadanie powiek. Wlepiłam wzrok w drzwi, starając się nie zasnąć. Drzwi nagle zafalowały i zaczęły się rozpląwać, jakby znajdowały się pod wodą. Zakręciło mi się w głowie. Moje powieki opadły, uniosły się gwałtownie i opadły raz jeszcze. Nie mogłam otworzyć oczu.

Jakaś cząstka mnie runęła z krzykiem w ciemność, ale cała reszta rozluźniła się i poczuła się dziwnie bezpieczna, wtulając się coraz głębiej w kojące objęcia Morfeusza.

Balansowałam na pograniczu jawy. To stan, w którym wiesz, że już nie śpisz, a mimo to nie chcesz się obudzić. Byłam potwornie ociężała. Pulsowało mi pod czaszką. I miałam obolałe gardło. Ostatnia myśl sprawiła, że otworzyłam oczy. Ujrzałam biały sufit. Brązowe zacieki przecinały sklepienie jak ślady po rozlanej kawie. Nie byłam w domu.. Wobec tego gdzie? Przypomniałam sobie uścisk Brunona. Igłę. Usiadłam. Świat zawirował feerią barw. Ponownie opadłam na łóżko, przesłaniając dłońmi oczy. To trochę pomogło. Co oni mi wstrzyknęli? Odniosłam wrażenie, że nie jestem tu sama. Gdzieś wśród tych wirujących barw był ktoś jeszcze. Prawda? Otworzyłam oczy. Tym razem wolniej. Z zadowoleniem wlepiłam wzrok w pokryty zaciekami sufit. Leżałam na dużym łóżku. Dwie poduszki, prześcieradło, koc. Ostrożnie odwróciłam głowę i ujrzałam twarz Harolda Gaynora. Siedział przy łóżku. Niezbyt to miły widok po przebudzeniu.

Z tyłu za nim, oparty o starą, podniszczoną komódkę, stał Bruno. Na niebieskiej koszuli z krótkimi rękawami nosił szelki kabury podramiennej. W nogach łóżka stała równie stara i podniszczona toaletka. Po obu jej stronach dostrzegłam dwa wysokie okna. Były zabite nowymi, pachnącymi świeżością deskami. Zapach sosnowego drewna wydawał się szczególnie silny w dusznym, nie wietrzonym pomieszczeniu. Gdy tylko uświadomiłam sobie, że nie było tu klimatyzacji, zaczęłam się pocić.

- Jak się pani czuje, panno Blake? - zapytał Gaynor. Jego głos, choć wciąż jowialny, zawierał w sobie groźną nutę. Jakbym miała przed sobą szczególnie wesołego węża.

- Bywało lepiej - odparłam.

- Nie wątpię. Spała pani ponad dobę. Wiedziała pani?

Czy mówił prawdę? Dlaczego miałby kłamać, mówiąc o tym, jak długo spałam? Co by przez to zyskał? Nic. A zatem mówił prawdę. Zapewne.

- Co mi, do cholery, wstrzyknąłeś?

Bruno odsunął się od ściany. Wydawał się prawie zażenowany.

- Nie wiedzieliśmy, że już wcześniej brałaś coś na uspokojenie.

- Środek przeciwbólowy - poprawiłam.

- Efekt jest taki sam, jeśli połączyć to z torazyną. - Wzruszył ramionami.

- Dałeś mi środek uspokajający dla zwierząt?

- Ależ, panno Blake, tych środków używa się także w szpitalach psychiatrycznych. Podaje się je nie tylko zwierzętom - wtrącił Gaynor.

- No jasne - mruknęłam. - Od razu poczułam się lepiej.

- Skoro się pani przekomarza, to znaczy, że wraca pani do formy. - Uśmiechnął się szeroko.

- Może pani już wstać.

Coś podobnego. Choć może w sumie miał rację. Bądź co bądź, nawet nie byłam związana. Cieszyło mnie to i dziwiło zarazem. Usiadłam, jeszcze wolniej niż ostatnim razem. Pokój

przechylił się tylko odrobinę, zanim przyjąłem pozycję siedzącą. Wzięłam głęboki oddech. Zabolalo. Przyłożyłam dłoń do szyi. Nawet dotyk sprawiał ból.

- Skąd te olbrzymie sińce? - spytał Gaynor.

Sklaniać czy powiedzieć prawdę? Wybrałam półprawdę.

- Pomagałam policji w schwytaniu przestępcy. Trochę mi się przy tym dostało.

- A co z tym przestępcą? - spytał Bruno.

- Nie żyje - odparłam.

W oczach. Bruna- coś się pojawiło. Przemknęło tak szybko, że nie zdążyłam tego rozszyfrować. Szacunek? Nie. Raczej nie.

- Wiesz, po co cię tu sprowadziłem, prawda? - spytał Gaynor.

- Abym ożywiła dla ciebie nieboszczyka - odparłam.

- Abyś ożywiła dla mnie bardzo starego nieboszczyka, tak.

- Już dwukrotnie ci odmówiłam. Skąd przypuszczenie, że zmieniłam zdanie?

- Ależ, parano Blake, Bruno i Tommy uświadomią pani, że upór jest bezcelowy. - Uśmiechnął się, stary psotnik. - Tylko krowa nie zmienia poglądów. A ja nadal gotów jestem zapłacić milion dolarów za ożywienie tego trupa. Cena nie uległa zmianie.

- Ostatnio Tommy oferował mi półtorej bańki - zauważyłam.

- To w przypadku gdybyś zgodziła się przybyć do nas dobrowolnie. Nie możemy zapłacić pełnej sumy, gdy zmuszasz nas do podjęcia takiego ryzyka.

- Które grozi długoletnią odsiadką za porwanie - dokończyłam.

- Otóż to. Upór kosztował cię pięćset tysięcy dolarów. Warto było?

- Nie zabiję człowieka tylko po to, abyś mógł znaleźć swój utracony skarb.

- Mała Wanda, ma za długi język.

- Jestem domyślna, Gaynor. Przeczytałam twoje akta. Jest tam wzmianka, że obsesyjnie interesujesz się rodziną ojca. - Skłamałam. Tylko Wanda o tym wiedziała.

- Obawiam się, że już za późno. Wiem, że Wanda z tobą rozmawiała. Wszystko wyznała. Wyznała? Patrzyłam na jego rozbawione oblicze.

- Co to znaczy?

- Oddałem, ją. Tommy'emu, aby wziął ją na spytki. Nie jest tak utalentowanym artystą jak Cicely, ale więcej po nim zostaje. Nie chcę, aby moja mała Wanda odeszła z tego świata.

- Gdzie jest teraz?

- Co cię obchodzi los jakiejś dziwki? - Spojrzał na mnie błyszczącymi, bystrymi oczami. Osądzał mnie, badał reakcje.

- Ona nic dla mnie nie znaczy - odparłam. Miałam nadzieję, że moja twarz pozostanie beznamietna. Jak na razie nie zamierzali jej zabić. Ale mogli to zrobić, aby mnie zranić.

- Na pewno?

- Przecież to nie ja z nią sypiałam. Dla mnie to tylko bardzo chora dzdżira.

Uśmiechnął się, słysząc moje słowa.

- Co mamy zrobić, aby przekonać cię do ożywienia tego nieboszczyka?

- Nie popełnię dla ciebie morderstwa, Gaynor. Aż tak bardzo cię nie lubię.

Westchnął. Z rumianymi policzkami wyglądał jak szmaciana lalka.

- Okropnie utrudnia nam pani całą sprawę, panno Blake.

- Bo jakoś nie potrafię jej uprościć - odparowałam. Oparłam się o porysowane wezgielnie łóżka. Było mi dość wygodnie, ale wciąż nie odzyskałam pełni sił. Na razie jednak to musiało mi wystarczyć. Lepsze to, niż leżeć bez przytomności.

- Jak dotąd jeszcze nie zrobiliśmy ci krzywdy - rzekł Gaynor. - Reakcja torazyny z innym podanym medykamentem była przypadkowa. Nie zrobiliśmy tego celowo.

Miałam ochotę zaprzeczyć, ale nie zrobiłam tego.

- Do czego zmierzasz?

- Mamy oba twoje pistolety - ciągnął Gaynor. - Bez broni jesteś tylko małą, słabą kobietką na łasce dwóch wielkich, silnych mężczyzn.

- Przywykłam do tego. - Uśmiechnęłam się. - Byłam najmniejszym dzieciakiem na naszej ulicy, Harry.

- Haroldzie albo Graynor, ale nigdy Harry. - Skrzywił się.

- Jak sobie chcesz. - Wzruszyłam ramionami.

- Nie obawiasz się, że jesteś całkowicie zdana na naszą łaskę?

- Mam na ten temat nieco odmienne zdanie.

- Cóż za pewność siebie. Skąd się to bierze? - Spojrzał na Brunona - Ten milczał. Patrzył tylko na mnie tymi pustymi oczyma, jak u lalki. Oczyma ochroniarza, czujnymi, podejrzliwymi i pustymi zarazem. - Udowodnij jej, że nie żartujemy, Bruno.

Bruno uśmiechnął się, jego usta rozchyliły się powoli, przypominał mi teraz rekina. Rozluźnił ramiona, przeciągnął się, wykonał parę skrętów tułowia. Ani na chwilę nie spuszczał mnie z oka.

- Zakładam, że mam odegrać rolę worka treningowego? - zapytałam.

- Dobrze to ujęłaś - pochwalił Gaynor.

Bruno odstał od ściany, rzeźki i gotowy do działania. Pięknie. Ześlizgnęłam się z łóżka po drugiej stronie. Nie chciałam, aby Graynor mnie pochwycił. Bruno miał dwa razy większy zasięg ramion ode mnie. I nogi jak stąd do wieczności. Ważył pewnie z pięćdziesiąt kilogramów więcej, z czego większość stanowiły mięśnie. Zapowiadało się, że dostanę niezły łomot. Ale dopóki nie byłam związana, zamierzałam drogo sprzedać swoją skórę. Jeżeli tylko zdołam solidnie go poturbować, będę zadowolona.

Wyszłam zza łóżka, opuszczając luźno ręce wzdłuż boków. Ugięłam nogi w kolanach, jak podczas treningu judo. Wątpiłam, aby Bruno spośród sztuk walki preferował judo. Stawiałam raczej na karate lub taekwondo.

Bruno przyjął niezbyt wygodną pozycję z nisko przesuniętym środkiem ciężkości i nogami mocno ugiętymi w kolanach. Nie sadziłam, że jest tak gibki. Ale gdy podeszłam bliżej, cofnął się błyskawicznie jak krab. Nie myślałam, że w tak nieporadnej z wyglądu pozycji może poruszać się tak szybko.

- Jujitsu? - rzuciłam mimochodem.

- Większość ludzi nie potrafiłaby rozpoznać. - Uniósł brew.

- Widziałam to już kiedyś - odparłam.

- Ćwiczyłaś?

- Nie.

- Wobec tego zrobię ci krzywdę. - Uśmiechnął się.

- Nawet gdybym znała jujitsu i tak byś to zrobił - odrzekłam.

- To byłby uczciwy pojedynek.

- Jeśli dwie osoby są równie zręczne w sztukach walki, dużą rolę odgrywają gabaryty. Osoba pokaźnych rozmiarów zawsze dołoży tej mniejszej. - Wzruszyłam ramionami. - Ciężko się do tego przyznać, ale taka jest prawda.

- Aż nie do wiary, że przyjmujesz to ze stoickim spokojem - mruknął Bruno.

- Czy histeryzowanie mogłoby mi teraz pomóc?

- Nie. - Pokręcił głową.

- Wobec tego pozwól, że podejść do sprawy - że się tak wyrażę - po męsku. Zmarszczył brwi. Bruno przywykł do tego, że ludzie się go bali. Ja się nie obawiałam. Miałam dostać łomot i zniosę to z godnością. Z tą świadomością ogarnął mnie osobliwy spokój. Oberwę, to nieprzyjemne, ale już się z tym pogodziłam. Mogłam to znieść. Nieraz zdarzyło mi się dostać wycisk. Mając do wyboru: a) dostać w kość lub b) złożyć ofiarę z człowieka, wybieram bicie.

- Gotowa czy nie - rzekł Bruno.

- Rób swoje - dokończyłam. Zaczynało mnie już męczyć zgrywanie twardej baby. - Albo mi przywal, albo stań prosto. Głupio wyglądasz w tej pozycji. Jego pięść była jak rozmyta, plama. Zablokowałam cios przedramieniem. Siła była tak duża, że zdrętwiała mi cała ręka. W tej samej chwili jego długa noga wystrzeliła naprzód, trafiając mnie w brzuch. Zgięłam się wpół, tak jak powinnam, z moich, płuc uszło całe powietrze. Naraz jego druga noga śmignęła po łuku w górę, trafiając mnie w bok twarzy. W ten sam policzek, który obił mi Seymour. Upadłam na podłogę, niepewna, którą część ciała mam rozetrzeć najpierw.

Jego stopa znów sunęła w moją stronę. Złapałam ją oburącz. Poderwałam się gwałtownie, licząc, że zdołam uwięzić jego kolano pomiędzy ramionami i zgruchotać rzepkę. On jednak wyślizgnął mi się, wybijając się zwinnie w powietrze.

Osunęłam się na ziemię, a powietrze nad moją głową zafalowało przecięte podwójnym obrotowym kopniakiem Brunona z wysokości. Gdybym się nie schyliła, zdjąłby mi głowę z karku. Znów byłam na ziemi, ale tym razem z własnej woli. Stał nade mną, niesamowicie wysoki z tej perspektywy. Położyłam się na boku, podkulając kolana do piersi. Przyskoczył do mnie, najwyraźniej zamierzając podźwignąć mnie z podłogi. Kopnęłam obunóż, mierząc w jego kolano. Trafiając pod odpowiednim kątem tuż powyżej lub poniżej, powinnam uszkodzić mu rzepkę kolanową. Noga Bruna ugięła się, a on sam wrzasnął. Udało się. A niech to. Nie starałam się z nim mocować. Ani odebrać mu broni. Pobiegnęłam w stronę drzwi.

Gaynor spróbował mnie pochwycić, ale otworzyłam drzwi na oścież i wypadłam na korytarz, zanim zdążył wprawić w ruch swój wózek inwalidzki. Korytarz był długi, z paroma drzwiami i załomami. A także z Tommym.

Tommy wyraźnie się zdziwił na mój widok. Jego dłoń uniosła się w stronę kabury podramiennej. Naparłam na jego bark i podciąłam go. Runął do tyłu, ale zdołał mnie złapać. Opadłam na niego, wbijając mu kolano w krocze. Gdy rozluźnił uścisk, wyslizgnęłam mu się. Z pokoju za mną rozległy się jakieś odgłosy, ale nie obejrzałam się. Jeśli zamierzali mnie kropnąć, wołałam tego nie widzieć.

W korytarzu był ostry załom. Prawie do niego dotarłam, gdy jakaś woń sprawiła, że zwolniłam. Zza załomu korytarza dochodził trupi odór. Co tu się działo, gdy spałam? Spojrzałam do tyłu. Tommy wciąż leżał na podłodze, przyciskając dłonie do obolałego krocza. Bruno opierał się o ścianę. W dłoni trzymał pistolet, ale nie celował we mnie. Gaynor siedział na wózku. Uśmiechał się.

Coś było nie tak, i to bardzo.

Zza rogu wyłoniła się niewyobrażalna maskara. Była wzrostu wysokiego mężczyzny, metr osiemdziesiąt, nie więcej. Ale miała metr dwadzieścia średnicy. Do tego dwie lub trzy nogi, trudno było to stwierdzić. Stwór był trupio blady, jak wszystkie zombi, ale ten miał tuzin oczu. W miejscu, gdzie powinna znajdować się szyja, widniała głowa mężczyzny. W ciemnych, widzących oczach malowało się szaleństwo. Z barku wyrastał psi łeb. Trawione rozkładem, szczęki kłapały, usiłując mnie pochwycić. Ze środka tej masy wyłaniała się kobieca noga w czarnym pantoflu na obcasie. Stwór zaczął sunąć w moją stronę. Podciągał się naprzód, pomagając sobie trzema z tuzina ramion. Zostawiał za sobą, jak ślimak, ślad lepkiego śluzu. Zza załomu muru wyłoniła się Dominga Salvador.

- Buenas noches, chica.

Potwór mnie przestraszył, ale widok uśmiechniętej Domingi przeraził mnie o wiele bardziej. Stwór przystanął. Zastygł, przykucnięty na swych niedopracowanych nogach. Tuzin, gąb ziajało, jakby stworowi brakowało powietrza.

A może nie podobał mu się wydzielany przezeń odór. Mnie na pewno. Nawet zasłonięcie nosa i uszu niewiele dało. W całym korytarzu zaczęło nagle cuchnąć zgniłym mięsem.

Gaynor i jego ranni ochroniarze zostali w drugim końcu korytarza. Może nie lubili zbliżać się do ulubieńca Domingi. Ja na pewno nie miałam, na to ochoty. Tak czy owak, doszło do konfrontacji. Była tylko ona, ja i potwór.

- Jak wydostałaś się z pudła? - Najpierw uporajmy się z bardziej przyziemnymi problemami. Te trudniejsze mogły poczekać na później.

- Wpłaciłam kaucję - odparła.

- W przypadku posądzenia o morderstwo z użyciem czarnej magii?

- Voodoo to nie magia. - odparła.

- Prawo postrzega je tak samo, gdy w grę wchodzi morderstwo. - Wzruszyła ramionami, po czym uśmiechnęła się błogo. Była meksykańską babką moich koszmarów. - Masz sędziego w kieszeni - rzuciłam.

- Wielu ludzi się mnie obawia, chica. Ty także powinnaś.
 - Pomogłaś Peterowi Burke'owi ożywić zombi dla Gaynora. - Tylko się uśmiechnęła. - Czemu, sama go nie ożywiłaś? - zapytałam.
 - Nie chciałam, ty ktoś tak bezwzględny jak Gaynor był świadkiem zabicia przeze mnie człowieka. Mógłby mnie potem szantażować.
 - A nie zdawał sobie sprawy, że musiałaś kogoś zamordować, aby wykonać gris-gris dla Petera?
 - Otóż to - przyznała.
 - To tu ukryłaś wszystkie swoje koszmarnie sekrety?
 - Nie wszystkie. Zmusiłaś mnie do unicestwienia większości moich dzieł, ale to jedno ocalałam. Przekonaś się dlaczego. - Przesunęła dłonią po wilgotnej skórze. Wzdrygnęłam się. Na samą myśl o dotknięciu czegoś takiego zrobiło mi się zimno. A mimo to...
 - Jak zrobiłaś to coś? - Musiałam wiedzieć. Na swój sposób było to dzieło sztuki.
 - Potrafisz na pewno ożywić fragmenty ciał zmarłych. - rzekła Dominga. Potrafiłam, ale nikt inny, kogo znałam, nie umiał tego dokonać.
 - Tak - odparłam.
 - Stwierdziłam, że mogę pozbierać niektóre z nich i połączyć je w całość - powiedziała. Spojrzałam na bryłowatą istotę.
 - Połączyć? - Ta myśl była nazbyt potworna.
 - Mogę tworzyć nowe istoty, które nigdy dotąd nie istniały.
 - Tworzysz potwory - odparłam.
 - Wierz, w co tylko chcesz, chica, ale jestem tu, by przekonać cię do ożywienia tego nieboszczyka dla Gaynora.
 - Czemu sama tego nie zrobisz?
- Z tyłu za nami rozległ się głos Gaynora. Odwróciłam się, opierając się plecami o ścianę, aby mieć wszystkich, na oku. Nie bardzo wiedziałam, w czym mogło mi to pomóc.
- Dominga już raz zawiodła. To moja ostatnia szansa. Ostatni znany grób. Nie zaryzykuję i nie powierzę jej tego zadania.
 - Ona mogłaby tego dokonać, Gaynor, łatwiej, niż przypuszczasz.
 - Gdybym w to uwierzył, zabiłbym cię, bo nie byłabyś mi już potrzebna.
- No tak, racja.
- Kazałeś Brunonowi trochę mnie zmiękczyć. Co teraz?
 - Taka mała dziewczynka załatwiła obu moich ochroniarzy. - Gaynor pokręcił głową.
 - Mówiłam ci, że zwykłą perswazją nie nakłonisz jej współpracy - stwierdziła Dominga. Spojrzałam, na śliniącego się potwora. Nazywała to zwyczajnymi metodami?
 - Co proponujesz - spytał Gaynor.
 - Zakłęcie posłuszeństwa. Będzie wykonywać wszystkie moje polecenia, ale aby spętać kogoś tak potężnego jak ona, potrzeba czasu. Czar musi być silny. Gdyby znała się na

voodoo, zaklęcie w ogóle by nie poskutkowało. Tyle że ona mimo swych umiejętności, jeżeli chodzi o voodoo, jest praktycznie laikiem..

- Ile czasu potrzebujesz?

- Dwie godziny, nie więcej.

- Oby poskutkowało - rzucił Gaynor.

- Nie groź mi - warknęła Dominga.

O rany, może para lotrów weźmie się zaraz za kudły.

- Płacę ci dość, abyś mogła założyć własne państwo. Oczekuję więc rezultatów.

- Dobrze płacisz, przyznaje. Dominga pokiwała głową. - Nie zawiodę cię. Jeśli zdołam skłonić Anitę, aby zabiła dla ciebie człowieka, będę w stanie zmusić ją, aby pomogła mi przy moich, zombi. Przy jej pomocy odtworzę co musiałam unicestwić. Cóż za ironia, nieprawdaż?

- To mi się podoba. - Gaynor uśmiechnął się obłąkańczo.

- Zrobisz, co ci każę. Byłaś bardzo niegrzeczna. - Spojrzał na mnie spode łba.

Ja? Niegrzeczna?

Bruno zbliżył się do nas. Opierał się o ścianę, ale jego broń była wymierzona w moją stronę.

- Miałbym teraz ochotę cię zabić - wysapał. Z trudem dobywał z siebie głos. Bardzo cierpiał.

- Wybite kolano boli jak cholera, no nie? - Mówiąc te słowa, uśmiechnęłam się. Lepsza śmierć niż pokorna służba u królowej voodoo.

Chyba zazgrzytał zębami. Broń lekko się zakolysała, ale to, jak sędzę, efekt gniewu, a nie bólu.

- Zabiję cię z dziką rozkoszą.

- Ostatnim razem nie poszło ci najlepiej. Chyba sędziowie mnie przyznaliby zwycięstwo w tym starciu.

- Nie ma tu żadnych pieprzonych sędziów. I zaraz cię zabiję.

- Bruno - rzekł Gaynor - potrzebna jest nam cała i zdrowa.

- A gdy już ożywi tego truposza? - zapytał Bruno.

- Jeżeli stanie się oddaną służką Senory, nie będziesz mógł jej nic zrobić. Jeśli jednak czar nie podziała, pozwolę ci ją zabić.

Bruno błysnął zębami w promiennym uśmiechu. To był bardziej drapieżny grymas niż uśmiech.

- Mam nadzieję, że czar nie poskutkuje - powiedział.

- Nie pozwól, aby osobiste animozje okazały się przeszkodą dla naszej dalszej współpracy, Bruno. - Gaynor spojrzał na swego goryla.

- Tak jest, sir. - Bruno gwałtownie przełknął ślinę. To "sir" z trudem przeszło mu przez gardło. Z głębi korytarza za Domingą wyłonił się Enzo. Trzymał się blisko ściany, możliwie jak najdalej od jej "tworu". Antonio wreszcie utracił posadę ochroniarza. No i dobrze. Bardziej się nadawał do roli tarczy strzelniczej.

Tommy pokuśtykał w głąb korytarza, wciąż rozmasowując obolałe klejnoty. W jednym ręku trzymał wielkie magnum. Twarz miał prawie purpurową z wściekłości, a może z bólu..

- Zabiję cię - wysyczał.
- Weź numerek i ustaw się w kolejce - poradziłam mu.
- Enzo, pomożesz Brunonowi i Tommy'emu przywiązać tę małą do krzesła w pokoju. Jest znacznie groźniejsza, niż się wydaje - rzekł Gaynor.

Enzo schwycił mnie za rękę. Nie próbowałam się opierać. Uznałam, że w jego rękach byłam bezpieczniejsza niż z tamtymi dwoma. Tommy i Bruno sprawiali wrażenie, jakby tylko czekali, aż wykonam jakiś podejrzaną ruch. Chyba chcieli zrobić mi coś bardzo złego.

- Czy to dlatego, że jestem kobietą, czy po prostu nie umiecie przegrywać, chłopaki?

-rzuciłam, gdy Enzo przeprowadzał mnie obok nich.

- Zastrzełę ją - wycedził Tommy.

- Później - powiedział Gaynor - później.

Zastanawiałam się, czy mówił serio. Jeśli czar Domingi poskutkuje, będę jak żywy zombi podporządkowany jej woli. Jeśli zaklęcie nie zadziała, Tommy i Bruno zabiją mnie i zrobią to bardzo powoli, rozkoszując się moim cierpieniem. Miałam nadzieję, że istniało trzecie wyjście.

Trzecia możliwość ujawniła się, gdy ocknęłam się przywiązana do krzesła w niedużym pokoju. To była najlepsza z trzech możliwości, ale i tak niezbyt atrakcyjna. Nie lubię, gdy mnie wiążą. W takiej sytuacji liczba potencjalnych opcji zmniejsza się automatycznie do zera. Dominga obcięła mi kilka pukli włosów oraz przycięła paznokcie. Włosy i paznokcie miały być wykorzystane do czaru posłuszeństwa. Cholera.

Krzesło było stare, z prostym, sztywnym oparciem, do którego miałam przywiązane nadgarstki. Kostki stóp natomiast do dwóch przednich nóg krzesła. Sznurowano bardzo mocno. Szarpałam je przez chwilę, licząc, że będę miała choć odrobinę luzu. Bez powodzenia.

Byłam już wcześniej wiązana i w takich sytuacjach wyobrażałam sobie, że - jak Houdini - sprytnie uda mi się uwolnić z pęt. Niestety rzeczywistość zawsze korygowała fikcję. Jest jak jest. Gdy ktoś cię zwiąże, pozostajesz spętana, aż nie postanowi cię uwolnić. Kłopot w tym, że gdy zostanę tym razem uwolniona, stanę się obiektem czaru posłuszeństwa. Musiałam się jakoś oswobodzić, zanim do tego dojdzie. Musiałam wymyślić jakiś sposób, aby wywinąć się z tej kabały.

Boże święty, pozwól mi się stąd wydostać.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi, ale to nie była kawaleria idąca mi z pomocą.

Do pokoju wszedł Bruno, niosąc na rękach Wandę. Krew z rozcięcia nad okiem zalała jej prawą stronę twarzy, ale zaczęła, już zasychać. Lewy policzek zdobił pokaźny siniak. Z napuchniętej i rozciętej dolnej wargi wciąż sączyła się krew. Oczy miała zamknięte. Nie byłam pewna, czy Wanda, wciąż jest przytomna. Po kopnięciu przez Brunona bolała mnie lewa strona twarzy, ale to było nic w porównaniu, z obrażeniami Wandy.

- Co teraz? - zapytałam Brunona.

- Dotrzymaj jej towarzystwa. Kiedy się ocknie, spytaj, co jeszcze zrobił jej Tommy. Przekonaj się, czy to skłoni cię cło ożywienia tego nieboszczyka.

- Sądziłam, że Dominga zechce rzucić zakłęcie, aby zmusić mnie do współpracy.

- Odkąd tak fatalnie spieprzyła sprawę, Graynor już jej nie ufa. - Wzruszył ramionami.

- Chyba nie przywykł do dawania innym drugiej szansy - skomentowałam..

- To prawda. - Położył Wandę otok mnie, na podłodze. - Lepiej przyjmij jego propozycję, dziewczyno. Jedna martwa dziwka i milion dolców jest twój. Zgódź się. Zgarnij szmal.

- Zamierzacie złożyć Wandę - w ofierze - powiedziałam ze znużeniem w głosie.

- Gaynor nikomu, nie daje drugiej szansy.

- Jak twoje kolano? - Skinęłam głową.

- Nastawiłem. - Skrzywił się.

- Musiało boleć jak diabli - stwierdziłam.

- Bolało. Jeżeli nie pomożesz Graynorowi, przekonasz się jaki to ból.

- Oko za oko - mruknęłam.

Skinął galową i wstał. Oszczędzał prawą nogę. Zauważył, że na nią patrzę.

- Pogadaj z Wanda. Zdecyduj, jak to ma się dla ciebie skończyć. Gaynor zastanawia się, czy cię nie okaleczyć i nie zatrzymać jako swego rodzaju maskotkę. Na pewno tego nie chcesz.

- Jak możesz dla niego pracować?

- Naprawdę nieźle płaci. - Wzruszył ramionami.

- Pieniądze to nie wszystko.

- To mówi ktoś, kto nigdy naprawdę nie zaznał głodu.

Zamurowało mnie. Mogłam tylko na niego patrzeć. Przyglądaliśmy się sobie przez dobre parę chwil. Dopiero teraz dostrzegłam, w jego oczach coś naprawdę ludzkiego. Ale nie zdołałam tego rozszyfrować. Nie potrafiłam pojąć natury tej emocji. Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Spojrzałam na Wandę. Leżała na boku, nie poruszała się. Miała na sobie długą, wielobarwną spódnicę. Biała bluzka z szerokim koronkowym kołnierzykiem była rozdarta na jednym ramieniu. Wyzierało spod niej ramiączko fioletowego stanika. Zapewne zanim dobrał się do niej Tommy, nosiła również majtki w takim samym kolorze.

- Wando - powiedziałam półgłosem. - Wando, słyszysz mnie? - Powoli poruszyła głową.

Ruch musiał sprawiać jej ból. Otworzyła jedno oko. Malowało się w nim przerażenie. Drugie oko było zamknięte pod skorupą krwi. Wanda zaczęła panicznie pocierać zaklejoną powiekę. Gdy wreszcie otworzyła oboje oczu, spojrzała na mnie. Przez chwilę przyglądała się badawczo, jakby mnie nie poznawała. Kogo spodziewała się ujrzeć w tych pierwszych, przepelnionych paniką chwilach? Nie chciałam wiedzieć. - Wando, możesz mówić?

- Tak - odparła cicho, ale wyraźnie.

Chciałam spytać, czy wszystko w porządku, ale znałam już odpowiedź na to pytanie.

- Jeżeli zdołasz podczołgać się tu i uwolnisz mnie, wyprowadzę nas stąd.

Spojrzała na mnie, jakbym straciła rozum.

- Nie możemy uciec. Harold by nas zabił. - Wypowiedziała to ostatnie zdanie jak stwierdzenie faktu.

- Nie mam w zwyczaju się poddawać, Wando. Rozwiąż mnie a ja na pewno coś wymyślę.

- Skrzywdzi mnie, jeżeli ci pomogę - odparła

- Zamierza złożyć cię w ofierze, aby ożywić swego zmarłego przodka. Ile bólu jesteś jeszcze w stanie znieść? - Zamrugnęła, ale wzrok znów miała bystry. Zupełnie jakby panika była niczym narkotyk, a Wanda zwalczała w sobie jej działanie. A może jej narkotykiem był Harold Gaynor. Tak, to nawet miało sens. Była narkomanką. Uzależnioną od Harolda Gaynora. Każdy ćpun jest gotów umrzeć za kolejną dawkę. Ale nie ja. - Proszę cię, Wando, rozwiąż mnie. Wydostanę nas stąd.

- A jeśli ci się nie uda?

- Nic gorszego nie może nas już spotkać - odparłam. - Jeżeli tu zostaniemy, umrzemy na pewno.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę. Próbowałam wsłuchiwać się w odgłosy z korytarza. Gdyby Bruno przyłapał nas na próbie ucieczki, byłoby bardzo źle. Wanda podźwignęła się na rękach. Nogi wlokły się za nią, ukryte pod materiałem spódnicy, martwe i bezużyteczne, całkiem nieruchome. Zaczęła pełznąć w moją stronę. Sądziłam, że to trochę potrwa, ale poruszała się całkiem szybko. Mięśnie jej ramion pracowały płynnie, miarowo. W kilka chwil dotarła, do mego krzesła.

- Jesteś bardzo silna. - Uśmiechnęłam się.

- Wszystko co mam, to moje ręce. Muszą być silne - odrzekła Wanda. - Zaczęła rozsupływać węzły sznura przy moim prawym nadgarstku. - Za mocno związane.

- Dasz radę, Wando. - Schwyciła palcami węzeł i po wielu godzinach żmudnych prób, które w rzeczywistości zapewne pięcioma minutami, poczułam, że sznur się poluzowuje. Luiz, miałam luz, ale ekstra! - Prawie ci się udało Wando! - próbowałam dodać jej otuchy. W tej samej chwili z korytarza dobiegł odgłos zbliżających się kroków. Wanda spojrzała na mnie, w jej oczach malowało się przerażenie.

- Nie zdążę - wyszeptała.

- Wróć na swoje miejsce. Szybko. Dokończymy to później - rzuciłam.

Wanda odczołgała się w to samo miejsce, gdzie ją położył Bruno. Ledwo zdążyła ułożyć się w poprzedniej pozycji, gdy otworzyły się drzwi. Wanda udawała nieprzytomną. Dobry pomysł. W drzwiach stanął Tommy. Zdjął kurtkę, a na jego białej koszulce poło odcinały się paski upręży kabury. Czarne dżinsy podkreślały szczupłość talii. Wyglądał jak rasowy kulturysta. Dołożył jeszcze jeden element do swego stroju. Nóż. Wymachiwał nim jak pałką. Ostrze załśniło w świetle. Facet miał sprawne ręce. Spójrzcie, co potrafię. No proszę. Zręczne ręce i coś więcej.

- Nie wiedziałam, że lubisz noże, Tommy. - To zdumiewające, ale mój głos brzmiał całkiem zwyczajnie i spokojnie.

- Mam wiele talentów. - Uśmiechnął się. - Gaynor chce wiedzieć, czy zmieniałś zdanie i zgodzisz się ożywić tego trupa.

Nie zabrzmiało to do końca jak pytanie, ale i tak na nie odpowiedziałam.

- Nie zrobię tego.

- Miałem nadzieję, że to powiesz. - Jego uśmiech poszerzył się.

- Dlaczego? - Obawiałam się, że znam już odpowiedź.

- Bo przysłał mnie, abym cię przekonał.

- Nożem? - wypaliłam z głupia frant, spoglądając na błyszczący nóż.

- Czymś długim, twardym, ale nie tak zimnym - odparł.

- Gwałt? - spytałam. To słowo zawisło złowrogo w parnym, nieruchomym powietrzu.

Pokiwał głową, szczerząc się jak kot z Cheshire. Chciałam, żeby zniknął, pozostawiając po sobie tylko ten śmiech. Nie bałam się jego uśmiechu. Jeżeli już, to czegoś zgołą innego.

Zaczęłam bezradnie szarpać więzy. Sznur wokół prawego nadgarstka rozluźnił się jeszcze bardziej. Czy to wystarczy? Czy Wanda dostatecznie mocno poluzowała więzy?

Proszę, Boże, spraw, aby to wystarczyło.

Tommy stanął nade mną. Otaksowałam go wzrokiem, a to, co ujrzałam w jego oczach, było odrażające i nieludzkie. Można stać się potworem, na wiele sposobów. Tommy znalazł swój własny. W jego spojrzeniu krył się isticie zwierzęcy głód. Nie pozostało w nim nic z człowieka. Stanął nade mną okrakiem, ale nie usiadł mi na kolanach. Jego płaski brzuch dotknął mej twarzy. Jego koszula pachniała drogim płynem po goleniu. Odchyliłam głowę do tyłu, starając się go nie dotknąć. Zaśmiał się i przeczesał moje włosy palcami. Spróbowałam się uchylić, ale złapał mnie za włosy i odchylił mi głowę do tyłu.

- To mi się spodoba - wycedził.

Nie próbowałam szarpać się z więzami. Gdyby udało mi się uwolnić rękę, zauważyłby to. Musiałam poczekać, aż coś pochłonie go na tyle, że przestanie zwracać uwagę na mniej istotną rzecz. Na samą myśl o tym, co być może będę musiała zrobić, aby go czymś zająć, żołądek podszedł mi do gardła. Ale liczyło się tylko przetrwanie. Pozostanie przy życiu - to był mój główny cel. Cała reszta to drobiazgi. Nie całkiem w to wierzyłam, ale bardzo się starałam.

Usiadł mi na kolanach. Był ciężki. Oparł się torsem o moją twarz, a ja nic nie mogłam na to poradzić. Zaczął pocierać ostrzem noża o mój policzek.

- Możesz to przerwać, kiedy tylko zechcesz. Wystarczy, że powiesz "tak", a ja to przekaże Gaynorowi.

W jego głosie pojawiła się już charakterystyczna chryпка. Czułam coraz większą wypukłość w jego kroczu, kiedy się o mnie ocierał. Na samą myśl o dalszych pieszczotach Tommy'ego byłam bliska złamania swoich zasad. Wystarczyło powiedzieć "tak". Niewiele brakowało, a zgodziłabym się na propozycję Gaynora. Niewiele, a jednak. Szarpnęłam sznur i poluzowałam go jeszcze bardziej. Jeszcze jedno silne pociągnięcie i uwolnię prawą rękę. Ale będę miała tylko jedną rękę przeciwko dwóm Tommy'ego, a on był uzbrojony w nóż i pistolet. Marne szanse, ale lepsze takie niż żadne. Na coś więcej raczej nie mogłam dziś liczyć.

Pocałował mnie, wpychając mi język do ust. Nie oponowałam, bo i tak by nie przestał. Nie ugryzłam go, bo chciałam mieć go możliwie jak najbliżej. Bądź co bądź, to tylko jedna wolna ręka, nie dwie. Musiałam go załatwić. Szybko, sprawnie, skutecznie i z użyciem tylko jednej ręki. Co mogłam mu zrobić? Właśnie, co?

Zaczął pieścić moją szyję, wtulił twarz w moje włosy. Teraz albo nigdy. Szarpnęłam z całej siły i uwolniłam prawą rękę. Zamarłam w bezruchu. Na pewno to poczuł, ale był zbyt zajęty całowaniem szyi, aby zwrócić na to uwagę. Drugą ręką masował moją pierś.

Zaniknął oczy i zaczął całować mnie w szyję z prawej strony. Miał zamknięte oczy. W drugiej ręce luźno trzymał nóż. Akurat nic nie mogłam poradzić na ten nóż. Musiałam zaryzykować. Nie miałam wyjścia.

Pogładziłam go po twarzy, a on otarł się o moją dłoń. I nagle otworzył oczy. Uświadomił sobie, że przecież powinnam być związana. Wbiłam kciuk w jego otwarte oko. Palec pograżył się głęboko w oczodole, a gałka oczna eksplodowała z wilgotnym plaśnięciem. Tommy wrzasnął, zachwiał się do tyłu i unióśł dłoń do oka. Złapałam go za nadgarstek dłoni,

w której miał nóż i przytrzymałam. Te jego wrzaski ściągną nam na kark posiłki. Niech to szlag.

Silne ramiona opasały Tommy'ego w talii i odciągnęły do tyłu.. Wyrwałam mu nóż, gdy ześlizgiwał się na podłogę. Wanda przytrzymała go z całej siły, choć wił się jak piskorz. Ból był tak dojmujący, że nawet nie przyszło mu do głowy, aby sięgnąć po pistolet.

Wyłupienie oka, ból i panika są w efekcie znacznie skuteczniejsze od kopnięcia w jądra.. Uwolniłam drugą rękę, zacinając się przy okazji w przedramię. Jeśli będę się za bardzo spieszyć, ani chybi podetnę sobie żyły. Przy przecinaniu, sznurów na kostkach byłam już ostrożniejsza. Tommy zdołał wyrwać się Wandzie. Wstał chwiejnie, przytykając jedną rękę do oka. Krew i przezroczysty płyn spływały mu po twarzy.

- Zabiję cię! - Sięgnął po pistolet.

Ujęłam nóż za ostrze i rzuciłam. Nóż wbił się w jego ramię. Celowałam w tors. Znów krzyknął. Podniosłam krzesło i zdzieliłam, go na odlew w twarz. Wanda schwyciła go za kostki i Tommy upadł. Tłukłam go krzesłem po głowie tak długo, aż rozpadło mi się w rękach.. A potem waliłam go nogą od krzesła, aż z jego twarzy została jedynie krwawa miazga.

- On nie żyje - rzekła Wanda. Pociągnęła mnie za nogawkę spodni. - Nie żyje. Wynośmy się stąd.

Upuściłam ociekającą krwią nogę od krzesła i osunęłam się na kolana. Nie mogłam przełknąć śliny. Nie mogłam oddychać. Byłam cała we krwi. Nigdy dotąd nie zatłukłam nikogo na śmierć. To było miłe uczucie. Pokręciłam głową. Później. Będę się tym przejmować później.

Wanda objęła mnie jedną ręką za ramiona. Ja opasałam ją w talii, po czym wstałyśmy. Ważyła znacznie mniej, niż powinna. Nie chciałam zobaczyć, co się kryło pod tą piękną spódnicą. Wanda chyba nie miała nóg, ale po raz pierwszy mogło to się stać jej atutem. Była dzięki temu lżejsza. Łatwiej było ją nieść. W prawym ręku trzymałam pistolet Tommy'ego.

- Muszę mieć jedną rękę wolną, więc trzymaj się mocno. - Wanda pokiwała głową. Twarz miała bladą jak ściana. Czułam przez skórę, jak bije jej serce. - Wydostaniemy się stąd - powiedziałam.

- Jasne - odparła, ale głos jej się łamał. Chyba mi nie wierzyła.

W sumie nawet ja sama nie wierzyłam w to, co przed chwilą powiedziałam. Wanda otworzyła drzwi i znalazłyśmy się na korytarzu.

Korytarz wyglądał tak, jak go zapamiętałam. Był długi, z załomami na obu końcach, pozbawiony nisz, w których można by się skryć.

- W prawo czy w lewo? - wyszeptałam do Wandy.

- Nie wiem. Ten dom jest jak labirynt. Chyba w prawo.

Skręciłyśmy w prawo, bo przynajmniej było to jakieś rozwiązanie. Najgorsze, co mogliśmy zrobić, to stać tam i czekać na powrót Gaynora.

Usłyszałam rozlegające się z tyłu za nami kroki. Zaczęłam się odwracać, ale holując Wandę, byłam bardzo powolna. W korytarzu rozbrzmiało echo wystrzału. Coś trafiło mnie w lewe ramię, którym obejmowałam Wandę w pasie. Impet trafienia obrócił mnie i obie runęłyśmy ciężko na podłogę. Wylądowałam na plecach, z lewą ręką uwięzioną pod ciałem Wandy. Ramię całkiem mi zdrętwiało.

Na końcu korytarza stała Cicely. Trzymała oburącz małokalibrowy pistolet. Stała na szeroko rozstawionych, długich, bardzo długich nogach. Wyglądało na to, że wiedziała, co robi. Uniosłam .357 i wymierzyłam do niej, wciąż leżąc na wznak na podłodze. Huk wystrzału, zabrzmiał jak eksplozja, od której zaczęło dzwonić mi w uszach. Odrzut pchnął moją dłoń do góry i w tył. Gdybym próbowała z nim walczyć, broń wyleciałaby mi z ręki. Jeśli konieczny byłby drugi strzał, nie zdążyłabym na czas podnieść broni z podłogi. Okazało się jednak, że nie był on potrzebny. Cicely leżała pośrodku korytarza jak zmięta szmata. Przód jej bluzki szybko zabarwił się krwią. Nie poruszała się, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Wciąż trzymała pistolet w jednej dłoni. Mogła udawać, aby gdy podejść bliżej, wpakować mi kulkę. Mimo to musiałam wiedzieć.

- Czy mogłabyś podnieść się z mojej ręki? - spytałam.

Wanda nie odpowiedziała, lecz dźwignęła się ciężko do pozycji siedzącej i mogłam wreszcie przyjrzeć się mojej ręce. Wciąż stanowiła część mego ciała. Świetnie. Krew sączyła się po moim ramieniu karmazynową strużką. Odrętwienie zaczęło ustępować na rzecz lodowatego żaru. Wolalam jednak tę drętwotę. Robiłam co w mojej mocy, aby zignorować ból w ręce, wstając i podchodząc do Cicely. Mierzyłam do niej z magnum .357. Gdyby choć drgnęła, ponownie poczęstowałabym ją ołowiem. Minispódniczka zadarła się jej powyżej ud, odsłaniając czarne majteczki i pończochy z pasem. Żalony widok.

Stałam przy niej i przyjrzałam się. Cicely już nigdy nie drgnie, nawet mimowolnie. Jej jedwabna bluzka była cała mokra od krwi. W piersi widniała dziura tak wielka, że mogłabym zmieścić w niej całą pięść. Kobieta była martwa. Definitywnie i bezwarunkowo. Mimo to, niejako na wszelki wypadek, kopnięciem wytrąciłam jej z dłoni .22. Z ludźmi praktykującymi voodoo nigdy nic nie wiadomo. Widywałam ich wstających, mimo że odnieśli znacznie poważniejsze obrażenia.

Cicely po prostu leżała tam, krwawiąc.

Miałam szczęście, że posługiwała się małokalibrowym, "damskim" pistolecikiem. Gdyby miała większą armatę, mogłabym stracić rękę.

Zatknęłam pistolet Cicely za pasek spodni, bo nie wiedziałam, co innego mogłabym z nim zrobić. Rzecz jasna, najpierw go zabezpieczyłam. Nigdy wcześniej nie oberwałam. Byłam kāsana, dżgana nożem, bita i przyżegana rozpalonym żelazem, ale nigdy dotąd nie zarobiłam kulki. To mnie przerażało, bo nie miałam, pojęcia, czy moja rana była poważna. Wróciłam do Wandy. Twarz miała bladą, jej brązowe oczy wyglądały jak małe wysepki pośród bieli oblicza.

- Czy ona nie żyje? - spytała. Skinęłam głową. - Krwawisz dodała. Oderwała pasek tkaniny ze swej długiej spódnicy. - Poczekaj, owinę ci tę rękę.

Uklękałam i pozwoliłam, aby mocno zawiązała pasek wielokolorowej tkaniny tuż powyżej rany. Drugim skrawkiem spódnicy otarła ranę z krwi. Nie wyglądało tak źle. Jakbym straciła strzęp skóry i fragment tkanek.

- Myślę, że kula tylko mnie drasnęła - powiedziałam. To nic, tylko powierzchowna rana.

Równocześnie przeszywała mnie palącym bólem i lodowatym chłodem. Może zimno to skutek szoku. Jedno małe draśnięcie i miałabym być w szoku? Z pewnością nie. - Jazda, musimy się stąd zmyć. Strzały ściągną tu Bruna.

Dobrze, że odczuwałam ból. Dzięki temu wciąż miałam czucie w ręku i mogłam ich używać.

Moje ramię nie chciało, abym ponownie oplotła nim Wandę w pasie, ale to był jedyny sposób, żebym, mogła ją unieść, zachowując równocześnie prawą rękę wolną.

- Chodźmy w lewo. Może właśnie stamtąd nadeszła Cicely - powiedziała Wanda. Była w tym pewna logika. Zawróciliśmy i minęliśmy ciało. Leżała tam, jej niebieskie, niewidzące oczy wydawały się niesamowicie rozszerzone. Na twarzy osoby niedawno zmarłej nigdy nie uświadczysz wyrazu zgrozy czy przerażenia, co najwyżej grymas bezgranicznego zdumienia. Zupełnie jakby śmierć dopadła ją z nienacką. Gdy mijałyśmy ciało, Wanda spojrzała na zwłoki.

- Nie sądziłam, że umrze pierwsza - wyszeptała.

Skręciliśmy za załom korytarza i stanęliśmy twarzą twarz z potworem Domingi.

Potwór stał pośrodku wąskiego, niedużego holu znajdującego się na tyłach domu. Ściana naprzeciwko miała mnóstwo okien. W środku niej zaś dostrzegłam drzwi. Przez okna widać było czarne, nocne niebo. Drzwi prowadziły na zewnątrz. Pomiędzy nami a wolnością stał jedynie potwór.

Jedynie, dobre sobie!

Przelewająca się niezdarna bryła części ciała ruszyła w naszą stronę. Wanda krzyknęła i wcale jej się nie dziwiłam. Uniosłam magnum i wymierzyłam w środek ludzkiej twarzy. Huk strzału zabrzmiał niczym grzmot. Twarz eksplodowała strugą krwi, strzępów tkanek i odłamków kości. Jeszcze gorszy był smród. Jakbym poczuła w gardle gnijącą sierść. Usta wrzasnęły jak zranione zwierzę. Stwór wciąż szedł w naszą stronę, ale był ranny.

Najwyraźniej nie wiedział, co ma teraz robić. Czy rozwaliłam mu dominujący mózg? Czy to coś miało dominujący mózg? Nie sposób tego stwierdzić.

Wypaliłam jeszcze trzykrotnie, rozwalając dalsze trzy głowy. W korytarzu było pełno krwi, fragmentów mózgu i czegoś jeszcze gorszego. Potwór uparcie parł naprzód, rewolwer szczerzył głucho, skończyły się naboje. Cisnęłam nim w potwora. Odbił magnum zamaszystym ciosem szponiastej łapy. Nawet nie zadałam sobie trudu, aby wyjąć .22. Skoro magnum go nie zatrzymało, to taka mała zabawka tym bardziej tego nie zrobi.

Zaczęłyśmy cofać się w głąb korytarza. Cóż innego mogłyśmy zrobić? Potwornie zdeformowane cielsko powlokło się za nami. To był ten sam szelest i szuranie, które słyszeliśmy z Mannym, uciekając z piwnicy domu Domingi. Teraz mogłam ujrzeć na własne oczy jej prywatny, sekretny koszmar.

Ciało pomiędzy skórą o różnej teksturze, owłosieniu i strukturze kostnej nie nosiło żadnych śladów połączeń. Zero szwów a la Frankenstein. Zupełnie jakby te różne części stopiono razem niczym wosk.

Potknęłam się o ciało Cicely. Byłam zbyt pochłonięta obserwacją potwora, aby patrzeć pod nogi. Upadłyśmy obie jak długie, przewracając się na zwłoki. Wanda krzyknęła. Potwór sunął dalej. Zniekształcone łapy spróbowały pochwycić mnie za nogi. Zaczęłam kopać jak oszalała, równocześnie przepelzając po ciele Cicely, aby znaleźć się poza zasięgiem ramion monstrum. Jeden ze szponów zahaczył o moje dżinsy i pociągnął mnie ku sobie. Tym razem to ja krzyknęłam. To, co było kiedyś ludzką ręką i palcami, zacisnęło się na mojej kostce. Schwyciłam mocno trupa Cicely. Jej ciało było jeszcze ciepłe. Potwór z łatwością zaczął ciągnąć nas obie. Dodatkowy ciężar ani trochę go nie spowolnił. Zaczęłam nerwowo szukać dłońmi dokoła.

Nie było się czego złapać.

Ponownie spojrzałam na monstrum. Rozkładające się żarłoczne usta rozchyliły się w głodnym wyczekiwaniu. W jamach gębowych ujrzałam połamane, odbarwione zęby i języki, obrzmiałe jak gnijące węże. Boże!

Wanda złapała mnie za rękę, usiłując zatrzymać, ale ponieważ nie mogła zaprzeczyć się o nic nogami, sama znalazła się bliżej potwora.

- Puść mnie! - wrzasnęłam do niej.

- Anito! - zawołała, wykonując moje polecenie.

Ja również krzyczałam.

- Nie! Przestań! Przestań! - Włożyłam w ten krzyk całą siebie, nie chodziło mi o to, aby był głośny, lecz by zawierał w sobie moc. Bądź co bądź, miałam przed sobą jeszcze jednego zombi. Jeżeli nie wydano mu ściśle określonych rozkazów, powinien mnie usłuchać.

To był tylko kolejny zombi. Musiałam w to uwierzyć albo umrzeć.

- Przestań natychmiast! - W moim głosie pojawiła się nuta hysterii. Niczego tak nie pragnęłam jak zacząć krzyczeć i nigdy już nie zamilknąć.

Potwór znieruchomiał, gdy moja stopa znajdowała się tuż obok jednej z dolnych jam gębowych. Różnobarwne oczy wpatrywały się we mnie wyczekująco. Przelknęłam ślinę i spróbowałam, zachować spokój, choć zombi było to obojętne.

- Puść mnie. - Zrobił to. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Przez chwilę leżałam na wznak na podłodze, ucząc się na nowo oddychania. Gdy uniosłam wzrok, potwór wciąż siedział przede mną, czekając. Jak na potulnego zombi przystało, czekał na dalsze rozkazy.

- Zostań tu. Nie ruszaj się stąd ani na krok - powiedziałam.

Oczy monstrum patrzyły na mnie tak posłusznie, jak to jest możliwe wyłącznie u nieboszczyków. Potwór będzie tak siedział w holu, dopóki nie otrzyma konkretnych, sprzecznych z moimi, rozkazów. Dzięki ci, dobry Boże, że zombi to tylko zombi, bo zombi to tylko zombi.

- Co się dzieje? - spytała Wanda. Głos jej się załamał, zaczęła płakać. Była bliska hysterii.

- Już wszystko dobrze. - Podpełzałam do niej. - Później ci to wyjaśnię. Mamy niewiele czasu. Musimy się spieszyć. Nie ma chwili do stracenia. Trzeba się stąd wydostać.

Skinęła głową, po jej poobijanej twarzy spływały łzy. Ostatni raz pomogłam się jej podnieść.

Pokuśtykałyśmy w stronę potwora. Wanda skuliła się i odsunęła od niego trwożliwie, ciągnąc mnie za zranione ramię.

- Wszystko gra. To nam nic nie robi. Musimy się tylko pospieszyć. - Nie miałam pojęcia, jak daleko stąd była Dominga. Nie chciałam, aby zmieniła rozkazy, gdy będziemy mijać potwora. Idąc tuż przy ścianie, prześlizgnęłyśmy się obok monstrum. Oczy z tyłu ogromnej bryły tkanek - jeśli miała, ona tył i przód. - odprowadzały nas wzrokiem. Woń z ociekających posoką ran dławiła w gardle. Ale co tam, to były tylko detale.

Wanda otworzyła drzwi wiodące na zewnątrz. Gorący letni wiatr omiół nasze twarze, rozwiął włosy. To było cudowne uczucie.

Dlaczego Gaynor i reszta nie przybyli na ratunek? Przecież musieli usłyszeć huk strzałów oraz krzyki. Powinny ich tu zwabić przynajmniej odgłosy wystrzałów. Zeszliśmy po trzech kamiennych, stopniach na żwirowy podjazd. Zlustrowałam wzrokiem ciemność dokoła, dostrzegając wzgórze porośnięte wysoką, falujący tratwą, wśród której widać było stare, murszejące nagrobki. To był domek dozorczy na cmentarzu Burrell.

Zastanawiałam się, co Gaynor zrobił z dozorcą.

Zaczęłam prowadzić Wandę w stronę odległej autostrady i nagle ni stąd, ni zowąd przystanąłam. Wiedziałam już, dlaczego nikt nie przyszedł. Niebo było czarne i usiane gwiazdami tak, że gdybym miała siatkę, mogłabym ich trochę nałapać. Wiał silny, gorący wiatr. Nie widziałam księżyca. Za dużo gwiazd i gwiezdneho blasku.

I wtedy to poczułam. Pojawiło się wraz z gorącymi, poszukującymi palcami wiatru.

Przyciąganie. Dominga Salador ukończyła przygotowywane zaklęcie. Spojrzałam na rząd nagrobków i zrozumiałam, że muszę do niej pójść. Tak jak zombi musiał podporządkować się mojej woli, tak ja musiałam, podporządkować się mocy Domingi. Nie było mowy o przełamaniu czaru, nic nie mogło mnie ocalić. Byłam w pułapce.

Stałam w bezruchu na żwirze. Wanda poruszyła się w moich ramionach i spojrzała na mnie. W świetle księżycy jej twarz była przeraźliwie blada. Czy ja też tak wyglądałam? Czy na mojej twarzy też malował się wyraz szoku? Spróbowałam zrobić krok naprzód. Przenieść Wandę w bezpieczne miejsce. Nie mogłam się ruszyć. Walczyłam z tym bezwładem, aż z wysiłku zaczęły drżeć mi nogi. Nie mogłam zrobić kroku.

- Co się stało? Musimy się stąd zmyć, zanim wróci Gaynor - rzekła Wanda.

- Wiem - odparłam.

- Wobec tego, co robisz?

Przełknęłam coś zimnego i twardego, co zaległo mi w gardle. Serce waliło w piersi jak oszalałe.

- Nie mogę stąd odejść.

- O czym ty mówisz? - W głosie Wandy słychać było nutę hysterii. Histeria była jak najbardziej wskazana. Obiecałam sobie, że jeśli wydostanę się stąd z życiem, przejdę poważne załamanie nerwowe. O ile się wydostanę. Walczyłam z czymś niewidzialnym i niematerialnym, co wszelako unieruchamiało mnie na amen. Musiałam zaprzestać walki, bo nogi odmówią mi posłuszeństwa. I tak miałyśmy już dość problemów. Skoro nie mogłam iść naprzód, to może powinnam zacząć się cofać. Zrobiłam krok w tył, potem drugi. Udało się.

-Co robisz? - spytała Wanda.

- Wracam na cmentarz - odparłam.

- Po co? - Dobre pytanie, ale nie byłam pewna, czy potrafię udzielić Wandzie jasnej odpowiedzi. Sama nie bardzo to rozumiałam. Jak miałam to wyjaśnić komuś innemu? Nie mogłam stąd odejść, ale czy musiałam ciągnąć ze sobą Wandę? Czy czar pozwoli mi zostawić ją tutaj? Postanowiłam spróbować. Położyłam ją na żwirze. Poszło gładko. A więc miałam jeszcze jakiś wybór. - Dlaczego mnie zostawiasz? - Wpiła się we mnie palcami. Była przerażona. Tak jak ja..

- Spróbuj dotrzeć do drogi, jeżeli jesteś w stanie - rzekłam.

- Bez wózka? - spytała. - Jak? Na rękach?

Miała rację, ale cóż mogłam uczynić?

- Umiesz posługiwać się bronią?

- Nie.

Czy powinnam, zostawić jej pistolet, czy raczej zabrać go z sobą i spróbować kropnąć Domingę przy pierwszej lepszej okazji? Jeśli opanowała mnie jak zombi, powinnam móc ją zabić, o ile nie wyda mi związanego z tym konkretnego zakazu. W pewnym sensie wciąż dysponowałam wolną wolą. Sprowadzą mnie, a potem przyślą kogoś po Wandę. To ona miała być złożona w ofierze. Podałam jej .22. Odbezpieczyłam pistolet.

- Jest naładowany i gotowy do strzału - wyjaśniłam. - Ponieważ nie znasz się na broni, trzymaj ją schowaną, aż Enzo lub Bruno zbliżą się do ciebie i strzel z przyłożenia. Z tak bliskiej odległości nie sposób chybić.

- Dlaczego mnie zostawiasz?

- To przez czar, jak sądzę - odparłam.

- Jaki czar? - Jej oczy rozszerzyły się.

- Taki, który nakazuje mi do nich wrócić. I nie pozwala mi stąd odejść.

- O Boże - jęknęła.

- No - mruknęłam. I uśmiechnęłam się do niej. Uspokajający, całkiem nieszczerzy uśmiech. - Postaram się wrócić po ciebie.

Tylko na mnie patrzyła, jak dziecko pozostawiane przez rodziców w ciemnościach, zanim wszystkie potwory zdążyły się ulotnić. Ścisnęła pistolet w dłoniach i odprowadziła mnie wzrokiem, dopóki nie rozplynęłam się w mroku.

Długa, sucha trawa ocierała się z szelestem o nogawki moich dżinsów. Wiatr wiejący wśród traw tworzył z nich jasne fale. Nagrobki wyłaniały się spośród chwastów jak nieduże mury lub grzbiety morskich potworów. Nie zastanawiałam się, dokąd zmierzam, moje nogi najwyraźniej doskonale znały drogę.

Czy tak czuje się przywołany zombi? Nie, w przypadku zombi przywołujący musi znajdować się w zasięgu głosu. Z tak daleka ten numer by nie przeszedł.

Dominga Salvador stała u szczytu wzgórza. Jej sylwetka odcinała się na tle księżyca. Tarcza miesiąca z wolna zachodziła. Noc miała się ku końcowi. Dokoła królowały jeszcze aksamitne czernie, srebrzyste płatki nocnych cieni, ale gorący wiatr niósł już ze sobą zapowiedź rychłego brzasku.

Gdyby udało mi się odwlec wszystko do świtu, nie byłabym w stanie ożywić zombi. Może uwolniłabym się też od tego czaru. O ile dopisałoby mi szczęście. A na to nie liczyłam.

Dominga stała w ciemnym kręgu. U jej stóp leżał martwy kurczak. Utworzyła już krąg mocy. Musiałam jedynie wejść do niego i złożyć ofiarę z człowieka. Po moim trupie, jeśli będzie trzeba.

Harold Gaynor siedział na wózku elektrycznym po drugiej stronie kręgu. Poza jego granicą. Był bezpieczny. Podobnie jak stojący przy nim Enzo i Bruno. Jedynie Dominga podejmowała ryzyko.

- Gdzie Wanda? - zapytała.

Spróbowałam skłamać, że jest bezpieczna, ale odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- Na żwirowej ścieżce, przy domu.

- Dlaczego jej tu nie przyniosłaś?

- Możesz wydać mi tylko jedno polecenie naraz. Rozkazałaś mi przyjść, więc przyszłam.

- Nawet teraz uparta, to doprawdy niezwykle - mruknęła. Enzo, sprowadź tu dziewczynę.

Jest nam potrzebna. - Enzo bez słowa, ruszył przez połąć suchych traw. Miałam nadzieję, że Wanda go zabije. Że wpakuje w niego cały magazynek. Nie, lepiej niech zachowa parę kul dla Brunona. Dominga trzymała w prawej dłoni maczetę. Ostrze było ciemne od krwi. -

Wejść do kręgu, Anito - rzekła. Próbowałam się opierać, bezskutecznie, stanęłam chwiejnie na skraju kręgu, po czym weszłam do środka. Poczułam zawirowanie energii, ale krąg nie zamknął się. Wyglądał na zapieczętowany, ale pozostawał otwarty. Wciąż czekał na ofiarę. Z ciemności dobiegły strzały. Dominga drgnęła. Uśmiechnęłam się. - Co to było? - spytała.

- Chyba twój ochroniarz zarobił parę kulek - odartłam.

- Coś ty zrobiła?

- Dałam Wandzie pistolet.

Spoliczkowała mnie. Niezbyt mocno, ale grzmotnęła mnie w ten sam policzek, który wcześniej naruszył Bruno i jak-mu-tam. Zarobiłam w twarz z tej strony trzy razy. Będę miała siniaka aż miło. Dominga spojrzała na coś za moimi plecami i uśmiechnęła się. Zanim się odwróciłam też to zobaczyłam, domyślałam się, co to będzie.

Enzo niósł Wandę na szczyt wzgórza. Cholera. Usłyszałam więcej niż jeden strzał. Czyżby spanikowała i strzeliła zbyt wcześnie, marnując amunicję? A niech to. Wanda krzyczała i tłukła małymi piąstkami w szerokie plecy Enza. O ile dożyjemy poranka, nauczę Wandę robić lepszy użytek z pięści. Była niepełnosprawna, ale nie bezradna. Enzo wniósł ją do kręgu. Dopóki krąg nie został zamknięty, każdy mógł tu wchodzić, nie przełamując czaru. Upuścił Wandę na ziemię i boleśnie wykręcił jej rękę do tyłu. Wciąż szamotała się i krzyczała. Wcale się jej nie dziwiłam.

- Niech Bruno ją przytrzyma. Śmierć musi zostać zadana jednym cięciem - powiedziałam.

- To fakt. - Dominga pokiwała głową. Skinęła na Bruna, aby wszedł do kręgu. Zawahał się, ale Gaynor ponaglił go.

- Rób, co ci każe.

Bruno wykonał polecenie Gaynora, swego guru. Schwycił Wandę za jedną rękę.

Przytrzymywana przez dwóch mężczyzn, mając niesprawne nogi, prawie nie mogła się już poruszać.

- Uklękniście i przytrzymajcie jej głowę - poleciłam. Enzo zrobił to pierwszy, opierając wielką dłoń na potylicy Wandy. Unieruchomił ją. Wanda zaczęła płakać. Bruno ukląkł, drugą rękę opierając na jej plecach, aby się wyprężyła. Dominga podała mi mały brązowy słoik maści. Krem był biały i mocno pachniał goździkami. Ja dodaję więcej rozmarynu, ale goździki też mogą być. - Skąd wiedziałas, co będzie mi potrzebne? - zaciekałam się.

- Spytałam Manny'ego, czego zwykle używasz.

- Na pewno nic by ci nie powiedział.

- Powiedziałby, gdybym zagroziła jego rodzinie. - Dominga zaśmiała się. - Och, nie smuć się tak. Nie zdradził cię, chico. Manuel sądził, że jestem po prostu ciekawa twoich mocy. A przecież wiesz, że to prawda.

- Wkrótce się przekonasz - powiedziałam.

- Posmaruj się maścią. - Ukłoniła się lekko. Rozsmarowałam maść na twarzy. Krem był chłodny i lepki. Goździki pachniały jak cukierki. Posmarowałam się nad sercem pod bluzką, nasmarowałam obie dłonie. I na koniec pomazałam też nagrobek. Teraz potrzebowaliśmy już tylko ofiary. - Nie ruszaj się - rzuciła Dominga. Zamarłam w bezruchu jak zaczarowana.

Czy jej potwór w korytarzu też trwał w takim bezruchu jak ja teraz? Dominga położyła maczetę na trawie przy skraju kręgu, po czym wyszła zeń. - Ożyw zmarłego, Anito - rozkazała.

- Proszę, spytaj najpierw Gaynora o jedną rzecz. - To "proszę" ledwie mi przeszło przez usta.

- To znaczy o co? - Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Czy jego przodek także jest kapłanem voodoo?

- A co to za różnica? - warknął Gaynor.

- Ty głupcze - wycodziła. Dominga. Odwróciła się do niego, zaciskając pięści. - To dlatego za pierwszym razem się nie udało. Usiłowałeś mi wmówić, że to moja wina!

- O czym ty mówisz? - zdziwił się.

- Gdy ożywasz kapłana voodoo albo animatora, bywa, że przywołanie się nie udaje.

- Jak to? - spytał.

- Magia, twego przodka zakłóca moją - wyjaśniła Dominga - Czy ten przodek na pewno nie parał się voodoo?

- Nic mi o tym nie wiadomo - padła odpowiedź.

- Wiedziałaś o tamtym pierwszym? - spytałam.

- Tak.

- Czemu mi nie powiedziałaś? - wysyczała Dominga. Aura mocy otaczała ją niczym mroczny kokon. Czy zamierzała go zabić, czy chodziło jej tylko o podbicie ceny?

- Nie sądziłem, że to ważne. - Dominga chyba zgrzytnęła zębami. W sumie nic dziwnego.

Kosztował ją reputację, plus tuzin istnień. I nie widział w tym nic złego. Ale Dominga nie uśmierciła go na miejscu. Chciwość zwyciężyła. - Do dzieła. - ponaglił Gaynor. - A może nie zależy ci na forsie?

- Nie groź mi - odcięła się Dominga.

Pięknie, para łotrów może lada chwila schwycić się za kudły.

- Nie grozę ci, Senoro. Tyle że nie dostaniesz ani grosza, dopóki ten nieboszczyk nie zostanie ożywiony.

Dominga wzięła głęboki oddech. Skuliła się w sobie i odwróciła do mnie.

- Zrób, co ci kazałam, ożyw zombi. - Otworzyłam usta, aby wymyślić kolejny pretekst do odwołania rytuału. Nadchodził świt. Musiał nadejść. Już niedługo. - Dość opóźnień. Ożyw zmarłego, Anito, natychmiast! - zagrzmiała władczo.

Przełknęłam ślinę i podeszłam do skraju kręgu. Chciałam stamtąd wyjść, odejść, ale nie mogłam. Stałam, jakbym natrafiła na niewidzialną ścianę. Choć była niewidzialna, nie mogłam jej pokonać. Napierałam na nią, aż moim ciałem wstrząsnęły dreszcze. Wzięłam długi, drżący oddech. Podniosłam maczetę.

- Nie, Anito, błagam cię, nie! - krzyknęła Wanda. Próbowwała się wyrwać, lecz bez powodzenia. To będzie łatwa śmierć. Zabicie jej powinno być prostsze niż dekapitacja kurczaka jedną ręką. A robiłam to każdej nocy.

Ukłękałam przed Wandą. Enzo unieruchomił ją, trzymając jedną ręką za głowę. Wanda pojękiwała cichutko, żałośnie.

Boże, dopomóż mi.

Wsunęłam jej maczetę pod szyję.

- Unieś lekko głowę, abym mogła zadać precyzyjne cięcie - rzekłam do Enza.

Schwycił ją za włosy i brutalnie odchylił jej głowę do tyłu. Oczy kobiety niemal wychodziły z orbit. Nawet w blasku księżyca widziałam, jak pulsuje tętnica szyjna. Przytknęłam maczetę do jej szyi. Skóra Wandy wydawała się twarda i rzeczywista w zetknięciu ze stalą. Cofnęłam lekko ostrze. A potem wbiłam je z całej siły w gardło Enzo. Stał pogrążyła się w szyi osiłka. Krew buchnęła czarną strugą.

Wszyscy prócz mnie na chwile zamarli w bezruchu. Wyszarpnęłam ostrze z szyi Enza i wbiłam je w brzuch Bruna. Nie zdążył wydobyć broni. Jego ręka opadła bezwładnie.

Naparłam na maczetę i pchnęłam ku górze. Wnętrznosci wypłynęły z rozprutego brzucha gorącą falą. Woń świeżej śmierci wypełniła krąg. Krew zbryzgała moją twarz, pierś, ręce i nogi. To był ostatni krok. Krąg został zamknięty.

Doświadczyłam wielu zamknięć kręgów, ale nigdy czegoś podobnego. To było tak wstrząsające, że aż jęknęłam ze zdumienia. Fala mocy stała się tak silna, że nie mogłam oddychać. Zupełnie jakbym, została porażona silnym prądem. Bolała mnie od tego cała skóra. Wanda była unurzana we krwi osiłeków. Leżała wśród traw, poddając się hysterii.

- Błagam, nie zabijaj mnie! Nie zabijaj mnie. Proszę!

Nie musiałam, zabijać Wandy. Dominga kazała mi ożywić zombi i to właśnie zamierzałam zrobić. Zabijanie zwierząt nigdy nie dało mi takiego kopa. Zupełnie jakbym za chwilę miała stracić całą skórę. Skierowałam przepływającą przeze mnie moc w głąb ziemi. Ale nie tylko do grobu wewnątrz kręgu. To była zbyt wielka moc jak na jeden grób. Zbyt wielka jak na kilka mogił. Poczułam moc rozlewającą się dokoła, rozchodzącą się jak kręgi na wodzie. Coraz dalej i dalej, dopóki nie rozprzestrzeniła się równomiernie po całym cmentarzu.

Dopóki nie dotarła do każdej z mogił, które spenetrowałam dla Dolpha. Dopuściłam ją do wszystkich, prócz tych, przy których były duchy. To była odmiana duchowej magii, a nekromancja nie skutkuje, gdy w pobliżu, pętają się jakieś dusze. Wyczułam każdy grób, każdego trupa. Czułam, jak scalają się z pyłu i fragmentów kości w żywych nieboszczyków.

- Powstańcie z grobów, o umarli, wszyscy, do których dociera mój głos. Powstańcie, by mi służyć! - Nie wymieniając ich z imienia i nazwiska, nie powinno mi się udać przywołanie choćby jednego z nich, ale śmierć dwóch ludzi okazała się dla zmarłych pokusą nie do odparcia. Podźwigali się w górę, jakby wylaniali się z wody. Ziemia zafalowała.

- Co robisz? - spytała Dominga.

- Ożywiam zombi - odparłam. Może dało się to wyczuć w moim głosie. A może to poczuła. Tak czy owak, zaczęła biec w stronę granicy kręgu, lecz było już za późno. Dłonie przebiły ziemię u stóp Domingi. Ręce umarłych pochwyciły ją za kostki i przewróciły w wysoką trawę. Straciłam je z oczu, ale nie straciłam kontroli nad zombi.

- Zabijcie ją - rozkazałam. - Zabijcie ją.

Trawa zafalowała i wzburzyła się jak woda. Noc wypełniły wilgotne odgłosy mięśni odrywanych od kości i rozrywanych brutalnie tkanek. Kości pękających z głośnym trzaskiem. Rozczłonkowywanego ciała. Dominga wrzasnęła. Rozległ się ostatni młazszający odgłos, donośny, wilgotny i pełny. Krzyki Domingi urwały się nagle. Poczułam dłonie umarłych rozdzierające jej gardło. Jej krew rozbryzgiwała się po suchej trawie.

Wiatr rozwiął jej czar, ale teraz nie potrzebowałam już ponagleń. Byłam w sidłach mocy. Wznosiłam się na jej prądach, niczym ptak. Moc pochwyciła mnie, unosiła w górę. Wydawała się niematerialna jak powietrze i solidna zarazem. Sucha, zapadnięta ziemia nad grobem przodka Gaynora otworzyła się. Z mogiły wyłoniła się blada ręka. Po chwili w szczelinie ukazała się druga. Zombi rozgrzebywał suchą ziemię. Usłyszałam odgłosy innych rozgrzebywanych mogił, wypełniające spokojną letnią noc. Stwór wyłaniał się z grobu zgodnie z życzeniem Gaynora.

Gaynor siedział na swoim wózku na szczycie wzgórza. Otaczali go umarli. Tuziny zombi w różnych stadiach rozkładu utworzyły wokół niego upiorny pierścień. Ale jeszcze nie wydałam rozkazu. Nie skrzywdzą go, dopóki im nie każę.

- Spytaj go, gdzie jest skarb - zawołał Gaynor.

Spojrzałam na niego i to samo uczyniły wszystkie zombi. Facet nic nie kumał. Był jak wielu nadzianych gości. Tacy jak on mylnie sądzą, że kto ma pieniądze, ten ma władzę. To nie to samo. Prawda bywa bolesna.

- Zabijcie człowieka nazwiskiem Harold Gaynor - powiedziałam donośnym tonem.

- Dam ci milion, dolarów za to, że go ożywiłaś. Niezależnie czy odnajdę skarb, czy nie - rzucił Gaynor.

- Nie chcę twoich pieniędzy, Gaynor - odparłam.

Zombi zbliżały się ze wszystkich, stron, powoli, wyciągając przed siebie obie ręce jak żywe trupy z horrorów. Czasami scenarzyści z Hollywood mają rację, choć zdarza się im to bardzo rzadko.

- Dwa miliony! Trzy! - W jego głosie pojawiła się nuta strachu. Ze swego miejsca lepiej niż ja mógł obserwować ostatnie chwile Domingi. Wiedział, co go czeka. - Cztery miliony!

- To za mało - odparłam..

- Ile? - zawołał. - Podaj cenę! - Już go nie widziałam. Przesłoniły go zombi.

- Nie chce pieniędzy, Gaynor. Chcę tylko twojej śmierci. To wszystko.

Zaczął krzyczeć. To był nieartykułowany wrzask. Poczułam dłonie rozrywające jego ciało.

Zęby odgryzające kawałki mięsa.

Wanda złapała mnie za nogi.

- Nie, nie rób mi krzywdy. Proszę!

Spojrzałam na nią. Przypomniałam sobie okrwawionego miśka Benjamina Reynoldsa, małą rączkę z plastikowym pierścionkiem, zbryzganą krwią sypialnię, dziecięcy kocyk.

- Zasłużył na śmierć - wycedziłam. Mój głos wydał mi się dziwnie obcy i beznamiętny. Jakby wypływał z ust całkiem innej osoby.

- Nie możesz go tak po prostu zamordować - rzuciła Wanda.

- Nie mogę? No to popatrz.

Próbowała wspiąć się po mnie w górę, ale nogi miała bezwładne i runęła na ziemię u moich stóp, pochlipując żałośnie.

Nie pojmowałam, jak po tym co jej zrobił, Wanda mogła chcieć się za nim wstawić. Pewnie to miłość. A więc naprawdę go kochała. Może to jest w tym wszystkim najsmutniejsze. Wiedziałam, kiedy Gaynor umarł. Gdy kawałki jego ciała znalazły się w dłoniach lub ustach umarłych, zombi przerwały swe mordercze dzieło. Odwróciły się do mnie, oczekując nowych rozkazów. Wciąż przepełniała mnie moc. Nie byłam zmęczona. Czy wystarczy jej, aby złożyć ich wszystkich z powrotem do grobów? Miałam taką nadzieję.

- Wracajcie, powróćcie wszyscy do waszych grobów. Niechaj pochłonie was ziemia. Spoczywajcie w spokoju. Powróćcie do swych mogił. Powróćcie do nich natychmiast. Zakołysali się, jakby pod wpływem silnego podmuchu wiatru, po czym jeden po drugim powrócili do swoich grobów. Kładli się na suchej, stwardniałej ziemi, a mogiły po prostu pochłaniały ich w całości. Zupełnie jakby zapadali się w czarodziejskich lotnych piaskach. Ziemia znów zafalowała, jak śpiący przyjmujący wygodniejszą pozycję.

Niektóre z tych trupów były równie stare jak przodek Gaynora, co oznaczało, że nie musiałam składać ofiary z człowieka, by ożywić jednego trzystuletniego nieboszczyka. Bert się ucieszy. Ludzkie śmierci zdawały się kumulować. Dwie żywe ofiary i opróżniłam cały cmentarz. To wydawało się niemożliwe. A jednak tego dokonałam. Kto by pomyślał, co? Niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. Wraz z brzaskiem ucichł wiatr. Wanda klęczała na pokrytej krwią trawie i szlochała. Ukłękłam przy niej. Gdy jej dotknęłam, drgnęła jak oparzona. W sumie wcale się jej nie dziwiłam, ale trochę mnie to zirytowało.

- Musimy się stąd wynosić. Trzeba cię zawieźć do lekarza - powiedziałam.

- Kim ty jesteś? - Spojrzała na mnie.

Dziś po raz pierwszy nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie. Odpowiedź, że człowiekiem, nie była dostatecznie precyzyjna.

- Jestem animatorką - odparłam ostatecznie.

Wciąż się na mnie gapiła. Ja też bym w to nie uwierzyła. Ale nie wzbraniała się, gdy ją podniosłam. To już coś. Tak mi się przynajmniej wydawało. W dalszym ciągu obserwowała mnie kątem oka. Wanda uznała, że zaliczam się do grona potworów. Może miała rację. Nagle wstrzymała oddech, wybałuszyła oczy.

Odwróciłam się zbyt wolno. Czy to kolejny potwór? Z cieni wyłonił się Jean-Claude.

Na chwilę mnie również zapało dech. Nie spodziewałam się czegoś takiego.

- Co ty tu robisz? - zapytałam.

- Wezwała mnie twoja moc, ma petite. Dzisiejszej nocy żaden umarły w tym mieście nie mógł nie poczuć tej potęgi. A skoro miasto to ja, postanowiłem rzecz sprawdzić. I oto jestem.

- Długo tu jesteś?

- Widziałem, jak zabiłaś tych dwóch. I jak ożywiłaś cały cmentarz.

- Nie przyszło ci do głowy, aby mi pomóc?

- Nie potrzebowałaś pomocy. - Uśmiechnął się nieznacznie w blasku księżyca. - Poza tym, czy nie kusiłoby cię, aby także mnie te zombi rozerwały na strzępy?

- Chyba się mnie nie boisz - mruknąłam. Rozłożył szeroko ręce. - Boisz się swojej ludzkiej służebnicy? Tej małej moi?

- Nie boję się ciebie, ma petite. Jestem tylko ostrożny.

Bał się mnie. Cholera. Już dla samej tej świadomości warto było zadać sobie tyle trudu. Zniosłam Wandę ze wzgórza. Nie pozwoliła się dotknąć Jean-Claude'owi. Woląla wybrać potwora, którego znała.